

ROBERT LUDLUM

JASON
BOURNE

POWRACA

ZAGADKA
BOURNE'A

ERIC VAN LUSTBADER

Spis treści

Motto

Prolog

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

Część druga

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

Część trzecia

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

Czterdzieści dni później

Podziękowania

Przypisy

Pierwszym odruchem zdrajcy jest zaprzeczać wszystkiemu.

JÓZEF STALIN

Prolog

Frankfurt, Niemcy

Gdy Jason Bourne przekroczył próg hotelu Royal Broweiser, cała obsługa od razu wzięła się do roboty. Nie to, że wcześniej wszyscy pracownicy siedzieli bezczynnie. Herr Hummel, dyrektor, szybko by ich zwolnił; byli zresztą zbyt dobrze wyszkoleni, aby zachowywać się w ten sposób. Herr Bourne był im dobrze znany jako dawca hojnych napiwków, więc natychmiast ruszyli, by przejąć od niego trzy piękne walizy, z których każda przypuszczalnie kosztowała tyle, co suma ich półrocznych pensji.

Bourne, barczysty mężczyzna, którego nienaganna garderoba i zwyczaje dobitnie świadczyły o grubości portfela, od trzech lub czterech miesięcy zjawiał się w Royal Broweiser często, choć nieregularnie. Pracownicy hotelu zgadzali się, że chociaż wygląda na biznesmena, po jego posturze widać, że sporo czasu spędza w siłowni. Zawsze sympatyczny i rozmowny, sypał lekko pieprznymi dowcipami, które bawiły hotelowych boyów do łez. Gotowi byli spełniać każdą jego zachciankę, choćby i uciążliwą. Bez oporów poddawali się urokowi Bourne'a.

Tym razem gościa zakwaterowano w ulubionym apartamencie na najwyższym piętrze, a Herr Hummel osobiście zaniósł mu powitalny poczęstunek. Gdy tylko Bourne został sam, podszedł do okna i nacisnął jeden z numerów z listy szybkiego wybierania w swojej komórce. Chwilę później w głośniku odezwał się damski głos.

– Jestem na miejscu – zakomunikował. – Długo mam czekać?

– Tylko parę dni. – Jej głos wywołał u niego falę ciepła. – Śledzimy jego ruchy. Niedługo będzie w drodze.

– Parę dni...

– Nie przesadzaj – ucięła. – Wiesz, ile było zachodu z przejściem poufnej depechy FSB i podmianieniem jej na naszą, żeby Wanow trafił do ciebie, a nie do Bourne'a?

– Któż wie lepiej niż ja, Irino? – Nie musiał długo czekać na znajome poruszenie w łędźwiach. – Ale tak czy owak, co ja mam tutaj robić?

– Wiem, że szczerze nie cierpisz Frankfurtu, Jasonie.

– Uwielbiam, jak mówisz do mnie Jason.

– No, ja myślę. – Zachichotała. – Za bardzo jesteś spięty. Znajdź sobie jakąś rozrywkę.

– Ciebie – rzucił z nutą tęsknoty w głosie. – Wystarczysz mi ty.

– Ech, zwierzaku... – wyszeptwała. – Na pewno mógłbyś...

Chyba usłyszała jego jęk, choć starał się powstrzymać.

– Co ty tam robisz, Jasonie?

– Dobrze wiesz, co. – Rozpiął rozporek i ujął w prawą rękę nabrzmiąły członek. – Znalazłem sobie rozrywkę.

– W takim razie – wymruczała Irina – pozwól, że ci pomogę.

Jakiś czas później przetaił szybę wilgotną szmatką, a potem przebrał się w aksamitny szlafrok i kapcie, po czym zjechał windą do hotelowego spa. Spędził dwadzieścia minut pod natryskiem, by oczyścić i ciało, i umysł.

Założył świeży garnitur i poszedł na obfity lunch do kawiarni na Römerbergu. Przespacerował się pod ołowianym niebem, zwiedził katedrę cesarską i kościół Świętego Pawła. Kolejny dzień spędził w zoo, obserwując samotnego lwa, który pachniał śmiercią. Bourne nienawidził ogrodów zoologicznych jeszcze bardziej niż samego Frankfurtu i Niemców jako narodu. Zamykanie takich stworzeń w klatkach wydawało mu się zbrodnią zasługującą na wieczne potępienie – o ile wierzy się w takie rzeczy. On sam, jako pragmatyk i ateista, nie wierzył.

Dziękował bogom i demonom, że Irina zadzwoniła już następnego dnia.

– Właśnie wylądował – rzuciła. – Za godzinę powinien być w hotelu.

Było szaro i paskudnie, jak zresztą i wczoraj, a do tego lało jak z cebra. „Zwariowałbym w tym mieście” – pomyślał, rozłączając się. Na szczęście to wszystko było już za nim. W żyłach znów poczuł adrenalinę.

Nadszedł czas zabawy.

Kapitan Maksim Wanow z FSB, chwilowo podróżujący jako attaché kulturalny, dotarł do hotelu w stanie kontrolowanego napięcia. Nigdy wcześniej nie był w Niemczech, które znał z historii jako wrogie Rosji. Jego dziadek walczył i zginął jako patriota w wielkim oblężeniu Stalingradu. Maksima nauczono pielęgnować pamięć o wojnie. Wchodząc do pokoju w Royal Broweiser, strzepnął z prochowca resztki wody. Boy hotelowy powiesił jego płaszcz w szafie, opisał wyposażenie apartamentu i snuł się po nim, dopóki gość nie wcisnął kilku euro w jego spoconą dłoń.

Wanow wyciągnął brązową monetę, którą generał przekazał mu osobiście. Przez cały czas nosił ją na szyi na łańcuszku. Przez chwilę obracał krążek w dłoniach, czując, jak staje się ciepły. Potem niechętnie schował go pod koszulę.

Nie chcąc tracić ani chwili, ujął słuchawkę hotelowego telefonu i zapytał o Jasona Bourne’a.

– Czy jest u siebie? – odezwał się całkiem poprawną niemiecką.

– Zdaje się, że Herr Bourne zamówił śniadanie do pokoju. Mam pana zaanonsować?

– Proszę nic mu nie mówić! To mój stary znajomy, chciałem zrobić mu niespodziankę.

Entuzjazm w jego głosie chyba przekonał recepcjonistę, bo odparł tylko:

– Jak pan sobie życzy, Herr Wanow. Miłego dnia.

Wanow szybko podchwycił jego formalny styl, tak lubiany przez Niemców.

– Dla pana również.

Nie zwlekając ani chwili, wjechał windą na najwyższe piętro. Zawahał się dopiero przed drzwiami apartamentu Bourne’a, gdzie poczuł niepokój. Generał Karpow powierzył mu tajne i bardzo istotne zadanie, więc Wanow nie chciał niczego spieprzyć, skoro już zwrócił na siebie uwagę przełożonego. Wszystko musi pójść zgodnie z planem.

W odpowiedzi na jego lekkie pukanie drzwi się otworzyły i stanął w nich Jason Bourne we własnej osobie, ubrany w koszulę polo, džinsy i mokasyny założone na bose stopy. Postura i rysy twarzy z grubsza zgadzały się z opisem.

– Panie Jasonie – odezwał się ostrożnie Wanow – pracuję z pana starym kumplem Borysem.

Generał polecił mu właśnie tak zacząć rozmowę.

Bourne zmarszczył brew.

– Borysem?

– Karpowem – uściślił Wanow. – Z Borysem Karpowem.

– A, tak. Proszę wejść. – Bourne gestem wskazał barek. – Napije się pan czegoś?

Wanow uniósł otwartą dłoń.

– Nie dzisiaj.

– A z kim mam przyjemność?

– Jestem kapitan Wanow. – Mówiąc to, rozejrzał się po pokoju, szukając śladu obecności drugiego

lokatora, na przykład kobiety, nic jednak nie zauważył. – Mamy do omówienia ważne sprawy.

– Doprawdy? – Bourne uniósł brwi. – W takim razie proszę bardzo. Może usiądziemy?

Mówiąc to, ruszył w kierunku salonu.

– Postoję, jeśli panu to nie przeszkadza.

Bourne spojrział na niego z zaskoczeniem, ale nie zaprotestował, tylko znów podszedł do Wanowa.

– Dlaczego Borys nie przyjechał osobiście?

– Żartuje pan? Przecież się żeni.

Wanow zaczął się śmiać, a Bourne od razu przeklął w duchu za tę gafę.

Tymczasem Wanow wyciągnął zza koszuli brązową monetę na łańcuszku.

– Przyjechałem przekazać panu to. – Zdjął wisior z szyi i opuścił go na otwartą dłoń Bourne'a. –

Generał mówił, że będzie pan wiedział, o co chodzi.

– Obawiam się, że nie wiem. Może mi pan wyjaśnić?

Wanow już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale gwałtownie je zamknął. Miał wrażenie, że coś tu nie gra, w zasadzie czuł to już w chwili, gdy Bourne otworzył drzwi. Tylko co?

– Coś nie tak, panie Wanow? – Bourne zrobił krok w jego stronę. – Wygląda pan, jakby zobaczył ducha.

– *Niczewo. Moroz probrał mienia do kostiei*¹.

– *Prostitie mienia. No mnie każestja jeto wsie taki czto to*² – odpowiedział Bourne bez wahania.

Wanow cofnął się tak gwałtownie, że aż się zderzył z kanapą.

– Ty nie jesteś Jason Bourne – rzucił. – Generał przekazał mi dokładne informacje. Bourne mówi z czystym moskiewskim akcentem. Twój rosyjski jest z Czertanowa.

Bourne uśmiechnął się szeroko.

– Po prostu spędziłem więcej czasu w slumsach Moskwy, między innymi na Czertanowie.

– Mnie tak nie oszukasz.

Wanow potrząsnął głową i chciał wyrwać monetę z ręki Bourne'a, lecz tamten był szybszy. Uderzył go pięścią prosto w tchawicę. Kapitan osunął się na ziemię, krztusząc się i trzymając za gardło. Oczy zaszyły mu mgłą.

Bourne przykucnął i popatrzył na niego.

– Nie zamierzam tracić czasu na debatowanie nad tym, czy jestem dawnym przyjacielem generała, czy też nie.

Otworzył pięść, odsłaniając brązową monetę. Wanow kopnął go w tył kolana, przewrócił na ziemię i zdążył trafić trzy razy kantem dłoni, aż zadudniło mu w głowie. Potem jednak Bourne wyciągnął z kabury przy pasie stalową pałkę i zdzielił Wanowa w grzbiet dłoni, gruchocząc mu kości. Potem wymierzył nieco lżejszy cios w skroń.

– Proszę, nie róbmy z tego gorszej sceny, niż to konieczne. – Musnął monetę opuszkami palców. – Powiesz mi teraz, co o tym wiesz i jaką wiadomość miałeś przekazać Bourne'owi.

Wanow splunął krwią prosto na jego koszulę.

– Niczego się ode mnie nie dowiesz.

– Przykro mi, kapitanie – westchnął Bourne, a potem błyskawicznie chwycił Wanowa za ubranie, podnosząc go z podłogi. – Obawiam się, że trzeba będzie użyć nieprzyjemnych sposobów. Nieprzyjemnych dla pana, dodajmy. – Uśmiechnął się. – Ja się tylko ubawię.

Zawłókł ślaniającego się Wanowa do wyłożonej glazurą łazienki. Bez ostrzeżenia strzelił go pałką w twarz, przecinając policzek. Wanow zatoczył się i byłby upadł, ale Bourne złapał go, postawił na nogi i uderzył jeszcze raz, dokładnie w to samo miejsce. Zgrzytnęła kość. Nad głęboką raną zatańczyła karmazynowa mgiełka.

– Wie pan, kapitanie, z płytek znacznie łatwiej zmywa się krew. – Uśmiech Bourne’a stał się znacznie bardziej okrutny. – A jeśli nie odpowie pan na moje pytania, będzie jej dużo więcej.

A potem już tylko odmierzał cios za ciosem, obryzgując płytki na czerwono.

Bourne siedział na brzegu wanny, przyglądając się temu, co zostało z kapitana Wanowa z FSB. Po chwili podszedł do umywalki i starannie umył ręce.

– I jak poszło? – zapytała Irina, kiedy się do niej dodzwonił.

– Złe wieści – rzucił. – Nie było wiadomości jako takiej.

– Nie rozumiem...

Z głosu Iriny znikła zalotna nuta.

– Dostałem za to monetę.

– Monetę? – zapytała niskim, złowróżbnym tonem.

– To wszystko. Za całą wiadomość miała służyć moneta. Stara, może nawet starożytna.

– A co ci powiedział na temat jej znaczenia?

– Nic. Nie chciał gadać.

– Kompletnie nic?

– To kapitan pieprzonej bezpieki – warknął Bourne. – Uczyli go, jak znosić przesłuchanie.

Irina westchnęła z rezygnacją.

– No to plan B. Musisz oddać monetę Bourne’owi i spiknąć mnie z nim.

– Żaden problem.

– Nie mów hop.

– Jeśli hop, to tylko z tobą.

– Słuchaj uważnie. Jeśli przecenisz własne możliwości, Bourne powyrywa ci wszystkie członki, a tego bardzo bym nie chciała.

– A ja jestem gotów spełnić każdą twoją prośbę.

Rozłączył się, zostawił w łazience pochłapane krwią buty i przeszedł boso do sypialni. Z jednej z trzech walizek wyjął piłę oscylacyjną na przedłużonym kablu, rolki grubej folii, taśmę izolacyjną i solidne nożyce. Wróciwszy z tym do łazienki, na powrót wsunął stopy w mokasyny. Jedną z rolek folii rozwinął w wannie, zatykając otwór kanalizacyjny. Chwilę pomajstrował przy telefonie i po chwili całe pomieszczenie wypełniła głośna muzyka. Bourne podłączył piłę do kontaktu, przyłożył zębate ostrze do prawego ramienia Wanowa i patrzył, jak wgryza się w skórę, ścięgną, mięśnie i kości.

Dwadzieścia minut później ciało leżało w niedużych kawałkach ciasno owiniętych folią i taśmą izolacyjną. Głowę zostawił sobie na koniec. Nim wrzucił ją do foliowego worka, popatrzył w nieruchome oczy kapitana, zastanawiając się, co takiego widziały w chwili śmierci. Kolejne czterdzieści minut spędził, usuwając z łazienki opiłki kości, krew i ślady DNA za pomocą chemikaliów, które przywiózł ze sobą. Podśpiewując, wepchnął poćwiartowane zwłoki do dwóch walizek. Później

rozebrał się do naga, położył na łóżku i zasnął.

Obudził się po godzinie i ze smakiem zjadł powitalny posiłek przyniesiony wcześniej przez Herr Hummla. Wytarłszy starannie usta i palce, otworzył trzecią z walizek, pełną strojów na różne okazje. Musiał wybrać zestaw najbardziej przypominający to, co miał na sobie Wanow.

Półtorej godziny później zadzwonił po portiera, każąc znieść na dół wszystkie trzy lśniące walizy. Wymeldowywał go sam Herr Hummel, któremu wylewnie podziękował za miły poczęstunek.

– *Fantastisch!* Doceniam pański gest – powiedział, odbierając kartę kredytową na nazwisko Bourne’a.

Rozpromieniony Herr Hummel mało nie strzelił obcasami z zadowolenia.

– Z niecierpliwością oczekujemy pana kolejnej wizyty, Herr Bourne.

Człowiek, który do niedawna podawał się za Jasona Bourne’a, a teraz niepostrzeżenie dla hotelowej obsługi przeistoczył się w Maksima Wanowa z FSB, opuścił Royal Broweiser w towarzystwie portierów, którzy ciągnęli jego walizki. Zapakował bagaż do samochodu, nie zapominając o hojnym napiwku, i odjechał.

Zatrzymał się dopiero na przedmieściach, przy zarośniętym stawie, o którego istnieniu wiedział od Iriny, i wyrzucił obie walizki ze zwłokami prawdziwego kapitana Wanowa. Poszły na dno w chmurze bąbelków, jakby pod powierzchnią bawiło się małe dziecko. On tymczasem wytarł nogi, naciągnął skarpetki, opuścił podwinięte spodnie i zawiązał buty. Wrócił do miasta i tuż po siódmej zajechał pod hotel Meisterstuck przy Stresemannallee. Wszedł do środka jako Maksim Wanow, attaché kulturalny.

We Frankfurcie nie nastąpiła jeszcze pora kolacji, więc kiedy zapukał do drzwi przy końcu korytarza na trzecim piętrze, zastał Bourne’a u siebie, zajętego pakowaniem walizki przed wyjazdem do Moskwy.

– Panie Jasonie – zaczął, kiedy drzwi się otworzyły – przysyła mnie Borys.

Bourne zmarszczył brew.

– Borys?

– Karpow. Borys Karpow. Pański dawny znajomy.

– Nie wiem, kim pan jest.

Bourne stał w drzwiach, zagradzając przejście.

– Kapitan Maksim Wanow z FSB, miło mi. Przychodzę z wiadomością od waszego przyjaciela. Mogę wejść? – odezwał się po rosyjsku morderca Wanowa. – Sprawa jest pilna, a tak rozmawiać w korytarzu...

– *Dierżytie ruki, gdzie ja mogu widiet ich*³.

Wanow podniósł dłonie, a Bourne odsunął się na bok.

– *Wasz russkij jazyk znamienityj, mnie goworili*⁴.

– *Ja imiel znamienitych priepodawatieli*⁵.

Bourne stał w milczeniu, taksując przybysza wzrokiem tak metodycznie, że ukrywający się pod tożsamością Wanowa człowiek poczuł się nieswojo. Ostatni raz podobnie ścisnęło go w żołądku, kiedy napadli go w bocznej uliczce na Czernatowie. Świątował wtedy trzynaste urodziny, zalewając się w sztok dziewięćdziesięcioprocentową śliwowicą. Pięciu drabów otoczyło go i zaczęło mu ubliżać w fienia, przestępczej grypszerze. Używając wyzwisk niczym broni, zapędzili go w ślepy zaułek; dopiero tam herszt bandy przeszedł do rękoczynów. On nie miał wtedy przy sobie nic wartościowego – żadnej obrączki ani zegarka, więc kolesie wściekli się i pewnie by go zabili, gdyby nie Irina. Zastrzeliła herszta na miejscu starym makarowem, którego jakimś cudem dostała na czarnym rynku, mimo młodego wieku.

Nie wiedział, jak jej się to udało. Tak czy owak, reszta opryszków zniknęła niczym wczorajsze gazety. To właśnie wtedy, widząc Irinę po raz pierwszy przy pracy, zorientował się, że w tym życiu nie pokocha już nikogo tak mocno.

Bourne spojrział na zegarek i rzucił:

– Spieszę się, kapitanie. Za niecałą godzinę muszę ruszać na lotnisko.

– Więc przychodzę idealnie w porę – odrzekł Wanow, tłumiąc nagły napływ wspomnień. Irina właśnie tak na niego działała, często w zupełnie nieodpowiednich chwilach. Nic nie mógł na to poradzić. Nie miał kontroli nad niczym, co jej dotyczyło, nawet nad własnymi wspomnieniami, jakby część Iriny na zawsze zagnieździła się w nim chwilę przed tym, jak rozdzielili się w łonie matki.

Na otwartej dłoni podał Bourne'owi brązowy krążek.

– Czy to się wam z czymś kojarzy?

Bourne przez chwilę przyglądał się monecie, po czym przeniósł wzrok na Wanowa, taksując jego twarz z uwagą zawodowca. Borys wspomniał, że Wanow się u niego odmelduje, kiedy dzwonił zaprosić Bourne'a na wesele.

„Jakoś nie cieszysz się moim szczęściem, przyjacielu” – powiedział wtedy. „Cieszę się, cieszę. Tylko jestem ciekaw, skąd ten pośpiech. Nigdy wcześniej nie wspominałeś mi o Swietłanie”. „Miłość przychodzi do każdego, jeśli mu się poszczęści. Nie jesteś wyjątkiem, Jasonie. Nawet ty”.

Bourne momentalnie zeszywniał, porażony myślą, że Borys jakoś się dowiedział o Sarze. Tylko jak? Oczywiście, spotkał ją, ale to było zanim cokolwiek zaczęło ją łączyć z Bourne'em. Jednak w kwestiach miłości paranoja wydawała się mu jak najbardziej wskazana. Obiecał sobie nie narażać Sary na większe niebezpieczeństwo niż to, do jakiego była przyzwyczajona, nawet jeśli musiałby przez to zrezygnować z uczucia. Tak już bywało. Z drugiej strony zaczynał zdawać sobie sprawę, że coraz trudniej mu zdusić sentymentalizm w zarodku. W jego zawodzie taka słabość mogła być powodem do niepokoju.

„Nie przejmuj się – ciągnął tymczasem Borys. – Wiem, że i tak wybierałeś się do Moskwy. Jakiś postęp w polowaniu na Iwana Borza?” „W przypadku Borza «postęp» to pojęcie względne”. „Ale znajdziesz go”. Nie, to nie było pytanie. Borys nigdy nie kwestionował talentów Bourne'a. „Znajdę”. „Tylko tym razem się upewnij, że go wykończyłeś. Skurwiel wymyka się śmierci prawie tak często jak ty. Jest tak śliski i chętny do zmian tożsamości, że można by pomyśleć, że sam go szkolisz”. „Wtedy to dopiero miałbym problem”. „Wysłałem do ciebie Wanowa z małym prezentem”. Coś w głosie Borysa powiedziało Bourne'owi, że oto przeszli do sedna. „Pilnuj go za wszelką cenę”. „A co to jest?” „Koło ratunkowe”. „Słucham?” „Koło ratunkowe na wypadek końca świata”.

Tym zagadkowym komentarzem Borys zakończył rozmowę.

Teraz, w hotelowym pokoju we Frankfurcie, Bourne wziął do ręki monetę od Borysa – jego koło ratunkowe. Obrócił ją w palcach, przyglądając się obu stronom.

– Starożytna, z czasów Cesarstwa Rzymskiego. Ale poza tym...

Potrząsnął głową, znów zerkając na Wanowa. Ten wyglądał na rozczarowanego i naprawdę tak się czuł.

– A to szkoda. Generał polecił mi przekazać ją wam. Mówił, że będziecie wiedzieć, co to znaczy.

Bourne pokiwał głową bez przekonania.

– Nie mieliście przekazać żadnej wiadomości słownie albo pisemnie? – zapytał.

– Na weselu będzie wiele nieznanym wam osób. Niektóre o was słyszały i mogą się nie ucieszyć na wasz widok. Mam was skierować do kogoś, kto może się wam przydać w tej sprawie, i w innych też. Zaoferuje wszelką pomoc. – Wanow podał Bourne'owi kawałek papieru. – Tu macie numer jej komórki. Zadzwońcie, jak wylądujecie na Szeremietiewie.

Bourne zmarszczył czoło.

– Kim jest ta kobieta cud?

– Na imię jej Irina. Irina Wasilijewna. Ma doskonałe dojścia do wielu moskiewskich siłowników i oligarchów. Poza tym świetnie się orientuje w... jakby to ująć... nieoficjalnych kręgach.

– Siedzi na moskiewskim czarnym rynku?

– Jej ojciec i brat siedzieli.

– Nie żyją?

Wanow skinął głową.

– Od trzech lat.

Zabawne, z jaką obojętnością myślał o śmierci ojca i brata. Zupełnie jakby chodziło o jakieś fikcyjne postaci, zmyśloną historię. Z Iriną oczywiście było inaczej. Ojciec zawsze mówił jej o wszystkim.

– Nie będzie mi potrzebna – rzucił Bourne.

– Generał bardzo chce, żeby całe wesele przebiegło w niezmażonej atmosferze. To jego wyraźne rozkazy.

Uśmiechając się przymilnie, Wanow ruszył do drzwi. Już z ręką na klamce odwrócił się i dodał:

– Życzę szczęścia, panie Bourne. Mam nadzieję, że spakujecie ciepły płaszcz. W Moskwie zima depcze człowiekowi po piętach.

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Ze wszystkich afrodyzjaków świata
najpotężniejszym jest posiadanie bliźniaka.*

IRINA WASILIJEWNA

– Gdzie byłeś, niedźwiadku? – zapytała Swietłana.

– W pracy, myszko.

General Karpow wynurzył się z łazienki reprezentacyjnego apartamentu w moskiewskim hotelu.

– Jak to w pracy? – Swietłana teatralnie wydeła usta. – Akurat dziś?

Karpow z westchnieniem zdjął z wieszaka świeżo wyprasowane spodnie.

– Niestety, świat jakoś nie chce stanąć w miejscu z okazji naszego ślubu.

Swietłana Nowaczenko miała twarz porcelanowej lalki – takiej z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi, szmaragdowymi oczami i włosami koloru szampana. Fakt, że była w połowie Ukrainką, nie był dla Borysa Karpowa przeszkodą. Kierował przecież FSB, spadkobierczynią KGB, niesławnej Alma Mater obecnego prezydenta, i z tego tytułu miał w Federacji Rosyjskiej pozycję niezwykle uprzywilejowaną. Odznaczano go medalami, chwalono na Kremlu, zapraszano na każdą polityczną fetę organizowaną w ociekających złotem wnętrzach carskich pałaców. Ze dwa razy jadł obiad z prezydentem. Innymi słowy, mógł brać ślub, z kim chciał, dopóki wybranka nie była Żydówką.

Swietłana Nowaczenko nie była. Należała do majątnej i wpływowej ukraińsko-rosyjskiej rodziny przedsiębiorców przemysłowych, której rodowód sięgał cara Mikołaja I.

– A tak serio, to co robiłeś?

Leżała rozciągnięta na obitym aksamitem szezlongu, roznegliżowana i lśniąca. Szczupłe ramiona uniosła nad głowę, prowokująco naśladując *Maję nagą* Goi.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć – odpowiedział, zapinając mosiężne guziki marynarki z sześcioma rzędami medali na lewej piersi – w kairskim oddziale było trochę zamieszania, bo okazało się, że Izrael szpieguje ich elektronicznie.

– Kair, tak? To tak daleko od naszego gniazdka na podołku Mateczki Rosji...

Rzucił jej kose spojrzenie.

– Nigdy nie wiem, kiedy się ze mnie śmiejesz...

– Oj, wiesz, wiesz, kochany. – Swietłana ukazała w uśmiechu białe ząbki. – Tylko nie chcesz się przyznać. – Przeciągnęła się mocniej, jeszcze bardziej eksponując piersi. – I na pewno nie realizujesz kolejnego etapu niezdrowej kampanii Samowładcy przeciwko Ukrainie?

Borys zmarszczył brew, usilnie starając się ignorować jej uwodzicielskie sztuczki.

– Nie wierzysz mi?

– Samowładca ze wszystkich sił stara się odebrać każdy kawałek ziemi, który kiedyś należał do Rosji. Nie uczestniczysz w tym?

– Nie gadaj bzdur.

– Nie zgadzasz się z tym, co ostatnio powiedział publicznie?

– On mówi publicznie wiele rzeczy.

– Tym razem wygłosił coś wybitnie podłego. Wczoraj wieczór pochlebnie wyrażał się o tej przedwojennej umowie między Związkiem Radzieckim a hitlerowskimi Niemcami, w której po cichu podzielili się Polską i innymi krajami jak rzeźnicy. Samowładca wcale nie jest lepszy niż Mołotow czy Ribbentrop, co niezbitnie świadczy, że to szalenie.

Borys się nie odezwał. Racjonalnie czy nie, poczuł się dotknięty, że rozsypała węzełek obaw, które

dusił w sobie od wielu tygodni. I to w dzień ich ślubu!

– I co ugrał na tej buńczucznej postawie? W kraju nędza przez zachodnie sankcje, rubel chyba nigdy nie stał tak nisko, a notowania giełdowe lecą na łeb na szyję. Nawet miliarderzy z dnia na dzień mają więcej powodów do zmartwień, bo widzą, że ich góry pieniędzy topnieją niczym lód. Przyznaj, że Samowładca wpakował się w kłopoty. Wepchnął kraj na śliski grunt.

– Jaki znów śliski grunt? – spytał, chociaż doskonale wiedział, o co jej chodzi.

Biust Swietłany zafalował kusząco, gdy wydała z siebie głębokie westchnienie.

– Wankor – rzuciła, a w oczach miała ten wyraz lisiego sprytu, którym podbiła jego serce.

– Co z Wankorem?

W trzewiach poczuł ukłucie strachu. Mieszanka inteligencji i intuicji przywiodła Swietlanę zdecydowanie zbyt blisko sedna sprawy.

– Myślisz, niedźwiadku, że nie wiem o zmianach w strategii energetycznej, które wprowadził Samowładca? Rosja ma pełną kontrolę nad złożami Wankor i dzięki infrastrukturze i doświadczeniu Wankornieftu może je eksploatować. A mimo to Samowładca właśnie podpisał z Chińczykami tajne porozumienie, dając im pozwolenie na wykup dziesięciu procent udziałów w Vankorneftcie. – Ich spojrzenia się spotkały. – Dlaczego, u diabła, Samowładca odłupuje kawałek jednego z klejnotów koronnych Rosji?

Borys milczał, bo dobrze wiedział, że Swietłana lubi odpowiadać na własne pytania.

– Otóż, niedźwiadku, dlatego, że desperacko potrzebuje forsy. Stan gospodarki pogarsza się w zastraszającym tempie. Na utrzymanie armii poza granicami kraju trzeba wydać miliardy. Mateczka Rossija musi wykarmić wszystkich zbuntowanych separatystów we wschodniej Ukrainie, a do tego teraz trzeba słać dotacje na Krym. Rubel leci w dół, a giełda jest w takim stanie, że sam Apple był wczoraj wart więcej niż cały rosyjski rynek. Więc skąd się biorą pieniądze? W trudnych czasach cel uświęca środki, a ty jesteś wplątany w tę kabałę. I to mnie martwi najbardziej.

Źle odczytała jego zboląły wyraz twarzy.

– Niedźwiadku, zaprogramowali cię, żeby kłamać. Nawet mnie. Powiedziałybym nawet, że mnie w szczególności.

Odwrócił ku niej głowę.

– A to czemu?

– Czy te „ważne sprawy”, którymi musisz się zajmować w dzień naszego ślubu, to aby przypadkiem nie *maskirowka*?

Karpow roześmiał się. Czasami przerażała go jej inteligencja i intuicja. Na przykład teraz.

– Całe dorosłe życie zajmuję się wymyślaniem, czemu można zaprzeczyć, zatajaniem faktów i sianiem dezinformacji, która ma zmylić i otumanić wrogów, tak żeby nie byli w stanie przewidzieć naszych następnych posunięć, a co dopiero zareagować.

Swietłana opuściła ramiona i usiadła prosto.

– Niektórzy twierdzą, że cały nasz ślub to też tylko *maskirowka*.

– Co?!

– Z powodu mojej rodziny.

Patrzył na nią, jakby niespodziewanie znalazł w swoim łóżku węża.

– Mówią, że wcale mnie nie kochasz. Że zgodziłeś się na to małżeństwo z rozsądku.

– Hej... – Znów się roześmiał, ale jakby ostrzej, bez krzty radości. – Mam dojścia do prezydenta. Twoja rodzina mi niepotrzebna. – Spoważniał, widząc wyraz jej oczu. – Kto taki? Kto rozprowadza takie wstrętne informacje?

– Bo gdybyś wiedział, wyrwałbyś mu język?

– Co ja, Iwan Groźny? – mruknął Borys.

– Na ten temat też można polemizować.

Borys uniósł ciężkie brwi.

– Kto ci takie bzdury opowiada?

– Dobrze wiesz. Pierwszy minister Timur Sawasin. Ale nie martw się, kochany. Myślisz, że wychodziłabym za ciebie, gdybym wierzyła w choćby jedno jego słowo?

Z oczu Borysa wyzierał teraz prawdziwy smutek.

– Prawda, że masz dojścia do Samowładcy. Ale nie wierzę, że człowiek, który jest jego prawą ręką, sieje kłamstwa bez jego wiedzy i zgody. Musisz przyznać, że to niezły przypadek. Zachwyca się Hemingwayem, poluje, półnagi ugania się konno po lesie...

– Chciałby posklejać to, co kilkadziesiąt lat temu się rozpadło. Repatriować kraje, które należały kiedyś do Związku Radzieckiego.

– Zrujnowana gospodarka tych krajów była dla Moskwy takim obciążeniem, że trzeba było z nich zrezygnować. I bardzo dobrze się stało.

– Wiesz, Swietłano, Federacja Rosyjska zrobiła się za mała na obecny światowy porządek. Musimy rozwinąć skrzydła.

– Teraz to gadasz jak Hitler.

– Wypluj to słowo! Prezydent chce tylko odzyskać coś, co kiedyś do niego należało. Jak i wszyscy Rosjanie. Jego popularność cały czas rośnie.

– Co kiedyś do niego należało? Czy ty się w ogóle słyszysz? Ukraina, Litwa, Polska, Łotwa, Estonia i cała reszta zostały zajęte przez rosyjskie wojska pod koniec drugiej wojny światowej. Nigdy do Moskwy nie należały, a już na pewno nie do Samowładcy, naszego cara batiuszki.

– Mogłabyś go tak nie nazywać?

– A to czemu? To nie ja sprzedaję kłamstwa i mistyfikacje.

– Gdybym wiedział, że masz serce Ukrainki...

Rumieniec spłynął z policzków Swietłany, rozlewając się po szyi i ramionach.

– To co? Nasłabyś na mnie któregoś ze swoich zakapturzonych terrorystów? Kazał mnie przejechać jednym z tych czołgów, co stoją na granicy? A może zaaranżował to małżeństwo? W końcu wrogie przejście cudzymi rękami to ostatnio ulubiona wojenna zagrywka Samowładcy.

Przewrócił oczami.

– Nie ma co z tobą rozmawiać, kiedy...

– Nie znoszę, gdy traktujesz mnie jak dziecko, Borysie Iljiczu.

Zrozumiał, że teraz naprawdę ją rozzłościł. Nazwiskiem patronimicznym nie nazywała go prawie nigdy. A mimo to słowa same cisnęły mu się na usta:

– Jeśli będziesz się zachowywać jak dziecko, to tak będziesz traktowana. Rzucasz się z pazurami na zmyślane potwory, które podsuwa ci wybujała wyobraźnia. W Rosji to niemal definicja paranoi. – Jego głos nagle zaczął brzmieć miękko, pojednawczo. – Jak doskonale wiesz, specjalizuję się w kwestiach Bliskiego Wschodu. Co to Ukrainy i innych krajów dawnego bloku wschodniego...

– A mimo to kwestionujesz moją lojalność.

– Nic takiego nie sugerowałem. Nasza dyskusja...

– Tak to nazywasz?

Znów przyjrzał jej się uważnie.

– Nasza dyskusja była czysto hipotetyczna.

– W gruncie rzeczy chodzi o ekonomię – ciągnęła. – Ekonomię pazernych. Samowładca i jego siłownicy zarobili na rosyjskiej ropie miliony dolarów. A teraz to wszystko się kończy. Skąd wezmą

pieniądze na utrzymanie Federacji? I to z tej niepewności, z tej obawy, wynika ta cała gadka o repatriacji. Rosja potrzebuje krajów dawnego Związku Radzieckiego, żeby zachować co?

– Siłę.

– Tak, ale już raz niemal doprowadziły one Rosję do bankructwa.

Borys po raz kolejny z podziwem pomyślał o tym, jak doskonale ta kobieta orientuje się w meandrach ekonomii i geopolityki. Między innymi dlatego się w niej zakochał, chociaż jej umiejętności w sypialni też były imponujące. W tym przypadku również miała absolutną rację. Prywatnie Borys był zdania, że realizacja celów prezydenta może dla Rosji oznaczać ruinę. Państw satelickich trzeba było się pozbyć. Ciągnęły Moskwę w dół. Związek Radziecki był zbyt rozdęty i trudny w obsłudze, a do tego ostatnio Czeczenom i innym muzułmanom zaczęło się wydawać, że świat należy do nich... Nie pora na zaganianie uciekinierów z powrotem do zagrody. Te owieczki zostały stracone na zawsze.

– Sama widzisz, Łana, że się mylisz. Prezydent już ogłosił podpisanie umowy z Ukrainą, żeby gazociąg działał przez całą długą i mroźną zimę, która zawita do nas za parę miesięcy.

– Myślisz, Borys, że nie wiem, co planuje Samowładca? – odparła, kręcąc głową z dezaprobatą. – Rosjanie nie chcą wojny i nie chcą jego rządów. Zachodnie sankcje już dają się nam we znaki, a najbardziej cierpią na tym zwykli obywatele. Cała ta tak zwana umowa z Ukrainą spełźnie na niczym, zanim ktokolwiek ją podpisze. Samowładca zrzuci winę na NATO, mówiąc, że miesza się do spraw Ukrainy. Już robi się coraz zimniej. Kiedy chwyci mróz, Samowładca zakręci kurek z gazem nie tylko Ukrainie, ale całej Europie Zachodniej, wywołując globalną falę recesji.

Borys zaśmiał się szczekliwie, a jego oczy pociemniały.

– Ależ ty masz wyobraźnię, myszko. Prezydent nie będzie ryzykował rozpoczęcia trzeciej wojny światowej. Może i jest wariatem, ale nie szaleńcem.

Teraz to ona zaczęła się śmiać.

– Masz rację, oczywiście. Trochę mnie poniosło. No już, kochanie, nie krzyw się tak. Wyglądasz jak naburmuszone dziecko. – Nawet w przytłumionym świetle jej uśmiech miał nieodparty urok. – Zresztą, w kobiecie bez ikry nigdy byś się nie zakochał.

Skinęła ku niemu palcem, uśmiechając się jeszcze szerzej. Błysnęły pomalowane na krwistą czerwień paznokcie.

– Chodź do mnie, niedźwiadku. Przystojnie wyglądasz w tym galowym mundurze.

Borys potrząsnął głową. Wyglądał, jakby ta sprzeczka popsowała mu nastrój, chociaż potyczki słowne należały do ich codziennej rutyny.

– Żadnego bzykania przed ślubem.

– A kto mówi o bzykaniu? – rzuciła Swietłana kokieteryjnie.

– Później. – Poprawił klapy marynarki, patrząc jej prosto w oczy. – Ile będzie się nam podobało, ale później.

– Masz strasznie burżuazyjne podejście, Borys.

– Nie, kochana, pragmatyczne. – Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. – Pora, żebyś poszła się kąpać, malować czy co tam jeszcze kobiety robią przed ślubem.

– Głupek! – odcięła się, ale z ciepłym uśmiechem, a potem go pocałowała, otwierając miękkie usta i zaciskając dłoń na jego potylicy.

Gdy wreszcie go puściła, zakomenderowała drwiąco:

– A teraz idź precz! Zabawiaj naszych gości. Tylko bądź uprzejmy!

– Ja zawsze jestem uprzejmy.

Jeszcze na korytarzu słyszał jej zmysłowy śmiech.

Kiedy tylko za Borysem zamknęły się drzwi, Swietłana otuliła się długim szlafrokiem z połyskliwego jedwabiu. Z wąskiego przejścia łączącego salon z pokojem obok wysunął się Wieniamin Biełow. Był to niski, blady brunet w okrągłych okularach. Jego czarne oczy były wiecznie niespokojne, jakby przez cały czas szukały dróg ucieczki. Przespacerował się po pomieszczeniu, wymachując niedużym urządzeniem. Szukał pluskiew.

Upewniwszy się, że apartament jest czysty, podszedł do Swietłany.

– I jak? – odezwał się. – Zdeklarował się jakoś?

Kącik jej ust drgnął w półuśmiechu.

– Chcecie powiedzieć, Wieniaminie Nazarowiczu, że nie siedzieliście ze stetoskopem pod drzwiami?

– To nie jest zabawa, Łana. Ile razy mam ci to powtarzać?

– Chodź tu, mój drogi. – Wyciągnęła ku niemu rękę. – Krawat masz za ciasno zawiązany.

Potrząsnął głową.

– Chcesz, żebym pożałował...

– Czego? – W jej oczach pojawił się ostrzegawczy błysk. – Z tego planu nic by nie wyszło, gdyby nie ja.

Milczał przez chwilę, jakby starając się przywrócić atmosferę do poprzedniego stanu. W pokoju wyraźnie stało się chłodniej.

– Przepraszam cię, Łana – powiedział w końcu. – To chyba mój brak cierpliwości...

– ...wychodzi na wierzch, jak halka spod spódnicy – ucięła. – I sprawia równie marne wrażenie.

– *Mea culpa...* – Złożył ręce jak do modlitwy. – *Mea maxima culpa.*

Ten widok wywołał na jej ustach uśmiech. Lekki, ale jednak.

– Z taką znajomością łaciny mógłbyś bez problemu zająć się infiltracją struktur Watykanu!

Biełow wyraźnie się rozluźnił.

– Podaj mi chociaż twoją ocenę stanu umysłu generała.

Swietłana zmarszczyła czoło.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem. Borys unika faktów. Wiecznie. – Oblizła wargi. – Opiewa strategię Samowładcy nawet przy mnie, prywatnie.

– Trochę to rozczarowujące. Ma reputację człowieka, który potrafi myśleć sam.

– Chociaż... – Swietłana uniosła palec. – Jeśli każesz mi zgadywać, to stawiam, że jego własne opinie są dokładnym przeciwieństwem oficjalnej linii.

– Innymi słowy, są zgodne z naszymi. – Biełow w zamyśleniu postukał się w brodę długim, szczupłym palcem. – Ile byłabyś skłonna postawić na generała?

– A jak myślisz? – Wzruszyła kształnymi ramionami. – Wszystko.

Jakaś nuta w jej głosie obudziła jego niepokój.

– Nie mów mi, proszę, że się w nim zakochałaś...

– Nic ci do tego – odcięła się, o ułamek sekundy za szybko.

– Mylisz się. – Przysiadł obok niej na brzegu kanapy. – Miłość potrafi wykrzywić obraz rzeczywistości. Na pewno o tym wiesz. Przechodziliśmy już przez to z innymi. Sama widziałas, do jakich porażek taki skrzywiony osąd prowadzi. Wszyscy na ciebie liczą. Jesteś jak wiosło, które mąci wodę. To cisza przed burzą. Nie możesz sobie pozwolić na żaden błąd.

Swietłana wyprostowała się dumnie.

– I tuż przed burzą straciliście wiarę we mnie, Wieniaminie Nazarowiczu?

– Chciałem się tylko upewnić.

- Możesz być pewny.
- Dobrze. – Biełow wstał. – Bo bez generała...
- Nie mów tego głośno – upomniała go, podnosząc się wreszcie z kanapy. – I nawet o tym nie myśl.

Borys przeszedł przez obity dekoracyjną tkaniną korytarz i otwarte na oścież podwójne drzwi, po obu stronach których stali żołnierze i agenci FSB. Jego oczom ukazała się sala balowa pełna elegancko ubranych gości. Poczul nagły przypływ dumy. Zjawili się wszyscy: prezydent, premier, pierwszy minister, szef prezydenckiej administracji, szef sztabu, minister spraw zagranicznych i wielu innych. Cała ta śmietanka przyszła złożyć mu życzenia w dzień ślubu. Goście raczyli się już szampanem i kawiozem oraz potrójnie filtrowaną wódką, którą na srebrnych tacach roznosili umundurowani kelnerzy. Grał kwartet smyczkowy. Ich wersja symfonii Czajkowskiego wydała się Borysowi nadęta i wysilona.

W falującym oceanie urzędników z Kremla, oligarchów i elitarnej nomenklatury, ludzi żerujących na gospodarce Federacji, Borys odszukał wzrokiem swojego przyjaciela i towarzysza broni, Jasona Bourne'a.

Poddając się korowodowi uścisków dłoni, poklepywań po ramieniu, mamrotanych pod nosem gratulacji, kiepsko skrywanej zazdrości i strachu – bo przecież budził strach we własnym kraju i w miejscach bardziej odległych – Borys zarejestrował ze zdumieniem, że Bourne nie jest sam. U jego boku dostrzegł szczupłą kobietę o kociej gracji. Głęboki dekolt jej ciemnofioletowej sukni prowokacyjnie odsłaniał wewnętrzną stronę ciężkich piersi.

Borys szczyił się tym, że zna Bourne'a lepiej niż ktokolwiek inny, choć oczywiście nie do końca. Zdaniem Borysa akurat tego nie mógł powiedzieć nikt, nawet sam Bourne, nie odkąd stracił pamięć. Jednak jeśli czegoś mógł być pewien, to tego, że Bourne był podręcznikowym typem samotnika. Nie widywano go w towarzystwie kobiet, a jednak po tym, jak ta piękność wisiała na jego ramieniu, widać było, że nie ma zamiaru go puścić. Co dziwniejsze, Bourne zdawał się tego nie dostrzegać. Poruszał się, jakby w ogóle jej tam nie było. „A to zagadka” – pomyślał Borys i postanowił, że musi o to podpytać Bourne'a po ceremonii, kiedy wreszcie będą mogli się wymknąć na rozmowę w cztery oczy. Zrobiło mu się wstyd, że wysyłając mu zaproszenie, kierował się czymś więcej niż tylko pragnieniem spotkania z przyjacielem. „Wspaniale byłoby móc się z nim spotkać tylko po to, by uczcić moje wesele” – pomyślał. Cóż, może i tak, ale w jego życiu nie było miejsca na takie luksusy.

Przysunął się bliżej i na moment zamarł. Czy to... Jak to możliwe? Przez głowę przebiegła mu jasna smuga myśli: co u diabła Jason Bourne robi z Iriną Wasilijewną? Nie wiedział, że się znali. A jeśli tak, to czemu o niej nie wspomniał? Chyba wiedział? Czy Borysa zwięzły się w szparki. Patrząc na zachowanie Bourne'a, Borys niemal zyskał pewność, że ten jednak nic nie wie.

Ojciec Iriny, Wasilij, należał do oligarchów. Jednak nawet wpływowi bogacze mogą wpaść w kłopoty, jeśli prowadzą interesy z niewłaściwymi ludźmi. To właśnie przytrafiło się jemu i jego najstarszemu synowi. To nie Borys wydał rozkaz ich eksterminacji; był wtedy z Jasonem w Damaszku, zajmując się sprawą, która interesowała ich obu. Jak mu potem powiedziano, polecenie wyszło od samego prezydenta. Borys wrócił na czas, by uchronić przed tym samym losem młodszego syna i jego bliźniaczą siostrę. Argumentował, że nie można ich winić za przewinienia ojca. Rodzeństwo nigdy się nie dowiedziało, kto je ocalił. Za to wiedział ich dziadek i był Borysowi wdzięczny.

Tytanicznym wysiłkiem Karpow zmusił się do uśmiechu. Uścisnęli się z Bourne'em nie tylko jak przyjaciele, ale jak bracia, którzy przeszli razem przez niejedno niebezpieczeństwo i wielokrotnie ratowali się nawzajem. W takim świecie żyli; ich uścisk wyrażał wdzięczność, że obaj dożyli tego

podniosłego dnia. „Przynajmniej to jest szczerze” – pomyślał Borys.

Ucałował oba policzki Bourne'a i wyszeptał mu do ucha:

– Dostałeś monetę?

Bourne nieznacznie skinął głową.

– To dobrze. Pilnie musimy pogadać. Znajdziesz mnie w hotelowej loggii, gdy tylko zaczną podawać przystawki – powiedział po arabsku.

Obaj doskonale znali ten język.

Minęła chwila bliskości. Odsunął się i przybrawszy na powrót oficjalny uśmiech, ruszył dalej ścisnąć rękę i przyjmować życzenia od gości, którzy podchodzili do niego z gratulacjami.

Fakt, że Irina przez cały czas kurczowo trzymała się jego ramienia, wyraźnie Bourne'owi przeszkadzał, nikt jednak się nie zorientował, co przechodzi – nawet jego przyjaciel Borys Karpow, a już na pewno nie sama Irina. Epatowała seksem. Pachniała, jakby właśnie się z kimś kochała lub była podniecona.

Zadzwoił do niej, kiedy przebił się przez kontrolę paszportową na Szeremietiewie. Chciała wysłać po niego samochód, ale Bourne nie miał w zwyczaju wsiadać do podstawionych aut, stwierdził więc, że spotka się z nią w centrum i podał adres. W Pierścień Sadowy wjechał taksówką.

Powitała go uśmiechem.

– Dobry wieczór – odezwała się moskiewską ruszczyzną i ucałowała go w oba policzki, jak starego znajomego. – Mam nadzieję, że lot był znośny.

– Nie narzekam – odparł Bourne, po raz pierwszy wdychając jej piżmowy zapach.

Zauważyła, że drgnęły mu nozdrza, a półuśmiech, który posłała mu w odpowiedzi, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Efekt był zamierzony.

– Kapitan Wanow opisał was bardzo trafnie – powiedziała, ujmując go pod rękę zaborczym gestem, który chyba leżał w jej naturze.

Nie ufał ani jej, ani Wanowowi, nie do końca. Po pierwsze dlatego, że Borys słowem nie wspomniał o tej kobiecie ani o tym, że ktoś miałby czekać na niego w Moskwie. Dla kogoś, kto znał go jako samotnika, takie zachowanie było nietypowe. Z drugiej strony Wanow przekazał mu monetę Borysa, a zatem już na starcie pojawiła się anomalia, którą wyjaśnić mógł tylko Borys. Uznał więc, że na razie poczeka na rozwój sytuacji i dowie się, czego tak naprawdę Irina od niego chce. W Moskwie, tak w polityce, jak i w biznesie, pod powierzchnią codziennego życia płynęły w rozmaitych kierunkach różne prądy, znacznie bardziej niebezpieczne niż na przykład w Waszyngtonie. Łatwo było się pogubić i wpaść w sieć uplecioną przez kogoś innego. Taka możliwość wydała mu się o tyle prawdopodobna, że Borys postanowił przekazać mu monetę, którą nazwał kołem ratunkowym, właśnie przy okazji swojego wesela.

Bourne obrzucił Irinę wzrokiem. Miała na sobie dopasowany w talii płaszcz w kolorze soczystej czerwieni i lśniące czarne kozaki na wysokim obcasie. Długie ciemne włosy okalały jej twarz, wręcz stworzoną do tego, by ją całować. Na przedramieniu czuł nacisk jej piersi, gdy prowadziła go przez czerwony moskiewski mrok, rozpraszany błyskami świateł i czujnymi spojrzeniami członków agencji rządowych.

Dwie przecznice dalej czekał na nich czarny range rover 5.0L SUV. Potężny ośmiocylindrowy silnik nawet na jałowym biegu dyszał niczym lew po udanym polowaniu. Kiedy podeszli bliżej, umundurowany szofer otworzył przed nimi tylne drzwi. Krój munduru nie był Bourne'owi znany; na pewno nie należał do żadnej z oficjalnych rządowych agencji. Zapewne pracował w prywatnej firmie albo dla jakiegoś

bajecznie bogatego oligarchy.

Auto sunęło przez zatłoczone ulice, kierując się coraz dalej od serca miasta. Kierowca zjechał na północ, na – co w Moskwie należało do rzadkości – nienagannie utrzymaną szosę, ze szpalerem drzew. W dalekim planie było widać gęsty sosnowy las; droga wgryzała się weń niczym w tunel pod górą. Światła SUV-a przeszły aksamitną ciemność, wyławiając z niej skupiska igieł i gałęzi. Nawet niebo było zupełnie zasłonięte.

Las wypluł ich równie nagle, jak wcześniej ich pochłoniął. Z mroku wyłonił się połyskliwy zielony mur o wysokości przynajmniej sześciu metrów. Samochód zwolnił i wjechał przez bramę, która zamknęła się za nimi. Znaleźli się w innym, całkowicie odizolowanym świecie wystawnych willi. Rezydencje różniły się stylem – od wiktoriańskich i georgiańskich po japońskie i nawiązujące do art déco. Jedna przypominała nawet bawarski zamek.

Minęli te pałace próżności, skręcając na długi podjazd wysypany odłamkami marmuru, które skrzyły się w świetle reflektorów. Przejechali między parą kamiennych sfinksów w idealnie przystrzyżonym ogrodzie. Ich enigmatyczne uśmiechy dokładnie naśladowały egipski oryginał.

Sama willa, mocno oświetlona, została zbudowana w stylu art nouveau: kamienna fasada pełna dekoracji, rzeźbione kobiece twarze nad oknami w kształcie oczu, półkoliste balkony o balustradach z patynowanej miedzi, powykrzywianych i nadtopionych jak z obrazu Salvadora Dali albo narkotycznych wizji.

– Dwa tysiące dziewięćset metrów kwadratowych, kryty basen i lodowisko, dwa kina, sala balowa – wyliczyła Irina, jakby recytując tabliczkę mnożenia. – Co tam jeszcze? Chwilowo nie mogę sobie przypomnieć.

SUV wtoczył się na podjazd i zatrzymał przy frontowych drzwiach, a ona obróciła ku niemu uśmiechniętą twarz.

– To mój dom.

Teraz, podążając za tłumem do sali balowej, gdzie miała się odbyć ceremonia zaślubin, Bourne przypomniał sobie artykuł z gazety „Financial Times”, który czytał w samolocie. Pisano w nim nie tylko o tym, że w Moskwie mieszka więcej miliarderów niż w jakimkolwiek innym mieście, ale też o tym, że jedna trzecia gospodarki Federacji Rosyjskiej znajduje się w rękach i pod kontrolą zaledwie trzydziestu sześciu ludzi, z których każdy stoi w cieniu prezydenta. To właśnie z powodu tej koncentracji majątku relacje z członkami moskiewskiej nomenklatury bywały tak bardzo zdradliwe: ich wrogowie natychmiast stawali się twoimi.

Korowód gości wszedł między podwójny szpaler wartowników, posępnych i uzbrojonych. Taksowali wzrokiem każdego gościa, z wyjątkiem tych, których jedno słowo wystarczyłoby, by posłać ich wszystkich do piachu.

Mimo ogromnych rozmiarów, sala balowa była wypełniona po brzegi. Rozproszone światło z kryształowych żyrandoli rozniecało kolorowe iskry na ciężkiej biżuterii kobiet i na nasmarowanych brylantyną włosach ich mężów, kochanków i towarzyszy.

Kiedy ostatni goście zajęli miejsca, do sali wsunęło się dziesięciu strażników, ustawiając się pod ścianami. Pozostała szóstka nie ruszyła się ze swoich stanowisk w szerokim, wyłożonym boazerią korytarzu. Bourne nie musiał ich liczyć; umysł sam podsunął mu tę i szereg innych informacji, sortowanych z prędkością światła i gotowych do wykorzystania, gdyby tylko zaszła taka potrzeba.

Ten sam proces przeprowadził w rezydencji Iriny, analizując wszystko, od marmurowej kopii *Dawida* Michała Anioła, którego członek tryskał odfiltrowaną wodą do ustawionej o metr dalej alabastrowej misy, po leżący w gabinecie dywan z Isfahanu i tytuły książek na regałach z tekowego drewna.

Wskazała mu miejsce na jednej z dwóch kanap z ręcznie zszywanej włoskiej skóry. W międzyczasie

kamerdyner przyniósł srebrną tacę z kawiozem i różnymi napojami, od herbaty po wódkę. Wszystko wokół pachniało pieniędzmi, górami pieniędzy. Bourne z rozbawieniem zestawiał ten widok ze Sknerusem McKwaczem nurkującym w srebrnych dolarówkach.

Kiedy zostali sami, postanowił zagaic:

– Mieszka tu pani sama?

Uśmiech na jej twarzy był zarazem przebiegły i pożądlivy.

– Kapitan Wanow mówi, że nie wiecie, z jakiego powodu przysłano wam tę monetę – rzuciła, puszczając jego pytanie mimo uszu.

– To prawda.

Zauważył, że nie chciała rozmawiać o sobie i zachował tę informację do późniejszej analizy.

– Mogłabym ją zobaczyć? – zapytała i wyciągnęła wypiełgnowaną dłoń, przyglądając się mu z niezdrową fascynacją, niczym kolekcjonerka rzadkich motyli.

– To nie jest najlepszy pomysł.

Natychmiast się nadaśała, kokieterią próbując zamaskować zainteresowanie.

– Chciałam tylko popatrzeć. Komu to zaszkodzi?

– Opowiedzcie mi coś o tym domu – rzucił Bourne, lekko się uśmiechając.

Przez chwilę zerkąa na niego spod rzęs, po czym wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzycie. Uszanuję waszą potrzebę prywatności. – Na czubku palca podsunęła mu porcję kawioru na małym blinie. – Opowiem wam, kiedy będziecie jedli. – Jej uśmiech znów stał się uwodzicielski. – Nikt nie będzie mógł mi zarzucić, że poszliście spać głodni.

– Szpetnie mieć szefa FSB za przyjaciela – zagaiła Irina.

– Słucham?

– Mówię, że zaszczytnie jest przyjaźnić się z generałem Karpowem.

– Powiedzieliście „szpetnie”.

Roześmiała się.

– Lapsus. Nie to miałam na myśli.

– Znamy się z generałem od dawna – rzucił Bourne. – Przynajmniej on tak twierdzi.

– Wierzycie mu?

– Owszem.

– Na jakiej podstawie? Ludzie w służbie rządu to zawodowi kłamcy.

– Też jestem częścią tego środowiska – skwitował. – Znam je na wylot.

Irina potrząsnęła głową.

– Dziwię się po prostu, że generał jest w tak bliskich stosunkach z Amerykaninem.

– Pokojowe współistnienie na poziomie osobistym. Obu nam to dobrze zrobiło.

– Nie spytaliście go o monetę.

„Ciekawe dlaczego aż tak bardzo cię to interesuje” – pomyślał Bourne, głośno zaś powiedział:

– Będzie na to czas po uroczystości.

Gwar rozmów przycichł. Miejsce kwartetu smyczkowego zajęła orkiestra. Zagrała coś, co brzmiało jak marsz wojskowy. Osobliwy dobór weselnego repertuaru, chociaż może nie akurat w Moskwie.

– Ale przyznacie, że Borys Karpow budzi strach? – odezwała się Irina półgłosem. – On i inni jego pokroju?

– On jest wyjątkowy – odparł Bourne.

– Nie jesteście z Rosji. Wy tego nie zrozumiecie.

– I tu się mylicie.

Spojrzała na niego ostrożnie, jakby dokonując powtórnej analizy.

– Mało to prawdopodobne, ale... macie z generałem podobne poglądy polityczne?

– Rozmawiamy o etyce, nie o polityce.

– Cieszę mnie to – powiedziała łagodnie, ale jej oczy pozostały czujne.

– Pomyślcie – rzucił Bourne. – Gdyby generał nie był moim przyjacielem, to czy siedzielibyście tu ze mną w otoczeniu moskiewskiej elity?

– Rozzłościłam was.

– Nigdy się nie złoścę.

Irina westchnęła głęboko.

– Chyba po prostu trudno mi myśleć o was jako o kimś, kto przyjaźniłby się z tym człowiekiem, a w zasadzie z kimkolwiek z FSB.

Na moment obrócił ku niej twarz.

– W moim zawodzie spotyka się najdziwniejszych ludzi. A pomoc często przychodzi z nieoczekiwanej strony.

Zawahała się na moment.

– I tak było z wami i generałem?

– Wiele razy – potwierdził Bourne.

Wciąż wydawała się zafrasowana.

– Cóż, to mi daje do myślenia.

– Mnie zastanawia inna rzecz – odezwał się. – Jesteście tu z polecenia Borysa, ale nie macie o nim zbyt wysokiego mniemania.

Roześmiała się.

– Generał Karpow jest z FSB. O nikim z tych służb nie mam wysokiego mniemania, co nie znaczy, że nie potrafię z nimi współpracować. Czy jest jakiś sposób, żeby tego nie robić i przeżyć?

Zanim Bourne zdążył zareagować, orkiestra zadeła w rogi, sygnalizując początek uroczystości.

Trzymając Irinę w ramionach, Bourne zastanawiał się, jakie wrażenie wywarła na kremlowskich siłownikach prawosławna msza. W zasadzie nie był pewien, co myślał na ten temat Borys, bo jego przyjaciel nigdy wcześniej nie wyrażał zainteresowania żadną religią. Pomysł, by uczynić z ceremonii uroczystość kościelną, musiał zatem wyjść od panny młodej, której Bourne nie zdążył jeszcze poznać.

Orkiestra grała walca. Bourne i Irina wirowali pośród innych par pod skrzącymi się żyrandolami wielkimi jak meteoryty. Ceremonia dobiegła końca, ale nowożeńcy jeszcze nie pojawili się na sali. Zapewne robili sobie zdjęcia ślubne w innej części hotelowego kompleksu.

– Byłem tu kiedyś z Borysem – odezwał się Bourne. W tańcu minęli pułkownika FSB. Zauważył lubieżne spojrzenie, jakim tamten obrzucił Irinę. Miał chmurną urodę żołnierza i gesty arystokraty, które na pewno rzucały się w oczy w mieście pełnym hałaśliwych, nieokrzęsanych zwierząt, a tym bardziej pośród sztywniaków z FSB. – Tropiliśmy wtedy przemytnika broni.

– I jak? Złapaliście go?

– Tak, ale konfrontacja była mało elegancka. Obsługa potrzebowała paru dni, żeby uporać się ze sprzątnieniem.

– Niegrzeczne chłopaki.

Nie był pewien, co miała na myśli. Rozejrzał się po sali.

– Ten hotel był kiedyś pałacem cara, jednym z wielu – powiedział. – Ciekaw jestem, jak czuli się mieszkańcy. Choćby się miało tłum służących i potakiwaczy, takie życie zawsze jest samotne.

Przez twarz Iriny przebiegł cień. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, lecz pozostawiło trwałe ślad, jakby rysę na idealnej fasadzie.

– Zmęczyłam się. Pozwolicie, że usiądę?

Przecisnęli się przez rozkołysany tłum, kierując się ku oszklonym drzwiom prowadzącym na taras. Bourne zgarnął po drodze dwa smukłe kieliszki z szampanem. Irina wypila już cztery, więc uznał, że nie zaszkodzi zatroszczyć się o następne. Alkohol w czarodziejski sposób rozwiązywał ludziom języki.

Otoczył ich zapach jaśminu i pomarańczy. Minęli dwóch strażników, którzy obrzucili ich przelotnym spojrzeniem, po czym wrócili do patrolowania rześnycie oświetlonych terenów wokół hotelu. Gdzieś niedaleko zaszczekał pies.

– Ochrona jest tu bez zarzutu – rzuciła Irina tak cicho, że Bourne po raz kolejny odniósł wrażenie, że mówi do siebie.

Zapatrzył się na ogród, ale wszystkie pozostałe zmysły skupił na niej, starając się dociec prawdziwej natury ukrytej pod tą cudownie kuszącą fasadą.

– Samotność to element mojej codzienności – powiedział. – To mój świat, ale nie wiem nawet, czy

sam go wybrałem, czy to on wybrał mnie. Zazwyczaj się nie zastanawiam nad tą kwestią, ale bywają chwile... – Rzucił jej szybkie spojrzenie – ...kiedy do niej wracam.

Irina sączyła szampana z zamyśloną miną.

– To miał być komplement czy... – Wzruszyła kształnymi ramionami. – W sumie nieważne.

Znowu dało się słyszeć psa, tym razem bliżej. Najpierw zauważyli jego cień, wielki i rozciągnięty, a potem z mroku wyłoniło się zwierzę trzymane przez strażnika na grubym łańcuchu. Ogar był potężny; ze zjeżoną sierścią buszował w zaroślach, szukając intruza. Wydawał się zupełnie skoncentrowany na obcym zapachu, dopóki się nie zatrzymał i bezceremonialnie nie nasikał na krzaki.

Irina zaśmiała się cicho.

– Szkoda zwierzaka, tak go trzymają na uwięzi.

Bourne nie odezwał się, czekał. Jego cierpliwość została nagrodzona, chociaż inaczej, niż się spodziewał.

– Powiedźcie mi... – rzuciła nagle Irina. – Byliście kiedyś zakochani?

Nie dał po sobie poznać, że jest zdziwiony.

– Czemu o to pytacie?

– Przez wczorajszą noc. Powtarzaliście w kółko jej imię.

– Nie wydaje mi się, bym wczoraj o kimkolwiek wspominał.

– Mylicie się. Mówiliście przez sen. Chyba śnił wam się koszmar.

– Ja nie mieszam koszmarów.

Uśmiechnęła się do niego.

– Ja mieszam. Każdy czasem je ma.

– Tak czy owak, na pewno nie powtarzałem żadnego imienia.

– Sama słyszałam.

– Nie wierzę.

– Sara. Wołaliście Sarę.

Bourne nie był zachwycony obrotem tej rozmowy. Czyżby rzeczywiście imię Sary wyrwało mu się przez sen?

– Nie znam żadnej Sary.

– Znasz. I kochasz ją.

Pociągnęła za napiętą strunę.

– Do czego zmierzasz, Irino?

Jej odpowiedź ponownie go zaskoczyła:

– Byłam w twoim pokoju zeszłej nocy. Słyszałam, jak ją wołasz. Powtarzałeś jej imię z taką czułością... Przyznaję, że poczułam zazdrość. Zawsze chciałam usłyszeć w głosie mężczyzny tyle miłości.

Cóż za dziwna kobieta... Miał wrażenie, jakby jej ustami ciągle przemawiał ktoś nowy.

– To chyba tobie coś się przyśniło.

Zignorowała tę uwagę.

– Siedziałam tam kilka godzin i patrzyłam, jak śpisz.

– Zorientowałbym się, gdyby tak było.

Pociągnęła mały łyk szampana.

– Byłam kiedyś zaręczona. Zadurzyłam się w nim po uszy, taka byłam młoda. I na tyle głupia, by wybrać kogoś dokładnie takiego jak ty. Pracował w twoim świecie, wiecznie na obrzeżach, wiecznie w cieniu. Był w tym bardzo, ale to bardzo dobry. Wielu się go bało. Ale praca pochłaniała go bez reszty. Wychodził z cienia tylko czasami. Szybko zdałam sobie sprawę, że w jego życiu nie ma dla mnie miejsca.

Zresztą, pewnie sam doskonale wiesz, co mam na myśli. – Oblizwała wargi. – Jak mówiłam, byłam młoda i naiwna. I zbyt zakochana, żeby zakończyć ten związek. Pewnego dnia wyjechał na dobre, Bóg jeden wie gdzie. Nie wrócił. Ślad po nim nie został. Jakby zniknął z powierzchni Ziemi. Rozpłynął się w kłębach dymu jak czarodziej.

– Czarodzieje nie istnieją – skwitował Bourne. – Na tym świecie są tylko iluzjoniści.

Uśmiechnęła się cierpko, odwracając twarz, po czym odetchnęła głęboko.

– Tyle rzeczy może człowieka zabić, tyle jest różnych sposobów na śmierć.

Po raz kolejny nie był pewien, czy mówi do niego, czy do siebie.

– Myślisz czasami o śmierci, Bourne?

– Codziennie – przyznał. – Ale ja raz już umarłem. To moje drugie życie.

– Jak szła ta piosenka? *You only live twice*⁶?

– Nancy Sinatra – uśmiechnął się. – Coś z zupełnie innych czasów, z innego życia.

Dopiła resztkę szampana i wyciągnęła dłoń po jego nietknięty kieliszek.

– Też chciałabym żyć dwa razy – powiedziała.

Zaniepokoiła go gorzka nuta w jej głosie.

– Ktoś ci groził?

– Jesteśmy w Rosji, Bourne.

Wychyliła jego kieliszek duszkiem, odstawiła na balustradę obok poprzedniego i zapatrzyła się w puste szkło.

– Ta posiadłość – odezwała się po dłuższej chwili. – Ten pałac, taki wielki i niedostępny. Jak zamek jakiego rycerza, tylko fosy brakuje.

Bawiła się kieliszkami, brzękając brzegiem jednego o drugi.

– Znam smak tej odmiany samotności. – Przez chwilę patrzyła Bourne'owi prosto w oczy. – Mieszkam sama. Oczywiście, trzy lata temu było inaczej. Miałam ojca i brata.

– Gdzie są teraz? – spytał.

– Nie żyją. – Patrzyła, jak zareaguje na tę informację. – Zamordowano ich.

– Kto to zrobił?

Wzruszyła ramionami.

– Było wiele teorii, policja przeprowadziła pokazowe śledztwo, ale nikogo nie aresztowano. – Znów wzruszyła ramionami. – Nie spodziewałam się niczego więcej. W końcu to Rosja.

– Ale przecież pochodzisz z bogatej rodziny...

– W tym cały problem, prawda? Wpływ na politykę mają tylko siłownicy, ludzie z bezpieki. Oligarcha dysponuje wyłącznie pieniędzmi, a w dzisiejszych czasach, pełnych konserwatyzmu i izolacjonizmu, pieniądze po prostu nie wystarczą. – Przytrzymała się balustrady, jakby szukając oparcia. – Niemniej w przypadku mojego ojca chodziło o coś jeszcze. Każdy oligarcha rzuca cień. A niektóre cienie, choć przyznaję, że nieliczne, są prawie tak długie, jak cień Samowładcy. – Wydęła wargi. – Michaił Chodorkowski miał szczęście. On za sprzeciwianie się Samowładcy dostał tylko dziesięć lat.

– Więc twój ojciec był dysydem jak Chodorkowski?

Przytaknęła, więc pytał dalej:

– Jak zginęli on i twój brat?

– Ktoś włamał się do naszego domu. W nocy. Wyłączyli alarmy.

– Zawodowcy.

Znów pokiwała głową.

– Zadźgali ich w ich własnych łóżkach.

– A z domu zapewne nic nie zginęło.

– Właśnie.

W Ameryce przynajmniej zrobiliby bałagan, żeby wyglądało na włamanie. Tu nie było potrzeby stosować takich sztuczek.

– A co z tobą?

– Na szczęście wyjechałam wtedy w interesach. – Jej pociemniałe nagłe oczy zdawały się patrzeć w pustkę. Albo w przeszłość. – To było trzy lata temu. Wróciłam cztery dni po włamaniu. Moja rodzina leżała w kostnicy, czekali, aż zidentyfikuję ciała. – Przygryzła wargę. – Pochowałam ich sama.

– A co z twoją matką?

– Ach, moja matka. – Irina uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Odwiedzam ją raz na tydzień, czasami dwa. Sanatorium leży w pięknym miejscu, ale niełatwo się tam dostać.

– Twoja matka... – odezwał się Bourne po dłuższej chwili. – Włamywacze zrobili jej krzywdę?

– Nie, nie. – Obróciła się na pięcie. – Jest w zakładzie zamkniętym, odkąd przyszliśmy... odkąd przyszłam na świat. Zdiagnozowano u niej schizofrenię paranoidalną.

– W dzisiejszych czasach są już leki...

– Lekarze próbowali wszystkiego. – Oplotła palcami szczebelki balustrady, jakby to były więzienne kraty. – Nic się nie zmieniło. To już tyle lat. Tyle długich lat... Dla niej wszystko jest takie samo, ale mnie jest coraz trudniej. Czasami jest w lepszym stanie, a kiedy indziej nie poznaje mnie wcale albo bierze za szatana.

– Szatana? Naprawdę?

Irina kiwnęła głową.

– Ma halucynacje. Zapewniam cię, że jej to wszystko wydaje się bardzo realne. – Zaśmiała się, ale jej głos się załamał. – Kiedy mnie nie poznaje, rozmawiam z nią jak osoba... czy byt, za który mnie bierze. Lekarze mówią, żeby tego nie robić, ale ich nie słucham. W taki sposób przynajmniej mogę z nią porozmawiać. To chyba lepsze niż przez godzinę słuchać, jak dyskutuje z niewidzialnym demonem, prawda?

Nie był pewien, czy liczy na jego poparcie, czy tylko zadaje pytanie retoryczne. Tak czy owak, nie odezwał się, chcąc dać jej chwilę dla siebie. Sztuczka była prosta, ale skuteczna. Im dłużej słuchał tego monologu, tym więcej się o niej dowiadywał. Kiedy jednak cisza zaczęła się przedłużać, uznał, że potrzebny jej dodatkowy bodziec.

– Jak myślisz, czemu bierze cię akurat za szatana?

– To dość jasne – odparła. – Matka jest przekonana, że jej choroba to nic innego jak opętanie. Że pokutuje w ten sposób za swoje przewiny.

– Jakie przewiny?

– Nie mam pojęcia. Równie dobrze mogą być prawdziwe, jak i urojone – rzuciła i rozplotła palce.

Jej dłonie pozostawiły na balustradzie wilgotne ślady.

Bourne już wiedział, że kłamała, dając mu do zrozumienia, że jej ojciec był dysydem. W jej oczach widział odbicie prawdy. Doskonale wiedziała, na czym polegały przewiny jej matki. Zaczynał podejrzewać, że należała do nich wiedza, w co byli zamieszani jej syn i mąż.

Wieniaminowi Biełowowi dawny pałac – obecnie hotel – wydawał się niczym innym jak więzieniem. Oddech przestał mu się rwać dopiero wtedy, kiedy wyjechał samochodem za bramę posiadłości. Nie to, że ostatnimi czasy gdziekolwiek w Moskwie oddychał spokojnie. Najchętniej w ogóle wyjechałby z kraju i zaczął nowe życie gdzieś, gdzie Żydzi nie byli prześladowani i obrzucani błotem. Zastanawiał się tylko, czy są jeszcze takie miejsca. W Jerozolimie i Tel Awiwie ostatnio zrobiło się jeszcze bardziej niebezpiecznie. Izrael był solą w oku Hamasu, Hezbollahu, ISIS... I trudno się dziwić, skoro izraelska prawica nieustannie przesuwa granice państwa coraz głębiej w Strefę Gazy. Myśl o linii politycznej Izraela napawała go głębokim smutkiem. Nie pałał miłością do Palestyńczyków *per se*, ale czy nie zasługiwali na własny kawałek kraju? Wymogi sytuacji uświadomiły Biełowowi, że wszystkie stojące przed nim możliwości wiążą się z ryzykiem. Wahał się długo, lecz w końcu dokonał wyboru. Ale czy to była właściwa decyzja? Czas miał pokazać.

Zostawiwszy hotel kilka kilometrów za sobą, Biełow zerknął na aplikację mobilną, która pokazywała lokalizację wszystkich kamer monitorujących ruch uliczny w Moskwie. Informacje podawano w czasie rzeczywistym, bo nowe kamery mogły się pojawić w każdej chwili, zainstalowane przez policję i FSB. Sprawdził, co chciał, po czym zjechał w boczną uliczkę i wymienił tablice rejestracyjne auta, używając jednego z wielu zestawów, które trzymał w specjalnej skrytce w bagażniku.

W wypalonym squacie na Czełobityjewie, mużulmańskich slumsach niedaleko Pierścienia Sadowego, Biełow pozbył się dowodów tożsamości, która zapewniła mu dostęp do hotelu. W melinie śmierdziało brudem, odchodami i rozpaczą. Ignorując otaczające go życie – śpiących starców i kopulujących młodzieńców – ułożył w stosik swój paszport, prawo jazdy i legitymację z resortów siłowych. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pudełeczko z cienkich płytek granitu. Było chłodne, chociaż nosił je blisko ciała. W środku znajdował się krążek rozmiarów pastylki na gardło; Biełow położył go na dokumentach, po czym upuścił na nie zapaloną zapałkę. Gdy ogień sięgnął fosforu, kupka papierów rozjarzyła się białozielonym płomieniem.

Czterdzieści minut później, już przybrany w nową tożsamość, czekał na prawym brzegu rzeki Moskwy, w cieniu mostu Wielkiego Kamiennego, w strefie bez monitoringu, przynajmniej nie w obecnej chwili. Most łączący Kreml z dzielnicą Zamoskworieczie leżącą po południowej stronie był pierwszym w szeregu przepraw przez Moskwę; jego najstarsza inkarnacja powstała w piętnastym wieku i miała postać ciągu barek. Zbudowany w jego miejscu kamienny most został w latach trzydziestych zastąpiony konstrukcją ze stali.

W plamie głębokiego cienia Biełow dostrzegł czerwony punkcik. Papieros. Ruszył w jego kierunku, schodząc po skarpie ku rzece. Wysoko na niebie wisiał księżyc w pełni; noc była pogodna. Zimne srebrzyste światło opadało na jego ramiona niczym płaszcz. Biełow nie wierzył w elfy ani wilkołaki. Wierzył natomiast, że po tej ziemi stąpają demony. Za dowód wystarczyły mu dramaty, jakie za sprawą Rosji działy się teraz na jego własnym podwórku, na Ukrainie.

Dzisiejsze spotkanie miało związek z pytaniem, na ile Swietłana zna generała Karpowa i czy istnieje szansa, że świadomie lub nieświadomie pozwoli jej sobą pokierować, by pokrzyżować plany Samowładcy i zapobiec pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Jego kontakt miał ponoć informacje, które mogły pomóc Swietłanie ochronić ich ukochany kraj przed zgubnym wpływem rosyjskiego prezydenta.

Takich danych nie wypadało przekazywać na odległość. Dla ludzi pokroju Biełowa elektroniczne kanały komunikacyjne, choćby i najlepiej chronione, mogły się wiązać ze śmiertelnym ryzykiem. W dobie efektywnego nadzoru sieci staroświeckie metody przekazywania informacji między agentami okazywały się najbezpieczniejsze.

Kontakt rzucił na ziemię niedopałek papierosa i zdeptał go obcasem.

– Jasza – odezwał się Biełow, podchodząc bliżej. – Co ja ci mówiłem? Nie zostawiaj po sobie śladów.

– To jakaś podła miejscowa marka. Leży tu takich na pęczki – odciął się tamten i z teatralnym westchnieniem zgarnął niedopałek i wsadził go sobie do kieszeni. Był niski i blady; wielkie oczy i cofnięta broda nadawały mu wygląd nieszkodliwego gryzpiórka. Doskonale umiał ten efekt wykorzystać.

– Mamy tylko sześć dni – powiedział, a Biełow z sykiem wciągnął powietrze.

– Mało. Byłem pewien, że czasu jest więcej.

– Jest jak jest. Sankcje ekonomiczne nałożone na Rosję przez Europę Zachodnią wywierają na Samowładcy solidną presję. Kurs rubla leci, na giełdzie krach. Żywności i tak jest już mało, a będzie jeszcze mniej. Na ulicach Moskwy codziennie demonstruje jakaś grupa. Co gorsza, oligarchowie też robią się niespokojni, bo ich fortuny topnieją z dnia na dzień. Samowładca musi się ruszyć, zanim jego koalicja miliarderów i siłowników się posypie. – W głosie Jaszy, zamiast triumfu, było słycać niezadowolenie. Zachowywał się czasem jak operowa diwa, ale był świetnym agentem, śliskim jak węgorz. – Wydaje się, że nasz plan jest w najlepszym razie nierealistyczny, w najgorszym niewykonalny.

– Dlatego właśnie mamy kogoś wewnątrz.

Jasza dał wyraz swemu obrzydzeniu.

– Jak możesz jej ufać? Przecież to Rosjanka.

– W połowie Ukrainka, a to robi wielką różnicę. Zresztą, ja też jestem Rosjaninem, Jasza.

– Niestety, masz rację – stwierdził tamten, uśmiechając się krzywo.

Biełow chciał coś powiedzieć, ale kula z makarowa Jaszy przeszła wprost przez otwarte usta. Zatoczył się, złapał za twarz, z której trysnęła krew. Nim zdążył upaść, Jasza obrócił się na pięcie, reagując na ruch na granicy pola widzenia.

Zamrugał z niedowierzaniem, gdy w świetle reflektorów przepływającej pod mostem barki dostrzegł znajomą sylwetkę.

– Rebeka! Co ty tu robisz?

Silnym kopniakiem wytrąciła z jego ręki pistolet, posyłając go prosto do rzeki.

– Proszę cię! Właśnie pozbyłem się kreta!

– Nie rozwiązałeś problemu, Jasza – odezwała się – bo problemem jesteś ty. To nie Biełow był kretem, tylko ty. Sprzedałeś go FSB, jego i innych takich jak my. Mogliśmy pomóc Ukraińcom na dobre zrobić zwrot na Zachód. Ale teraz...

W powietrzu rozległ się posępny ryk syreny okrętowej, odprowadzając Jaszę w nicość, gdy wystrzelona z zaopatrzonego w tłumik glocka trafiła go prosto w czoło.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Biełow walczył o ostatni oddech, gościom weselnym zaczęto podawać przystawki. Borys Karpow podniósł się i przeprosił grono tłoczące się wokół ich stolika w sali balowej. Swietłana delikatnie ujęła go za przedramię.

– Dokąd się wybierasz?

– A co? Teraz, po ślubie, muszę się tłumaczyć nawet kiedy idę siku? – odparował pół żartem, pół serio.

Z poważną miną popatrzyła mu w oczy.

– Nie wierzę ci.

Twarz Borysa stężała.

– Zaczynamy procedurę rozwodową jeszcze przed nocą poślubną?

Roześmiała się, nagle rozpogodzona.

– Do wielu rzeczy będziemy się musieli teraz przyzwyczaić, kochany, między innymi do dzielenia ze sobą przestrzeni. Wiem, że byłeś zatwardziałym kawalerem.

Pogłaskał ją po policzku.

– A potem poznałem ciebie.

– I prawdziwym uwodzicielem.

– Mężczyzna musi się wyszaleć.

– Byle nie za długo. – Pochyliła się ku niemu i mocno pocałowała go w usta. – Pospiesz się, kochany. Czeka ją tańce i toasty.

Tak naprawdę to nie pęcherz wygonił Borysa z sali, chodziło raczej o umówioną rozmowę z Bourne'em. Wiedział, dlaczego pojawił się w Moskwie, i że jego wesele nie było najważniejszym powodem. Tropił Iwana Borza, arcyterrorystę i handlarza bronią, który mógł być z pochodzenia Czeczenem, a mógł tylko udawać. Nawet FSB nie miała pewności. W archiwach leżało mnóstwo fotografii zidentyfikowanych jako Iwan Borz, z których każda przedstawiała innego człowieka. Tylko w zeszłym roku Bourne dwa razy był przekonany, że zabił Borza, po czym okazywało się, że nic z tego. To on pociągał za sznurki El Ghadana, terrorysty, który próbował zmusić Bourne'a do zabójstwa amerykańskiego prezydenta. Borys nie miał pojęcia, jak zdołał wyplątać się z tej pajęczej sieci i chciał wziąć go na spytaki dziś wieczór. Zanim jednak przyjdzie czas na wspominki, trzeba przekazać Bourne'owi kluczową informację, ponieważ miała związek z Iwanem Borzem.

To właśnie w tej sprawie Borys kontaktował się dziś ze swoją ekipą w Kairze. Goga, najważniejszy ze stacjonujących tam agentów, twierdził, że trafił na jego ślad w stolicy Egiptu. Jego kontakt zarzekał się, że tym razem chodzi o właściwą osobę. Okazało się, że Iwan ma nietypowe preferencje seksualne – tą informacją Borys podzielił się z Bourne'em już kilka dni temu przez telefon. Jeśli plotka okazałaby się prawdziwa, Borys był skłonny tę słabość wykorzystać. Miesiąc miodowy będzie musiał poczekać, dopóki nie wróci z Kairu z głową Borza na tacy, jeśli będzie miał szczęście. Chciał zabrać Bourne'a za sobą i załatwić już wszystkie formalności. Będzie jak za starych dobrych czasów. Borys ostatnio tęsknił za przeszłością.

Stanowisko szefa niedawno połączonych FSB i FSB-2 wysysało z niego wszystkie siły. Musiał przeglądać pozyskiwane codziennie informacje, wymyślać plany infiltracji oraz użerać się z hierarchią na

Kremlu, gdzie od niedawna panował rozłam pomiędzy konserwatystami i liberałami. Przedstawiciele obu frakcji nieustannie spierali się ze sobą, wbijali sobie nawzajem nóż w plecy i urządzali motywowane ideologicznie czystki.

Borysa trudno było porównywać do anioła. Zbyt wiele przelał krwi. Dobrze, że mógł liczyć na swojego zastępcę, pułkownika Władimira Korsołowa. Pochodził on z rodziny wysoko postawionych siłowników, zarówno ze strony ojca, jak i matki. Wiedział o wszystkich tajnych przejściach i sporej liczbie szkieletów schowanych w szafach Kremla. Wyraźnie ułatwiał Borysowi robotę.

Zajęty myślami Karpow szedł przez szeroki korytarz. Po chwili dołączyła do niego para strażników, którzy towarzyszyli mu w drodze do łazienki. Odprawił ich gestem, wszedł do środka i odczekał trzy minuty, po czym ruszył w kierunku loggii, w której miał się spotkać z Jasonem Bourne'em. Nie życzył sobie, by ktokolwiek z FSB był świadkiem jego rozmowy z Amerykaninem; kamer też wolał unikać. Dlatego wybrał akurat tę loggię na miejsce spotkania.

Przeszedł przez wahadłowe drzwi i znalazł się pod wschodnią stroną loggii, której strop podtrzymywało dwanaście rzeźbionych kariatyd. Odziane w chitony posągi przyglądały mu się z zimną gracją. W rogach rosły cztery drzewka wiśniowe, pomiędzy nimi zaś róże i cynie. Centralne miejsce zajmowała marmurowa fontanna z rzeźbą młodej dziewczyny trzymającej urnę. Jej szemranie kojarzyło się Borysowi z odgłosami dziecięcej zabawy. Przypomniały mu się obrazy z jego własnej młodości, zanim w głowie choćby powstała mu myśl o pracy w resortach siłowych. Jakież proste było wtedy życie! Jego rodzice mieli na wsi dom z zaniedbanym sadem wiśniowym. Pewnej czerwcowej nocy, kiedy miał dziesięć lat, ojciec go obudził, łaskocząc go wąsami, co zawsze bawiło małego Borysa do łez.

– Czeka nas przygoda! – powiedział, podając mu ubranie.

Przez całe lato pracowali we dwóch w sadzie, pieląc chwasty, podlewając i przycinając drzewa, a nieco później rozwieszając siatki nad owocami, żeby nie podziobały ich ptaki. Borys tyrał od rana do nocy przez cały czerwiec, lipiec i sierpień. Rzadko kiedy się do siebie odzywali, ale uśmiech dumy i pocałunek w czubek głowy, którym ojciec żegnał go na dobranoc, w zupełności Borysowi wystarczył. To były najszczęśliwsze wakacje w jego życiu, patrząc z perspektywy czasu, jedyne, bo jego ojciec zmarł nagle następnej zimy, w idy lutowe, najbardziej mroźny dzień w roku, kiedy wszystko w zasięgu wzroku było pokryte grubą warstwą śniegu. Borys był stoikiem nawet jako dziecko, więc kiedy trumna z ciałem ojca spoczęła w grobie, przyglądał się ceremonii suchymi oczami. Jednak kilka dni później obudził się w środku nocy, ubrał i wyszedł do sadu.

Drzewa były gołe, białe jak kości odarte z mięsa i ścięgien. Martwe. Za nim było widać smugę czarnych śladów. Idąc przez sad, Borys zdjął buty i grube skarpety. Bose stopy zapadły się w śnieg, dotykając zmrożonej ziemi. I wtedy się rozpłakał. Szlochał bez opamiętania, aż zabrakło mu łez, odrętwiały i pusty jak pień starego drzewa.

Teraz, gdy wyszedł do ogrodu, światło księżycy zalało go jak fala wspomnień z dzieciństwa. Rzadko kiedy wracał myślami do ojca, którego ledwo pamiętał. Jak to się stało, że zepchnął go w otchłań zapomnienia, skoro wszystko, do czego doszedł i czym się stał, zawdzięczał jego surowym, ale sprawiedliwym naukom?

Nie dane mu było znaleźć odpowiedzi na to pytanie. W tej samej chwili wokół szyi Borysa zacisnęła się połyskliwa struna, cienka jak włókno nerwowe. Pojawiła się tak szybko, że nie zdążył unieść rąk w obronnym geście. Nie mógł już zaczerpnąć powietrza.

Szarpał się, próbując uwolnić z uścisku. Nie był już młody, ale nadal miał kondycję żołnierza i znacznie więcej sprytu. W swoim czasie zaglądał śmierci w oczy niejednym razem, a mimo to zawsze udawało mu się ją oszukać. Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie się zorientował, że tym razem będzie inaczej. Lecz kiedy ta chwila nadeszła, gdy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z przeciwnikiem

nieugiętym i nieprześląganym, poczuł, że jest gotowy. W pewnym sensie zawsze był. Od śmierci ojca Borys podążał drogą, która pozwoliła mu się oswoić z umieraniem. Teraz, u kresu, wreszcie zrozumiał, dlaczego tak się stało.

Wiedział, że prędzej czy później ten moment nadejdzie. Nie czuł zaskoczenia, smutku ani nawet niedosytu. Później jednak przypomniał sobie wszystkich, których zabił i kazał usunąć, i przestraszył się, że ich dusze czekają na niego w zaświatach, by osądzić go i potępić. Chwila paniki minęła, zastąpiona widokiem sadu, który pamiętał z dzieciństwa. Niczym we śnie poruszył się i podszedł do ojca. Stali we mgle. Powinna być zima, lecz zamiast chłodu owionęło go przyjemne ciepło. Zbliżał się do ojca coraz bardziej, aż stali się jednością.

Obojętny wzrok pułkownika Władimira Korsołowa przywodził na myśl lekarza albo grabarza. Wyglądał jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę z własnej odmienności i nie jest nią zachwycony. Być może obrywał za to w dzieciństwie. W każdym razie wydawał się patrzeć na wszystkich z pogardą, której nie wypadało mu zwrócić przeciw sobie.

Takiej oto oceny dokonał Bourne, kiedy Korsołow w towarzystwie trzech pomagierów z FSB zatrzymał go na korytarzu. Akurat szedł do loggii i był spóźniony. Towarzystwa Iriny pozbył się bez trudu, ale nim zdążył wyjść z sali balowej zagadała go Swietłana, a od rozmowy z panną młodą ciężko było się wykręcić. Teraz z zaskoczeniem zarejestrował, że dwóch agentów prowadzi Irinę między sobą jak więźnia.

– Stać! – zakomenderował Korsołow. – Stój, gdzie stoisz, Bourne. Nie ruszaj się.

Trzeci z agentów ustawił się dokładnie za plecami Bourne’a, tak blisko, że tamten słyszał jego oddech. Facet dyszał jak zwierzę.

Korsołow przedstawił się i zaczął taksować Bourne’a spojrzeniem. Jego twarz nie wyrażała żadnej emocji.

– Dlaczego tu jesteś?

Widząc, że z planów Borysa i tak nic nie wyjdzie, Bourne postanowił powiedzieć prawdę.

– Szedłem zobaczyć się z Borysem.

– Z generałem Karpowem, mam rozumieć?

– Tak jest. – Bourne wyciągnął szyję. – Dlaczego Irina Wasilijewna jest pod strażą?

– Ja tu zadaję pytania, Bourne. – Korsołow postąpił krok naprzód. To on był tym oficerem, który przyglądał się im, kiedy tańczyli. – W jakim celu miałeś się spotkać z generałem Karpowem?

– Nie mam pojęcia – odrzekł spokojnie Bourne, a w jego umyśle zaczęło kiełkować złe przeczucie, którego nijak nie potrafił zdusić. – Borys powiedział, że chce pogadać. Zaproponował, żebyśmy spotkali się w loggii, kiedy podadzą pierwsze danie.

Korsołow odczekał sekundę.

– I co?

– I nic. Właśnie tam szedłem, ale wzięliście mnie na rozmowę, wy i te wasze karki.

Korsołow zmarszczył czoło.

– Karki? Co to są karki?

– W amerykańskim slangu agenci FSB.

Korsołow nasrożył się jeszcze bardziej; nad jego ramieniem Bourne dostrzegł ironiczny uśmiech Iriny. Pułkownik przysunął się do Bourne’a jeszcze o krok i rzucił przyciszonym głosem:

– Słuchaj no, Bourne. Nie lubię Amerykanów, a już szczególnie takich, którym wydaje się, że mają w Moskwie specjalne przywileje. Nie myśl sobie, że zamierzam traktować cię z takim pobłażaniem, jakie okazywał ci generał Karpow.

Bourne od razu zauważył w tym zdaniu czas przeszły.

– Co chcesz powiedzieć? – Jeszcze mocniej ścisnęło go w żołądku. – Borysowi coś się stało?

Korsołow bez słowa obrócił się na pięcie i ruszył korytarzem w kierunku loggii. Bourne poszedł za nim, świadom obecności agenta za swoimi plecami. Dostrzegł, że Irina, prowadzona o krok za nimi, kręci

głową. Ze środka loggii dobiegał charakterystyczny terkot generatora prądu. Bourne przestał się łudzić. W tym kontekście agregat mógł oznaczać tylko jedno: miejsce przestępstwa.

Do loggii prowadziły podwójne drzwi. Po pomieszczeniu krzatali się ludzie, przenosząc reflektory służące do oświetlania hotelowych włości i podpinając je do szkaradnego agregatu, który rzeźił niczym smok.

Dostrzegłszy ciało, Bourne wyrwał się z ciasnego kordonu. Kątem oka dostrzegł, że pilnujący go kark rusza biegiem i zatrzymuje się, powstrzymany gestem Korsołowa. Pułkownik wolał zobaczyć reakcję Bourne'a, niż trzymać go na krótkiej smyczy.

Tak, Bourne widział już w życiu wiele trupów, część była nawet wynikiem jego bezpośrednich działań, jednak na widok obscenicznej krwawej pręgi na gardle Borysa ugięły się pod nim kolana.

– Jezu, Borys – wyszeptał. – Jak mogłeś pozwolić na coś takiego?

Karpow leżał na plecach z rękoma rozłożonymi szeroko, jakby w błagalnym geście. Bourne zauważył plamy świeżej ziemi na kolanach przyjaciela. O czym myślał, kiedy uchodziło z niego życie? Bourne nie chciał zgadywać, ale jego myśli pobiegły do wszystkich tych okazji, gdy razem z Borysem śmiali się i ryzykowali, upijali się dobrą albo podłą wódką, ukrywali siebie nawzajem, okłamywali, kiedy było trzeba, lecz przeważnie byli ze sobą szczerzy, polegali na sobie w kłopotach, ratowali się z niejednej kabały. Nieprzyjemną mieszankę wzburzenia i niepokoju zastąpiła w głowie Bourne'a fala smutku. Przyjaciół pokroju Borysa spotykało się w życiu rzadko, a w ich zawodzie praktycznie nigdy. Był wyjątkowym człowiekiem. Nie zasługiwał na taką śmierć.

Opanował chęć, by podnieść się i rozwalić agregat, żeby loggia na powrót pogrzyżyła się w łagodnym blasku księżyca, zasłaniając makabryczną scenę. To, że Borys nie żył, i tak było straszne, a ostre jarzeniowe światło odzierało jego ciało z wszelkiej godności i aury... nie, nie spokoju, bo ten wyraz nie figurował w słowniku jego przyjaciela, ale przynajmniej wytchnienia.

Wiedząc, że takie rozważania tylko zakłócają jego zmysł obserwacji, Bourne odsunął od siebie rozpacz i skupił się na chwili obecnej. Jedyne, co mógł zrobić, to uczcić pamięć Borysa, rozwiązując zagadkę jego śmierci, choćby miało być ciężko. Czuł, że nagły zgon przyjaciela miał związek z tym, o czym Borys chciał z nim porozmawiać. Nawet w dzień własnego ślubu Karpow nie chciał czekać. W cokolwiek Borys się wpakował, sprawa musiała być pilna – fakt ten wydawał się Bourne'owi jasny jak reflektory oświetlające ciało.

Struna, którą uduszono Borysa, nadal tkwiła w jego gardle. Środkowy odcinek wrzynał się w chrzątki krtani. Jego całą pierś – koszulę, marynarkę i muchę – pokrywała czerniejąca, połyskliwa warstwa krwi. Oba końce struny były zaopatrzone w drewniane uchwyty. Wyglądały, jakby ktoś już próbował zdjąć z nich odciski palców. Bourne nie dostrzegł śladu linii papilarnych. Jak można się było spodziewać, napastnik założył rękawiczki.

– Co widzisz, Bourne?

Aż podskoczył, słysząc głos Korsołowa przy swoim ramieniu. Zrozumiał, że musi wziąć się w garść i myśleć. Opłakiwać Borysa będzie później.

– Na dłoniach i końcach palców są otarcia.

– Próbował się bronić. I co z tego?

– Będzie miał coś pod paznokciami. Jakies drobinki z rękawiczek mordercy... może analiza coś da. Albo będziemy mieć szczęście i trafi się kawałek skóry napastnika.

Na Korsołowie nie zrobiło to wrażenia.

– Coś jeszcze?

– To nie było zwykłe zabójstwo dokonane przez zawodowca. Prędzej rytualne.

– Skąd ten pomysł?

Bourne wskazał palcem ciało.

– Ślady ziemi na spodniach sugerują, że umierał na kolanach. Z takiej pozycji nie mógłby upaść na plecy, z nogami ułożonymi prosto. Proszę popatrzeć na ciało. Ktoś je ułożył tak, by wzbudzić religijne skojarzenia.

Korsołow przechylił się ku niemu.

– A konkretnie jakie?

– To oczywiste – rzucił Bourne. – Obraz Chrystusa.

Pułkownik mocnym szarpnięciem podniósł Bourne'a z kolan.

– Żarty sobie ze mnie stroisz? Mówiłem ci... – Z widocznym wysiłkiem opanował się i dalej ciągnął już spokojniejszym tonem. – Może przy generale Karpowie mogłeś się mądrzyć bezkarnie...

– Borysowi nie musiałbym tłumaczyć, jakie z tego założenia płyną wnioski. Sam by je dostrzegł – odparował Bourne. – Z paki nie pomogę wam rozwiązać zagadki, kto go zabił – dodał, widząc, że pułkownik skinął na jednego ze swoich karków.

– A kto ci, kurwa, powiedział, że jesteś potrzebny? Moi ludzie sobie poradzą...

– Nie. Nie poradzą sobie. – Popatrzył Korsułowi prosto w oczy. Tylko stawiając opór, mógł pokazać, że nie zamierza dać się zastraszyć. – Nikt nie znał Borysa lepiej niż ja. Ani ty, ani nikt z FSB.

– Gdybym choćby przez chwilę myślał, że to ty zabiłeś generała...

– Ale nie myślisz. Zatrzymaliście mnie, kiedy szedłem się z nim zobaczyć.

– I tylko dlatego...

– To był mój przyjaciel.

– Jesteś Amerykaninem. Kolejny minus dla ciebie.

Czując, że ma przewagę w tej dyskusji, Korsułowi skrzywił usta w ironicznym uśmiechu, ale jego radość była przedwczesna.

– Jako jego zastępca miałeś lepszy motyw do zabójstwa niż ja – zauważył Bourne.

– Co?

– Nie da się zaprzeczyć. Jesteś ambitny, ludzie bez ambicji nie pracują na stanowisku wiceszefa FSB, ale dopóki żył Borys, nie miałeś perspektyw na awans. – Słyszając poruszenie w szeregach agentów, Bourne postanowił iść za ciosem. – Wspominał mi o tobie. – Bzdura, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. – Mówił, że fotel zastępcy w końcu zacnie kłuć cię w siedzenie.

– Kłamiesz! – ryknął Korsułowi.

– Nawet się zastanawiał, czy nie przenieść cię do placówki za granicą.

– To niedorzeczne.

Bourne pokręcił głową.

– Teraz już nie dojdziemy prawdy, bo Borys nie żyje.

– To obrzydliwe kłamstwo.

– Nie dowiesz się. – Wbijanie temu zarozumiałemu dupkowi szpili dawało Bourne'owi pewną satysfakcję. – To i tak nieistotne. Jako Rosjanin wiesz z własnego doświadczenia, że kłamstwo powtarzane wystarczająco często po prostu staje się prawdą.

Teraz to Korsułowi uśmiechnął się szeroko.

– Przeliczysz się, Bourne. Tam, gdzie cię zabiorą, nikt cię nawet nie usłyszy.

Skinął na jednego z agentów, który wyciągnął kajdanki.

– Zapominacie o wielu rzeczach, pułkowniku – rzucił Bourne. – Przede wszystkim o tym, jak śmierć Borysa odbije się na waszej reputacji. Myślicie, że prezydent będzie chciał awansować człowieka, który pozwolił, by pod jego nosem zamordowano mu szefa? – Na prawym nadgarstku Bourne'a zacisnęła się metalowa obręcz, lecz on ciągnął dalej: – Człowieka, którego ochrona nie zauważyła zabójcy, przestępcy

najgorszego sortu, który wkradł się na posesję, gdzie nieświadom niebezpieczeństwa prezydent opychał się kawiozem, popijał szampana i wódeczkę...

Agent wykręcił lewą rękę Bourne'a, lecz Korsołow powstrzymał go gestem. Jego oczy zwięzły się w szparki.

– Prędej czy później cię dopadnę, Bourne.

– Będziesz walił butem w blat na znak protestu jak Chruszczow? – Bourne pokręcił głową. – Jeśli chcesz wyjść z tego bagna cało, pułkowniku, to będziesz mnie potrzebował.

– Mylisz się, Bourne. Potrzebny mi tylko kozioł ofiarny. I jeden już się znalazł, w osobie tej kobiety. – Wskazał palcem Irinę. – Jej ojciec i brat byli w konflikcie z prawem. Nienawidziła FSB za to, że robi, co do niej należy, czyli ściga przestępców takich jak jej rodzina. Generał był szefem tych służb. Widzisz, do czego zmierzam? Czemu nie miałyby go zabić? Widzisz lepszego podejrzanego?

– Tak, prawdziwego mordercę Borysa.

– A co, jeśli to ona jest winna?

– Po pierwsze do duszenia garotą jest potrzebna nie tyle siła, ile punkt zaczepienia, a ona jest za niska. Borys miał posturę i krzepę byka, nawet wy musicie to wiedzieć. Po drugie w tym zabójstwie jest jakiś element fetyszyzacji, a to znaczy, że na Borysie się nie skończy. Wsadzisz Irinę, a za tydzień lub za parę dni kolejny oficer FSB zostanie znaleziony martwy. Przemyśl to w kontekście smutnego końca własnej kariery.

Korsołow prychnął szyderczo, ale kazał agentowi rozkuć Bourne'a i odsunąć się o krok.

– Dobra, chyba nie mam wyboru, przynajmniej na razie. Ale potrzebuję jakiegoś zabezpieczenia, żebyś nie zboczył z drogi cnoty i obowiązku, bo wiem, że średnio ci to wychodzi, łagodnie mówiąc. – Wykonał kolejny gest, i agent, który wcześniej przytrzymał Bourne'a, założył kajdanki Irinie. – Ta kobieta trafi na Łubiankę. Nic, co powiesz, tego nie zmieni, już postanowione. – Zerknął na zegarek. – Masz dokładnie czterdzieści osiem godzin, żeby znaleźć mordercę i dostarczyć go mnie, inaczej urządzimy Irinie Wasilijewnie pokazowy proces za zabójstwo generała Karpowa. Uwierz mi, cóż to będzie za show! A karą będzie śmierć.

– Chcesz powiedzieć, że decyzja już została podjęta, jak to w Rosji bywa?

Twarz Korsołowa drgnęła. Teraz wyglądał jak wyjątkowo podła marionetka.

– Jej los jest w twoich rękach, Bourne. Jeśli dojdzie do egzekucji, zapewniam cię osobiście, że dostaniesz miejsce w pierwszym rzędzie.

– Nie zamierzam tu siedzieć ani chwili dłużej – powiedziała Swietłana Karpowa. – Chcę się natychmiast widzieć z mężem.

– Niech się pani nie martwi. – porucznik Andriej Awiłow robił, co mógł, aby ją uspokoić. „Wyszła za mąż i tego samego wieczoru owdowiała” – pomyślał. Gdyby jego żonę zabito w dniu ich ślubu, nikt nie zdołałby ukoić jego rozpacz. – Obiecuję, że zobaczy pani pana generała, kiedy tylko to będzie możliwe.

Awiłow był krępy, mocno zbudowanym mężczyzną z typową dla Rosjan skłonnością do napadów melancholii. Kiedy jednak nie czuł przygnębienia, był nieustępliwym, bystrym, dobrze zorientowanym w polityce siłownikiem, absolutnie lojalnym wobec wicepremiera, czyli tak zwanego pierwszego ministra. W kuluarach Kremla Timur Sawasin, pierwszy minister, był znany jako „pierwszy wśród równych”, dokładnie tak samo, o ironio, jak szef izraelskiego Mossadu. Sawasin był drugi po Bogu, czyli po Samowładcy. Odpowiadał za cały resort bezpieczeństwa oraz za większość gospodarki Federacji. Miał większą władzę niż premier. Był też szefem Borysa. Ci dwaj różnili się od siebie jak noc i dzień: Borys był typowym rosyjskim niedźwiedziem, krzepkim i szerokim w biodrach, a wysoki, szczupły i charyzmatyczny Sawasin słynął w środowisku sportów walki jako niezły zawodnik. Był też tradycjonalistą i tęsknił za starymi czasami, kiedy to podkuty żelazem but KGB bezlitośnie tłamsił Kraj Rad. Amerykanów nienawidził prawie tak samo jak Ukraińców. Europejczykami gardził i z rozkoszą szantażował ich sprawą dostaw gazu. Palił jak smok; zwykł mówić, że oddawanie się nałogowi uspokaja go i pozwala mu się odciąć od bezprzedmiotowej gadaniny tak siłowników, jak i oligarchów.

Awiłow stał się cieniem swojego szefa i w ten sposób wkupił się w łaski premiera. Co więcej, sam Timur Sawasin uważał go za swoją prawą rękę, więc robił teraz wszystko, co w jego mocy, by złamać karierę pułkownika Korsołowa z FSB i wypełnić pustkę, która powstała po nagłej śmierci generała Karpowa, którą tak zmartwili się prezydent i Sawasin. Miał świadomość, że nie będzie to łatwe, biorąc pod uwagę wsparcie, na jakie mógł liczyć Korsołow i jego rodzina. Pułkownik miał kwity na tyłu ludzi, że Awiłow od dawna starał się trzymać od niego jak najdalej. Trzeba go będzie wyeliminować, tak samo jak wyeliminowało się jego szefa. Na tym wczesnym etapie Awiłow nie miał jednak pojęcia, jak dokona tego niezwykle trudnego zadania, ale wierzył, że rozwiązanie problemu znajduje się gdzieś w labiryncie, w którym się na co dzień porusza. Musi je tylko odnaleźć i wdrożyć.

Wracając jednak do generała Karpowa: wśród gości rozgłoszono, że przedwczesny koniec uroczystości weselnych był spowodowany jakimś niezbyt poważnym naruszeniem procedur bezpieczeństwa, wszystko po to, aby nikomu nic się nie stało. Na wyraźne polecenie Sawasina Awiłow błyskawicznie odprowadził Swietłanę do apartamentu, który dzieliła z Karpowem i w którym miała spędzić z nim pierwszą noc jako jego żona. Teraz nie czekało tam na nią nic prócz żalu i rozpacz.

Awiłow patrzył na Swietłanę okiem służbisty. Niewiele go obchodziły jej banalne emocje. Była przecież w połowie Ukrainką, czyli zapatrzoną w Zachód zdrajczynią ideałów Federacji. Czemu miałby jej współczuć? Owszem, straciła męża, za to on stracił nastoletnią siostrę, która zginęła pod lawiną. Poszli wtedy razem na wspinaczkę. Nina nie chciała się do niego przyłączyć, ale ją zmusił. Właśnie myślał o tym, jak wielką ma nad nią władzę, z uśmiechem patrząc na zamierzające na jej rzęsach i policzkach łyzy, kiedy ze straszliwym trzaskiem oberwał się lodowy nawis. Białobłękitna lawina porwała Ninę. Niewiele brakowało, a porwałaby i jego. Zginąłby z całą pewnością, gdyby nie przeciął

łączącej ich liny. Nina zniknęła pod lawiną tak szybko i tak całkowicie, że nawet nie widział jej upadku. Schodząc ze stoku na drżących nogach, myślał tylko o marznięcych śladach łez na jej twarzy. Dwie drużyny ratowników przez prawie tydzień szukały jej ciała, ale nic nie znalazły – leżało głęboko pod śniegiem, a może wpadło w jakąś szczelinę. Ojciec się załamał, nie mogąc nawet zapłakać nad ciałem córki, a matka o mało nie oszalała. Ta tragedia wykończyła rodzinę. Zabiła ją. Ale dla Awiłowa to było wyzwolenie, początek nowego życia.

Teraz, patrząc chłodno na zalaną łzami twarz Swietłany, próbował sobie przypomnieć te ostatnie chwile z Niną, ale nie mógł. Nawet jej twarz widział niewyraźnie, jakby spoglądał na nią przez lód, który mu ją zabrał.

– Mój mąż! Gdzie on jest? Dlaczego trzymacie mnie tu jak więźniarkę? Proszę mi natychmiast wyjaśnić!

– Ależ pani Swietłano, proszę się uspokoić. Generała zabrano stąd dla jego własnego bezpieczeństwa. Jest cały i zdrowy.

Nie miał pojęcia, dlaczego Sawasin polecił mu mówić właśnie to, ale ufał mu, więc nie pytał ani się nad tym nie zastanawiał. Kto za dużo myśli, później tego żałuje.

Awiłow dostrzegał okrucieństwo tego rozkazu. Obserwował Swietłaną jak laboratoryjne zwierzę; czy siedzi ono w przewiewnej klatce, czy w szczelnym dzwonie z trującym gazem, to się dopiero okaże. I nie on o tym zadecyduje. On jedynie słucha rozkazów człowieka, którego kocha i szanuje, arcymistrza szachisty, od którego nadal będzie się uczył najbardziej wrednych resortowych zagrywek. Czepiając się nogawki mentora, Awiłow zamierzał wspiąć się na najwyższe szczeble.

– Ale czemu go stąd zabraliście? – pytała Swietłana. – Jeśli trzymacie mnie tutaj dla mojego bezpieczeństwa, możecie trzymać i jego.

– System nakazuje inne działanie.

Oczy Swietłany zapłonęły żarem.

– System, system, dla was, siłowników, tylko to się liczy. Jesteście niewolnikami systemu.

– Proszę pani, cała Federacja działa dzięki systemowi.

Śmiech Swietłany był szorstki, zdaniem Awiłowa niemal okrutny.

– Dureń! Federacja nie działa. To dlatego jesteśmy w stanie wojny z Ukrainą, dlatego całe południe boi się terrorystów, dlatego Czeczeni przysięgli nam zemstę, dlatego kłócimy się z Zachodem.

– Zawsze kłóciliśmy się z Zachodem.

– *Głasnost...*

– ...była nieudanym eksperymentem oderwanego od rzeczywistości biurokraty.

Przyskoczyła do niego. Nie spodziewał się po niej aż takiej determinacji.

– To wy jesteście oderwani od rzeczywistości, wszyscy! – krzyknęła. – Każdy z was działa wyłącznie we własnym interesie, do diabła ze społeczeństwem. Wy reakcyjni ludzie radzieccy, wszyscy tacy dumni z tej waszej rewolucji. Tylko jakiej rewolucji? Niczym się nie różnicie od carów. Nie, jesteście od nich gorsi, bardziej zachłanni, bardziej aroganccy i tacy żądni krwi! – Podeszła jeszcze bliżej, spychając Awiłowa w stronę drzwi na korytarz. – Ty się zachłysnąłeś dezinformacją. Wszystko, co wiesz, to kłamstwa. I czym to cię robi, no czym? Ty nie żyjesz, Awiłow. Nie jesteś człowiekiem. Jesteś robotem na usługach Federacji, żalosnym żołnierzem z pistoletem, którego nie dajesz rady udźwignąć.

Awiłow podniósł rękę. Chciał tylko ją trzepnąć w policzek, ale jej słowa w jakiś dziwny sposób wcisnęły się pod płyty jego pancerza, więc zacisnął pięść. Zobaczył rozbryzg krwi, usłyszał trzask pękającej kości. Siła uderzenia odrzuciła Swietłaną w bok, na podłogę.

Chwilę później leżała jak długa na dywanie, przyciskając dłoń do krwawiącego policzka, a on stał nad nią na rozkraczonych nogach, dysząc jak gepard, który morderczym sprintem dopadł ofiarę. Gdyby

rzeczywiście był taki, jak powiedziała, padłby przy niej na kolana, wbiłby zęby w jej ciało i przegryzłby jej gardło. Czyż nie?

Prawda była taka, że w mrocznym obrazie Swietłany Awiłow rozpoznał sam siebie. Gdzieś głęboko, w zakamarku duszy, do którego lękał się zaglądać, ujrzał, jak odcina linię łączącą go z Niną; zobaczył siebie schodzącego ze stoku góry taką drogą, by ominąć lodowy obryw. Przypomnił sobie radość, z jaką powitał zerwanie z rodzicami. Teraz jego ojcem był Timur Sawasin, a jego rodziną – Federacja. Jeśli oni znikną, będzie niczym, kruchą łupinką na wzburzonych falach, z dala od lądu, bez poczucia kierunku; zniknie nawet horyzont, w stronę którego mógłby żeglować.

Jęk Swietłany przywrócił Awiłowa do rzeczywistości. Kucnął, chcąc zbadać skutki ciosu. W jednej sekundzie jej długie paznokcie śmignęły ku górze, wbiły mu się w skórę tuż poniżej lewego oczodołu i rozorały twarz aż do kącika ust.

Był tak zaskoczony, że uderzył ją znowu, tym razem w szczękę, tak mocno, że głowa Swietłany odskoczyła w przeciwną stronę. Popłynęła krew. Kobieta zmrużyła oczy, ale się uśmiechnęła.

– Dalej, Awiłow, zabij mnie. Zobaczysz, co ci wtedy zrobią.

Poczuł, że traci panowanie nad sobą.

– Nie boję się ciebie – powiedział. Było mu już wszystko jedno. – Nie boję się twojego męża. A wiesz dlaczego? – Pieprzyć ją. Pieprzyć Borysa Karpowa i jego przeklętych sługusów z FSB. – Bo on nie żyje.

– Co? – Swietłana szeroko otworzyła nabiegłe krwią oczy. – Co powiedziałaś?

– Generał Karpow został uduszony garotą – wyjaśnił, przeciągając słowa z tym samym okrucieństwem, które wcześniej słyszał w jej śmiechu. – O to ta cała awantura, nie o bzdury, którymi mydliliśmy oczy tobie i twoim gościom.

– Nie wierzę ci. Kłamiesz – bełkotała Swietłana, z trudem pokonując ból szczęki.

– Jak myślisz, czemu tu nie przyszedł? Bo leży na tarasie w kałuży krwi.

– Ty chuju! Będziesz się za to smażył w piekle, moja w tym głowa.

Wtedy ulotniły się resztki samokontroli i ciało Awiłowa usłuchało rozkazu płynącego z mózgu. Wbił kolano między uda Swietłany, rozwarł jej nogi i zadarł warstwy ślubnej sukni, lśniący biały atlas i koronki obryzgane krwią ich obojga. Jeśli spodziewał się oporu, to się rozczarował. Swietłana leżała bezwładnie, z ciałem miękkim jak guma, i patrzyła na Awiłowa oczami, z których płynęły łzy. Mężczyzna podniósł się, rozpiął pasek i zsunął spodnie do kolan. Nabrzmiały członek wypychał mu slipy. Czuł szaleńcze pragnienie, które sięgało daleko poza fizyczną żądzę. Miał nie tylko zawładnąć Swietłaną, lecz także odebrać coś bezcennego Borysowi Karpowowi. Nieważne, że generał już nie żył.

Wbił się w nią zaciekle, ani trochę nie dbając o to, że jest sucha i kiedy się w niej porusza, tarcie jest wręcz bolesne. Jeśli jego boli, to ją boli bardziej. Ale Swietłana już na niego nie patrzyła. Odwróciła głowę, kierując niewidzący wzrok gdzieś w przestrzeń. Równie dobrze mogła być milion kilometrów stąd. Jej oderwanie rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Wbijał się w nią z taką zajadłością, że w końcu z jej ciała wypłynęła ciepła fala krwi. Ten dowód jego władzy nad nią dokonał dzieła. Awiłow zacisnął powieki i zadygotał, a mięśnie ud i pośladków skurczyły mu się spazmatycznie.

Nie poruszył się nawet wtedy, kiedy poczuł, że mięknie. Chciał jak najdłużej rozkoszować się uczuciem wciskania jej ciała w dywan i świadomością, że tkwi dokładnie tam, gdzie chciał wejść Borys Karpow, ale już nigdy nie wejdzie. Awiłow właśnie dostał swoją daninę krwi, ale potrzebował czegoś więcej.

– Teraz masz na sobie moją krew – szepnęła jej do ucha. – I nigdy jej nie zmyjesz.

Swietłana wciąż płakała, a on ciągle na niej leżał i rozmyślał, jak obrócić tę potrzebę w rzeczywistość.

Przestępca nie pozostawił śladów stóp ani odcisków palców, ale celowo porzucił narzędzie zbrodni. Dlaczego? Bourne obracał w myślach to pytanie, oglądając zdjęcia ciała Borysa. Wcześniej spędził godzinę na przeczesywaniu loggii, z Korsołowem za plecami, ale nic nie znalazł. „No i czemu – myślał, siedząc w hotelowym salonie pospiesznie przekształconym w biuro śledcze FSB – morderca ułożył zwłoki w pozycji nawiązującej do ukrzyżowanego Chrystusa?” Zabójstwa mógł dokonać zawodowy morderca albo psychopata – ci drudzy czasem wykazywali obsesję na punkcie rytuałów – jednak o psychopatach wiedział, że popełniają błędy, czasem bardzo rażące, właśnie dlatego, że nie myślą trzeźwo i są przeświadczeni, że są mądrzejsi od wszystkich. Nie jest to jedyna kwestia, w której się mylą, ale tendencja do oszukiwania samego siebie to też objaw patologii.

Problem polegał na tym, że na pierwszy rzut oka zabójca Borysa wydawał się i zawodowcem, i psychopatą z fiksacją na punkcie rytuału. Bourne nie był na tyle głupi, by zakładać, że te dwa zbiory nie mają elementów wspólnych, ale nie spotkał jeszcze osoby takiego pokroju ani o żadnej nie słyszał.

– I co myślisz, Bourne? – zapytał Korsołow, stając nad jego ramieniem. Szcherzył się jak niedźwiedź, któremu właśnie udało się złapać rybę. – Znalazłeś sprawcę?

Bourne wpatrzył się w zdjęcie rany na gardle Borysa.

– Ty dowiesz się o tym pierwszy, możesz mi wierzyć.

– W to wierzę, ale nie sądzę, że znajdziesz zabójcę.

– Z poglądami jak z rowem w dupie, panie pułkowniku – rzucił Bourne. – Każdy ma swój.

Korsołow pochylił się tak, że Bourne niemal poczuł na karku jego oddech.

– Wydaje ci się, Amerykańcu, że to są żarty?

– Tobie chyba tak, jeśli zamierzasz stawiać Irinę przed sądem za zabójstwo Borysa.

Twarz Korsłowa znów wykrzywił uśmiech. Nie był to ładny widok.

– Jesteś w niej zakochany, tak?

– Poznaliśmy się wczoraj. Naprawdę jesteś idiotą.

Bourne uniósł wzrok i z nutą satysfakcji zarejestrował, że uśmiech pułkownika zniknął jak zdmuchnięty. Wiedział, że to drobny i nieistotny triumf, tak jak zdawał sobie sprawę, że pułkownik w końcu straci cierpliwość. Niemniej w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin zamierzał sprawdzić, na ile apodyktyczny siłownik pozwoli się przycisnąć.

Był gotów zrobić dla Borysa tyle i jeszcze więcej. Tymczasem jednak trzeba było się skupić na makabrycznych szczegółach.

– Co wasza kryminalistyka znalazła pod paznokciami Borysa?

– Żadnych włókien – odpowiedział Korsołow, wyraźnie zadowolony, że ma informacje, których nie zna Bourne. – Zabójca miał gumowe rękawiczki, tyle wiadomo.

– A więc zawodowiec – rzucił beznamiętnie Bourne, oglądając zbliżenia dłoni Borysa. – Jakies DNA?

– Ani śladu.

Na jednej z fotografii Bourne dostrzegł coś ciekawego. Niełatwo było się przyjrzeć lepiej, nie zwracając uwagi Korsłowa.

– Dwie pary.

Pułkownik przysunął się na tyle blisko, że Bourne poczuł zapach kawałków mięsa gnijących mu między zębami.

– Co?

– Zabójca zapewne miał na sobie więcej niż jedną warstwę rękawiczek ochronnych, co oznacza, że był przygotowany na spotkanie z przeciwnikiem silnym i zdeterminowanym – rzucił Bourne. Wydawało mu się, że poznaje kształt w prawej dłoni Borysa, ale zaburzała go fałda na skórze – linia serca. – Zabójca jest zawodowcem. Starannie to zaplanował.

– To też nam nic nie daje.

Ton Korsołowa był równie nieprzyjemny jak jego oddech.

– Wręcz przeciwnie. Ludzi skłonnych przygotowywać się tak pedantycznie do roboty jest bardzo niewiele.

Korsołow uniósł brwi.

– A co, znasz ich nazwiska?

– Muszę zobaczyć ciało – powiedział Bourne, podnosząc się tak gwałtownie, że pułkownik niemal stracił równowagę. – Natychmiast.

Zwłoki Borysa zostały tymczasowo umieszczone w kuchennej chłodni. Warunki nie były idealne, niemniej uznano to za najlepsze możliwe wyjście, przynajmniej do czasu, aż hotel zostanie całkowicie opróżniony, a ciało będzie można przewieźć do kostnicy, nie wzbudzając niczyjgo zainteresowania. Olbrzymią przestrzeń wypełniały wołowe półtusze, udźce i stosy dojrzewających steków. Przy jednej ze ścian stał rząd regałów z lodem w kostkach, pakowanymi próżniowo wątróbkami, mięsem mielonym i farszem do pierogów.

Borys leżał pośrodku tego wszystkiego. Jego krzaczaste brwi przyprószył szron. Wargi miał sinoniebieskie, jakby za długo pływał w Morzu Czarnym. Martwe oczy patrzyły w sufit. Zakrzepła krew, czarna w ostrym świetle jarzeniówek, wyglądała jak zaschnięta farba na niedokończonym obrazie. Tylko przecinająca gardło krwawa pręga, nieusuwalny dowód okrutnej śmierci, nie uległa żadnej transformacji.

Patrząc na twarz przyjaciela, Bourne przypomniał sobie ich wypad do Reykjavíku, niebezpieczeństwo, jakiemu stawili tam czoło i następny wieczór, kiedy postanowili to uczcić. Borys nalał zimnej wódki i zanim Bourne zdążył wyciągnąć po nią rękę, dosypał do kieliszków po szczypcie pieprzu.

– W dawnych czasach – odezwał się poważnym tonem – z wódką trzeba było uważać. Czasem pędzili ją na niedogonie, który jest trujący. A pieprz wyciąga niegodon z takiej wódki i można ją pić.

Borys zawsze udzielał mu drobnych, a jakże przydatnych życiowych przestroż.

Bourne'owi już zaczynało go brakować. Był nie tylko źródłem cennych informacji, lecz także prawdziwym przyjacielem, i to mimo faktu, że miał na wskroś rosyjskie serce. Jak i inni znakomici pracownicy wywiadu, bez wysiłku potrafił oddzielić od siebie poszczególne sfery życia. Bez tej umiejętności można było zwariować. Niejeden szpieg właśnie przez to wkładał broń do ust i pociągał za cyngiel.

Bourne spodziewał się, że dozorca znów stanie mu za plecami, lecz w ostatniej chwili zadzwonił telefon Korsołowa, a on wysunął się z chłodni, stając na tyle daleko, by Bourne nie mógł usłyszeć rozmowy.

Dziękując losowi za ten zbieg okoliczności, ujął prawą dłoń Borysa i przyjrzał jej się uważnie. Ciało jeszcze nie stężało, był więc w stanie wygiąć nadgarstek, podsuwając go w stronę światła. Napiął skórę po obu stronach linii serca, po czym zrobił to samo z lewą ręką. Nic nie znalazł.

Uznał, że to barbarzyństwo kazać zmarłemu patrzeć w pustkę, pochylił się więc i zamknął oczy przyjaciela. W tym momencie jego uwagę zwrócił błysk światła; głęboko w ranie przecinającej tchawicę tkwił jakiś obiekt. Zgarnął ze stojaka cienki nóż do filetowania i wyciągnął gwiazdę – bo tym właśnie obiekt się okazał: gwiazdą Dawida. I to nie byle jaką, jak się zorientował, wycierając ją z krwi i tkanki. To była gwiazda Sary, ta sama, którą nosiła na szyi, z którą nigdy się nie rozstawała. Poznał wisiołek, bo jedno z ramion było uszkodzone; ułamało się w zeszłym roku w Dosze, w kontakcie z oczodołem niedoszłego zabójcy, zanim Sara wbiła mu gwiazdę w oko i dopchnęła palcem, sięgając mózgu.

Głos Korsołowa przybrał na sile. Wracał do chłodni, więc czas dobiegł końca. Bourne jednym sprawnym ruchem wsunął gwiazdę do kieszeni, opłukał nóż nad zlewem, wytarł i odłożył go z powrotem na stojak.

Korsołow tymczasem wszedł do pomieszczenia i zajął z góry upatrzoną pozycję.

– No i?

Bourne odsunął się od ciała. Znaleźisko wytrąciło go z równowagi – albo raczej wstrząsnęło nim do głębi. Wniosek, że to Sara zabiła Borysa, był nie do zniesienia, lecz im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wydawało się to prawdopodobne. FSB należała do głównych przeciwników Mossadu. Od dziesięcioleci skakali sobie do gardeł z powodu tego, jak w Rosji traktuje się Żydów. Jako wytrenowana zabójczyni na usługach Kidonu, Sara bez problemu poradziłaby sobie z Borysem. A pomysł, by zmylić uwagę śledczych, stosując metody charakterystyczne dla psychopaty i fanatyka religijnego, był bardzo w jej stylu.

– Potrzebny mi samochód – odezwał się Bourne, kryjąc wszystkie uczucia. Puls dudnił mu w uszach. – Oficjalny wóz. Nie uśmiecha mi się użerać z policją.

– Oczywiście. – Korsołow wyszczerzył zęby. – Dostaniesz oficjalny.

Bourne wyprowadził z parkingu auto i ruszył obwodnicą w kierunku centrum. Była noc. Księżyc ciągnął się za nim, kiedy bardzo szybko i sprawnie przedzierał się przez miejską dżunglę. Szukał czegoś konkretnego, a kiedy to znalazł, zaparkował samochód przecnicę dalej. Wiedział, dlaczego Korsołow z taką ochotą użyczył mu środka transportu – wszystkie samochody FSB miały potężny nadajnik wmontowany w podwozie. Nie musiał proponować Bourne'owi kierowcy. I tak dokładnie wiedział, gdzie tamten jedzie.

Aż do teraz.

Bourne przeszedł przecnicę piechotą i przez zwarcie kabli uruchomił silnik stojącego na poboczu motocykla. Po chwili znów sunął ulicą.

Znalezienie właściwego wieżowca zajęło mu dwadzieścia trzy minuty; zadzwonił kilka razy, ale nikt nie odebrał domofonu. Bourne spojrział na zegarek, wsiadł na motocykl i podjechał na Prospekt Kutuzowa, kilometr na południowy wchód. Zaparkował niedaleko wejścia do Gniazda, gdzie odźwierni w liberiach obsługiwali kordon potężnych SUV-ów i limuzyn, z których wysypywały się wyfiokowane *dziewoczki* w wysokich szpilkach, spódnicach mini i wydekoltowanych bluzkach oraz synowie nadzianych oligarchów. Dla nich noc dopiero się zaczynała. Drogie auta toczyły się po ulicy z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę. Młodzieńcy pogwizdywali na *dziewoczki*, które miały na tyle przyzwoitości, by reagować na to środkowym palcem i wybuchami śmiechu. Powietrze było ciężkie i lepkie od niepokoju, a taka atmosfera wydawała się odpowiadać bywalcom klubu.

Przy drzwiach stał łysy bramkarz, mocniej umięśniony niż Arnold Schwarzenegger. Położył łapsko na piersi Bourne'a i odezwał się z drwiącym uśmieszkiem:

– Amerykaniec, Anglik czy Holender?

– Przyszedłem się zobaczyć z Iwanem Wołkinem – odezwał się Bourne perfekcyjną ruszczyzną.

– Z kim?

Bourne powtórzył nazwisko.

– W życiu o nim nie słyszałem.

– To powinni was zwolnić. Iwan jest właścicielem tego klubu.

Poorana twarz bramkarza nieznacznie drgnęła.

– Powiedźcie Iwanowi, że Fiodor chce się z nim widzieć. Fiodor Ilianowicz Popow.

Mięśniak zmierzył go nieżyczliwym spojrzeniem. Rosnący ogonek za plecami Bourne'a zaczął się niecierpliwić.

– A jak tego nie zrobię?

Bourne wzruszył ramionami

– Zaszkodzisz tylko sobie.

Już się odwracał, gdy mięśniak rzucił:

– Czekaj.

Popukał w bezprzewodową słuchawkę w ucho i wymamrotał coś, czego Bourne nie wychwytał. Znów stuknął w słuchawkę, milknął, po czym rzucił Bourne'owi szybkie spojrzenie, znak, że może jednak też był człowiekiem.

– Schodami w górę – rzucił lakonicznie. – Do końca.

Najlepszą zabawę i – paradoksalnie – najcichszą miejscówkę można było znaleźć w odgradzonej linami sekcji na dachu Gniazda. To jej klub zawdzięczał nazwę. Lwią część przestrzeni zajmowały dwa namioty z muzyką, tańcami i bóg wie czym jeszcze. Z otwartej części dachu rozciągał się niezrównany widok na miasto: szeroka wstęga rzeki, w zakolu masywna bryła stalinowskiego hotelu Ukraina i Biały Dom, skąd premier i jego zastępca kierowali Federacją. Bourne szybko wypatrzył Iwana. Rzucił się w oczy – był wielki jak niedźwiedź, a jego przyprószone siwizną włosy sterczały we wszystkie strony. Do tego miał jeszcze siwą brodę i wesołe oczka koloru nieba przed burzą. Nawet gdy siedział, było widać, że ma lekko pałakowate nogi, jakby całe życie spędził na koniu. Ogorzała skóra przydawała jego twarzy szlachetności, jakby sugerując, że zdobył sobie szacunek wielu osób. To była prawda, Iwan działał bowiem jako szara eminencja w najpotężniejszych rodzinach moskiewskiej grupperowki, czyli rosyjskiej mafii.

Bourne poznał go kilka lat temu za pośrednictwem wspólnego znajomego. Nie widzieli się od lat, ale Iwan ani odrobinę się nie zmienił. Swoim zwyczajem siedział w kącie, daleko od namiotów, w cieniu palm, które pewnie wyciągano z cieplarni tylko wtedy, kiedy pozwalała na to paskudna moskiewska pogoda. Towarzyszyły mu dwie dziewczyny, bliźniaczki – smukłe blondynki, chyba bardzo młodziutkie. Podniosły się natychmiast, gdy wieprzowaty wykidajło otworzył bramkę przed Bourne'em, ale siedzący z Wołkinem mężczyzna ani drgnął. Wyglądał jak nowsza wersja nieświętej pamięci Dimitrija Masłowa – podobieństwo nie było zresztą przypadkowe. Wypuszczając Bourne'e z niedźwiedziego uścisku, Wołkin przedstawił go jako syna Dimitrija, Jegora. Musieli się dobrze znać, bo Iwan zwracał się do niego zdrobniale.

– Gora, poznaj mojego starego druha, Fiodora Ilianowicza Popowa – powiedział z szelmowskim błyskiem w oku, który zauważył tylko Bourne. – Pracuje dla Gazpromu. Teraz już w wyższym kierownictwie, prawda, Fiodorze Ilianowiczu?

Bourne podał mu wizytówkę.

– Jako drugi wiceprezes.

Uścisk ręki Gory przywodził na myśl rozłupywanie szczypców homara.

Kiedy Bourne bawił w Moskwie ostatni raz, Dimitrij stał na czele kazańskiej mafii. Teraz interes ewidentnie przeszedł w ręce jego syna. W tamtych czasach kazańska brać zajmowała się głównie przemytem narkotyków i sprzedażą samochodów na czarnym rynku. Kto wie, w czym mogli siedzieć teraz. Na szczęście jednego mógł być pewien: Gora nie przywitałby się z nim tak serdecznie, gdyby wiedział, że to Bourne odpowiada za śmierć jego ojca.

Wołkin machnął ręką, wskazując puste krzesło.

– Posiedź z nami, Fiodor.

Gora, kiedy się uśmiechał, wyglądał jak mały chłopiec. Tym akurat bardzo różnił się od ojca.

– Obawiam się, że będziesz zabawiać gościa sam, wujku. Mam pilne spotkanie.

Wołkin uniósł brew.

– O tej porze? Powinieneś być już w łóżku, Gora.

– Tam się właśnie wybieram – rzucił tamten ze śmiechem i oddalił się, zapewne w poszukiwaniu windy.

Bourne usiadł na jego miejscu. Iwan nie musiał nawet podnosić ręki, bo kelner pojawił się sam, zebrał zamówienia i zniknął we wnętrzu namiotu, w którym młodzież podrygiwała w rytm muzyki techno, piła i faszerowała się narkotykami.

– Dawno cię nie było. – Wołkin zatarł ręce z niezdrowym zadowoleniem. – Co tym razem dla mnie masz?

– Ki czort? – zdziwił się pułkownik Korsołow.

Kapitan Pankin podał mu dwa paszporty.

Oficerowie FSB stali pod mostem Wielkim Kamiennym, w miejscu, gdzie spotkanie Biełowa z Jaszą, a także ich żywot na ziemskim padole, dobiegły gwałtownego i niespodziewanego końca. Obecnie była to jasno oświetlona scena zbrodni.

Korsołow bez specjalnego zainteresowania przejrzał oba dokumenty i zmarszczył nos.

– Dwaj mężczyźni spotykają się pod mostem. Homoseksualiści. Świetne zakończenie tej gównianej nocy. Szczerze mówiąc, chętnie złożyłbym sprawcy wyrazy uznania – powiedział i skinął głową w stronę trzech umundurowanych funkcjonariuszy, którzy czekali na rozkazy na skraju ogrodzonego taśmą terenu. – Niech się tym gównem zajmą te pieprzone chuje z MWD – dodał, mając na myśli urzędników z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Po cholere mnie tu w ogóle ściągęliście? W Rosji jest o dwie cioty mniej, więc należałoby to uczcić, a nie wszczynać śledztwo.

– Prawdopodobnie cioty – poprawił kapitan Pankin.

– To znaczy? – Korsołow zmarszczył brwi.

– Proszę się rozejrzeć. Ani jednej kamery telewizji przemysłowej w polu widzenia.

– Idealne miejsce na schadzki zbrojców. I co z tego?

– Znając dyrektywę w sprawie homoseksualistów, uznałem za stosowne was wezwać.

– I mieliście rację, kapitanie, ale jak już mówiłem, mam po uszy roboty – rzucił Korsołow, po czym szybko przemyślał sprawę. – Dobrze, skoro już tu jesteśmy, to się na coś przydadmy. Niech skierują którąś kamerę na ten martwy punkt – rozkazał, uśmiechając się na myśl o dwuznaczności tego określenia.

Pankin natychmiast wyciągnął komórkę i zaczął wydawać rozkazy w takim tempie, że aż przyjemnie było słuchać. Korsołow domyślał się, że tej nocy będzie to jedyna przyjemna rzecz, ale i tak zapisał sobie w pamięci nazwisko kapitana. Bystry młodzik, który w razie potrzeby potrafi wyjść z inicjatywą, to w dzisiejszych czasach coraz rzadsze zjawisko.

W czasie, kiedy Pankin rozmawiał, Korsołow raz jeszcze przejrzał dokumenty ofiar. Jeden z mężczyzn, Wieniamin Nazarowicz Biełow, miał rosyjskie obywatelstwo. Korsołow podszedł do trupów i zajrzał im w twarze. Zmarszczył brwi. Żaden z mężczyzn nie wyglądał znajomo. Niby nic dziwnego, bo przecież byli upaprani krwią i błotem, jednak z drugiej strony... Korsołow przyjrzał się zdjęciu w paszporcie Biełowa.

– Coś nie tak, pułkowniku? – zapytał Pankin.

– I owszem – odpowiedział Korsołow. – Tylko żeby jeszcze wiedział co.

– Z przykrością usłyszałem o śmierci Borysa Iljicza. – Iwan upił łyk słodkiej jak ulepek herbaty. – Przeszkadzał mi jak kolec w dupie, ale był dobrym człowiekiem.

– Nie wiedziałem, że aż tak blisko znałeś generała.

Iwan prychnął i popatrzył na Bourne'a.

– I wzajemnie! – W jego oczach zamigotały iskierki wesołości. – Nie sądzę też, żeby generała znał

urzędas z Gazpromu, taki Fiodor Popow na przykład. – Przyglądał się pijącemu herbatę Bourne’owi. Być może czekał na odpowiedź. – Wiesz, Borysa nie sposób było nie lubić. Był ledwie porucznikiem, a ja już wiedziałem, że daleko zajdzie. Bystry, ambitny. Chciałem, żeby dla mnie pracował, więc pewnego wieczoru zabrałem go najpierw na kolację, a potem do jednego z moich burdeli. I wiesz, że on się obraził? Wyobrażasz sobie?

– Znając go tak dobrze, jak go znałem, z całą pewnością tak.

– Oj, chyba nie! – Iwan potrząsnął głową. – Wiesz, że on mnie uderzył? Już wtedy miał na tyle rozumu, że odczekał, aż zabrałem go do prywatnego gabinetu w burdelu. Zostaliśmy sami, czekając na dziewczęta, które dla nas wybrałem, i wtedy on strzelił mnie w pysk! – Iwan uśmiechnął się. – Niegłupio. Gdyby uderzył mnie publicznie, na oczach moich ludzi, kazałbym im go przytrzymać, a sam sprząłbym go do nieprzytomności. Nie miałbym wyboru. – Iwan znowu upił łyk i zapatrzył się w dno szklanki, jakby widział w herbacie odbitą przeszłość, ale kiedy podniósł wzrok, jego oczy były bystre, pełne życia. – Już jako młody porucznik rozumiał naturę władzy, pojmował konsekwencje utraty twarzy. Taki był nasz Borys! Jedno jest pewne: będzie nam go brakowało... A skoro dopadł nas smutek, potrzebujemy wódki – stwierdził, a potem uniósł rękę. Przy jego boku natychmiast wyrósł kelner.

Nic nie mówili aż do chwili, gdy na stoliku stanął kubełek z lodem, a w nim butelka. Na gest Iwana kelner się ulotnił, a gospodarz sam napełnił dwa kieliszki lodowatym płynem.

Stuknęli się w milczącym toaście. Nisko na niebie wisiał księżyc w pełni. Rozjarzone światła ogromnego hotelu Ukraina przyćmiewały jego blask i rozświetlały noc.

Iwan westchnął.

– Nigdy przedtem nie spotkałem człowieka, który nie byłby przekupny. Każdy czegoś pragnie, ale dla Borysa liczyła się tylko Mateczka Rossija, z tym całym jej wspaniałym dziedzictwem i wielkimi tajemnicami. – Zakręcił kieliszkiem, aż resztką wódki na dnie zawirowała. – Tamtej nocy w burdelu, no cóż, wygrał. On naprawdę miał pryncypia. Takiego człowieka nietrudno podziwiać. Tak zaczęła się nasza dość luźna przyjaźń, która trwała aż do... no cóż, do dzisiejszego wieczoru. Biedak. Nikt nie powinien umierać w taki sposób. To dlatego przyszedłeś się ze mną spotkać? – Iwan przekrzywił głowę. – Teraz nie jesteś urzędnikiem, a detektywem?

– Poniekąd – przyznał Bourne.

Iwan nalał sobie alkoholu i uniósł kieliszek.

– Wypijmy teraz za Fiodora Ilijanowicza Popowa. Jego życie było krótkie i szczęśliwie nudne.

Wypili. Iwan mlasnął.

– Wiesz, wątpiłem w twoją historyjkę, kiedy przyszedłeś do mnie po raz pierwszy, a to było, zanim odkryłem, kim naprawdę jesteś, Jasonie – powiedział, uśmiechając się na widok nieruchomej twarzy Bourne’a. – Błagam, to wcale nie było trudne... Nie dla kogoś takiego jak ja.

Bourne odstawił pusty kieliszek.

– Czy to, kim jestem, ma jakieś znaczenie?

Iwan wzruszył ramionami.

– Nie dla mnie. Byłeś przyjacielem Borysa. Co jeszcze powinienem wiedzieć?

– To ja zabiłem Dimitrija Masłowa.

– Cóż, to był śmieć, nie? – Iwan znów napełnił szkło. – Jego syn to inna sprawa.

– Znaczy, że jesteś go w stanie opanować.

Iwan uśmiechnął się i pogroził Bourne’owi palcem.

– Naprawdę go lubię. Ma doskonały instynkt – stwierdził i znacząco przechylił głowę. – Podobnie jak ty. Wiesz, kto udusił Borysa?

– Myślę, że zmierzam we właściwą stronę.

W stronę, która odwróci uwagę wszystkich zainteresowanych od Sary.

– Trudno uwierzyć, że dał się tak zaskoczyć.

– Co sugeruje, że znał zabójcę.

– Ach! – Iwan podniósł kieliszek i opróżnił go do dna. – Oświeć mnie.

– Oto zagadka: co wyjdzie, jeśli skrzyżujemy pedanta o umyśle mordercy z psychopata, który ma obsesję na punkcie rytuałów?

– Najwyraźniej znasz już odpowiedź.

Bourne uśmiechnął się ponuro.

– Rosyjski polityk.

Śmiech Iwana sprawił, że wszyscy wokół na moment zamarli w bezruchu. Nawet ci, którzy go nie znali lub byli zbyt pijani, by go rozpoznać.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi.

Pułkownik Korsołow pocierał czoło czubkami palców. Najpierw zabójstwo szefa FSB, teraz podwójne morderstwo. Ta noc przejdzie do annałów policji kryminalnej.

– Może to nic takiego – zawahał się Pankin – ale są jeszcze inne powody, dla których dwaj mężczyźni mogliby chcieć się spotkać pod mostem, poza zasięgiem kamer.

– Na przykład?

– Oni nie zostali po prostu zabici. Każdy dostał jedną kulę w głowę. To egzekucja.

Korsołow chmurnie popatrzył na kapitana.

– Proszę mówić wprost!

– Nocą pod mostem mogliby się spotykać homoseksualiści. Ale również szpiedzy.

Korsołow popatrzył na dwa trupy i na Pankina, a potem wybuchnął śmiechem.

– Kapitanie, czyta pan za dużo amerykańskich thrillerów. Nie macie na to żadnego dowodu, nawet poszlaki, prawda?

– Oprócz metody zabójstwa, nie.

Korsołow lekceważąco machnął ręką. Miał głowę całkowicie zaprzątniętą zabójstwem generała Karpowa, które dotąd utrzymywano w tajemnicy, nawet przed niższymi rangą funkcjonariuszami, a także czarnym koniem, którego wodze właśnie dostał do ręki. Korsołow nie życzyłby tego rodzaju współpracy najgorszemu wrogowi, a tu masz, Bourne zwałił mu się na głowę niczym przemądrzały dzieciak z tendencją do hiperaktywności.

– To nie poszlaka, kapitanie, to ekstrapolacja – rzekł kwaśno i oddał mu paszporty. – Radzę powściągnąć wyobraźnię.

– Tak jest – rzucił Pankin. – Ale jedna rzecz... Nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni. Co więcej, nie znaleźliśmy łusek pocisków.

Korsołow wzruszył ramionami.

– Morderca jest więc człowiekiem ostrożnym. W amerykańskim wojsku mówią na to „kontrola mosiądzu”. Niech pan każe zbagrować dno. Może wrzucił broń do rzeki. – Korsołow popatrzył na sierp księżycy odbity w tafli Moskwy. – Ja bym tak zrobił.

Pankin wydał rozkaz i jego ludzie się rozbiegli. Tymczasem kapitan zwrócił się znów do szefa:

– Pułkowniku, moim zdaniem to nie było zabójstwo na tle homoseksualnym. Nie ma pan nic przeciwko temu, że zanim stąd pójdę, jeszcze trochę powęszę?

– Kapitanie, ale z was kurewski uparciuch – rzucił Korsołow na odchodne.

– To dzięki temu jestem dobrym detektywem.

Korsołow znów prychnął i uniósł dłoń, jakby chciał zaszalutować.

– Jeśli tylko będziecie za biurkiem punktualnie o dziewiątej rano, proszę bardzo, niech się pan z tym użera do woli.

W służbowej terenowej skodzie siedzieli trzej agenci FSB, dwaj po bokach Iriny, a trzeci za kółkiem.

Samochód toczył się przez uśpioną Moskwę. Irina zamknęła oczy i wykonała dziesięć oddechów zen, wciągając powietrze przez nos, tak by aż do dna wypełniło jej płuca, i wypuszczając je przez rozchyłone usta. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że agent z lewej gapi się jej w dekolt. Powoli wygięła się do tyłu, jakby chciała się przeciągnąć, a on wybałuszył oczy. Była jeszcze dziewczynką, a to jedno już wiedziała: jej kobiece kształty fascynowały mężczyzn. Łatwo mogła paść ofiarą – no i padła, wiele razy, ale wyciągnęła naukę z tych poniżających doświadczeń. Stała się silniejsza, bystrzejsza, bardziej chytra od wszystkich mężczyzn, z jakimi miała do czynienia jako osoba dorosła. Z chwilą, gdy mężczyźni włączali się prymitywny gadzi mózdzek, wszystko zaczynało iść po jej myśli. Dostawała, co chciała, a często i więcej. Tak wyglądało jej życie. Być może tak wygląda życie każdej pięknej kobiety, jeśli tylko ma ona dość inteligencji, energii, odwagi i wewnętrznej siły, by po nie sięgnąć.

Uderzyła łokciem w twarz agenta po lewej, dokładnie w to wrażliwe, pełne zakończeń nerwowych miejsce, gdzie nos łączy się z górną wargą. Trysnęła krew, agent złapał się za nos, a oczy zaszyły mu łzami, ale Irina już tego nie widziała, była zajęta: chwyciła agenta po prawej za szyję i ucisnęła mu tętnicę w taki sposób, jak ją uczyli na lekcjach sztuk walki, odcinając przepływ krwi z serca do mózgu. Agent próbował się na nią zamachnąć, ale jego ramię osłabło. Bez trudu je odepchnęła i sięgnęła po jego broń. Wywrócił oczami i gwałtownie pochylił się do przodu, uderzając czołem w tył przedniego fotela.

Kierowca już wyciągnął pistolet, ale Irina wychyliła się do przodu i uderzyła go otwartymi dłońmi w uszy tak mocno, że niemal zemdlał. Z łatwością wyjęła mu z ręki broń, przystawiła lufę do jego skroni i zaczęła mu wyjaśniać, gdzie pragnie być odwieziona oraz jaką drogą.

Kwadrans później kazała mu zaparkować przy krawężniku pod spalonym budynkiem. Na ulicy było pusto, bo porozbijane latarnie nie świeciły. Wszystko tonęło w cieniach. Szczekały psy, gdzieś huknął wystrzał, a zaraz potem rozległ się rechotliwy śmiech. Hałaśliwa muzyka tryskała z okna jak woda z hydrantu.

Kierowca oblizwał usta.

– Jesteś pewna, że chcesz tu wysiąść?

Irina uderzyła go kolbą pistoletu tuż za uchem, więc osunął się na bok. Przechyliła się przez nieprzytomnego agenta po prawej, otworzyła drzwi i wykopała jego ciało na chodnik.

Wysiadła, depcząc przy tym po szerokich plecach leżącego, rozejrzała się i wciągnęła powietrze, wdychając zapach sadzy i popiołu, którego wciąż było pełno w powietrzu. Na chodniku lśniły odłamki szkła; wszędzie leżały śmieci przyklepione do wielkich psich kup. Kiedyś, przed wielu laty, często tu bywała. Przywożono ją do tego budynku, z którego teraz została tylko śmierdząca skorupa. Nozdrza Iriny zadrgały. Zabawne, jak wspomnienia trzymają się pamięci. Poczwała zapach potu, tytoniu, alkoholu i znakomitej włoskiej skóry, który kojarzyła z wujaszkiem. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Zakrzuszyła się, obróciła i zwymiotowała prosto na rozciągniętego w rynsztoku agenta FSB. „Przeklęty wujaszek”, pomyślała, ocierając wargi wierzchem dłoni. W ustach czuła gryzący smak żółci, a także wspomnienie smaku tego, co wujaszek kazał jej połykać. Jego wielka ciężka dłoń najpierw spoczywała nieruchomo na jej głowie, potem przez chwilę dygotała, a on stękał. Po wszystkim ta dłoń odpychała ją w ciemny kąt mieszkania w budynku, który był jego własnością. Gdy znowu się zbliżał, szeptał jej do ucha: „To twoja wina, rozumiesz? Gdybyś nie była taka kurewsko śliczna...”. Dyszał przy tym ciężko jak przegrzany silnik. „Jeśli komuś powiesz, umrzesz ze wstydu”.

Irina zajrzała do samochodu. Wiedziała, że powinna zabić trzech agentów. Byli jak te wielkie zielone muchy, które podczas upałów nie przestają próbować ukąsić, aż człowiek w końcu łapie packę i robi z nich marmoladę. Ale był inny sposób, lepszy.

Czuła, że śledzą ją czujne oczy. Drobnymi złodziejami, mało znaczącymi handlarzami narkotyków, ludźmi od dawna cierpiącymi niedostatek i jak jeden mąż nienawidzącymi systemu, który czerpał rozkosz z miażdżenia

małuczkich na proch, zmieniania ich w blade cienie na pokrytych graffiti murach. Ciekawe, co sobie myślą, widząc wydekoltowaną suknię i satynowe szpilki godne prostytutki. I pistolet w opuszczonej dłoni. Ale to nieważne. Nie bała się. Czego miałyby się bać? Ci ludzie, niczym drapieżne zwierzęta, instynktownie wyczuwali jej prawdziwą naturę, dzikość jej duszy. Pochodziła z bogatego domu, ale miała więcej wspólnego z nimi niż ze sługusami Korsołowa.

– Wszystko w porządku! – wrzasnęła. – Ej, chłopcy, te chuje są z FSB!

Jej słowom towarzyszył tylko głuchy pogłos, ale wiedziała, że ją słyszą, że słuchają każdym nerwem i każdym mięśniem, bo gdyby ona była na ich miejscu, też by tak słuchała.

– W tej bryce jest kupa hajsu i nikt wam nie broni go wziąć! – zawołała, po czym dodała półgłosem, już do siebie: – Wesołego pierwszego maja.

Idąc szybkim krokiem w dół ulicy, słyszała nieśmiałe z początku szmery, jakby głodne szczury budziły się z niespokojnego snu. Nim doszła do przecznicy, samochód był już otoczony. Szarpiąc, targając, depcząc, kopiąc i przeklinając przez zaciśnięte zęby, odzierano trzech nieprzytomnych agentów ze wszystkiego, co mieli. Nareszcie! Słodka zemsta pariasów!

Tymczasem Irina szła dalej, pozostawiając swoje wspomnienia za barierą kolejnej fali przemocy. Czuła się wolna, oczyszczona, zuchwała. Czemu nie? Przecież dokładnie wiedziała, dokąd zmierza.

Swietłana obudziła się i ujrzała nad sobą bladą, przystojną i zatroskaną twarz Miszy.

– Gdzie... – skrzywiła się, czując ból w szczęce. W głowie jej huczało. Miała wrażenie, że jej czaszka jest trzy razy większa niż zwykle.

– W szpitalu – wyjaśnił brat. – Byłaś pijana, potknęłaś się i upadłaś. Leżałaś w swoim pokoju w hotelu. Na szczęście znalazł cię jeden z ludzi pułkownika Korsołowa.

– Tak. Na szczęście – wydusiła, mimo bólu. Chwilę potem wróciła jej pełna świadomość i spojrzała na Miszę. – Borys... – szepnęła drżąco. – Nie żyje, prawda?

– Och, Łaneczko, tak mi przykro.

Zacisnęła powieki. Nawet tak drobny ruch wywoływał ból. A może to tętnienie krwi w skroniach... Dobry Boże, jak to możliwe, że tyle się popsło w tak krótkim czasie?

– Łana...

– Nie – powiedziała ostro. – Nawet nie próbuj.

Cisza. Tylko ten nieludzki oddech, który wypełnia wszystkie szpitalne sale, i słodkawy odór choroby, starości i skutków operacji.

Otworzyła oczy. Były rozszerzone, wypełnione łzami, które wezbrały i spłynęły ku policzkom. Misza wyciągnął z pudełka chusteczkę i zaczął wycierać jej oczy. Chciała mu powiedzieć, żeby przestał, ale nie miała siły. Może zresztą tego chciała. Przecież kochała Miszę, mimo wszystko.

– Przepraszam, że tak na ciebie napadłam.

– Miałaś powód. – Misza zgniótł mokrą chusteczkę w kulkę i wrzucił ją do plastikowego kubelka. W tym pokoju chyba wszystko było z plastiku. – Ale i tak ogromnie mi przykro, Łano, naprawdę. Wiem, że go kochałaś.

Jeden kącik jej ust uniósł się w bladym półuśmiechu. Na razie nie miała energii na nic więcej.

– Nigdy nie mogłeś tego zrozumieć, prawda?

– Biorąc pod uwagę, kim on był...

– Był Borysem Iljiczem Karpowem, Misza. Masz na myśli czym był.

Misza skinął głową.

– Racja.

– Nie znałeś go, więc nie waż się go osądzać, zwłaszcza teraz.

– Przykro mi.

– Przestań się powtarzać.

– To co mam mówić?

– Gdzie mama i tato?

– Na dole. Mama oczywiście cała we łzach. Tato już wydeptał ścieżkę w linoleum. Ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli najpierw przyjdę tu sam, na wypadek gdybyś... – urwał w jakże znajomy Swietłanie sposób.

– Na wypadek gdybym nie nadawała się do oglądania, tak?

Zawahał się, ale wpatrywała się w niego znacząco, więc się poddał. Nigdy nie potrafił się jej oprzeć, kiedy wpadła w ten wojowniczy nastrój. Kiwnął głową.

– Nie wiedziałem, do jakiego stopnia poharatałaś się przy tym upadku.

– Ja nie upadłam, Misza.

– Co? Ale nam powiedzieli...

– A od kiedy ty wierzysz w to, co mówią fagasy aparatczyków?

– Ale na twoim ślubie... Znaczą się, przecież nie mieli powodu kłamać, nie?

– Nie bądź głupi. Z ich perspektywy zawsze jest powód, żeby kłamać.

Przysiadł na brzegu łóżka.

– Opowiadaj.

Oblizwała wargi.

– Daj mi wody, proszę.

Napełnił plastikowy kubek wodą z plastikowego dzbanka i przycisnął guzik, żeby podnieść wezglowie łóżka. Wypiła chciwie.

– Jeszcze? – spytał, ale potrząsnęła głową, znów krzywiąc się z bólu, więc wziął od niej kubek i odstawił na bok. – No, dalej.

Zamknęła oczy. Kręciło jej się w głowie, pokój wirował. Czuła, że się zapada. Żołądek podjechał jej do gardła i przez moment była pewna, że zwymiotuje. Gwałtownie rozwarła powieki.

– Łana! – Misza od razu zauważył, że z nią źle.

Położył jej dłoń na czole i przyglądał kosmyki włosów. Uspokajał ją tak jak kiedyś, kiedy była małą dziewczynką i czasami dostawała gorączki. Przesiadywał z nią wtedy godzinami i opowiadał jej historyjki tak idiotyczne, że pękała ze śmiechu. Teraz, patrząc na niego, po raz pierwszy zastanowiła się, czy nie wolałby wtedy grać w piłkę i rozrabiać z kolegami, zamiast siedzieć przy chorej siostrze. Zaląła ją fala czułości, jakiej nie czuła wobec brata od lat.

– Miszka... – sięgnęła i wzięła go za rękę. – Kocham cię.

Uśmiechnął się do niej tym promiennym uśmiechem, na którym w dzieciństwie zawsze mogła polegać, który ją ogrzewał i zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Teraz jednak nic nie było dobrze i może już nigdy nie będzie. Wraz ze śmiercią Borysa wszystko się zmieniło. Wszystko rozsypało się w pył. Borys był ich ostatnią nadzieją, jedyną nadzieją, a teraz go zabrakło. Ale ona, Swietłana, nie jest zupełnie bezradna. Dobrze o to zadbała.

Misza schylił się, ostrożnie pocałował ją w oba policzki, wyprostował się i zapytał:

– Co ci się stało, Łaneczko? Opowiedz, proszę.

Potrząsnęła głową, choć w jej szyi strzeliła błyskawica bólu.

– Ani mi się śni. Ty jesteś beniaminek, Misza, oczko w głowie. Tato liczy, że przejmiesz po nim firmę. Musisz zachować niewinność. Musisz być poza podejrzeniami.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– Ja jestem w tej rodzinie czarną owcą. Im mniej wiesz o moim życiu, tym lepiej.

Misza ujął jej dłoń w obie ręce.

– Nie rób mi tego, Łana. Nie wyrzucaj mnie poza nawias swojego życia.

– Ja tylko cię chronię.

– Zawsze mnie chroniłaś – rzekł z dziwną, zabarwioną żalem wdzięcznością. – Ale teraz... Jeśli to faktycznie nie był wypadek, bezwzględnie muszę wiedzieć, co się stało. Jestem twoim bratem. Powiedz mi. Doskonale wiem, że mamie i tacie nic nie powiesz.

– Misza...

– Proszę.

Więc mu powiedziała. Powiedziała mu, że porucznik Awiłow trzymał ją pod kluczem, prowokował, a w końcu jej powiedział, co z Borysem.

– A potem wziął mnie siłą.

– Potem... Łana, on cię zgwałcił?

– Powinieneś zobaczyć, co zrobiłam z jego gęby – rzuciła ponuro. – Zresztą nie, cofam to. Nie chcę, żebyś się zbliżał do tej świni ani na krok. Jest zbyt niebezpieczny. Dla ciebie jest groźny jak trucizna.

– Motyla noga!

Swietłana stłumiła uśmiech. U Miszy nawet przekleństwa były grzeczne.

– Mnie nic nie będzie, twarz się wygoi. A on bez operacji plastycznej nie będzie mógł patrzeć na siebie w lustrze.

– Zuch dziewczyna! – Misza uśmiechnął się słabo. – Ale Łana, on cię zgwałcił. Powiedz tylko słowo, a tato wniesie sprawę do sądu.

– Nie zamierzam iść z tym do sądu, Misza.

Aż się cofnął.

– Co?

Swietłana delikatnie, koniuszkami palców, pogładziła obolałą szczękę i policzek.

– Awiłow pracuje dla Timura Sawasina.

– Dla pierwszego ministra?

Misza zbladł jak kreda.

– Dla pierwszego ministra.

– Nieważne! Nieważne, dla kogo on pracuje, nie może przecież...

– No i właśnie dlatego nie chciałam, żebyś o tym wiedział. Nie masz pojęcia, jak to działa.

– Wyjaśnię sprawę tacie. My...

– Nie! – Swietłana złapała go za rękę tak mocno, że jej paznokcie pozostawiły białe łuki na jego skórze. – Zabraniam ci. Słyszysz, Misza? Nie powiesz tacie ani słowa. Wrócisz do pracy i nie zrobisz w tej sprawie absolutnie nic. – Wbiła w niego wzrok. – Obiecuj mi.

Misza zawahał się, po czym skinął głową.

– No dobrze.

– Powiedz to, Misza – rozkazała nerwowo. – Musisz powiedzieć to na głos.

– Dobrze, Łana. Obiecuję.

Rozluźniła się, odchyliła z powrotem na poduszki. Oczy same jej się zamykały.

– Tak trzeba. Bo wiesz, Awiłowa nikt nie zdoła osiągnąć, nawet tato.

Iwan Wołkin miał uśmiech lisa. Taki wyraz twarzy dało się wyćwiczyć, ale Bourne był zdania, że w jego przypadku to cecha wrodzona.

– Farciarze z nas, z ciebie i ze mnie – odezwał się Iwan.

Zdążyli wypić już pół butelki wódki, rozmawiając o Borysie, Masłowie seniorze, różnych klanach grupperowki – innymi słowy, o dawnych czasach. Śmierć Borysa wprawiła mafijnego bossa w melancholijny nastrój. Nie było sensu z tym walczyć; Bourne dał się ponieść fali wspomnień, zbierając po drodze strzępki informacji, które mogły mu się kiedyś przydać. Teraz jednak Iwan powoli wracał do rzeczywistości.

– Robimy to, co kochamy – powiedział. – To więcej, niż może o sobie powiedzieć dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości.

– Skąd wiesz, że lubię to, co robię? – spytał Bourne.

– To jasne jak sukieneczka dziewczicy – rzucił Iwan z przebiegłym uśmiechem. – Gdyby było inaczej, dawno już byś nie żył. – Popatrzył na Bourne’a i roześmiał się. – Kurwa, pijesz jak Rosjanin.

Bourne’owi po raz kolejny przypomniał się Rejkiawik.

– Borys mnie nauczył.

– No jasne – przytaknął Iwan. – To w jego stylu.

– *Alo, garaż!* Dziwnych macie znajomych.

To żartobliwe pozdrowienie widocznie rozbawiło Iwana. Bourne też obrócił głowę.

– Irina?

Nie przestając się śmiać, Iwan uniósł dłoń na powitanie.

– O, widzę, że już poznałeś moją wnuczkę, Irinę? – Pokręcił głową. – Czemu mnie to nie dziwi?

– Co ty tu robisz? – zapytał Bourne, marszcząc czoło, a Iwan gestem wskazał jej puste krzesło.

– Chodź, Irocza, siadaj pośrodku.

Bourne przysunął się do niej i patrzył, jak nalewa resztkę wódki do jego kieliszka i opróżnia go jednym haustem.

– Miałaś być w areszcie.

– Jak to w areszcie? – Krzaczaste brwi Iwana niemal zetknęły się nad nosem. – Co to ma znaczyć, Irocza? Czemu miałabyś być w areszcie?

– Obawiam się, że to przeze mnie – wyjaśnił Bourne. – Poszedłem na układ z pułkownikiem FSB. Dał mi czterdzieści osiem godzin, żebym się dowiedział, kto zabił Borysa. Inaczej zrzuci winę na twoją wnuczkę. Mówił, że zatrzyma Irinę w areszcie, żebym nie kombinował.

Z każdym jego słowem oblicze Iwana pochmurniało jak niebo przed deszczem.

– Co to za pułkownik?

– Nazywa się Korsołow.

– A czort z nim! – syknął Iwan.

– Rozumiem, że się znacie?

– Znam tego kozojebcę od lat, od kiedy był usmarkanym bachorem – mruknął Wołkin. – Sikał w łózko. Śniło mu się, że spada i się zabija, tak mi kiedyś powiedział jego ojciec. Budził się w kałuży szczyń. Pewnie nadal tak jest. – Zapatrzył się na rzekę, srebrzystą w świetle księżyca. – Ma się za mężczyznę, ale

ja wiem swoje. Wciąż jest dzieckiem, czas się dla niego zatrzymał. Borys tego nie rozumiał. Albo rozumiał aż za dobrze. Korsołowa dało się kontrolować. W życiu czasem tak bywa. W tej branży nie patrzy się na kompetencję, tylko na to, kogo można być pewnym. – Iwan wrócił spojrzeniem do Bourne’a. – Mojej wnuczce włos z głowy nie spadnie, masz moje słowo. Tobie też utrudnia życie?

– Ciągłe zagłada mi przez ramię.

– A teraz?

– Zostawiłem samochód z nadajnikiem i przyjechałem tu kradzionym motocyklem. Jestem czysty.

– Ja też. Tych trzech karków, co mieli odprowadzić mnie za kratki, nie ma już wśród żywych – rzuciła Irina.

– Sama się nimi zajęłaś? – Iwan pokręcił głową. – Nie, za mądra jesteś na to.

– Może mi powiecie, co się tu tak naprawdę dzieje? – zapytał Bourne.

Irina ciężko westchnęła.

– To potrzeba więcej wódki.

Wystarczyło, by Iwan uniósł dłoń, a przy stoliku pojawiło się kolejne wiaderko ze zmrożonym trunkiem oraz czyste szkło. Irina sama odkręciła butelkę, napełniła swój kieliszek, po czym zmieniła zdanie i przytknęła szyjkę do ust, pociągając kilka solidnych łyków. Iwan nie wydawał się poruszony, ona tymczasem odłożyła wódkę na kruszony lód, oblizwała wargi i zwróciła się do Bourne’a:

– Ojciec i starszy brat pracowali dla Iwana, oczywiście po cichu. Ale FSB się zwiedziła...

– To nie Borys zlecił nalot – dodał Wołkin. – Nie było go w kraju.

– Tak się składa, że był wtedy ze mną w Damaszku.

Iwan kiwnął głową, a Irina ciągnęła dalej:

– Pod jego nieobecność rozkaz podpisał Korsołow.

– Gdyby Borys był w Moskwie, do tej akcji by nie doszło.

Iwan nie wydawał się żywić do Borysa urazy i Bourne odniósł wrażenie, że adresatem tego komunikatu jest nie tyle on, ile Irina.

Tymczasem ona tylko wzruszyła ramionami. Trudno było zgadywać, czy wierzy w słowa dziadka. Fakt ten zdradził Bourne’owi istotną cechę jej osobowości: nie ufała nikomu, nawet własnej rodzinie. Rzadka rzecz u Rosjanki.

– Czemu mnie okłamałaś? – zapytał Bourne, wiedząc, co odpowie.

Znów wzruszyła ramionami.

– A co ja o tobie wiedziałam? – Na jej twarzy niespodziewanie pojawił się półuśmiech, mącąc jej rysy. – A teraz, proszę, ty i krysza...

Wiedział, że krysza to dosłownie „dach”, a w gwarze ulicznej przywódcy gangów oraz płacony im haracz za „ochronę”.

– Jak się poznaliście? – zapytała.

– Wiele lat temu – odparł Iwan, z udawanym zainteresowaniem przyglądając się swoim paznokciom. – Jason zabił Dimitrija.

Przez twarz Iriny przebiegła jakaś emocja, której Bourne nie był w stanie zidentyfikować.

– Poważnie? – spytała.

Nic nie znaczący zwrot, używany wtedy, kiedy z prawdziwymi uczuciami należy się kryć.

– Słowo skauta. – Iwan obrócił twarz ku Bourne’owi. – Nie tak się mówi u was w Ameryce?

– Niektórzy tak mówią – przyznał tamten.

– Ale chyba raczej nie ty.

Odniósł wrażenie, że Irina trochę się z niego nabija, ale z delikatnością matki kołyszącej niemowlę. Na jej twarzy nie było widać okrucieństwa ani drwiny. Czyżby próbowała z nim flirtować? I jaki był jej

stosunek do śmierci Dimitrija Masłowa? Było jasne, że coś ją z nim łączyło, skoro Iwan wymienił go tylko z imienia. W każdym razie nie wydawała się załamana jego nagłym zgonem. Pewnie go nie cierpiała... Czy ta wrogość była jedynie echem uczuć starego kryszy, czy też miała osobiste podłoże? Kolejna zagadka do rozwiązania.

To jednak musiało poczekać. Obecność Iriny przypomniła mu, że pora przejść do tematu, który go tu sprowadził.

– Potrzebna mi lista nazwisk, Iwanie. Lista polityków, którzy mieliby powód, chęć i możliwości, by nasłać na Borysa zabójcę.

„Tyle, że żaden z nich tego nie zrobił. To Sara” – szepnął jego wewnętrzny głos.

– Hmm. Borys żył długo i intensywnie, co w Rosji oznacza głównie tyle, że narobił sobie wielu wrogów. Ale większość z nich bałaby się wykonać jakiś ruch.

– Osoba, której szukamy – dodał Bourne – jest maniackalnym zabójcą i fanatykiem religijnym.

Ta uwaga wywołała gromki śmiech.

– Fanatyk religijny? W Rosji? Żarty sobie stroisz, Jasonie?

– Mówię zupełnie poważnie. A w tym przypadku definicja fanatyka religijnego jest bardzo szeroka. Nasz człowiek może równie dobrze być ukrytym chrześcijaninem, jak i osobą, która żywi głęboką nienawiść do zinstytucjonalizowanej religii.

– Psycholi w polityce nie brakuje, a już na pewno nie w Rosji. – Wołkin postukał się palcem w brodę.

– Daj mi kilka godzin. Zastanowię się i sporządzę listę, chociaż nie na wiele ci się przyda.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Szukasz nie tam, gdzie powinieneś. Z dobrego źródła wiem, że za śmierć Borysa nie odpowiada Rosjanin. Wydaje się, że zabił go Iwan Borz.

– Borz?

– Znasz go?

– Ściagałem go od zachodniego Pakistanu aż po Singapur. Załatwiłem dwóch ludzi, którzy się za niego podawali. Wszystko mistyfikacja.

Iwan założył nogę na nogę.

– Niezbyt mnie to dziwi. Pozwól, że to i owo ci wyjaśnię. Bardzo niedawno Borys pojechał do Kairu. Na ściśle tajną akcję, tak tajną, że chyba nie wiedzieli o niej nawet Samowładca i pierwszy minister.

– Chodziło o Borza?

Iwan potwierdził skinieniem głowy.

– Poprzysiągł dorwać tego skurwiela. Nikomu się nie udało do niego zbliżyć, nikt nawet nie wie, jak facet wygląda. Wszędzie poinstalował swoich dublerów, sam się przekonał. Ale Borys zdobył informację, która wydała mu się autentyczna. Doniesiono mu, że Borz jest Czeczenem i że zorganizował sobie bazę w Kairze.

– Czeczenem? – zdziwił się Bourne. – To nie brzmi prawdopodobnie.

– Właśnie dlatego Borys uznał, że to może być prawda. – Iwan rozłożył ręce. – Bo kto by go szukał w Kairze? To śmierdzący zwierzyniec, do tego gorąco tam jak w piekle.

– Masz jakikolwiek dowód na to, że Borz był dziś w Moskwie?

– Nawet jeśli był, pewnie już dawno wyjechał – mruknął Iwan. – Będę pytał, ale muszę powiedzieć, że taka swołocz jak on raczej nie pojawia się na radarze moich kumpli. Oni nie handlują z Czeczenami ani ich nie zatrudniają. Raczej na dzień dobry serwują im kulkę w łeb.

Andriej Awiłow obudził się w środku nocy w przestronnym, wytwornym pokoju, urządzonym ewidentnie kobiecą ręką. Zza firanek mógł dostrzec oświetlone czubki jodeł. Dopiero po dłuższej chwili się zorientował, że jest w prywatnej klinice ufundowanej przez Samowładcę i nadzorowanej przez samego Timura Sawasina. Nic dziwnego, że wystrój był tak cukierkowy – pacjentkami były zwykle ich porzucone kochanki, którym fundowano najwyższej klasy operacje plastyczne, mające rzekomo osłodzić tym młodym dziewczynom gorycz rozstania. Awiłow uznał, że przerób musi być niezły, skoro klinika zatrudnia na stałe aż troje chirurgów.

Lewa strona jego twarzy nadal bolała, jakby zdarło z niej skórę dzikie zwierzę. Skonstatował cierpko, że nie jest to dalekie od prawdy. Jak przez mgłę przypominał sobie krótką rozmowę z chirurgiem plastycznym. Kiedy się okazało, że to kobieta, chciał się wycofać, nawet gdy w jej bystrych oczach dostrzegł swoje odbicie. Nie miał ochoty zadawać się z kolejną, ale nie miał wyboru. Rozkaz wyszedł od samego Timura Sawasina. Teraz, kilka godzin po operacji, żałował, że w pokoju nie ma lustra.

– Bez obaw – powiedziała wtedy doktor Nowa. – Lewe oko będzie wyglądać jak dawniej. Gdyby zabrali cię do któregośkolwiek szpitala wewnątrz Pierścienia Sadowego, na pewno skończyłbyś z opadającą powieką i łzawiłoby do końca życia. Musiałbyś przez cały czas je wycierać, zwłaszcza na wietrze. – Jeśli liczyła na jego wdzięczność, musiała być rozczarowana. Minę miał kwaśną jak niedojrzałe wiśnie. – Rozchmurz się, Andriej – dodała z uśmiechem, który wydał mu się sztuczny. – Wyjdiesz z tego niemal bez szwanku.

Denerwowało go, że tak bezceremonialnie zwraca się do niego po imieniu.

– Zostaną blizny?

– Na początku tak. – Wzruszyła ramionami. – A później, kto wie? Wszystko zależy od elastyczności skóry i mięśni. – Znowu posłała mu ten uśmiech. – Kobietom zawsze możesz mówić, że to blizna z pojedynku. Same będą się pchały do twojego łóżka.

Nie chciał już dłużej leżeć otumaniony resztkami środków znieczulających, uniósł się więc w pościeli i zamarł, czując przenikliwy ból, jakby we wnętrzu jego czaski przetaczały się piłeczki pingpongowe. Przed oczami zatańczyły mu czarne plamy; zamrugał, zmuszając wzrok do posłuszeństwa. Upił łyk wody i przytrzymał w ustach kostkę lodu, czekając, aż chłód uśmierzy ból.

– Pewnie chcesz się zobaczyć w lustrze? – Obrócił się na dźwięk jej głosu.

Doktor Nowa. Nie zorientował się, kiedy weszła. Jeszcze jeden dowód na to, że wciąż jest otumaniony.

– Mówiłem chyba, że chcę tylko znieczulenie miejscowe?

– Nic takiego nie słyszałam – ucięła i przystanęła przy krawędzi łóżka.

Awiłow odniósł wrażenie, że ani trochę się go nie boi, a to mu się nie podobało.

– Teraz muszę wypłukać z systemu wszystko, czym żeście mnie nafaszerowali.

Doktor Nowa była ciemnoką brunetką o ostrym nosie i mocno zarysowanej szczęce. Ta surowość przydawała jej wzrostu.

– I co zamierzasz zrobić, Andriej? Naskarżysz na mnie tatusiowi?

Zgrzytnął zębami, słysząc jej śmiech, co biorąc pod uwagę jego stan, było błędem. Walczył, by nie skrzywić się z bólu, ale przegrał.

Usta miała szerokie i pełne jak dojrzałe owoce.

– Pogódź się z faktem, że jesteś tylko człowiekiem.

Pomyślał ponuro, że ta dziwka Swietłana Nowaczenko twierdziła coś zupełnie innego.

– Nie żywiesz zbyt wiele szacunku dla kobiet, prawda? – Znów ten jej śmiech: niski, znaczący, prawie męski. – Nic nie szkodzi. Znam wielu takich.

Powiedziała to z wyraźną pogardą, a on poczuł ukłucie paniki na myśl, że utknął w jej klinice.

– Zabieram się stąd – rzucił, zsuwając nogi na ziemię.

– Nic z tych rzeczy. – Uścisk ręki na jego ramieniu był wyjątkowo mocny. – Jesteś pod moją opieką, Andriej. Rozkazy z samej góry.

Wiedział, co to oznacza. Sawasin bez wątpienia usłyszał o incydencie w hotelu, a raport był zapewne okraszony jadem pułkownika Korsołowa albo któregoś z jego obrzydliwych klakierów. Awiłow przeklinał dzień, w którym znalazł się sam na sam ze Swietłaną Nowaczenko. Czyżby Borys Karpow mścił się z za grobu? Zdławił tę myśl natychmiast, zły, że w ogóle pojawiła się w jego głowie.

– Pora zmienić opatrunek – rzekła tymczasem doktor Nowa. – Daj mi chwilę, zaraz wracam.

Weszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Szpitalna sala wydała się Awiłowowi podobna do mechanizmu zegarka albo pacjenta na stole operacyjnym, rozprutego tak, że widać wnętrze. Zerknął na drzwi łazienki, zauważając, że nie zamknęły się do końca. Przesunął się na łóżku, by móc zajrzeć do środka. Przez wąską szczelinę zobaczył jej ciało, niczym w filmie pornograficznym. Zadarła spódnice aż do pasa, odsłaniając jasne nogi. W polu widzenia miał jedno z jej ud, połyskujące, masywne i umięśnione, znikające w zacienionym wąwozie niespełnionych obietnic.

Patrzył, jak unosi się lekko i wyciera. Nie potrafił oderwać oczu od zmysłowej wyspy splątanych włosów, czarnych jak noc. Rozsunęła nogi, pochylając się i lekko wypychając miednicę do przodu. Gdyby wiedziała, że ją obserwuje, byłby pewien, że robi to specjalnie, lecz to zaproszenie było tylko wymysłem jego rozgorączkowanej wyobraźni.

Skończyła. Usłyszał, że odkręca wodę w umywalce. Wychodząc, przybrała dokładnie ten wyraz twarzy, jakim go pożegnała. Podeszła do jego łóżka i zapytała:

– Gotowy? – Uniosła ręce, czyste i zaróżowione od szorowania. – Może zabołec, ale tylko trochę.

Awiłow poczuł dreszcz po wewnętrznej stronie ud. Kiedy się nad nim pochyliła, bezwiednie wciągnął powietrze. Pachniała piżmem i gardeniami.

– Co to za perfumy? – zapytał.

Boleśnie świadomy swojej erekcji, z wysiłkiem starał się oddychać normalnie.

– Nie używam perfum.

Zamknął oczy, odurzony jej zapachem. Mocniej podkurczył kolana.

– Nie ruszaj się, proszę.

Był już twardy jak skała.

– Nie mogła tego zrobić pielęgniarka? – zapytał, czując na skórze jej chłodne place, a potem zimny metal nożyczek chirurgicznych.

– Lubię podziwiać własną pracę. – Zajęta opatrunkiem, nie mogła się śmiać, więc tylko wykrzywiła się impertynencko. – Zapewne rozumiesz tę potrzebę, Andriej.

Gwałtownie otworzył oczy, czując ukłucie bólu.

– Wolałbym, żeby się pani do mnie zwracała, używając stopnia wojskowego.

– A ja wolałabym w ogóle się tobą nie zajmować, Andriej, ale każdy z nas musi dźwigać swój krzyż.

Zdjęła ostatnią warstwę opatrunku i odsunęła się o krok.

– Gotowe.

– I jak to wygląda?

Dopiero kiedy wyszła, pomyślał, że zabrzmiało to bardzo dziecinnie. Doktor Nowa opanowała jego umysł i ciało.

– Nie – rzuciła Irina, kiedy wrócili do jej rezydencji. – Nie zapalaj światła.

– Boisz się, że FSB obserwuje teren? – zapytał Bourne.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, wyeliminowałeś ten problem. Po prostu... – Stali blisko siebie, więc raczej poczuł niż zobaczył, że wzrusza ramionami. – Czasami zwyczajnie wolę siedzieć w ciemności.

„Idealnie – pomyślał Bourne. – To moje naturalne środowisko”.

Poruszyła się, a on dostrzegł błysk w jej oczach. Oświetlające dom reflektory przebijały przez firanki, obrysowując na ścianie jej profil. Spodziewał się, że swoim zwyczajem ujmie go pod ramię, lecz ona ruszyła w kierunku ociekających marmurem i złotem schodów.

– Pora spać – powiedziała, a on nie zaprotestował.

Jednak jakąś godzinę później, kiedy Irina była już w łóżku, wysunął się ze swojej sypialni i boso poszedł po łukowato zakręcających schodach do pokoju, który służył kiedyś za gabinet jej ojca. W środku pachniało dymem z cygara, skórzanymi okładkami książek i wełną dywanu.

Tymczasem piętro wyżej Irina rozmawiała przez telefon z Aleksandrem.

– Jest tu ze mną – szepnęła.

– A co z monetą?

– Cierpliwości, kochany.

– Cierpliwość nie jest moją mocną stroną.

Zaśmiała się uwodzicielsko.

– Ależ jest, tam gdzie to się najbardziej liczy. – Leżała oparta o stertę poduszek, z jedną ręką nad głową. – Nie martw się. To typ człowieka, którego nie należy poganiać. Na wszystko patrzy podejrzliwie. Muszę działać powoli i bardzo ostrożnie. Jak już ustaliliśmy, niełatwo będzie zdobyć jego zaufanie.

– Jeśli będziesz działać za wolno – stwierdził jej brat – nigdy nie poznasz tajemnicy tej monety.

– Bez Bourne’a i tak niczego byśmy się nie dowiedzieli, a ja mam w zanadrzu parę sztuczek. Jeszcze się do mnie przekonaj, zobaczysz.

– A kiedy cię zobaczę? Umieram z...

– Nie teraz, kochany. – Wstała z łóżka. Nadal miała na sobie wieczorową suknię. – Pora obejrzeć, co jest do obejrzenia.

– Informuj mnie na bieżąco.

– Jak zawsze.

– Gdziekolwiek będziesz – wyszeptał Aleksandr – moje serce będzie z tobą.

Zamknawszy za sobą ciężkie drewniane drzwi, Bourne przeszedł po perskim dywanie i usiadł przy

biurku. Staroświeckie krzesło obrotowe skrzyknęło leciutko. Zapalił lampkę i zaczął szperać w szufladach w poszukiwaniu szkła powiększającego. Nie zawiódł się. Położył lupę na podkładce z grubego sukna, po czym wyjął z kieszeni gwiazdę Dawida. Może się pomylił, może wcale nie miała ułamanego rogu? Może to jednak nie gwiazda Sary? Położył ją w plamie światła na czystej kartce papieru i popatrzył na nią przez szkło powiększające.

Natychmiast rozwiały się jego złudzenia. Uszkodzenie było wyraźne. Widział je już wcześniej, ostatnim razem, kiedy byli z Sarą w Jerozolimie. Włożył gwiazdę do kieszeni i wyciągnął rzymską monetę.

„Pilnie musimy pogadać” – powiedział Borys, kiedy się witali. Czyżby spodziewał się, że osiągnie go śmierć? Czy to dlatego przekazał mu monetę – na wypadek, gdyby nie udało mu się osobiście opowiedzieć Bourne’owi o tej pilnej sprawie?

Obejrzał metalowy krążek przez lupę, obracając go na wszystkie strony. Żeby znaleźć to, czego szukał, musiał przysunąć go bliżej soczewki. Nie pomylił się: przez grzbiet biegła szczelina, nie szersza niż włos. A zatem fałszywka, ale znakomicie wykonana. Co takiego Borys ukrył w środku?

Już się zabierał do otwierania monety, kiedy drzwi otworzyły się szeroko. Irina.

– Też nie mogłam zasnąć.

Lampka na biurku oświetlała tylko jej nogi, twarz pozostała w cieniu. Schodząc z piętra, nie zapaliła żadnego światła, zresztą nie było takiej potrzeby. Słońce już wstało, a jego blask przesączał się przez ciężkie zasłony, rozlewając się na podłodze niczym płynna rtęć.

– Mogę spytać, co robisz? – odezwała się, obchodząc biurko i stając nad jego lewym ramieniem.

Uniósł monetę.

– Autentyczna. Dupondius, o nominale dwóch funtów rzymskich, wybita po dwudziestym piątym roku przed naszą erą.

– Bardzo stara.

– Tak jest.

– Tak jak stwierdziłeś wcześniej.

Przyglądał się, jak wyjmuje mu z palców monetę i zaczyna ją toczyć po stole.

– To zapytam znów: czemu generał ci ją przysłał?

– Nadal nie mam pojęcia.

Spojrzała na niego szybko.

– Jak to możliwe?

Bourne westchnął.

– Mówiłem ci już, że kiedy Borys opowiadał o naszej przyjaźni, wierzyłem mu na słowo. Pamiętasz?

Przytaknęła.

– Wiele lat temu postrzelono mnie w Marsylii. Wpadłem do morza, straciłem przytomność. Zginąłbym, ale rybacy wyciągnęli mnie z wody, a lekarze walczyli o moje życie. Jednak pamięci zwrócić mi nie mogli. Straciłem wszystkie wspomnienia sprzed tego incydentu. Myślę, że wśród nich była informacja o znaczeniu tej monety.

Odebrał od niej brązowy krążek. Za bardzo był cenny, by pozostawiać go w obcych rękach tak długo. Odłożył monetę i szkło powiększające, wyłączył lampkę.

Przez szczelinę między zasłonami przesączało się słońce. Nowy dzień przyniósł nową zagadkę.

- Dlaczego nie zapytałeś Iwana, czy ta moneta coś mu mówi? – odezwała się Irina.
- Skąd wiesz, że nie zapytałem? – zapytał Bourne, a nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Czekałem, aż ty zadasz to pytanie. Czemu tego nie zrobiłaś?
- Chyba się domyślasz.
- Dlaczego nie chcesz, żeby wiedział o monecie?
- Westchnęła ciężko.
- Ponieważ by mi ją zabrał, tak jak zabiera wszystko. – Rzuciła Bourne’owi harde spojrzenie. – On myśli, że mi w ten sposób pomaga, ułatwia życie. – Zaczęła kreślić palcem koła na czeczotowym blacie biurka. – Niepotrzebna mi taka pomoc ani od niego, ani od nikogo innego.
- Czyli ode mnie – zauważył Bourne, podnosząc się z fotela.
- Wytrzymała jego spojrzenie.
- Chyba że sama proszę. Wtedy to zupełnie inna sprawa.
- Pokiwał głową.
- To dozwolona taktyka.
- Skrzywiła się z dezaprobatą.
- Podobno w miłości i na wojnie wszystkie chwytby są dozwolone. Ten, kto to powiedział, na pewno nie czytał Tołstoja.
- Ani żadnego innego rosyjskiego powieściopisarza.
- Racja – przyznała z cierpkim uśmiechem. – My, Rosjanie, nie przepadamy za szczęśliwymi zakończeniami. Za rzadko widzujemy je w życiu. Nadziejemy się człowiek nie naje.
- „To zabawne – pomyślał Bourne – słyszeć takie proletariackie hasła z ust dziedziczki ogromnej fortuny”. Zdążył się już jednak zorientować, że Irina różniła się od pozostałych członków jej rodziny. Skąd wzięły się w niej tak głębokie pokłady gniewu i silna potrzeba niezależności?
- Irina przyglądała mu się z zagadkowym wyrazem twarzy.
- O czym myślisz?
- Zastanawiam się nad teorią Iwana na temat tego, kto zabił Karpowa.
- Wszystko, o czym mówił Iwan, to poszlaki. Dopóki nie ustalimy, czy Borz rzeczywiście jest w Moskwie albo był do zeszłego wieczoru, niczego nie możemy być pewni.
- Niemniej to trzyma się kupy – odparł Bourne. – Generał Karpow wziął Borza pod lupę. Jeśli dowiedział się czegoś istotnego, Borz na pewno chciałby się go pozbyć.
- Skoro generał został zamordowany, tym bardziej powinieneś się zajmować tajemnicą monety, ale jakoś cię to nie interesuje. Czemu?
- Już ci to powiedziałem.
- Czyli?
- Chodzi o Borza – przyznał Bourne. – Tak naprawdę to z jego powodu tu jestem. Przyjechałem go znaleźć.
- I zabić.
- Tak.
- Dlaczego?

– To terrorysta, który wiecznie ukrywa się w cieniu i płaci ludziom, żeby się za niego podawali. Czy potrzebny mi lepszy powód?

Popatrzyła na niego poważnie.

– Takiemu człowiekowi jak ty? Raczej tak.

Bourne zawahał się przez moment. Zrobiłby błąd, lekceważąc tę kobietę. Nie ufał jej, ale podziwiał jej spryt i intelekt.

– Borz stał za intrygą, która miała mnie zmusić do zabicia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Porwał moją przyjaciółkę i jej dwuletnią córkę, żebym na pewno wykonał zadanie.

– A mimo to prezydentowi nic się nie stało.

Bourne uśmiechnął się.

– Dwóch Borzów załatwionych, został jeden.

– Inaczej wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze.

– I cóż za bestia pełźnie w stronę Betlejem⁷.

– Iwan Borz, demon, którego William Butler Yeats raczej nie znał osobiście.

– Ale chyba przewidział jego nadejście.

Od powrotu z Singapuru, gdzie kilka miesięcy temu prowadził poszukiwania, Bourne słyszał z rozmaitych źródeł plotki o błyskawicznym awansie Borza. Wydawało się, że praktycznie z dnia na dzień przekwalifikował się z handlarza bronią na rekrutera na usługach ISIS. Dla Bourne'a nie miało to żadnego sensu. Dlaczego wyrachowany biznesmen jego pokroju miałby się angażować w werbowanie terrorystów, kosztowny i czasochłonny proceder, który nie obiecywał wysokich zysków? Wiedział, że brakuje mu jakiegoś skrawka informacji.

Jednocześnie próbował rozgryźć, kim tak naprawdę jest Irina. Coraz wyraźniej dostrzegał, że tym, czego od niego chce, jest moneta Borysa. Dlaczego? Co to oznacza? I czemu z każdą chwilą rosły jego podejrzenia, że kwestie Borza i Iriny są ze sobą powiązane?

Zawisło między nimi osobliwe milczenie, jak rozwiewana wiatrem kurtyna, co jakiś czas ukazująca fragment obrazu. Przez nią zobaczyli się nawzajem w innym świetle. Coś w zachowaniu Iriny przypominało mu Sarę – albo Rebekę, bo tak brzmiał pseudonim, który nosiła w Kidonie, i to właśnie tym imieniem przedstawiła mu się w samolocie do Damaszku. Od tego czasu raz ją widział umierającą, drugi raz martwą, na tylnym siedzeniu taksówki w stolicy Meksyku. Za każdym razem udało jej się oszukać śmierć. Chociaż od dawna nie miał z nią kontaktu, czuł, że ich cienie zlewają się ze sobą. Ciągnęła ich do siebie potężna siła, współdzielony smutek, który zniknął tylko wtedy, kiedy byli razem. Przy niej odczuwał spokój tak całkowity i tak mu obcy, że wydawał się zakazanym owocem, którego nie był godzien. Uczucie to zdawało mu się kruche, nieuchwytnie jak szept na wypełnionym po brzegi stadionie. Może podobieństwo między Sarą i Iriną opierało się na tym, że obie były pełne sekretów. Dwie zagadki, które nie chciały dać się rozwiązać.

Jednak w przypadku Iriny zagadka miała kwaśny posmak ryzyka. Bourne widział w niej klucz do jakiejś mrocznej tragedii, której jeszcze nie był w stanie rozszyfrować. I chociaż widział, że próbuje go wykorzystać, pozwalał się prowadzić coraz głębiej, by zrozumieć nie tylko to, jaką prowadzi grę, ale także to, kto pociąga za sznurki.

– Cóż... – odezwała się Irina, przerywając strumień jego myśli. – Powinnam przynajmniej ci pomóc.

Znowu ta aura tajemnicy, matrioszka złożona z sekretów.

– Masz jakiś pomysł?

Skinęła głową.

– Mam. I to taki, o którym Iwan nic nie wie.

Kiedy zaczęło świtać, kapitan Pankin postanowił zrobić sobie przerwę i zejść trzy piętra niżej do stołówki w gmachu FSB. Bufet wyglądał obskurnie, nawet jak na rosyjskie standardy. Wszystko było zniszczone i szare. Nawet laminowane stoliki i plastikowe krzesła wyglądały tak, jakby wstydyły się pokazać w takim miejscu. Przychodzili tu tylko niżsi stopniem oficerowie FSB, proletariat. Równi i wyżsi Pankinowi rangą stołowali się na mieście. Federalna Służba Bezpieczeństwa była instytucją wysoce hierarchiczną.

Pankin miał zapuchnięte oczy, bo od wielu godzin wpatrywał się w ekran komputera, próbując zdobyć jakiegokolwiek nowe informacje o dwójce mężczyzn zamordowanych pod mostem Wielkim Kamiennym. Nic nie znalazł. Potrzebował zastrzyku energii, chociaż był coraz bardziej przekonany, że jego trud pójdzie na marne. Biorąc tacę, która wyglądała jak nie myta od wielu miesięcy, pomyślał, że w takich chwilach nienawidzi pracy w FSB i w ogóle Rosji. Poziomy biurokracji, przez które musiał się przedzierać, wysysały życie z nieśmiertelnej duszy. Z drugiej strony w FSB człowiek szybko się uczył, że duszę należy zesłać na Syberię na czas nieokreślony. „Jestem jak więzień gułagu” – skonstatował smętnie, nakładając szarą breję do szarego talerza. Powiódł wzrokiem po wielkiej sali i grupkach młodych mężczyzn pochylonych nad śniadaniem. „Wszyscy ich przypominamy. Robotnicy Federacji, łączcie się” – pomyślał z przekąsem, dobrze wiedząc, że naród rosyjski nie pragnie już rewolucji. Cała czerwień wypłynęła z niego razem z krwią.

Przez zakratowane okienka we wschodniej ścianie sączyło się blade światło poranka, potęgując skojarzenia z więzieniem. Pankin nalał sobie kawy, dodał śmietanki i zdecydowanie za dużo cukru, po czym usiadł przy jednym ze stolików. Bez entuzjazmu popatrzył w swój talerz i pociągnął łyk kawy. Smakowała, jakby zaraz miała wyžreć mu żołądek.

„Powinienem być pójść do jakiejś kawiarni – pomyślał – zjeść coś porządnego, a nie to żarcie dla psów”. Już miał wprowadzić tę myśl w czyn, gdy przy sąsiednim stoliku dostrzegł Piotra, jednego z młodych informatyków. Pracował tu od niedawna, zatrudniony przez generała Karpowa, który miał nadzieję zmodernizować sprzęt FSB, lecz jego inicjatywa rozbiła się o mur skostniałych konserwatystów. Na stoliku przed Piotrem leżał niedojedzony kawałek nieapetycznie wyglądającego ciasta i laptop, rzucający niebieskawe światło na przyszczatą twarz informatyka. Na ekranie było widać twarz, której rysy zmieniały się płynnie, od zdjęcia Piotra po coraz dziwniejsze hybrydy.

– Panie Piotrze, co wy tu robicie? – zapytał Pankin.

Informatyk poskoczył jak rażony prądem i z trzaskiem zamknął laptop.

– A nic, kapitanie – wydyszał.

– Dla was panie kapitanie, młody. – Pankin roześmiał się, zapominając na chwilę o swojej frustracji, a widząc przerażenie na twarzy agenta, dodał: – Spokojnie, panie Piotrze. To był żart.

– A, oczywiście.

Biedaczysko, nie był w stanie spojrzeć przełożonemu w oczy, tymczasem Pankin przysunął się z ciekawiony.

– Naprawdę chcę zobaczyć, co robicie – machnął ręką. – Nieoficjalnie.

Piotr odetchnął głęboko i otworzył laptop. Na ekranie znów pojawiła się twarz.

– Wymyśliliśmy sobie zabawę, ja i kilku kolegów. Dobieramy się w pary i każdy wrzuca w system jedno selfie, a potem zmieniamy jeden element w twarzy tego drugiego. Kiedy skończymy, reszta musi zgadnąć, czyje to było zdjęcie. – Wzruszył ramionami. – To pewnie brzmi idiotycznie...

– Dla takiego starucha jak ja? – mruknął Pankin.

– Nie, nie to chciałem powiedzieć... – Policzki i szyja Piotra zrobiły się karmazynowe. – Chciałem

tylko...

– Dobra, dobra, nieważne. – Pankin wstał i przysunął się z krzesłem. Chłopak wydawał się tym podenerwowany. – Jak to działa?

Piotr wydał z siebie ledwo słyszalne westchnienie ulgi.

– To dosyć proste. – Jego palce zatańczyły na klawiaturze, modyfikując rysy twarzy na ekranie tak szybko, że oko Pankina nie nadążało za tempem zmian. – Program jest oparty o nasz system rozpoznawania twarzy.

System rozpoznawania twarzy? W głowie Pankina zapaliło się światełko.

– A dobry on jest?

– Ten system? Koszmarny, lata świetlne do tyłu – skwitował Piotr. – W porównaniu do Amerykanów albo Interpolu nasza baza jest żalosna. Nie dałoby się zidentyfikować nawet siostrzenicy Samowładcy.

Pankin poczuł w żyłach falę adrenaliny. Może zdjęcia ofiar wczorajszego zabójstwa dałoby się znaleźć w bazach Amerykanów albo Interpolu?

– Co trzeba zrobić, żeby ulepszyć ten system?

– Nie da się – rzucił Piotr.

– Jakoś musi się dać.

Informatyk wzruszył ramionami.

– Miejże litość, człowieku...

Piotr wreszcie się zorientował, że w grę wchodzi jakaś pilna sprawa, i że może na tym skorzystać.

– Jak już mówiłem, trzeba by było mieć dostęp do oprogramowania Amerykanów i Interpolu, a my go nie mamy.

– Ale sposób istnieje.

– Oficjalnie nie. Więc dla mnie wiązałoby się to z ogromnym ryzykiem – rzucił Piotr.

Pankin na moment przymknął oczy.

– To czego chcecie?

– Chcę zostać szefem nowego działu IT, i chcę, żeby dostał on odpowiednie dofinansowanie.

– I co jeszcze? Noc z Emmą Stone i akt własności Księżyca?

Piotr zachichotał.

– Panie kapitanie... Czy nie lepiej byłoby, gdybym na przyszłość nie musiał włamywać się na zagraniczne serwery, żeby odwalić za pana robotę?

Pankin znał odpowiedź na to pytanie, ale na razie postanowił dać Piotrowi nauczkę.

– Mógłbym też pociągnąć was do odpowiedzialności za niewłaściwe wykorzystywanie oprogramowania – powiedział.

Młodzik natychmiast zmienił się na twarzy.

– Ale mówiliście, że to nieoficjalna rozmowa...

– Naucz się, syneczku, że w FSB nic nigdy nie jest w pełni nieoficjalne. – Pankin odchrząknął i ciągnął dalej: – Ale macie rację, szczególnie jeśli ten program potwierdzi moje podejrzenia, że zamordowani nie byli tymi, za których się podawali. – Westchnął, zastanawiając się, jakich argumentów użyje, by przekonać Korsułowa. – Na czyje serwery będziecie się włamywać?

– Będzie mi do tego potrzebna... hm... nieoficjalna pomoc.

– Pieniądze to nie problem – rzucił Pankin. Wiedział, że to nieprawda, postanowił jednak na razie się tym nie przejmować. – Ponawiam pytanie. Amerykański rząd czy Interpol?

– Ani jedno, ani drugie – odrzekł Piotr. – Spodoba się wam... – Potrząsał głową, wyraźnie podekscytowany. – Będziemy wiercić na chińskich serwerach. Te dupki z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej zhakowały praktycznie każdą istotną bazę danych na świecie. Są w tym rewelacyjni, ale

mój kolega twierdzi, że ich własne firewalle są dziurawe jak sito.

– Wierzycie mu?

– Kapitanie, to mój mentor. Jeśli chodzi o komputery, wyprzedza wszystkich o kilometr.

– Pewnie jest w moim wieku?

– Nie. Ma piętnaście lat.

Pułkownik Korsołow bezwiednie przygryzał dolną wargę, przerabiając ją zębami na mięso mielone. Z zamyślenia wyrwał go dopiero terkot motocykla, na którym przyjechał kurier z FSB. Bladożółte słońce uparcie próbowało przebić się przez nisko wiszące chmury. Korsołow stał na chodniku przed wypaloną skorupą budynku, który mieścił ciąg ruder tak nędznych, że jego zdaniem mogli tu mieszkać tylko Czeczeni. U stóp miał zmasakrowane ciała trzech strażników, którzy z jego polecenia mieli odwieźć Irinę do aresztu. Leżeli w rynsztoku, tuż przy szerniałym szkielecie terenowej skody.

– Proszę popatrzeć – odezwał się Korsołow do kuriera, gestem wskazując wnętrze samochodu. – Widzieliście kiedyś taką profanację? Świeże kupsko na podłodze, na znak, w jakim poważaniu mają prawo i porządek.

Kurier obrzucił zwłoki przerażonym spojrzeniem.

– To nasi ludzie! Co tu się stało, pułkowniku?

– Co się stało? – Korsołow obrócił się gwałtownie, czerwieniąc z gniewu. – Dopadła ich własna głupota, ot co! – Uniósł dłoń, lecz po chwili ją opuścił. – W naszym fachu nie ma co żałować idiotów.

– Ale niech pan na nich popatrzy...

– Rozszarpały ich wilki. Powiedzcie lepiej, co robicie w tej zaszrannej dziurze. Ja muszę tu tkwić, przynajmniej na razie, ale wy...

Kurier wyciągnął z torby brązową kopertę.

– Raport balistyczny dotyczący broni, której użyto podczas masakry pod mostem.

– Tak się teraz mówi o tym incydencie? Doczekał się zgrabnej nazwy?

Kurier wyraźnie się spłoszył.

– Nazywamy to tak tylko między sobą, panie pułkowniku.

– Co to ma być? Ameryka? – Korsołow rozdarł kopertę. – Zaraz się to ukróci...

Goniec nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, czym się naraził, ale bardzo chciał zatrzeć złe wrażenie.

– Jedna z broni użytych podczas strzelaniny została znaleziona w rzece, mniej niż sto metrów od mostu. Makarow. Rysy świadczą o tym, że pistolet ma swoje lata i często był używany. Wystrzelono z niego kulę, która dosięgła pierwszą ofiarę.

– A drugiej nie?

– Nie, panie pułkowniku. Drugiego mężczyznę zastrzelono z glocka.

– I co dalej?

– Przeczesałmy teren, zbagrowaliśmy dno. Ani śladu broni.

Korsołow smętnie pokiwał głową. Uznał, że szklanka pełna w połowie jest lepsza niż nic.

– Makarowa pewnie kupiono na miejscu, na czarnym rynku. – Przejechał palcem po druku, udając, że czyta, chwilowo jednak nie miał na to siły, więc z wdzięcznością przyjął streszczenie. Oczywiście, nie zamierzał się z tego zwierzać kurierowi. Był zły na wszystkich pracowników swojego departamentu, nawet nieszczęśników, którym kazano szorować toalety o trzeciej nad ranem. Przelotnie rozżłościł się nawet na trzech martwych funkcjonariuszy leżących na chodniku. Czułby się odrobinę lepiej, mogąc przydzielić im służbę w kiblu.

Dotarł do końca raportu. Nie było tego dużo.

- Czemu tu jeszcze stoicie z rozdziawioną gębą?
- Jest jeszcze wiadomość od kapitana Pankina.
- No to na co czekacie? – Korsołow wyciągnął rękę. – Dawajcie ją tu.
- Nie jest na piśmie, panie pułkowniku.

Wzbudziło to ciekawość Korsołowa i Pankinowi zapewne o to chodziło. Tymczasem z sąsiednich budynków wysypali się funkcjonariusze. Wracali sami; nikogo nie znaleźli. Cóż za niespodzianka.

– Mówcie więc.

– Kapitan Pankin jest w posiadaniu tego makarowa. Chce się z panem spotkać pod tym adresem, kiedy pan tylko będzie mógł.

Kurier, wyrecytował adres, który podał mu kapitan.

– Każda wymówka jest dobra, żeby pomachać na pożegnanie tej śmierdzącej norze, ale czemu, u diabła, miałbym tam jechać? Pankin wyjaśnił, po co chce się spotkać?

– Tak jest. Powiedział, że namierzył człowieka, który sprzedał broń sprawcy masakry... – Kurier głośno przełknął ślinę. – Sprawcy incydentu.

– Jednemu ze sprawców. Dwa pistolety, dwóch zabójców.

Korsołow musiał przyznać, że to dobra wiadomość. I pomyśleć, że zastała go właśnie tu, stojącego po kostki w gównie.

Odprawiwszy kuriera, skinął na dowódcę brygady. Widząc, że tamten zamierza złożyć raport, rzucił:

– Nie kłopotcie się. – Uniósł trzy palce. – Trzech martwych towarzyszy. Trzy kwadraty ulic. Macie je zrównać z ziemią, poczynając od tego. Weźcie granaty i miotacze ognia, cokolwiek uznacie za konieczne. Kiedy te ścierwa wrócą do domu, cały ten chłam, który zdobyli lub ukradli, będzie równie przydatny jak ta nasza skoda.

Mik nie należał do ludzi, których chciałoby się spotkać w ciemnej uliczce. W innych okolicznościach zresztą też nie. Teraz jednak Bourne nie dbał o okoliczności. Przyszła pora, by rozprawić się z Iwanem Borzem.

Mężczyzna, do którego przyprowadziła ich Irina, przypominał małopoluda – miał przygarbione plecy, długie ręce i niskie czoło. Na dodatek był mocno owłosiony; czarna szczecina porastała wszystko, nawet czubki uszu. Tylko czaszkę miał ogoloną, przez co wydawał się starszy – zapewne robił to celowo, bo zdaniem Bourne’a miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata.

Mik należał do wozduszników, „powietrzników”, nazywanych tak dlatego, że potrafili brać pieniądze z powietrza, używając sieci lewych kont bankowych rozmieszczonych po całym świecie. Przesuwali po nich pieniądze ukradzione z legalnych kont drogą elektroniczną i robili to tak szybko, że policja nie była w stanie za nimi nadążyć. Bourne i Irina stali teraz w jednym z magazynów Mika.

– Co dla mnie masz, Irocza? – odezwał się tamten ciężką gwarą z moskiewskich slumsów.

Dwóch mięśniaków wytatuowanych od palców po szyję wzięło Bourne’a i Irinę między siebie. W rękach trzymali pistolety maszynowe. Trzeci pojawił się za ich plecami, blokując wyjście.

– Teraz twoja kolej, Mik – odparła Irina, na której ta demonstracja nie zrobiła wrażenia. – Przyniosłam coś ostatnim razem.

Zaśmiał się, pokazując pożółkłe końskie zęby.

– A tak, racja. Zapomniałem.

– Akurat. Cały twój interes opiera się na twojej pamięci.

– Święte słowa, Irocza. – Przesząpił z nogi na nogę. – Jeśli dostanę kiedyś alzheimera, będą mnie

musieli wywlec gdzieś do lasu i rozsmarować mój skołowany mózg po trawie.

Irina ani słowem nie wspomniała, kim jest jej towarzysz, a Mik nie zapytał. Zachowywał się, jakby Bourne'a w ogóle tam nie było i nie poświęcił mu ani jednego spojrzenia. Zapewne było to miarą zaufania, jakim darzył Irinę. Bourne był ciekaw, czy Iwan wie, z kim jego niesforna wnuczka wchodzi w konszachty.

Nagle uświadomił sobie, że jeden z osiłków Mika stanął tuż za jego plecami. Ułamek sekundy później poczuł na plecach lufę pistoletu.

– Wiesz przecież, że nie życzę sobie tu obcych – odezwał się Mik.

– To mój przyjaciel.

Wozduszniak pokręcił głową.

– Zawsze jest ryzyko wycieku. Nigdy nie wiadomo, co...

Nim zdążył powiedzieć coś więcej, Bourne cofnął się o krok i z całej siły nadepnął obcasem na stopę mięśniaka. Wykonując szybki skręt, odtrącił na bok lufę i uderzył pięścią w bok osiłka tak mocno, że usłyszał trzask łamanych żeber. Pod strażnikiem ugięły się kolana, a Bourne wyrwał pistolet z jego rąk. Dwóch pozostałych wycelowało w niego broń, lecz on już mierzył prosto w pierś Mika.

– Który z was chce mieć śmierć szefa na sumieniu? – wysyczał po rosyjsku.

Żaden się nie odezwał ani nie poruszył.

Mik powoli i ostrożnie uniósł prawą dłoń.

– Przeprowadziłaś tu jakiegoś psychola?

Irina wzruszyła ramionami.

– Co ci mam powiedzieć, Mik? To Skorpion. Skorpionów się nie prowokuje. – Obrzuciła wzrokiem strażnika, który zwijał się z bólu na posadzce. – Twój człowiek popełnił błąd.

– I pewnie powinien się cieszyć, że nie przypłacił tego życiem? – Mik nie spuszczał oczu z Bourne'a.

– Po coś tu przyszła, Irocza?

– Szukam Iwana Borza – odezwał się Bourne.

Mik zaśmiał się krótko.

– Tak jak trzysta tysięcy ludzi – odparł, kręcąc głową. – Wybaczcie, ale tutaj się nie schował.

– Obracasz jego pieniędzmi.

Bourne nie był tego pewien, ale z takimi ludźmi czasem lepiej było strzelać na oślep, niż odkładać broń.

Mik oblizał wargi, jakby posmakował czegoś obrzydliwego.

– Nie zamierzam tego nawet komentować.

– Nie musisz – rzucił Bourne, idąc w kierunku wozduszniaka. Strażnicy natychmiast ruszyli za nim. – Takie są fakty.

Mik nakazał obstawie opuścić broń. Wydawał się poirytowany.

– Nawet jeśli niejaki Iwan Borz należy do moich klientów, to nie jest twoja sprawa.

– Nic bardziej mylnego.

– *Job twoju mat'!* Dostyc tego!

Bourne podał mu zdobyczny karabin kolbą do przodu.

– Co to ma, kurwa, być? Ofiara przebłągalna?

– W twojej branży – odparł Bourne – potrzebujesz tego bardziej niż ja.

W magazynie zapadła grobowa cisza. Wybuch śmiechu, który po niej nastąpił, zabrzmiał jak seria z karabinu. Nie przestając się śmiać, Mik wyjął kałasznikowa z rąk Bourne'a.

– Słodki Jezu, teraz widzę, co ci się w tym pistolecie spodobało, Irocza.

W ustach takiego człowieka porównanie do broni zapewne było nie lada komplementem.

Mik obrócił się, gestem nakazał pozostałym strażnikom zająć się rannym towarzyszem, po czym poprowadził Bourne'a i Irinę przez pusty magazyn do drzwi masywnych jak właz do bankowego sejf. Otworzył je kluczem, który nosił zawieszony na szyi. Za nimi ciągnął się długi korytarz; przez okienka bocznych drzwi dostrzegli rzędy pochylonych nad laptopami nastolatków w słuchawkach na uszach. Nieświadomi tego, co się wokół dzieje, przywodzili na myśl pracowników chińskiej fabryki. Na końcu korytarza znajdowało się niewielkie pomieszczenie wyłożone dywanikami modlitewnymi ułożonymi w jednej linii, zapewne w kierunku Mekki. Nad łukiem przejścia widniały cytaty z Koranu, po arabsku.

Mik zatrzymał się przed drzwiami po lewej i wyciągnął osobny klucz. Pokój, który ukazał się ich oczom, przypominał komnatę w pałacu sułtana – miękki dywan, połyskujące jedwabiem otomany, grawerowana fajka wodna na niskim stoliku. W powietrzu unosił się ciężki, słodki zapach konopi; stężenie nie było wystarczające, by odurzyć człowieka, ale psa czy kota już tak.

– Siadajcie – rzucił Mik i wskazał sterty poduszek, osuwając się na jedną z otoman, z której uprzednio zrzucił damskie figi.

– No dobra. To po co szukacie Iwana Borza?

Bourne wyjaśnił mu to w kilku słowach.

– Jak się mają twoja koleżanka i jej córka?

– Opłakują śmierć męża i ojca. Zginął na ich oczach.

Mik machnął ręką.

– Dwulatka zapomni, ale matka... – Pokiwał głową z rezygnacją. – To co innego. Pewnie długo będzie w żałobie.

– Gdzie on jest? – spytał Bourne.

– Słuchaj, przyjacielu, Iwan Borz to jeden z moich najlepszych klientów. Obracam dla niego miliardami dolarów. – Rozłożył ręce. – Co ja będę z tego miał?

– Miliardy dolarów – rzuciła Irina.

– Co proszę?

Mik podniósł się błyskawicznie z poduszki, jakby ktoś zwolnił sprężynę.

– Powiedz nam, gdzie jest Borz – ciągnęła – a ja polecę cię klientowi wartemu miliardy dolarów.

Mik prychnął lekceważąco.

– A niby kto to taki?

– Ktoś z najbliższego kręgu Samowładcy, elita strażników Kremla.

Słyszac to, Mik ryknął donośnym śmiechem, jakby nagle zobaczył paradę klaunów okładających się po głowach gumowymi młotkami. Rosjanie kochają sceny z klaunami, im bardziej idiotyczne, tym lepiej. Poza nimi mało co wzbudza ich serdeczny śmiech.

– Błagam, Irocza. – Otarł zażawione oczy. – Aż się popłakałem.

Bourne popatrzył na Irinę.

– On nic nie wie?

Posłała mu krzywy uśmiech.

– Po co miałabym dawać informację, którą można sprzedać? – Pochyliła się i poklepała Mika po kolanie. – Już? Wyśmiałeś się?

– Tak, chyba że sypniesz jeszcze jakimś dowcipem.

– Moim dziadkiem jest Iwan Wołkin. Wszystkich na Kremlu zna osobiście i z większością miał jakieś konszachty. Zna wszystkie sekrety i wie, że przy obecnym klimacie każdy, kto ma pieniądze, desperacko próbuje przerzucić je gdzieś poza Rosję. – Uśmiechnęła się czarująco. – Wystarczy jedno moje słowo...

Reszta zdania zawisała w powietrzu.

Teraz Bourne i Irina przyglądali się reakcji wozduszniaka.

– To prawda? – zwrócił się Mik do Bourne’a, na co Irina wyjęła telefon i wyświetliła na ekranie zdjęcie, które zrobiła sobie z Iwanem zanim wyszli z Gniazda. Rozradowany Iwan całował wnuczkę w policzek. – I twój dziadek mógłby mi narać tych aparatczyków? – Mik niemal zacierał ręce z zadowolenia. – Załatw mi to, a dostaniesz, czego sobie zażyczysz.

– Wezwaliście mnie tu, żebym słuchał tego wypierdka? – Korsołow ciągle nie był w stanie przełknąć upokorzenia, jakie zafundowali mu jego ludzie swoją głupotą i niedbalstwem. Wbił w Pankina wściekłe spojrzenie. Jeśli czekało go kolejne rozczarowanie, kapitan słono za to zapłaci. – A tak przy okazji... Braliście amfetaminę?

– Nie, panie pułkowniku – zaprzeczył Pankin. – To skutki nieprzespanej nocy.

– Jeżeli nie jesteście w stanie trzeźwo myśleć...

– Bez obaw, pułkowniku.

Korsołow pogardliwie wydał wargi.

– Za kilka minut się okaże. Proszę kontynuować, kapitanie.

Pankin wskazał człowieczka siedzącego za odrapaną ladą. Był to niski, cherlawy typek o rzadkich włosach. Na półkach za nim stały różne części, lecz to w cuchnących trzewiach sklepu krył się prawdziwy towar Anatolija Lewkina – czarnorynkowa broń i amunicja.

– Oto poprzedni właściciel naszego makarowa.

Pankin bezceremonialnie położył na szklanym blacie lady narzędzie zbrodni. Pistolet porany jak twarz staruszka.

Korsołow popatrzył na Lewkina zwężonymi oczami.

– Jesteście tego pewni? W Moskwie pełno starych makarowów.

– Nie zaprzeczam. – Lewkin skłonił głowę jak wyćwiczony sługa. – Tego konkretnego sprzedałem dwa dni temu. – Postukał zakrzywionym niczym szpon palcem w rząd drobnych cyfr wybitych pod kabłąkiem spustu. – To nie ulega wątpliwości.

– A komuż to sprzedaliście to cudo, towarzyszu?

– I tu zaczyna się robić ciekawie... – wtrącił Pankin, wyciągając z kieszeni fotografie obu ofiar znalezionych pod mostem i podsuwając Korsołowowi jedną z nich. – Zidentyfikował jednego z zabitych.

Pułkownik skrzywił się nieprzyjemnie.

– To się kupy nie trzyma, kapitanie. Nie jestem w nastroju na dokładanie kolejnej zagadki do ciągu tych, z którymi już muszę się użerać.

Przez twarz Pankina przemknął cień uśmiechu.

– Ma pan rację, pułkowniku. Nic by się nie trzymało kupy, gdyby nabywca makarowa istotnie był tym, za kogo się podawał.

– A nie był?

– Nie, panie pułkowniku.

Poranek nagle wydał się Korsołowowi nieco jaśniejszy.

– Zidentyfikowaliście go?

– Tak jest, pułkowniku. Z pomocą Chińczyków.

– Jak to Chińczyków?

– Długa historia. – Z wewnętrznej kieszeni marynarki Pankin wyciągnął kawałek papieru. – Nasz nabywca, którego zabito pod mostem, nazywał się Lev Isaacs.

– Żyd?

– Lepiej.

– Izraelczyk.

Oczy Pankina błysnęły w półmroku sklepowego wnętrza. Ewidentnie rozkoszował się tą chwilą.

– Jeszcze lepiej. Lev Isaacs był agentem Mossadu.

Andriej Awiłow wypisał się z kliniki dla siłowników, ale nie pojechał do domu. Siedział w samochodzie na parkingu. Czekał. Wiedział, że nocna zmiana dobiegła już końca, bo chwilę wcześniej jeden z dyżurujących chirurgów wyszedł z kliniki. Gdzie się podziewała doktor Nowa?

Zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. Nie palił regularnie, ale w chwilach napięcia albo zdenerwowania czuł taką potrzebę. Na chwilę przerwał obserwację drzwi kliniki i przyjrzał się swojej dłoni. Drżała – lekko, ale na tyle wyraźnie, by wzbudzić jego niepokój. Co się z nim działo? Tak naprawdę powód był mu znany: doktor Nowa. Myśl o niej nie dawała mu spokoju, jakby lekarka zostawiła jakąś część siebie w jego ciele, kiedy zszywała mu twarz. Lewą stronę głowy miał zeszywniałą z bólu. Czuł pulsujący ucisk w oku, które sprawiało wrażenie trzykrotnie powiększonego; górna powieka nie chciała się podnieść do końca. Awiłow mocniej ścisnął kierownicę, aż drzenie ustało.

Poderwał głowę, rejestrując jakiś ruch przy wejściu do kliniki. Jego puls przyspieszył. Szła przez parking owinięta w szeroki płaszcz z bordowej wełny. Jej sylwetka w nim ginęła; wyglądała niczym dziewczynka przebrana w strój matki.

Odczekał, aż wsiądzie do auta i wyjedzie na szosę. Dopiero wtedy odpalił silnik i pojechał za nią, pilnując, by nie zniknęła mu z oczu. Dostosowywał prędkość do niej; jechali, jakby ich pojazdy były połączone sznurkiem. Awiłow trzymał się na dystans trzech albo czterech samochodów. Znał się na swojej robocie. Nie było szans, by się zorientowała, że jest śledzona.

Nie zdziwił się, kiedy podjechała pod szpital Gorkiego na Sołosłowie. W końcu pracowała jako chirurg. Wielu lekarzy zatrudnionych w klinice dla siłowników dorabiało w szpitalach w innych częściach obwodu moskiewskiego.

Począł, aż zaparkuje, umilając sobie czas trzecim z rzędu papierosem. Potem wysiadł z auta, zaciągnął się ostatni raz i wyrzucił niedopałek na asfalt, ruszając za nią w kierunku szklanych drzwi.

Wnętrze szpitala przypominało akwarium: niebieskie ściany, zielone krzesła, na okienku rejestracji szablon z rybą. Naklejone na szybę bąbelki okalały ponurą twarz recepcjonistki. Kobieta była szeroka jak sztangista i ze trzy razy brzydsza. Zaprotestowała, kiedy próbował przejść, a widok jego legitymacji nie poprawił jej humoru. Nie przejął się tym; jego myśli zaprzętała tylko doktor Nowa.

Zauważył, że wsiadła do pustej windy, która podjechała na szóste piętro i zatrzymała się. Wjechał na ten sam poziom i wyszedł na wyłożony błyszczącym linoleum korytarz. Rozglądając się, kątem oka dostrzegł skrawek bordowego płaszcza; lekarka skręciła w jedno z bocznych przejść.

Ruszył za nią, mijając sale pełne pacjentów. „Co ja tu robię? – myślał. – Ostatni raz goniłem tak za dziewczyną jako nastolatek”. Był wtedy w szkolnej drużynie lekkoatletycznej. On i jego koledzy mieli powodzenie. Dziewczyny same wpadały w ich objęcia, jak muchy zwabione na lep. Wszystkie oprócz tej, która mu się spodobała. Oprócz Tani. To za nią wtedy pobiegł i dostał to, czego pragnął. Teraz zaś pragnął w ten sam sposób doktor Nowej. Był pewien, że i tym razem nie odejdzie zawiedziony.

Skręcił w lewo i powoli przemierzał korytarz, zaglądając do każdego pomieszczenia. Mniej więcej w połowie drogi znów błysnął mu jej płaszcz. Wyraźnie przypomniał sobie dzień, kiedy poszedł za Tanią do sali, w której ćwiczyły baletnice. Zastał ją przy drążku z jedną nogą uniesioną i opartą o poręcz. Zajęta sobą i rozciąganiem, nawet nie zauważyła, kiedy wszedł. Wykorzystał tę chwilę nieuwagi, by ją zaprosić na randkę. Zgodziła się, zerkając na niego w lustro.

Idąc szpitalnym korytarzem, wyobrażał sobie, że doktor Nową też złapie w momencie słabości, że obracając ku niemu zdziwione oczy, ona również się zgodzi. Wszedł do sali, w której przed chwilą zniknęła, ale gdy tylko przekroczył próg, ktoś zamknął drzwi za jego plecami. Z zaskoczeniem przeniósł wzrok z doktor Nowej na postać siedzącą na łóżku. To była Swietłana Nowaczenko.

- Teraz zostaniesz osądzony – odezwała się Swietłana.
- Przez kogo? – Awiłow uśmiechnął się szelmowsko najpierw do jednej kobiety, a potem do drugiej.
- Przez ciebie? A może przez doktor Nową?
- Przez żadną z nas. – Swietłana zsunęła nogi z łóżka. – Osądzi cię Bóg.
- Awiłow zaśmiał, się słysząc jej ton.
- Nie wierzę w Boga.
- Kąciaki ust Swietłany uniosły się w tajemniczym uśmiechu, chociaż było widać, że każdy ruch sprawia jej ból.
- W takim razie po śmierci nie zostanie ci nic.
- O czym ty mówisz? Jeszcze nie kładę się do grobu.
- Swietłana przekrzywiła głowę, przyglądając mu się uważnie.
- Z nas dwojga chyba gorzej wyszedłeś na naszym... spotkaniu.
- Ha! Wątpię. Obecna tu doktor Nowa twierdzi, że kiedy twarz mi się zagoi, prawie nie będzie śladu.
- Tyle że twarz nigdy ci się nie zagoi. – Przytrzymując się brzegu łóżka, Swietłana powoli osunęła się na chłodną posadzkę. – Ani twarz, ani nic innego.
- Awiłow zmarszczył brwi.
- Twoje metody zastraszania są żałosne.
- Wzrok Swietłany powędrował ku doktor Nowej, która przyglądała się tej rozmowie w milczeniu.
- Awiłow też na nią spojrział.
- Pani doktor, proszę powiedzieć tej pomyłonej kobiecie, jaka jest prawda.
- Prawda, Andriej, jest taka... – Jej oczy wydały mu się jeszcze większe i ciemniejsze niż wcześniej.
- Że umrzesz za jakieś dziesięć minut.
- Co? Nie wierzę ci! – rzucił, wyraźnie wstrząśnięty. Chwilę potem konsternację zastąpił gniew, jakby w jego umyśle przesunęła się zwrotnica. – Niewybredne żarty z państwowych funkcjonariuszy nie są w tym kraju mile widziane. Zostaniecie ukarane i zrobi się bardzo nieprzyjemnie.
- Tak jak tobie, Andriej – powiedziała chłodno doktor Nowa.
- Słucham? – Jego złość zgasła tak nagle, jak się pojawiła. Poczul się zdradzony, oszukany. – Ja... Co mi zrobiłaś? Kiedy?
- Kiedy założyłam ci szwy, bardzo równe zresztą, wstrzyknęłam do rany odrobinę jadu warana z Komodo.
- Awiłow bezwiednie uniósł dłoń do policzka, nie zwracając uwagi na ból, lecz już po chwili jego spojrzenie wyostriło się.
- Kłamiesz. To bujda wymyślona przez ciebie i...
- Moją kuzynkę. Łana to moja kuzynka. Do kliniki jechałam prosto z wesela.
- Awiłow uśmiechnął się krzywo.
- I może mi powiesz, że akurat miałaś przy sobie jad tego... jak mu tam... warana z Komodo? W życiu o czymś takim nie słyszałem.
- To największe żyjące obecnie jaszczurki na świecie – wyjaśniła doktor Nowa tonem, jakiego używa się wobec niepojętych uczniów. – Żyją na wyspie Komodo w Archipelagu Sundajskim w Indonezji. Ich

jad zawiera kilka typów trujących białek, które wywołują szok, gwałtowne obniżenie ciśnienia krwi i paraliż mięśniowy prowadzący do problemów z oddychaniem. Kiedy taki waran kogoś ugryzie, nigdy nie wiadomo, co wystąpi najpierw, wstrząs czy duszności.

Awiłow parsknął śmiechem.

– Baby! Śmiać mi się z was chce.

– W izolatce w naszej klinice trzymamy kilka rzadkich i egzotycznych trucizn – ciągnęła doktor Nowa niezrażona. – Gdybyś był z FSB, wiedziałbyś, że klinika służy nie tylko siłownikom i porzuconym kobietom. Czasem zjawiają się w niej agenci wysyłani za granicę z poleceniem eliminacji jakiegoś celu. Trucizna działa skutecznie tam, gdzie użycie broni palnej mogłoby być niepraktyczne.

Twarz Awiłowa nabrała ziemistego odcienia. Lekarka kopniakiem przesunęła w jego stronę jedno z krzesel, a on osunął się na nie bez protestu.

– Myślisz, że nie widziałam, jak czaisz się na mnie przed kliniką, paląc papierosa za papierosem? Twoją żądzę czuło się na kilometr. Niedobrze mi się robiło, kiedy musiałam stanąć obok ciebie. – Z westchnieniem rozłożyła ręce. – Ale widzę, że taki pragmatyk jak ty, odrzucający łaskę Boga we wszelkiej postaci, potrzebuje ujrzeć, by uwierzyć. Weź głęboki oddech.

– Po co? – zapytał odruchowo.

– Sam się przekonasz.

Swietłana ostrożnie postąpiła dwa kroki w kierunku Awiłowa. Chwiejąc się lekko, stanęła nad nim, tak jak wtedy, gdy się na nią rzucił.

– Zobaczymy, jak sobie poradzisz – powiedziała.

Awiłow zaczerpnął powietrza. Natychmiast dopadł go atak tak ostrego kaszlu, że poczuł w ustach krew.

– Andriej – zamruczała doktor Nowa, odsuwając się od jego krzesła – będziesz martwy. Już bardzo, ale to bardzo niedługo.

– Chryste – wydyszał Awiłow, chowając twarz w dłoniach. – Jezu Chryste.

– Przecież nie wierzysz w Boga – rzuciła Swietłana, odwracając twarz.

Wokół range rovera Iriny kołowało trzech osiłeków Mika, podziwiając auto niczym wyfiokowaną dziewczonkę. Irina przegoniła ich ruchem ręki, podchodząc do samochodu. Nim wsiadła, na jej nadgarstku delikatnie zamknęła się dłoń Bourne'a.

– To się nie skończy dobrze – powiedział jej prosto do ucha.

– Dla nas czy dla nich?

Zawibrowała jej komórka. Wiadomość od Aleksandra. „Nie teraz”, odpisała pospiesznie.

Bourne puścił jej dłoń i zasłonił ją swoim ciałem. Obserwował zbliżających się mężczyzn; tatuaże na ich rękach zwijały się jak węże. Ci ludzie brali udział w niejednym starciu, w rosyjskich więzieniach przeszli twardą szkołę. I zapewne specjalizowali się w walce na pięści.

– Co tu się dzieje, Irino?

– Wiesz przecież...

– Wiem jedynie, że od samego początku mnie okłamujesz. To nie Borys cię do mnie przysłał. Widziałem, jak na ciebie spojrział na weselu. Na twój widok przeżył szok. Ciebie interesuje tylko jego moneta.

Irina rzuciła szybkie spojrzenie ponad jego ramieniem na ludzi Mika.

– To nie czas i miejsce na tę rozmowę.

– Teraz albo nigdy. Inaczej więcej mnie nie zobaczysz.

– Czekaj! Ja... tam są zapisy, które musisz zobaczyć. Dzieje się coś strasznego. Przekonam Mika, żeby pokazał ci coś, co wszystko wyjaśni.

Otoczający ich mężczyźni nastawili uszu i napinając mięśnie, ruszyli w ich kierunku.

Bourne obrócił się do nich.

– Ani kroku dalej – rzucił.

– Nie wydaje mi się – odparł ten pośrodku. Był najwyższy z całej trójki; z jednej strony twarz przecinała mu sina szrama, ściągając w dół kącik oka. – Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie zapłacisz za to, co zrobiłeś Foce.

– A może – odezwał się drugi z osiłków, ten z rozdartym uchem – w ogóle już stąd nie odjedziesz.

Trzeci z nich, facet z gęstą brodą, wyciągnął pistolet.

– Zafundujmy mu trzecie oczko.

– Nie... – zamruczał Szrama. – Trzeba mu zrobić to samo, co on zrobił Foce.

– Coś gorszego – dodał Uszko. – Co będzie bardziej bolało.

Doskoczył do Bourne'a, robiąc zamach kolbą kałasznikowa. Zdołał uderzyć go w szczękę, bo ten osunął się na kolano, ale gdy Uszko stanął nad nim, cały rozpromieniony, Bourne strzelił go pięścią w krocze, po czym rozłożył palce, chwycił i mocno pociągnął.

Wrzaski osiłka wypłoszyły ptaki z koron drzew, zlewając się z ich przerażonym jazgotem. Bourne wyrwał kałasznikowa z jego rąk i zamachnął się, uderzając Brodę w brzuch. Ten zatoczył się i kłapnął szczęką tuż przy policzku Bourne'a. Wszystkie zęby miał spiłowane w stożki.

Puszczając karabin, Bourne grzmotnął swoim czołem w czoło Brody, aż zgrzytnęły zęby, i wbił końce palców w miękki trójkąt skóry pod brodą. Oczy osiłka podjechały do góry; z otwartej rany trysnęła krew.

Szrama, cały czerwony, ryknął wściekle i puścił w ich kierunku trzy serie z pistoletu. Trafiły Brodatego w tors, potrząsając nim jak silny wiatr koroną drzewa. Bourne rzucił trupem Brody w Szramę i rozbroił go, zanim ten wyplątał się z ciała martwego towarzysza.

Uwalniając się, ostatni z osiłków rzucił się na Bourne'a, oczekując oporu. Ten jednak czekał, dopóki Szrama nie znalazł się w jego zasięgu. Osilek wyprowadził pierwszy cios, solidny prawy prosty w żebra Bourne'a, a on błyskawicznie zrobił unik w lewo, złapał przeciwnika za wyciągniętą rękę i pociągnął. Wykorzystując impet uderzenia Szramy przeciwko niemu, wytrącił go z równowagi. Szrama zatoczył się do przodu, a Bourne wbił łokieć w jego oczodół. Gdy napastnik upadł twarzą w piach, kolano Bourne'a z impetem wylądowało na jego szyi, łamiąc trzy kręgi i odcinając dopływ krwi do mózgu.

Wstając, zobaczył jeszcze, jak Irina podnosi pistolet i kieruje się z powrotem do magazynu. Mik stał w bramie, przyglądając się całemu zajściu. Jego twarz przybrała osobliwy wyraz – taki, który Bourne widział już niejednym razem. Błogi spokój ekstremisty męczennika. Przed oczami Bourne'a stanęły arabskie inskrypcje na ścianach i dywaniki skierowane ku Mekce.

– Irina!!! – krzyknął i rzucił się biegiem.

Było już jednak za późno. Mik trzymał kciuk na klawiaturze telefonu; gdy z makarowa, który przechwyciła Irina, posypały się pierwsze kule, nacisnął przycisk.

Bourne był zbyt daleko od niej, by próbować ją ratować, zdążył jedynie zanurkować pod podwozie jej samochodu. Ułamek sekundy później wybuch zmiotł magazyn i wszystkich, którzy się w nim znajdowali, a także Mika i Irinę.

Porucznik Awiłow otoczył głowę dłońmi, odgradzając się nimi od świata jak kokonem. Tylko w ciemności mógł odpędzić przerażenie, które powoli wżerało się w jego świadomość.

– Specjalnie zostawiłaś drzwi uchylone.

Doktor Nowa przekrzywiła głowę ze zdziwieniem.

– Słucham?

– Wtedy, w szpitalu. Drzwi do łazienki – rzucił żałośnie. – Chciałaś, żebym na ciebie patrzył.

Swietłana przestąpiła z nogi na nogę.

– Ale z ciebie obrzydliwy zbok.

– Zrobiłaś to specjalnie, prawda? – Awiłow nie spuszczał wzroku z doktor Nowej, chociaż sprawiało mu to ból, nie tylko fizyczny. – Wiedziałaś, że wykorzystam okazję. Czego ty ode mnie chcesz?

– Krwawisz, Andriej – zauważyła lekarka.

Przesunął ręką po twarzy; na jego palcach zostały ślady krwi.

– Źle mnie zszyłaś.

– Moje szwy są bez zarzutu – odparła chłodno doktor Nowa. – Jak zawsze.

– To dlaczego leci krew?

Czuł się spowolniony, otępiały. Jego myśli sunęły majestatycznie niczym góry lodowe.

– Sam wiesz.

Wiedział. Jad warana dokonał cudu. Zamienił jego krew w wodę, która wylewała się teraz przez najśłabszy segment w murze jego ciała. Przytknął dłoń do policzka, lecz krew nie przestawała płynąć. Sączyła się nieprzerwanym strumieniem między palcami.

Swietłana uniosła prawą dłoń grzbietem w jego stronę. Jej ręce wydały mu się piękne, bo nie brukała ich krew.

– Widzisz, co zrobiłam?! – krzyknęła. – Obgryzłam paznokcie do samej skóry. Są brzydkie jak noc. I dlaczego? Bo strzępki twojej skóry weszły tak głęboko, że nie miałam wyboru.

Awiłow popatrzył na nią tępym wzrokiem. Za nic na świecie nie chciał przeproszać tej zdziry. Nie zamierzał dać jej satysfakcji.

– Wystarczy, że pojedę do dowolnego innego szpitala po zastrzyk antytoksyn.

– Proszę bardzo – rzuciła Swietłana. – Nie zamierzamy cię powstrzymywać.

Awiłow podniósł się z krzesła. Kolana i łydki zadygotały, więc musiał się chwycić oparcia krzesła. Gdy drzenie przeniosło się na uda, zrezygnował i opadł z powrotem na krzesło.

– Sam widzisz... – odezwała się doktor Nowa. – Jest już za późno. Sam to sobie właśnie udowodniłeś. Umrzesz w tej sali, patrząc w twarz Swietłanie. – Uśmiechnęła się drapieźnie. – My, Rosjanki, jesteśmy bardzo sprytne, niezależnie od tego, co o nas myślicie. Jeśli weźmiemy kogoś na cel, musimy się upewnić, że misja została wykonana.

– Na pewno macie antidotum – odezwał się głosem tak drżącym, że sam się zawstydził. – Czego chcecie? Mówcie!

– Do niedawna nikt nie wierzył, że warany z Komodo są jadowite, chociaż regularnie i skutecznie polują na bawoły wodne – odparła doktor Nowa lodowato. – Na ukąszenie warana nie ma antidotum.

Nie znalazł riposty – oto zamknęła się ostatnia droga ucieczki. Dopiero wtedy dotarła do niego

absurdalność całej tej sytuacji: osaczyły go i otruły. I czemu? Bo raz się niegrzecznie zabawiał? Nawet jeśli byłby skłonny wierzyć w jakieś siły wyższe, ten incydent byłby dowodem na to, że to mrzonki. Na domiar złego jedyna kobieta, która wzbudziła w nim jakiekolwiek ciepłe uczucia, okazała się wrogiem jego i Federacji. Jaki Bóg bawi się w takie chore gierki? Widział teraz wyraźnie, że Sowietci mieli rację. Wszechświat to chaos. Należy łapać, co się da, zanim trzeba będzie opuścić ten padół łez.

Nagle zrozumiał, jak to jest być zamkniętym w trzewiach Łubianki. Gorzej, trzymanym w celi w kaftanie bezpieczeństwa. Widział kilku takich więźniów, makabryczne matrioski pochowane w labiryncie korytarzy i luster, do których prowadziło tylko jedno wejście. Po jakimś czasie wszyscy tam wariowali. On nie miał czasu.

Doktor Nowa pochyliła się nad nim, ujmując go pod brodę, tak że był zmuszony spojrzeć jej w oczy. Gdyby wiedziała, jaką rozkosz i ból sprawia mu tym dotykiem!

– Jak się czujesz, Andriej?

– Jak dasz mi całusa, poczuję się lepiej.

Roześmiała się, a on wciągnął w nozdrza jej zapach.

Pogodził się ze swoim losem, tak jak wiele lat temu pogodził się z faktem, że jako funkcjonariusz na usługach Kremla ma duże szanse przedwcześnie umrzeć. To jakiś aspekt rosyjskiej mentalności, uznał, coś, czego muzulmańscy fanatycy nigdy nie rozumieją. Pocieszała go jedna jedyna myśl, rozgrzewając mu serce niczym zapałka w zimie: on wpadł w sidła doktor Nowej, ale to samo przytrafiło się Borysowi Karpowowi ze Swietłaną. *Honey trap*, słodka pułapka, metoda używana przez agentów od bardzo dawna – podsunąć wrogowi ponętą kobietę, by go przeciągnąć na swoją stronę, manipulować nim, wyciągać informacje. Nie sądził, że coś takiego przytrafi się jemu, a tu proszę. „Cholerne baby – pomyślał, poddając się fali ciemności gęstej jak całun, jak bezkresna noc. – Kochasz je, a one przynoszą ci tylko kłopoty”.

– Czuję się... – wyrzeźił przez ściśnięte gardło – wyraźnie źle.

W tej samej chwili oczy podjechały mu do góry i osunął się na ziemię.

Wierzby na lewym brzegu rzeki Moskwy kołysały się w podmuchach wiatru, posykując jak rój owadów. Słońce, blade i zmęczone, desperacko próbowało rozgrzać ziemię. Zabuczwała przepływająca barka: przeciągłe, żałośnie. Ten dźwięk i jego echo należał w Moskwie do codzienności.

– Mossad – odezwał się pułkownik Korsołow. – Agent Mossadu pojawił się w Moskwie i dostał kulkę w łeb. Dlaczego?

– Mam pewną teorię – rzucił Pankin.

– Chętnie ją poznam.

Szli brzegiem rzeki w kierunku mostu Wielkiego Kamienego, gdzie wszystko się zaczęło.

– Moim zdaniem ta podwójna egzekucja ma związek ze śmiercią generała Karpowa.

– Myślicie, że Lev Isaacs zabił Karpowa, a potem ktoś wyeliminował jego, żeby zatrzeć ślad?

Pankin pokiwał głową.

– Tak mogło być. Albo ten, kto zabił Karpowa, załatwił też tych dwóch.

Korsołow przystanął i wbił ręce głęboko w kieszenie.

– Mówcie dalej.

Pankin przygryzł dolną wargę, starając się ująć swoje myśli w słowa.

– Jest tak: fakt, że Isaacs przebywał w Moskwie w dzień, kiedy zamordowano generała, to nie może być zbieg okoliczności. Musimy zatem założyć, że za śmierć Karpowa odpowiada Mossad. Zabójstwo

było doskonale zaplanowane. Sprawca wiedział nie tylko o tym, że generał będzie tego wieczoru w hotelu, ale też gdzie dokładnie będzie o określonej porze.

– Co sugeruje, że pomógł mu ktoś wewnątrz.

– No tak.

Nagle Korsołow sobie przypomniał, gdzie widział człowieka, którego zwłoki znalazł obok Isaaca – w hotelu! W dokumentach widniało nazwisko Biełow, Wieniamin Nazarowicz Biełow, Żyd, on był jednak pewien, że w hotelu ten człowiek przedstawił się inaczej.

– Boże, Pankin, myślę, że ten drugi nieboszczyk też był agentem Mossadu! – rzucił Korsołow i powiedział Pankinowi, o czym sobie przypomniał.

– Mamy jakieś dowody?

Pułkownik prychnął lekceważąco.

– Z Mossadem nigdy nie ma dowodów. Trzeba iść na instynkt. – Postukał się w skrzydełko nosa. – A ja wyczuwam ich jak pies szczury.

– A więc dwóch agentów Mossadu, jeden zainstalowany wewnątrz. Tuż po tym, jak generał zostaje zabity, obu spotyka nagła śmierć. Mówiliście, że ten Biełow był wtedy w hotelu. Może to on zabił Karpowa.

– Niewykluczone – rzucił Korsołow. – Albo we wszystko jest zamieszany jeszcze jeden agent Mossadu, zabójca, który sprzątnął wszystkich trzech.

– Kidon – rzucili jednocześnie, patrząc na siebie.

– Zrobiłeś, co mogłeś, Jasonie. – Starzec pokręcił głową z rezygnacją. – To nie twoja wina.

Bourne siedział na sfatygowanej kanapie w przytulnym mieszkaniu Iwana Wołkina. W plamie światła na podłodze wirował kurz, podnosząc się i opadając, jakby w rytm oddechu słońca. Wnętrze pełne było pamiątek z różnych stron świata i starych fotografii przyjaciół, członków rodziny oraz samego Iwana w towarzystwie takich czy innych osobistości. Było też zdjęcie Iriny z lat dziecięcych.

– Nawet jako dziecko nie siadywała z rodzicami – odezwał się znów Iwan, podając herbatę. – Tylko sama, trochę z boku. – Opadł na miękko wypchany fotel i ciężko westchnął. – Od urodzenia była indywidualistką. – Wrzucił do swojej filiżanki sześć kostek cukru, po czym zapomniał zamieszać. – Miała swoje tajemnice, Jasonie. Życie, które dla siebie wybrała, było na nich zbudowane. Rozumiałem to. – Pociągnął łyk herbaty, skrzywił się i odstawił filiżankę na spodek. – Ale nigdy jej nie rozumiałem. Stanowiła dla mnie zagadkę. – Znów pokręcił głową, być może pierwszy raz w życiu doświadczając konsternacji. – Czemu zadawała się z wozduszniakiem? Po prostu nie mieści mi się to w głowie. – Popatrzył na Bourne’a pytająco, wręcz błagalnie. – Czego ona chciała, Jasonie? Co chciała znaleźć?

Bourne oplótł palcami filiżankę, czując, jak ciepło rozchodzi się po jego dłoniach i przedramionach. Była to przyjemna odmiana. Przez całą drogę od zniszczonego magazynu do skromnego mieszkania Iwana czuł się zimny jak lód.

– Krótko ją znałem, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że chciała znaleźć swoje miejsce w świecie.

– Po co? Miała wszystko, czego tylko...

Widząc wyraz twarzy Bourne’a, Iwan urwał w pół zdania.

– Wyobraź sobie, Iwanie, jak to jest: mieć takiego dziadka jak ty. Jak stłamszony czułbyś się przez jego władzę i wszystko, co by dla ciebie robił.

– Czy nie tak postępuje każdy dziadek?

– Może po prostu chciała dojść do tego sama.

– Nie miała środków. Była młoda. I do tego kobieta. Na tym świecie...

– Dość – uciął Bourne. – Zastanów się, co mówisz. – Przysunął się bliżej i popatrzył na starego krysę. – Iwanie, Irina była kobietą, która doskonale znała siebie i śmiała się ze stereotypów. Na pewno ciężko pracowała, by znaleźć własne sposoby na pozyskanie tego, na czym jej zależało. I nietrudno mi sobie wyobrazić, że wolała zachować je dla siebie i trzymać cię na dystans, żebyś nie interweniował i nie kwestionował każdej jej decyzji.

Iwan zapadł się w fotel. Wydawał się teraz niższy, jakby przyłoczony jaskrawym obiciem albo świadomością tego, kim była Irina i co go ominęło. Po chwili milczenia potarł skroń i powiedział:

– Zawiodłem ją. To moja wina, że zginęła. Nie powinna była w ogóle zbliżyć się do tego wozduszniaka.

– I tak by go znalazła. Uprzywilejowana pozycja ukształtowała sposób, w jaki widzisz świat. Nie każdym możesz manipulować. Nie jesteś Bogiem.

Iwan przez chwilę mierzył go wzrokiem. Obejmująca skroń ręka lekko drżała.

– Tak, masz rację, Jasonie – westchnął. – Prawda jest taka, że władza odcina człowieka od rzeczywistości. Im większa, tym bardziej. Sam dzierzę władzę od tak dawna, że często zapominam, jak to

jest być szarym człowieczkiem zajęтым swoim szarym życiem.

Bourne zamierzał to skomentować, ale ostatecznie nic nie powiedział.

– No dobra. – Iwan ponownie ujął swoją filiżankę i zapatrzył się w zmętniały od nierozpuszczonego cukru płyn. – To co ona właściwie robiła u tego wozduszniaka?

– Trudno mi cokolwiek powiedzieć – odparł Bourne. – Wydawało się, że dobrze się znają, ale chwilę później próbował zabić nas oboje, więc kto wie? – Zawahał się na chwilę. – Chyba że cała sprawa ma coś wspólnego z tym, w co byli zamieszani ojciec i brat Iriny.

Iwan wciąż kontemplował herbatę, jakby chciał się znaleźć zupełnie gdzie indziej.

– Iwanie?

Stary krysza drgnął i podniósł oczy na Bourne'a. Wzrok miał nieobecny, martwy.

– Straciłem syna, wnuka, a teraz Irinę. Kiedy to się skończy? – Jego spojrzenie nagle się wyostrzyło. – Żadna śmierć nie przytrafia się w próżni, Jasonie. Przynajmniej nie w świecie, w którym się obracamy. I myślę, że śmierć Iriny ma konsekwencje, widoczne jak kręgi na wodzie.

Na powrót pogрузzył się w milczeniu; widać było, że jego myśli krążą bezładnie, jak kurz podświetlony promieniami słońca.

Bourne wyczuł, że to przełomowy moment, że jeśli przycisnie Iwana, ten będzie się bronić i nic już z niego nie wyciągnie. Dopił więc herbatę i wstał.

– Muszę wracać do domu Iriny, przebrać się.

Możliwie, że Iwan w ogóle tych słów nie usłyszał, ale zarejestrował, że Bourne zbiera się do wyjścia. Uniósł dłoń i wskazał palcem kanapę.

– Czekaj, usiądź jeszcze na chwilę.

Bourne usłuchał. Obrął właściwy kurs.

– Przepraszam cię, Jasonie. Źle się wcześniej wyraziłem. Wiem, po co Irina poszła do Mika.

Ułożył dłonie na udach i zapatrzył się na nie, jakby płatanina żył była mapą, która może go zaprowadzić w jakieś odległe miejsce.

– Mój syn i wnuk wleźli po pas w gówno. Ich lewe interesy wysysały fundusze z legalnej firmy. Powoli popadali w desperację. W końcu postanowiłem pomóc, ale kiedy się dowiedziałem, w co się wpakowali, po prostu się wycofałem. Ugrzęźli tak głęboko, że nawet moi współpracownicy nie byli w stanie nic zrobić.

Iwan na chwilę podniósł oczy, wielkie i przekrwione. Na poranej bruzdami twarzy wyraźnie było widać przeżyte lata.

– Znasz moje zdanie na temat muzułmanów w Federacji. Czeczenów nienawidzę. Powiesz, że część z nich to dobrzy ludzie, ciężko pracujący. Dla mnie są jak plaga. Nie spoczną, póki nie zemszczą się za dwie wojny, które im zafundowaliśmy. – Uniósł otwartą dłoń. – Nie próbuj mnie przekonać. Sam wiesz, że mam rację.

– Mik i jego współpracownicy interesowali mnie tylko żywi – odezwał się Bourne. – Mnie obchodzi tylko jeden Czeczen, Iwan Borz. O ile jest Czeczenem, bo trochę w to wątpię. Jakkolwiek było, Mik obracał pieniędzmi Borza, a teraz ten ślad pogrzebały popioły.

– Może nie... – Iwan splótł szczupłe dłonie na podołku. Wyglądał, jakby wrócił z krainy upiorów i mgieł, do której wpędziła go wiadomość o śmierci Iriny. – Dowiedziałem się jednej rzeczy. Wnuk powiedział mi o tym, zanim FSB przypuściło na nich nalot. Podobno cała kasa, którą Mik brał dla Borza z powietrza, szła do Kairu.

Czyli tam, gdzie Borys za nim pojechał.

– Muszę być w Kairze na wczoraj – rzucił Bourne. – Załatwisz mi transport?

Kidon. Po hebrajsku „oszczep”. Pod tą nazwą kryła się elitarna jednostka Mossadu złożona z infiltratorów i specjalistów od mokrej roboty, bezwzględnie najlepszych, jeśli chodzi o walkę i cichą eksterminację.

Korsołow i Pankin byli więc na tropie zabójcy z Kidonu, anioła śmierci. Najlepsze, co mogli zrobić, to przeanalizować taśmy z kamer przemysłowych na lotniskach i dworcach kolejowych, licząc, że zdjęcie któregoś z pasażerów znajdzie się w zdecydowanie niepełnej i nie do końca aktualnej bazie danych FSB.

Nie pracowali nad tym sami. Pułkownik wciągnął w poszukiwania ponad setkę osób; pochyleni nad rozgrzanymi ekranami komputerów funkcjonariusze przyglądali się twarzom w tłumie, usadzeni po dwóch, żeby na pewno nic nie przeoczyć. Przez chwilę rozważał, czy posłać kogoś do najbliższego portu, ale Pankin szybko mu przypomniał, że Kidon preferuje szybkie akcje – pojawić się i zniknąć, zanim ktokolwiek się zorientuje, więc transport morski nie pasował do tego schematu. Pankin miał ochotę znów zaangażować w sprawę Piotra oraz jego tajemniczego mentora i skorzystać z systemu rozpoznawania twarzy przechwyconego przez Chińczyków od FBI i Interpolu, ale wiedział, że akurat w kwestii Kidonu FSB miało znacznie więcej danych niż ktokolwiek za granicą. Koniec końców Mossad był jednym z najważniejszych wrogów Federacji.

Po czterech godzinach ślęczenia nad ekranem Korsołow wyciągnął Pankina z biura. Korytarz był zalany upiornym światłem jarzeniówek, bzyjących niczym chmara much. Pułkownik kupił im obu kawę z automatu; popijali ją oparci o ścianę z plakatem reklamującym uroki wakacji na Krymie – jasne słońce, lazurowa woda i złoty piasek. Obrazu sielanki dopełniał kolorowy parasol.

– Wiecie, kapitanie – odezwał się Korsołow – co to jest awans połowy?

– Oczywiście, pułkowniku.

Korsołow uśmiechnął się lekko, po czym wyciągnął z kieszeni dwie naszywki i przypiął je do epoletów Pankina, zdzierając z nich kapitańskie insygnia.

– Zatrzymajcie je na pamiątkę. Dacie je pierworodnemu, żeby wstąpił do FSB, jak ojciec.

– Panie pułkowniku...

– W uznaniu pańskich zasług w identyfikacji sprawcy brutalnego zabójstwa generała Borysa Iljicza Karpowa, a także by uczcić mój rychły awans na generała, zostaliście podniesieni do rangi pułkownika. I jesteście teraz moim adiutantem. Będziecie podlegać bezpośrednio mnie i nikomu innemu.

– Nie wiem, co powiedzieć...

Nim Korsołow zdążył się odezwać, podszedł do nich jeden z funkcjonariuszy.

– Panie pułkowniku, chyba coś mamy. Tylko że...

– Tylko że co?

– Bo...

Podał Korsołowowi odbitkę zdjęcia z jednej z kamer na Szeremietiewie. Widniała na nim data sprzed dwóch dni i godzina, osiem minut po dwudziestej. Czerwoną kredką zaznaczono twarz kobiety, częściowo zasłoniętą przez innych pasażerów.

– Na kogo patrzę?

– Może na nikogo. Może na ducha.

Korsołow podał fotografię Pankinowi.

– Czy ta twarz coś wam mówi, pułkowniku?

Pankin spędził całą noc, przypominając sobie wszystkich pracowników Mossadu zarejestrowanych w miejscowej kartotece. Nie musiał się zastanawiać.

– Owszem. Ale też jestem tym lekko dezorientowany.

Widać było, że Korsołow powoli traci cierpliwość.

– A to czemu?

– Może trudno w to uwierzyć, ale ta członkini Kidonu została zabita jakieś trzy lata temu w Meksyku.

– Mamy na to dowody, pułkowniku? Niepodważalne dowody?

– Jeśli chodzi o Mossad, niepodważalne dowody bardzo trudno zdobyć.

Korsołow postukał w czerwone kółko na fotografii.

– A jednak tu macie dowód, że ona żyje. – Popatrzył na Pankina, zupełnie ignorując niższego rangą funkcjonariusza. – Zabójczyni generała Karpowa. Jak ona się nazywa?

– Używała wielu nazwisk, a o każdym krążyły legendy. Wszyscy są zgodni, że była, przepraszam, że jest, najlepszą agentką Kidonu. – Pankin lekko chrząknął. – My ją znamy jako Rebekę.

CZĘŚĆ DRUGA

*Na czym polega życie?
To proste: na manipulacji
poprzez doktrynę ideologiczną.*

IWAN BORZ

Sara Yadin, znana pod pseudonimem Rebeka, wróciła do Izraela jako Jenny Parker, Australijka zatrudniona na Wydziale Historii uniwersytetu w Perth. Idealna przykrywka, starannie przygotowana przez Mossad.

W Jerozolimie znów trwały jakieś rozruchy, co ostatnimi czasy należało do codzienności. Ponurą szarość Moskwy zastąpił kobierzec ziemistych barw, a miejsce chropowatej, szeleszczącej ruszyczyny zajął ciepły potok hebrajskiego i arabskiego, rozgrzewając ją od środka. Upał i oślepiające słońce przywitała jak starych przyjaciół.

Wyszła z lotniska, wzięła taksówkę i pojechała do biurowca będącego siedzibą notariuszy, przedsiębiorstw importowo-eksportowych i innych tego typu firm. Podjechała windą na trzecie piętro; nad drzwiami, przed którymi się zatrzymała, widniał dyskretny szyld: „Złota biżuteria”. Podeszła do oszklonej lady i kupiła gwiazdę Dawida, identyczną jak ta, którą straciła w Moskwie, oraz złoty łańcuszek. Zapłaciła gotówką, zawiesiła nowy nabytek na szyi i wyszła, czując znajomy ciężar. Ale nadal była niespokojna.

Przeszła kilometr, klucząc po mieście, by się upewnić, że nikt jej nie śledzi, potem zaś udała się do biur kierownictwa Mossadu i poddała rutynowej kontroli bezpieczeństwa. Przeprowadzali ją ochroniarze, których znała z imienia. Nad ich głowami widniało motto z Księgi Przysłów, wyryte po hebrajsku w granatowoczarnym marmurze: „Gdzie nie masz rządcy, lud upadnie, a zbawienie tam, gdzie wiele rady”.

Siedziba jednostki Cezarea mieściła się na ósmym z dziewięciu pięter. Przed wejściem czekała ją kolejna obowiązkowa kontrola. Ukryte w trzewiach budynku biura Kidonu nie miały kamer monitorujących; przez całą dobę pilnowały ich czteroosobowe patrole. Strażnicy pracowali na trzy zmiany.

Dyrektor Mossadu wyszedł do niej, witając ją zdawkowym skinieniem głowy i lakonicznym: „Dobra robota”. Przeprowadził ją przez drzwi z czytnikiem siatkówki oka. Za nimi znajdowała się spiralna klatka schodowa. Ruszyli do góry, zatrzymując się na półpiętrze między poziomem ósmym a dziewiątym. Za zamkniętymi drzwiami kryło się pomieszczenie, które w niczym nie przypominało biura Kidonu – skórzane fotele, miękki beżowy dywan i gustowne reprodukcje na ścianach przywodziły na myśl raczej apartament w pięciogwiazdkowym hotelu.

Kiedy tylko zamknęli za sobą drzwi, dyrektor odwrócił się ku Sarze i objął ją serdecznie, całując w oba policzki.

– Dobra robota! – powtórzył z czułością. – Doskonale się spisłaś, Saro.

– Dziękuję, tato.

Eli Yadin wypuścił córkę z objęć. Cofnęli się o krok, by się sobie przyjrzeć.

– Twoja misja poszła sprawnie.

– Wręcz idealnie.

Przez twarz dyrektora przebiegł cień.

– Niezupełnie.

– Co masz na myśli? Cel został wyeliminowany.

– Oczywiście. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Gdybyś nie pozbyła się Jaszy,

wydałby Biełowa, a w końcu także i Swietłanę Nowaczenko.

– Swietłanę Karpową.

Eli Yadin przez chwilę przyglądał się córce.

– Nieodżałowanej pamięci generał Karpow nie był sojusznikiem Izraela, Saro.

– W Damaszku pomógł Bourne’owi, a pośrednio także mnie. Zapomniałeś już?

– Ja nie zapominam o niczym, córeczko, ale naszą misją było pomagać Ukrainie wyzwolić się spod wpływu Rosji. Pomagać potajemnie, przez Biełowa. Skoro Jasza zdradził, ten plan jest równie martwy, jak on sam.

– Nie będę z tobą dyskutować o Borysie – ucięła Sara. – Sugerowałeś, że wystąpił jakiś problem...

Eli Yadin pokiwał kędzierzawą głową, gestem zapraszając ją na kanapę. Zgarnął dzbanek ze stolika, nalał kawy do dwóch filiżanek i przysiadł obok Sary.

– Zidentyfikowali cię na lotnisku w Moskwie.

Podał jej kawę. Odruchowo wyciągnęła po nią rękę, ale nie uniosła filiżanki do ust. Bezwiednie obracała w palcach wisiołek w kształcie gwiazdy, jakby chciała się upewnić, że nadal go ma.

– Kto? – zapytała.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Dyrektor zmarszczył brwi, rzucił: „Proszę!” i do pokoju wsunął się Dov Liron, dowódca jednostki Cezarea, przełożony Sary. Wstała, witając się z nim uściskiem dłoni i pocałunkiem w oba policzki.

Liron dzierżył w dłoni brązową teczkę.

– Prosiłeś, żeby ci to dostarczyć, jak tylko...

Eli uciszył go ruchem ręki.

– Zostaw ją na biurku, Dov. Dziękuję.

Liron usłuchał i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Dyrektor nie pochwalał przejawów ciekawości w gmachu kwatery głównej Mossadu.

– I tu sprawa się komplikuje – odezwał się Eli, wracając do jej pytania. – Początkowo wydawało się, że zainteresowali się tobą Chińczycy, w końcu starają się nas pilnować na miarę swoich możliwości, choć i tak zawsze jesteśmy przynajmniej o krok przed nimi. – Pociągnął łyk kawy. – Pij, pij, kochanie. Ten wyciek to nic takiego, zajmiemy się tym.

Sara zerknęła na niego i upiła trochę swojego napoju. Nawet nie poczuła smaku.

– Ale to nie Chińczycy cię rozpoznali, to nasz dawny wróg zrobił podkop do chińskiego źródła. Musieli mieć jakiś dowód naszych działań. – Pochylił się ku niej z cukiernicą. – Masz, zapomniałem. – Wrzucił do jej kawy trzy kostki cukru i patrzył, jak pociąga kolejny łyk, tym razem z wyraźną przyjemnością. – To Rosjanie cię namierzili, a wniosek z tego jest taki, że masz stąd wyjechać. Trzeba założyć, że ci z FSB przeszledzili twoją trasę.

– Wyjechać z Jerozolimy? Gdzie?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Nie wiem, choćby na Malediwy. Przydałby ci się urlop. Podobno fantastycznie się tam nurkuje, a wiem, że od dawna chciałaś zobaczyć rafy koralowe. Teraz masz okazję.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, telefon Eliego zawibrował. Odebrał i po kilku chwilach przysłuchiwania się w milczeniu, rzucił: „Dobrze”, a potem odłożył słuchawkę i wstał.

– Przepraszam na moment, kochanie. Muszę ogarnąć jeden drobny chaos. Zaraz wracam.

Kiedy wyszedł, Sara zapatrzyła się w swoją filiżankę. Nie miała ochoty jechać na Malediwy, nawet nurkować. Nie chciała tracić czasu na wakacje. Nie potrzebowała odpoczynku. Po tym, co się stało, urlop miałby posmak porażki. Misja w Moskwie była trudna – nie technicznie, chociaż nie chodziło o pojedynczy cel, co rzadko się zdarzało, więc zadanie było nietypowe nawet bez dodatkowych

okoliczności. Z jakiegoś powodu odbiło się to na jej stanie emocjonalnym, co było dziwne i niepokojące. Do podstawowych elementów szkolenia agentów Kidonu należała nauka, jak zabijać szybko, cicho, skutecznie i beznamiętnie. Inaczej ryzykowało się nie tylko utratę życia, ale i człowieczeństwa. Sara wzdrygnęła się mimowolnie, jakby moskiewski chłód przyjechał tu razem z nią. Była jak obudzona ze snu, który w świetle dnia nadal wydaje się prawdziwy.

Wytracona z równowagi, zaczęła przechadzać się po pokoju. Po chwili przystanęła przy biurku ojca. Niczym punktowy reflektor jej wzrok zogniskował się na zostawionej przez Lirona teczce, tak ważnej, że dowódca jednostki Cezarea przyszedł z nią aż tutaj, do prywatnego sanktuarium dyrektora.

Sara wyciągnęła dłoń i dotknęła teczki czubkiem palca, ale nagle zmieniła zdanie, chwyciła ją i otworzyła. Zdążyła przeczytać tylko: „misja w toku”, „Iwan Borz” i „Kair”, gdy usłyszała kroki przy drzwiach. Pospieszenie zamknęła teczkę i odsunęła się od biurka. Kiedy ojciec wszedł do pokoju, stała przy oknie, obserwując miasto przez szpary między pionowymi roletami i warstwy kuloodpornego szkła.

– Więc tak... – odezwał się Eli. – Załatwiłem ci lot na Malediwy.

– To była ta ważna sprawa? – rzuciła, nie odwracając głowy.

– Jasne, że nie. Ale przy okazji...

– Nie lecę na Malediwy.

– Nie? To gdzie chcesz się wybrać?

Obróciła się i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

– Do Kairu.

– Żartujesz, prawda?

– Nie, *abba*. – Założyła ręce na piersi. – Nie żartuję.

Eli zrobił krok w jej kierunku.

– Saro, chyba nie mówisz poważnie... – Zatrzymał się gwałtownie, spojrzał na swoje biurko i teczkę, która leżała teraz odrobinę krzywo, a później znów zmierzył ją wzrokiem. – Nie, Saro. Ta operacja już się zaczęła.

– Beze mnie.

– Oczywiście, że bez ciebie. – Rozłożył ręce. – Wykonywałaś inne zadanie.

– A teraz ono dobiegło końca.

– A ty potrzebujesz odpoczynku.

– Potrzebuję tylko wyjechać z Jerozolimy. Twoje własne słowa.

– Których próbujesz użyć przeciwko mnie, córko!

Serce Sary zabiło szybciej. Eli nazywał ją „córka” tylko wtedy, gdy był wściekły. Kapitulacja nie leżała jednak w jej naturze.

– To tylko fakty, *abba*. Fakty.

Machnął gwałtownie ręką, jakby ucinając dalszą dyskusję.

– Nie jedziesz do żadnego Kairu.

– Nie powstrzymasz mnie, wiesz o tym – rzuciła z ogniem w oczach.

Eli pokręcił głową.

– Saro, Saro... Mam na uwadze tylko twoje dobro. Po tym bliskim spotkaniu ze śmiercią, jakie przytrafiło ci się w Meksyku, twoje ciało wróciło do zdrowia, ale umysł...

– Mój umysł działa bez zarzutu. Wszystko jest dla mnie jasne.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Skąd ten bunt?

– Dobrze wiesz – odparła.

Eli na moment przymknął oczy.

– Iwan Borz.

– Nie możesz mi tego odmówić. – Położyła dłoń na ręce ojca spoczywającej na jej ramieniu. – Właśnie tego, ze wszystkich rzeczy na niebie i w piekle.

„Wyhodowałem sobie stado wilków – pomyślał Iwan Borz. – Wszystko dzięki łasce i światłemu przewodnictwu Allaha”. Wahabici okazali się idealnym materiałem w jego rękach. Urodzili się, by zostać wychowani na wilki, potrzebowali jedynie głosu, który przyszedłby do nich z pustyni. I właśnie ten głos znaleźli. „Allah przywiódł ich do mnie, najpierw pojedynczo i parami, potem garściami, gdy wieść się rozniosła, wreszcie całymi wioskami, z coraz szerszych kręgów”.

Borz siedział ze skrzyżowanymi nogami na zabytkowym egipskim dywanie z wielbłądziej wełny i chińskiego jedwabiu, teraz poszarzałym i postrzępionym. Zgodnie z jego poleceniem siedzisko było usytuowane dokładnie pośrodku głównej sali modlitewnej meczetu. Wokół niego w koncentrycznych kręgach siedzieli akolici, jego nieustraszeni wojownicy, mięso armatnie obojga płci, niektórzy zaledwie siedmio- czy ośmioletni. „Niczym planety układu słonecznego – pomyślał – orbitujące wokół słońca, które ogrzewać je będzie na wieki, nawet kiedy odejdą do krainy aniołów. Niektórzy z nich już bardzo, bardzo niedługo”.

– *Al-hamdu lillah*⁸ – zaintonował Borz. – Terroryzm oznacza zwycięstwo. To terroryzm jednoczy nas pod sztandarem Allaha. To terroryzm daje nam siłę. – Jego czarne oczy złowiły w tłumie spojrzenia kilku akolitów, dzieląc się swoim ogniem, wlewając w nich zapal jak wrzątek do tygła. – Niewierny ma pieniądze, wygody, gnuśne życie, niezliczone perwersje. Niewierny chce te perwersje wprowadzić u nas. Przybił do naszych brzegów, jak smoła wlał się w nasze granice, brukając święte zasady życia, naszą ścieżkę ku Allahowi, ku Ar-Rahmanowi⁹, ku Al-Quddusowi¹⁰. Niewierny przyszedł uzbrojony w karabin i kłamstwa. I właśnie z tego powodu spotykamy się teraz tu, w Kairze, bijącym sercu islamu, jak jedna rodzina. By zostać oczyszczeni łaską i mocą Allaha. – „Islam ma więcej niż jedno serce – myślał Borz. – Kair jest tylko jednym z wielu. Ale ci ludzie muszą uwierzyć, że są istotni, że ich życie się liczy, że umierając, przyczynią się do czegoś większego, ponieważ ich egzystencja jest zdominowana przez biedę i brak nadziei. Muszą uwierzyć w zwycięstwo. W tej wierze leży ich siła i potęga. Ta wiara jest kluczem do mojego triumfu”. – Niewierny zmarginalizował nas, zepchnął poza nawias, wygonił w góry, które tak przerażają i onieśmielają naszych wrogów. Niewierny chce, abyśmy czuli się bezradni. Karmi się naszą bezsilnością. Nasze ubóstwo go umacnia, nasza gorycz ośmiela go w jego pragnieniu zdeptania nas pod dekadentckim buciolem od Gucciego. Ale my nie jesteśmy bezradni. Allah o nas zadbał. Uzbroił nas w broń tak potężną, że da nam zwycięstwo, nam, naszej rodzinie. Allah dał nam terroryzm. To jedyne, co mamy do walki z niewiernym. Ale terroryzm to wszystko, czego nam potrzeba. Terroryzm potrafi dokonać czegoś, czego nie osiągnie się żadną inną bronią. Terroryzm wbija sztylet w umysł niewiernego. Wzbudza strach w trzewiach bogatych, rozwiązłych, gnuśnych. Nie mogą spać z obawy przed nami. Myśl o nas odbiera im radość. Myśl o nas sprawia, że sięgają po środki odurzające. Nie wiedzą, kiedy i gdzie uderzymy. Boją się o swoją przyszłość. – Ułożył sobie między kolanami pięciokątne pudełko z ciemnego metalu, na krawędziach przyprószonego szronem. Było lodowate w dotyku, bo od wewnątrz wyłożono je warstwami niebieskiego żelu. Iwan Borz uniósł pokrywkę – wszystkie pary oczu śledziły ruch jego dłoni – odłożył ją, sięgnął do pudełka i wyciągnął jego zawartość – odciętą ludzką głowę. Uniósł ją wysoko, trzymając za kępki tłustych włosów. Nie były myte od wielu miesięcy. Ciało, do którego głowa kiedyś była przyczepiona, też nie. – Oto amerykański dziennikarz, schwytyany, przesłuchiwany, nawrócony na islam. Zginął śmiercią męczeńską w imię Allaha. Niech jego ofiara zagrzewa was do boju. – Borz wstał

ze swojego miejsca, prostując stawy niczym modliszka. Uniósł głowę jeszcze wyżej, aby widzieli ją nawet ci w najdalszym kręgu. – Będziecie świadkami porażki niewiernego. Terroryzm go pokona. To wam obiecuję.

Bourne przybył do Kairu, gdy wieczór już gasił ogień pod kotłem dnia. Upał był wciąż duszący, ale już znośny, niczym kuchnia, w której ktoś zostawił otwarty piekarnik. Zaraz po przyjeździe dwukrotnie o mało co nie zginął: najpierw jego taksówkę niemal staranowała ciężarówka, a potem taksjusz o włos wyprzedził autobus i zajechał mu drogę. Z rury wydechowej buchały chmury spalin, a silnik bulgotał niczym żołądek dręczony niestrawnością. W środku pachniało tłuszczem z falafeli i potem.

„Ach, Kair!” – pomyślał Bourne, kręcąc korbką. Szyba zjechała w dół. „Jak można tęsknić do jakiegoś miasta, a jednocześnie żałować, że kiedykolwiek się tu przyjechało?”

Kair, wir przeciwieństw, miasto, w którym podróż w strumieniu milionów oszalałych pojazdów jest jednocześnie koszmarna i podniecająca.

Zameldował się w prawie pustym hotelu El Gezirah, umył się, przebrał i wezwał taksówkę. Przez miasto przejechał dzikim zygzakiem, bo taksjusz starał się jak mógł unikać korków. Wysiadł przy Midan Kitkat i stamtąd poszedł pieszo w stronę Nilu. Wieczór pachniał mięsem duszonym w sosie i smażonym na ruszcie. Miasto zasnuła czerwona mgiełka. W powietrzu wibrował niepokój.

Z bliższego brzegu kanału drewniane trapy wiodły do przycumowanych rzędem jedno- i dwupokładowych łodzi mieszkalnych. Niektóre były pomalowane, inne jedynie obite deskami; żadna nie wyglądała na nową. Na burtach wielu z nich widniały ślady kolorowych farb. Kiedyś mieściły się kluby nocne i kasyna, ale to było dawno temu. Resztki złoconych i srebrzonych szyldów głośiły ich minioną świetność, ale barwy były przygasłe, jak na sepiowych fotografiach.

Bourne odnalazł łódź pomalowaną na błękitno. W chwili, gdy postawił stopę na trapie, na pobliskim minarecie rozspiewał się muezzin. Wezwania do modlitwy popłynęły z koronkowego, żeliwnego balkonu smukłej budowli, wznosząc się i opadając niczym ptak frunący nad taflą rzeki.

Przed zamkniętymi drzwiami Bourne znieruchomiał. Kleisty chlupot wody, łagodne podmuchy wiatru niosącego wyćwiczony głos muezzina... Kair nagle powrócił do niego z całą mocą, jakby nigdy z niego nie wyjeżdżał.

Tu mieszkał Feyd. Bourne spotkał go, zanim się urwał z Treadstone. Był kontaktem Treadstone, jednym z członków siatki, która obejmowała cały świat. Korzystał z jego usług przez wiele, wiele lat, a organizacja dobrze mu za nie płaciła. Informacje od niego były zawsze bez zarzutu i tak dokładne, że bezbłędnie trafiały w sedno.

Bourne pamiętał Feyda jako krępego mężczyznę o krótkich kończynach, szerokich barach i potężnej piersi zapaśnika. Na jego twarzy szybko pojawiał się uśmiech, a zmarszczki były pamiątkami zwycięstw nad przeciwnościami losu. Była to twarz zmięta, a zarazem triumfująca; twarz człowieka, który w ciężkich zmaganiach z upływającym czasem wywalczył sobie wieczną młodość ducha.

Bourne podniósł rękę i zapukał.

Po krótkiej chwili usłyszał miękkie kroki, nastąpiła chwila ciszy, a potem drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazała się lufa pistoletu wymierzona prosto w jego pierś.

Z ciemnego wnętrza łodzi wyrzały oczy koloru kawy. Dziewczyna miała czarne włosy i owalną buzię.

Jej dłoń trzymająca pistolet nie drżała. Palec wskazujący spoczywał wzdłuż pałąka cyngla, ale broń była odbezpieczona. Wiedziała, co robi.

– To Feyd cię nauczył, jak tego używać? – spytał Bourne.

Przyjrzała mu się i jej strach wyraźnie się zmniejszył. Przechyliła głowę i zmarszczyła brwi, Bourne jednak wiedział, że się nie dąsa.

Nagle jakby go rozpoznała.

– Wujek Samson! – zawołała, opuściła pistolet i z impetem rzuciła mu się na szyję, przytulając się do niego całym ciałem.

To imię było kryptonimem operacyjnym Bourne'a, kiedy pracował w Kairze.

– Witaj, Amiro! – Bourne wciągnął zapach cynamonu i kadzidła, który otulał ją niczym welon, a potem odsunął dziewczynę na długość ramienia. – Kiedy cię ostatnio widziałem, byłaś jeszcze malutka.

Zatrzepotała rzęsami.

– Nie taka znowu malutka, wujku. Ale od tego czasu chyba urosłam.

– Owszem, w każdym słowa tego znaczeniu.

– Miałam jedenaście lat, a teraz szesnaście. Za pięć miesięcy skończę siedemnaście.

– Przygnębiające. Czas płynie zbyt szybko – uśmiechnął się Bourne. – Mogę wejść?

– Jasne! – Amira wciągnęła go do środka. – Cóż ze mnie za głuptas!

– Przyszedłem zobaczyć się z twoim ojcem. Feyd w domu?

Przez jej twarz przemknął wyraz niepewności, który szybko zmienił się w coś bardziej mrocznego. Amira odwróciła się i poszła przodem, prowadząc Bourne'a w stronę dużego pokoju.

– Ojciec nie żyje. Od dwóch tygodni.

– Tak mi przykro! – Bourne podszedł do niej, objął ją na moment, puścił i cofnął się. – I od tego czasu jesteś tutaj sama?

Przytaknęła bez słowa.

– Wybacz, ale muszę zapytać. To był wypadek czy...

– Zabili go – odpowiedziała rzeczowo.

– Jesteś w stanie mi o tym opowiedzieć?

Kiwnęła głową. Na jej policzkach zatańczyły cienie.

– Ale najpierw dam ci jeść i pić, bo inaczej cóż ze mnie byłaby za gospodyni? – powiedziała i wydała pomruk, który mógł być wyrazem żalu, radości lub obu tych uczuć jednocześnie. – Co by sobie o mnie pomyślała moja matka, gdyby tu była?

Przeszła do kuchni i zaczęła przygotowywać posiłek. Poruszała się bezszelestnie. Bourne słyszał dobiegający zza pleców czarodziejski dźwięk dzwoneczków wietrznych z muszli nawleczonych na sznurki.

Wszędzie wokół było widać fotografie rodziców Amiry rozstawione na półkach, szafkach i podręcznych stolikach, tak jakby dziewczyna ciągle je przestawiała, by mieć je zawsze na widoku. Zdjęcia przedstawiały wyłącznie jej ojca lub matkę, na żadnym nie byli we dwójkę. Natłok zdjęć i tanich pamiątek przypominał o spokojnym życiu, małżeństwie, rodzinie, upływie czasu i trwaniu wspomnień.

Bourne był tego wszystkiego pozbawiony. Nie potrafił sobie przypomnieć rodziców, miejsca, w którym się wychował ani rodzeństwa, jeśli je miał. Wnętrze pokoju z całą siłą przypomniało mu, że nie wie, kim jest i skąd pochodzi. Znowu sobie uświadomił, że nie ma nic na własność. Był jak morskie stworzenie wędrujące w bezkresie oceanu, z dala od jakiegokolwiek lądu. A jednak w snach wciąż powracał do tej chwili przy brzegu Marsylii. Słyszał huk wystrzału i grzmot, który rozdarł niebo, ale nie czuł, jak kula trafia w jego ciało. Potem czarna jak atrament, lodowata woda Morza Śródziemnego. Ciemność, ciemność. Rybacy wyciągnęli go z morza wraz z porannym połowem. Lekarz ocalił mu życie, ale nie pamięć, która pozostawiła po sobie jedynie bezmierną pustkę i tęskne pragnienie jej wypełnienia.

To właśnie ta pustka sprawiła, że Sara zaczęła tyle dla niego znaczyć. Jej życie, jej ojciec i ona sama stali się istotną częścią jego teraźniejszości i nieodległej przeszłości, która była przecież całą jego przeszłością. Dlatego również tak bardzo dotknęła go śmierć Borysa. Jeśli zabrać nędzarzowi ostatni grosz, cóż mu pozostanie?

– O czym tak dumasz? – spytała Amira, wnosząc dwa talerze duszonego mięsa w gęstym sosie. – Zjedźmy na zewnątrz, tak przyjemnie wieje od rzeki... Przyniesiesz pić?

Włączyła rozwieszony na sznurze świecielnik. Dzwonki obracały się i śpiewały. Usiedli.

– To ty mnie nauczyłeś pytać: „O czym tak dumasz?”. Nie miałam wtedy pojęcia, co to znaczy. – Roześmiała się, ale zaraz spoważniała. – Jesteś zatopiony w myślach, wujku.

Bourne odłamał kawałek pity i nabrał nań trochę mięsa, używając wyłącznie prawej ręki.

– Wczoraj straciłem dobrego przyjaciela – odpowiedział, po raz kolejny tłumiąc przyływy żalu. – A dziś dowiaduję się, że Feyd nie żyje.

Amira wstała, weszła do środka, wyjęła z lodówki dwie oszronione butelki piwa i wróciła na taras. Przez chwilę jedli i pili w przyjaznym milczeniu, a ciszę mąciły jedynie okrzyki ptaków i chlupot wody. Skądś buchnęła głośna muzyka i równie raptownie ucichła. Ucichł też wzywający na modlitwę głos muezzina.

Kawowe oczy Amiry patrzyły na niego uważnie.

– Zdawało mi się jednak, że to coś więcej. Byłeś zatopiony w przeszłości.

– Ja w zasadzie nie mam przeszłości.

– To nie może być prawda. Znam cię od...

– Wcześniejszej przeszłości. Nie pamiętam, gdzie się urodziłem, kim byli moi rodzice. Nie wiem, czy mam rodzeństwo... Ty, jak pamiętam, masz brata.

– Owszem – przytaknęła. – El-Amir. Nigdy go nie spotkałeś, bo mieszka w Europie. Jest bardzo zdolny, bardzo utalentowany. Po maturze wyjechał do Londynu. Studiował w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, gdzie poznał dziewczynę, która jest bardzo bogata z domu. Ożenił się z nią. Dostał pracę w telewizji satelitarnej CloudNet, w jednym z koncernów medialnych swojego teścia.

– Czyli zapewne niedawno się z nim widziałaś?

Amira potrząsnęła głową i uśmiechnęła się smętnie.

– Ojciec uważał, że my, Egipcjanie, musimy zawsze patrzeć w przyszłość. „Nasze zbawienie to przyszłość, moje dzieci”, tak mówił, zawsze z dobrotliwym uśmiechem. „Szanujcie przeszłość, owszem, ale nie rozpamiętujcie jej, bo to nam przynosi jedynie smutek i więcej strat, niż jesteśmy w stanie wytrzymać”.

– Więc brat zostawił cię tutaj, żebyś sobie radziła sama.

– Jest teraz grubą rybą. Od czasu do czasu dostaję od niego pocztówkę. No i przysyła mi pieniądze, to wszystko.

Łzy zamigotały w oczach Amiry, ale nie spłynęły po policzkach.

– Amiro...

– Ale to nie jest ważne. I tak go kocham. El-Amir to cała rodzina, jaką mam. I na swój sposób o mnie dba. Jest bardzo hojny – powiedziała, nie spuszczając z twarzy Bourne'a uważnego wzroku, jak malarka, która pragnie nakreślić szkic portretu na płótnie nieskalanym jeszcze dotykiem pędzla. – Nie mam do niego żalu za to, że wyjechał.

Rozchyliła wargi, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale się rozmyśliła.

Bourne odsunął talerz.

– Opowiedz mi o ojcu.

Amira westchnęła i popatrzyła na Nil. Na jego powierzchni odbicie księżyca rwało się i łączyło

w rytmie, który nie zmienił się od tysięcy lat.

– Po likwidacji Treadstone zaczęły się ciężkie czasy. Wszyscy, którzy mieli cokolwiek do czynienia z organizacją, byli skompromitowani. Ojciec próbował zwrócić się do przedstawicieli rządu Stanów Zjednoczonych, ale bez skutku. Mówił, że jest dla nich jak trędowaty. – Wzięła ostatni kawałek pity i zaczęła się nim bawić. – Przez jakiś czas miał się różnych zajęć, brał, co się trafiło. Nie było tego dużo, ale na życie starczało. Mniej więcej rok temu zaczął pracować w jednym z dużych hoteli jako przewodnik. Wiele sobie obiecywał po tej pracy, ale po arabskiej wiośnie turyści prawie zupełnie przestali odwiedzać Egipt. Przyjeżdżali jedynie nudni biznesmeni. Ojciec przez cały czas był zdania, że lada chwila ktoś się z nim skontaktuje. I wreszcie pewnego dnia... – Amira aż się wzdrygnęła. – Pewnego dnia dopadła go przeszłość. Chyba przeczuwał, że to się stanie, i to raczej wcześniej niż później. Teraz myślę, że tego chciał – dodała w zamyśleniu. – Może dlatego wziął tę pracę. Żeby być na widoku. Żeby łatwo go było odnaleźć.

– Kto się z nim skontaktował? CIA? Typhon?

– Nie.

W dole rzeki ukazała się łódź o niskich burtach. Jej silnik pokasływał jak starzec.

Amira obróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Rosjanie.

Po kręgosłupie Bourne'a przebiegł zimny dreszcz.

Łódź była już dobrze widoczna. Wyglądała na turystyczną barkę. Jej wygięty w górę dziób zdobiły dwa posążki sfinksów. Była prawie pusta.

– Kto? – spytał. – Kto to był?

Amira odłożyła zmaltretowaną pitę na talerz.

– Twierdził, że jest generałem w FSB. Nazywał się Karpow. Borys Karpow.

Potężne reflektory zakopane w piasku zalewały piramidy w Gizie bladożółtym światłem, lecz na krawędziach stożków srebrzyło się już światło księżyca. Iwan Borz siedział na balkonie swojej rezydencji. Nogi skrzyżowane w kostkach zarzucił na żelazną balustradę. Przyglądał się pustyni i rozległej nekropolii faraonów, która pochłoneła tak wiele ludzkich istnień.

– I po co to wszystko? – odezwał się. – Starożytni Egipcjanie we wszystkim się mylili.

Przeniósł wzrok z piramid na pięciokątne pudełko leżące na krześle obok. Wieczko było zdjęte, a znajdująca się w środku głowa obrócona twarzą ku niemu. Głowa Amerykanina. Tak cudownie zachowana.

Borz uruchomił laptop, ułożył go sobie na udach i zaczął oglądać fragmenty amerykańskich programów telewizyjnych.

– Widzisz to gówno? – Zwrócił się do odciętej głowy, wskazując palcem ekran, na którym groteskowo zbudowani mężczyźni i kobiety rywalizowali o kontrolę nad jakąś rzeczą. Cel zmieniał się w zależności od programu, ale zawsze chodziło o kontrolę. – Pewnie to dla ciebie nic nowego, co? Europejskie i amerykańskie reality show. Właśnie przed tą wyzerającą duszę papką musimy chronić nasz lud. Nie ma w tym wartości muzułmańskich, ani w ogóle żadnych, poza chciwością, wyrachowaniem i zdradą. – Gniewnym gestem zatrzaskał laptop i odłożył go na bok. Przez chwilę patrzył w martwe oczy. W końcu na jego twarz wypłynął uśmiech. – Wiesz... Jesteś jedynym przyjacielem, jakiego mam w tej dziczy. Tylko z tobą mogę porozmawiać. Tylko tobie ufam. – Westchnął ciężko. – Jako muzułmanin i absolwent historii, wiem, jak przemawiać do uciśnionych, do ciemionych, do nędzarzy bez grosza przy duszy, bez żadnych perspektyw. Ale ty już to wiesz, prawda? Wiesz o wszystkim, co się dzieje w mojej głowie, znasz każdą myśl, każde wspomnienie. Nic się przed tobą nie ukryje. – Zachichotał. – Ale odchodzę od tematu... Na czym skończyłem? A, tak! Ja oferuję im męczeńską śmierć. Kiedy z nimi skończę, nie pragną niczego innego. – Uśmiechnął się szerzej, ale jakby smutniej. – Ale nie oszukujmy się, któż chciałby tkwić w Kairze albo w Syrii i pozyskiwać rekrutów? Ani ty, ani ja. Ale za tę kasę i za pewność, że FSB wreszcie się ode mnie odpierdzieli, warto się poświęcić. – Poczochrał czarne włosy trupa i roześmiał się. – Też tak myślisz? No jasne, że tak. – Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kubańskie cygaro, odgryzł końcówkę i przypalił srebrną zapalniczką. Posmakował dymu. – Cierpliwości, przyjacielu. Ten, kto cię zabił, dostanie za swoje, przysięgam. Pomszczę cię. – Nagle usłyszał kroki. Ktoś zbliżał się lekko i cicho, jak kobieta wychodząca z kąpieli. – Teraz nie ma co gadać – szepnął Borz w kierunku pudełka. – Tego człowieka nie chcemy wtajemniczać w nasze sprawy. To, jak go zwerbowałem, to był majstersztyk muzułmańskiego aktywizmu. Przekręcałem słowa Koranu tak, by pasowały do naszych celów. On ma w sobie wiarę, przyjacielu, ja nie. Ale teraz cicho. Nadchodzi.

Drzwi balkonu otworzyły się szerzej.

– El-Amir – rzucił Borz. – Punktualny jak zwykle.

– Dym dało się wyczuć z daleka – odezwał się młodzieniec, stając naprzeciw przełożonego.

– W tej zabitej dechami dziurze człowiek musi mieć jakieś przyjemności, choćby i małe.

El-Amir nosił ubrania prosto od najlepszych londyńskich krawców. Miał jasne oczy i włosy w kolorze konopnego lnu – dokładnie w tym odcieniu, po którym można poznać przedstawiciela brytyjskiej arystokracji i mistrza gry w polo. Uważne spojrzenie wychwyciłoby jednak, że włosy są farbowane,

a kolor oczu to zasługa szkieł kontaktowych. Akcent brytyjskiego patrycjusza też mógł być fałszywy, ale to byłby w stanie orzec jedynie lingwista. Młodzieniec miał ze sobą torbę na laptop uszytą z krokodylej skóry. Tak jak znajdująca się w środku maszyna, rzecz ta została wykonana specjalnie dla niego.

Iwan Borz wyciągnął z pudełka drugie cygaro, oferując je gościowi. El-Amir rozwałkował je w palcach, delektując się bogatym zapachem, gdy Borz otworzył metalową zapalniczkę.

– Odpalę ci je prezentem, który od ciebie dostałem.

El-Amir usadowił się ze swoim cygarem na krześle po drugiej stronie głowy w pudle. Był wysoki i kościsty, a jego twarz wyraźnie nie pasowała do epoki. Trzysta lat temu ludzie braliby go za przebiegłego jezuitę, gdyby nie soczewki kontaktowe, które upodabniały jego oczy do kamieni błyskających spod wody.

– Jak długo zamierza pan trzymać tu... to coś?

– Tak długo, jak mogę prowadzić z nim rozmowy.

El-Amir pokręcił głową.

– Ma pan nierówno pod sufitem...

Borz poderwał się i w jednej chwili przyskoczył chłopakowi do gardła.

– Stul dziób!

Ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że oddychali tym samym powietrzem. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, każdy pogrążony we własnych myślach. Równie nagle Borz odsunął się i popatrzył na El-Amira.

– Nie mów o rzeczach, których nie rozumiesz.

Ten głośno przełknął ślinę i uniósł obie dłonie w geście kapitulacji.

– Przepraszam. Nie miałem...

– Widziałem filmik – przerwał Borz, wracając na swoje miejsce. Wydawał się spokojny, jakby nic nie zaszło. – Bardzo widowiskowy.

El-Amir kiwnął głową, niepewny, czy wypada mu się uśmiechnąć.

– Oto korzyści płynące z zatrudniania zawodowców.

Uruchomił komputer, wsunął pendrive w jedno z gniazd USB i zaczął przeglądać pliki. Na ekranie wyświetliła się seria filmików – pięknie doświetlonych i skadrowanych, chociaż było widać, że wszystkie są kręcone z ręki. Ruch kamery potęgował dynamikę scen, na których czarno ubrani islamiści zajmowali jedno syryjskie miasto za drugim. Kolejne ujęcie przedstawiało mapę regionu, pokazującą, jak daleko się zapędzili, jak niewiele ich dzieliło od tureckiej granicy.

– A to najnowszy, prawdziwie zabójczy. – El-Amir zaśmiał się cicho. – Dosłownie.

Filmik przedstawiał grupę dowódców obozujących przy ognisku, jak zwykle na pustyni, tyle że w tle widać było skorupy zbombardowanych budynków, sterczące z ziemi jak połamane zęby ulicznika.

Żadnego dialogu ani napisów – mężczyźni w milczeniu przekazywali sobie z rąk do rąk różną broń: pistolety maszynowe, moździerze, wyrzutnie rakiet, miotacze ognia, pociski przeciwpancerne. Metaliczny szcęk oręża było słychać głośno, seriami, jak strzały. Broń wędrowała od strony prawej do lewej, tak jak czyta się wersety Koranu. Ostatni mężczyzna po lewej podawał je kobiecie odzianej od stóp do głów w czerń. Widać było jedynie jej oczy, błyszczące, podkolorowane blaskiem ognia. Kamera zrobiła długi, namiętny najazd.

El-Amir wcisnął pauzę.

– Proszę popatrzeć na jej oczy – powiedział z podziwem. – Pięć dni zajęło mi znalezienie tej dziewczyny. Te wielkie oczy, ciemne, egzotyczne i przede wszystkim wyraziste. W takich oczach widzę się zakocha, po prostu nie będzie miał wyboru. I myśląc sobie: „Jakie piękne!”, stanie się współwinowajcą. Zaangażuje się mimo woli. Z takiego piękna kamera czerpie siłę.

Wznowił odtwarzanie. Kamera odsunęła się, ukazując dziewczynę od pasa w górę. Uniosła broń z czcią należną świętym relikwiom, pokazując ją widzom. Na kolejnym zbliżeniu wyraźnie było widać, że każda sztuka jest amerykańskiej produkcji. Kamera sunęła po numerach seryjnych powoli i bezlitośnie, nie pozostawiając żadnych złudzeń, iż islamscy terroryści korzystają z amerykańskiej broni odbitej syryjskiemu wojsku.

Dowódcy odeszli od ognia, a kamera podążyła za nimi do imponującego stosu broni i amunicji w oryginalnych skrzyniach służących do transportu. Następne ujęcie pokazywało terrorystów strzelających z tej broni do wszystkiego, co stało na ich drodze przez ostatnie syryjskie miasto przed turecką granicą.

Ekran poczerniał, ale odgłosy strzałów i krzyki ginących i rannych nie ucichły, podkreślone jeszcze przez brak bodźców wizualnych. W końcu na środku pojawił się napis po arabsku, a pod spodem angielskie tłumaczenie: „Dziękujemy, Ameryko! Nie zapomnimy ci tego!”.

– Piękne, El-Amirze, piękne. – Borz klaskał i stukał obcasem jak kibic na stadionie. – Wyrazy uznania, przyjacielu!

– Tak jak mówiłem – tłumaczył El-Amir, wyciągając pendrive i chowając laptop do torby. – Zdjęcia, kadrowanie i montaż nawet akty przemocy zamienią w godną uwagi rozrywkę. To połączenie starej szkoły Hollywoodu i nowoczesnej myśli technicznej.

Borz pokiwał głową.

– Kiedy to wypuścicie?

– Już jest na YouTube i na sześciu naszych stronach z linkami do Twittera, Facebooka, Pinteresta i Tumblra. Opublikowałem go, jak tylko skończyłem montować. A jak było w Moskwie?

– Do dupy – rzucił Borz. – Kompletnie nie rozumiem, czemu ktoś chciałby tam mieszkać.

– Większość mieszkańców nie chce.

– Zabicie Karpowa... – Borz zmienił wątek, chcąc się przekonać, czy El-Amir za nim nadąży. Doskonale wiedział, że solidnie młodzieńca wystraszył. I bardzo dobrze. Od czasu do czasu każdemu trzeba przypomnieć, gdzie jego miejsce. – Zabicie Karpowa sprawiło mi wyraźną przyjemność. Do tego przy okazji udało mi się dopiec starej przyjaciółce, zabójczyni na usługach Kidonu, niejkiej Rebecce.

– Cieszę się pańskim szczęściem.

– Od czego są przyjaciele? – Borz uśmiechnął się cierpko. – Nawet tacy, którzy nic już nie powiedzą. Szczególnie tacy.

El-Amir odchylił głowę, wydmuchując dym w suche pustynne powietrze.

– Skąd ta animozja między panem a tą Rebeką?

– Z zatrutej studni.

Prędzej piekło zamarznie, niż miałyby się zwierzać komukolwiek z powodów swojej niechęci do Rebeci, a już El-Amirowi w szczególności. Mossad od dawna starał się śledzić jego ruchy, nie do końca skutecznie. W końcu zaangażowali do tego Kidon. Podstawili Rebecce pod nos jego zapach i spuścili ją ze smyczy w Kairze, gdzie ich zdaniem miał swoją kryjówkę. Mieli rację, ale tylko w połowie. Borz rzeczywiście był wtedy w Kairze, ale tylko po to, by pośredniczyć przy największej transakcji w całej swojej karierze handlarza bronią. Sprawa była bardziej skomplikowana niż zwykle. Żeby dobić targu, musiał dogadać się z dwoma klientami, dwoma zwyrodnialcami o przerośniętym ego, którzy wydawali mu się obrzydliwi, a Borza niełatwo było obrzydzić. Z tych właśnie powodów – i jeszcze jednego – jako jedyne dysponował asortymentem wystarczająco okazałym i zróżnicowanym, by zaspokoić potrzeby tych ludzi. To oni przyszli do niego, w związku z czym zażądał trzy razy więcej, niż miał w zwyczaju. Żaden z klientów nie uznał tego za problem. Dla Borza to miał być interes życia, a wisienką na torcie był fakt, że spora część arsenału, który sprzedawał, miała zostać użyta przeciwko Izraelowi.

Borz właściwie nie był pewien, jak do tego doszło, ale Rebeka jakimś cudem zwiędziała się, gdzie zamierzali sfinalizować transakcję. Snajper był z niej, niestety, nienajgorszy, więc zastrzeliła obu klientów na miejscu, a jego chybiła o włos. Od tamtej pory na nią polował, szukając okazji do zemsty, na którą tak zasługiwała. Odebrała mu ogromne honorarium, a do tego upokorzyła w sposób, jakiego nie zamierzał tolerować.

El-Amir, nieświadomy toku myśli szefa, wyjął cygaro z ust i przyjrzał się końcówce.

– Wie pan, co najbardziej lubię w wysokogatunkowych cygarach?

Iwan Borz zapatrzył się w niebo. Księżyc na moment schował się za chmurą, by po chwili znów zalać piramidy srebrnym blaskiem.

– Nie mam pojęcia.

– Popiół – odpowiedział tamten. – Nigdy się nie kruszy. Choćby nie wiem jak daleko sięgał, przez cały czas się trzyma.

Borz miał ochotę wstać i zadusić tego nadętego dupka, ale teraz El-Amir był niezbędnym trybikiem w jego maszynie. Uśmiechnął się do swoich myśli. Wielka szkoda...

– Czy to coś ze wstępu do egzystencjalizmu na uniwersytecie w Cambridge? – zapytał.

Dmuchał dymem i patrzył, jak jego kłęby zasnuwają księżyc. Potem dym się rozwiął.

El-Amir zaśmiał się.

– Proszę mi nie mówić, że zazdrości mi pan wykształcenia...

– Ani trochę. Czy w Cambridge nauczyli cię, jak się zabija? Albo jak się umiera?

Kiedy Amira zamknęła za nim drzwi swojego pływającego domu, Bourne zadzwonił do Eliego Yadina. Miał jego prywatny numer z czasów, kiedy razem pracowali. Po jednym dzwonku w słuchawce dał się słyszeć pojedynczy trzask; potem nastąpiła głucha cisza, oznaczająca przekierowanie na zabezpieczoną linię, a następnie rozległo się elektroniczne bzyczenie – to rozmaite systemy bezpieczeństwa starały się namierzyć, skąd jest połączenie. Yadin odebrał telefon dopiero wtedy, kiedy cały proces się zakończył.

– Gdzie jesteś?

Dyrektor Mossadu nie marnował czasu na częstą pogawędkę.

– W Kairze, szukam Iwana Borza.

Yadin chrząknął z niezadowoleniem.

– Z tym cholernym kameleonem nie będzie ci łatwo.

– Eli, czy Sara była w Moskwie dwa dni temu?

– Czemu nie zapytasz jej osobiście?

– Pytam ciebie.

– Co się stało? – spytał Yadin poważnym tonem.

– Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz.

– Niestety, nie mam ci nic do powiedzenia.

– Posłuchaj mnie, Eli. Stoję na brzegu Nilu, trzymając w ręce gwiazdę Sary.

Cisza.

– Wiem, co teraz myślisz... To na pewno ta.

– Niemożliwe. Widziałem ją u niej dziś rano.

Bourne szybko wyjaśnił, że poznał ją po ułamanym rogu.

– Musiała kupić nową.

– Nie miała, kiedy przyjechała do mnie prosto z lotniska.

– A skąd leciała? Gdzie była wczoraj?

Cisza.

– Nie pytałbym o to, gdybym...

– Wiem.

Znów cisza.

– Sara miała cel w Moskwie – powiedział w końcu Yadin.

– Czy chodziło o zabicie Borysa Karpowa?

– Nie.

– Mów prawdę, Eli!

– Cieszę się, że Karpow nie żyje. Nie był sojusznikiem Izraela.

– Ale był moim przyjacielem.

– Sara mi mówiła. Dziwnych masz przyjaciół, Jasonie.

– Między innymi ciebie, panie dyrektorze.

Znów odpowiedziała mu cisza. Bourne przez cały czas obserwował każdy ruch, każdy cień i każdą przepływającą łódź, szukając potencjalnego napastnika albo obserwatora. Znajdował się w obozie wroga. Nie było tu miejsca na odpoczynek, na opuszczenie gardy.

– Co ma Sara do śmierci twojego przyjaciela? – zapytał dyrektor po dłuższej chwili.

– Przepiłowano mu gardło garotą. W ranie znalazłem gwiazdę Sary.

– To niemożliwe...

– Bardzo głęboko w ranie. – Bourne westchnął. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa, ale nie miał wyboru. – Obaj wiemy, że Sarze zdarzało się używać tej gwiazdy jako broni.

– Niejeden raz uratowała jej życie – zgodził się Eli po chwili zastanowienia.

Pora to z siebie wydusić.

– Czy miała rozkaz wyeliminować Borysa Karpowa?

– Nie.

– Eli...

– Przysięgam, Jasonie. Ale po tym, co mi powiedziałeś, zaczynam rozumieć, dlaczego FSB rzuciła się za nią w pogoń. Sprawdzili wszystkich wyjeżdżających z Moskwy. Wyłapali jej zdjęcie z kamery przemysłowej na lotnisku, a teraz cała organizacja chce ją dopaść.

– Wyobraź sobie, jak Mossad by zareagował, gdyby ktoś sprzątnął ciebie.

– Nie powiem, że mi przykro z powodu jego śmierci, ale Sara nie miała z tym nic wspólnego.

Przyszedł czas na kolejne pytanie, którego Bourne wcale nie miał ochoty zadawać.

– Jak myślisz, Eli, czy to możliwe, żeby Sara dołożyła sobie drugie zadanie? Borys był nie lada celem...

– My nie działamy w ten sposób. Sara też w ten sposób nie działa.

Bourne poczuł ulgę.

– Okej. W takim razie chyba wiem, kto załatwił Borysa.

– Ktoś mi znany?

– Iwan Borz.

– Twój prywatny upiór? Tak się składa, że mamy na niego zamiar w Kairze. Zakładam, że o tym wiesz.

– Namiary czasem się na siebie nakładają. Nie muszą się pokrywać.

– Lev Bin.

Yadin wyrecytował numer telefonu.

– Skontaktuję się z nim. A teraz powiedz mi, czemu FSB myśli, że to Sara zabiła Borysa. Gwiazdę znalazłem ja. Nikt mnie nie widział, nikt nie wie.

– Może wystarczył fakt, że była w Moskwie. No i na pewno znaleźli człowieka, którego wyeliminowała. Pomyśl: ktoś morduje szefa FSB, a agentka Kidonu opuszcza Rosję jeszcze tego samego dnia.

– Jak ją namierzeli? Myślałem, że personel Kidonu...

– To będzie musiało poczekać, Jasonie. Teraz martwię się głównie o Sarę.

– Gdzie ona jest? W Jerozolimie?

– Już nie. Chciałem ją wysłać na Malediwy, na wakacje, dla bezpieczeństwa. Ale...

– Ale co?

– Poleciała gdzie indziej.

Żołądek Bourne'a ścisnął się boleśnie.

– Gdzie?

– Kiedy ją spotkasz, Jasonie, a spotkasz ją pewnie niedługo, powiedz jej, że ma u mnie przesrane. – Głęboki wdech, słyszalny nawet przez telefon. – Jasonie, nie pozwól, żeby coś jej się stało.

Herbatę przyniosła im młoda kobieta, trzymając tacę w jednej ręce. Drugą przytrzymała zwinięty dywanik modlitewny. Czarna szata zakrywała całą jej postać oraz twarz, odsłonięte były jedynie oczy – czyli wszystko, co szanująca się kobieta powinna pokazywać publicznie. Każdy inny strój byłby lubieżny i zły, obraźliwy wobec surowych zasad islamu.

– Już czas – powiedziała.

Oba cygara dawno się wypaliły, a dym rozwiął się na wietrze, który szalał po pustyni, przyćmiewając światła reflektorów skierowanych na piramidy.

Kiedy dziewczyna stawiała tacę na stoliku, El-Amir rzucił:

– Popatrz jej w oczy.

Borz usłuchał i natychmiast poznał bohaterkę najnowszego filmu El-Amira.

– Moje gratulacje – zwrócił się do kobiety. – Jesteś gwiazdą.

El-Amir uśmiechnął się.

– Bez wątpienia...

Borz sięgnął pod fotel i wyjął swój dywanik modlitewny, a dziewczyna podała El-Amirowi ten, który przyniosła. Popatrzyła pytająco na spoczywającą w pudełku głowę.

– Przypomina ci się ojczyzna? – odezwał się Borz, bo jakoś nie mógł się powstrzymać.

Podniosła na niego oczy. Jej spojrzenie było poważne, więc Borz uznał, że jest kompletnie pozbawiona poczucia humoru.

– O naszych wrogach przypomina mi każdy dron na niebie, każda rakietka usuwająca z powierzchni ziemi wioski, gdzie mieszkali ludzie, których znałam.

– Hm – mruknął Borz. – Pięknie mówisz po arabsku.

– Moi rodzice mówią tym językiem – odparła. – Zastanawiają się pewnie, gdzie teraz jestem.

– W lepszym miejscu – skwitował Iwan.

Dziewczyna podała im misę z wodą, a mężczyźni obmyli w niej ręce i bose stopy. Nie potrzebowali ręcznika; pustynny wiatr wysuszył skórę niemal natychmiast.

Kobieta odwróciła się i odeszła bez słowa, a oni uklękli na dywanikach, rozpoczynając modlitwę. Ich głosy zgrały się harmonijnie, tak samo jak ruchy ciał i rąk.

Po skończonej modlitwie zwinęli dywaniki i na powrót rozsiedli się w fotelach, popijając herbatę w przyjaznym milczeniu.

Przerwał je El-Amir.

– Liczba rekrutów prawie przekracza nasze możliwości organizacyjne. Dzięki portalom społecznościowym jesteśmy tysiąc razy bardziej widoczni i trafiamy bezpośrednio do ludzi słabej woli, których poglądy można zradykalizować i nagiąć do naszych celów.

– Ustawileś nas na dogodnej pozycji. Realizujemy plan, i to nawet z wyprzedzeniem.

– Staram się, jak mogę. Obaj mamy wielkie ambicje wykraczające poza religię czy ideologię.

– Powiedz mi... – Borz nie miał ochoty rozmawiać o ambicjach z nikim poza głową w pudełku. – Tęsknisz czasem za swoją siostrą? Mieszka po drugiej stronie miasta, w łodzi waszego ojca.

– Ta część mnie, która umarła w Londynie, tęskni za Amirą przez cały czas. – El-Amir mówił powoli, bez emocji. – Człowiek, który filmuje, montuje i edytuje pańskie filmiki nawet nie pamięta, kim ona jest.

Doskonała odpowiedź, najlepsza z możliwych. Borz był zadowolony.

– A pan? – zainteresował się El-Amir. – Nadal widuje się pan z tą kobietą, tą prze...

– A co? – uciął Borz.

Nie lubił być pytany o życie osobiste.

– Zastanawiałem się tylko, czy zamierza się pan z nią zobaczyć, zanim wyjedziemy.

Borz nie podjął tematu. Tymczasem nad pustynią wstawał świt, przynosząc ze sobą korowód

autokarów z turystami, których nie wystraszyły doniesienia gazet. Ostatnimi czasy autobusy wycieczkowe były w połowie puste, a czasami nie kursowały wcale, bo nie było chętnych. Myśl o tym napawała Borza dumą.

Świt powitali modlitwą, więc przyszła pora, by wracać do pracy. „Cztery dni – pomyślał Borz, podnosząc się z miejsca. – Cztery dni do końca świata”.

Całkowicie ubrana i zniecierpliwiona Swietłana Karpowa siedziała na szpitalnym łóżku. Była gotowa do wyjścia, jej lekarz wyraził zgodę i podpisał wszystkie potrzebne papiery. Powinna była opuścić szpital już kilka godzin temu, ale zamiast tego ciągle siedziała na swoim łóżku, a pod jej drzwiami stało dwóch policjantów. Próbowwała opuścić pokój, ale strażnicy ją powstrzymali – spokojnie, lecz zdecydowanie. Nie byli z FSB. Swietłana nie miała pojęcia, kto im kazał zatrzymać ją w szpitalu.

Przeniesiono ją, oczywiście. Sala, w której umarł Andriej Awiłow, była miejscem zbrodni i została zamknięta. Przez uchylone drzwi nowego pokoju Swietłana widziała ekipę techników kryminalnych, taszczących tajemnicze oprzyrządowanie. Ale mimo swej zasłużonej sławy ekipa nic nie znalazła, bo w sali nie było nic, co można by znaleźć. Tam Andriej Awiłow umarł, ale zamordowany został gdzie indziej. Tylko że oni tego, rzecz jasna, nie wiedzieli. I nigdy mieli się nie dowiedzieć. Sprawa – jeśli to w ogóle można nazwać sprawą – zostanie wkrótce zamknięta.

Tak w opinii Swietłany przedstawiały się fakty. Dlaczego więc wbrew jej woli przetrzymywano ją w szpitalu? Nie wiedziała, ale miała tego dość. Potrzebowała ciszy i samotności, aby w spokoju opłakiwać męża, a w szpitalu można było znaleźć wszystko, tylko nie ciszę.

Wstała, zamierzając się przedrzeć przez dwóch policjantów, z wielką awanturą, jeśli będzie trzeba, gdy do jej pokoju wszedł mężczyzna o zwracającym uwagę wyglądzie. Towarzyszyła mu jeszcze bardziej interesująco wyglądająca młoda kobieta, której Swietłanie nie przedstawił, a która w ciągu całej rozmowy nie odezwała się ani słowem.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedział na wstępie mężczyzna. Jego głos był miękki, aksamitny, przypominający mruczenie kota, a niełatwo osiągnąć taki efekt, mówiąc po rosyjsku. Miał przenikliwe spojrzenie, zarost, który wyszedł z mody za czasów Trockiego, czyli wąsy łączące się z kocią bródką, oraz głębokie zakola. Zaczesał do tyłu kruczoczarne włosy przygładził za pomocą jakiejś pomady o silnym zapachu. Wyglądał na krzepkiego i wysportowanego, ale palił papierosa, który cuchnął tak okropnie, że Swietłanie zaczęło się zbierać na wymioty. Smugi dymu wirowały wokół niego leniwie niczym opary kadzidła. Papierosowa mgiełka sprawiała, że wyglądał jak pogański bóg. W pewnym sensie faktycznie był bogiem.

Borys przedstawił mu Swietłanę na jakimś przyjęciu, ale nawet gdyby nie znała go osobiście, rozpoznałaby go z setek zdjęć w gazetach. Jego obecność wiele wyjaśniała, między innymi skąd wzięła się straż pod jej drzwiami. Mężczyzna zatrzymał się na środku pokoju, odgradzając ją od drzwi. I tak Swietłana znalazła się twarzą w twarz z Timurem Sawasinem, pierwszym ministrem. Nad nim stał jedynie Samowładca.

– Generał był wielkim człowiekiem. Wielkim. Będzie nam go ogromnie brakowało – stwierdził, wypuszczając dym przez nos jak drzemiący smok.

Swietłana zwróciła uwagę na to, że powiedział „generał”, nie „Borys Iljicz”. Więc Borys nie żartował, kiedy o nim mówił. Śliski jak węgorz elektryczny i tak samo niebezpieczny.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, po czym natychmiast przywołała na twarz posępny wyraz, jaki przystoi zrozpaczonej wdowie, z którą źle się obchodzono.

– Dziękuję, panie ministrze. Doceniam pana życzliwość. Ale do rzeczy. Czy może mi pan powiedzieć, kto zabił mojego męża?

Machnął lekceważąco ręką.

– Proszę się tym nie kłopotać. Zajmujemy się tą sprawą, niech mi pani wierzy.

„Wierzyć? – pomyślała Swietłana. – Nic z tego”.

– Przykro mi, ale nalegam, panie ministrze. Rząd jest mi winien chociaż tyle.

Sawasin przez chwilę rozważał jej prośbę. W końcu zdusił niedopałek i powiedział:

– Dobrze. Aby dowieść naszej szczególnej przychylności, powiem pani, co odkryliśmy. Otóż generała Karpowa zabiła agentka Mossadu, członkini Kidonu, oddziału wyszkolonych skrytobójców. Nie sądzę, abyśmy zdołali odkryć, w jaki sposób przedostała się do hotelu, ale zapewniam panią, że wiemy, dokąd uciekła. Wydelegowano już agentów, którzy ją zlikwidują.

– Nazwisko! – zażądała Swietłana. – Chcę wiedzieć, jak ona się nazywa, panie ministrze.

– Nazwisk nie ujawniamy – rzucił bez wahania.

Swietłana przez całe życie radziła sobie z mężczyznami, którzy jej czegoś odmawiali. Nieważne, że niektórzy z nich mieli wielką władzę.

– Mój mąż był szefem FSB. Jest mi pan to winien, panie ministrze.

Sawasin westchnął, ale chyba uznał, że udzielenie Swietłanie tej informacji w niczym nie może zaszkodzić, bo powiedział:

– Znamy imię, które przydzielono jej w oddziale. Rebeka.

– Więc doszliście tylko do jej kryptonimu operacyjnego?

– To nam wystarczy – powiedział złowieszczo, najwyraźniej zamykając temat.

Potarł dłoń o dłoń. Przykra, ale nieunikniona wymiana uprzejmości dobiegła końca. Mógł przejść do interesów.

– A teraz niech pani będzie łaskawa opowiedzieć własnymi słowami, co zaszło między panią a Andriejem w pani apartamencie w noc wesela.

– Napadnięto mnie – powiedziała Swietłana. – Zostałam wykorzystana.

– Seksualnie?

– Z pewnością czytał pan raport z obdukcji.

– Chciałbym usłyszeć to z pani ust.

– Oczywiście – przytaknęła, starając się, by jej gest wyrażał skwapliwość i posłuszeństwo. – Zostałam ciężko pobita i wykorzystana seksualnie.

– Proszę mi wybaczyć te obcesowe pytania. Tak trzeba.

– Rozumiem.

„Ty chuju” – rzuciła w myślach.

– Niech mi pani powie, kto to zrobił.

I tu był problem. Swietłana nie mogła absolutnie niczym zasugerować, że miała powód, by zabić Awiłowa. Gdyby powiedziała prawdę, oskarżyła Awiłowa o gwałt, ofiarowałaby Sawasinowi motyw na srebrnej tacy. Musiała też chronić kuzynkę. Z całą ostrością przypomniawszy sobie niechęć między FSB a wojskową kadrą Sawasina, a zwłaszcza zajadłą nienawiść Awiłowa wobec pułkownika Korsołowa. Podwładni często podzielają uprzedzenia swoich szefów. Postanowiła zaryzykować.

– Rozmawiałam z Andriejem, kiedy drzwi się otworzyły, wpadł jeden ze strażników z FSB i rzucił się na mnie. Andriej zasłonił mnie sobą, zaczęli się szarpać. Nie widziałam wszystkiego dokładnie, ale dostrzegłam krew na twarzy Andrieja. Potem upadł na podłogę, a strażnik...

Jej głos zdrztał teatralnie. Swietłana wydusiła z oczu kilka łez. Nie spuściła przy tym głowy, stała wyprostowana, by Sawasin był w stanie zobaczyć, jak łzy toczą się po jej policzkach. Borys zawsze twierdził, że zmarnowała talent, że powinna była zostać aktorką. Odchrząknęła i stłumionym głosem dokończyła:

– No cóż, ciąg dalszy pan zna.

– A ten strażnik z FSB? Jak on zginął?

– Chyba nietrudno się domyślić, panie ministrze. Andriej odzyskał przytomność, ściągnął go ze mnie i wsadził mu nóż pod żebro.

– Rozumiem.

Sawasin przesunął się. Teraz już nie stał pomiędzy Swietłaną i drzwiami.

– Czy ma pani pojęcie, dlaczego przed drzwiami pani apartamentu postawiono strażników z FSB?

– Myślałam, że to dla mojego bezpieczeństwa – odrzekła i od razu pomyślała: „Trzeba dać mu do zrozumienia, że zachowałam wtedy rozsądek. Nie mogę wspomnieć, że dostałam ataku hysterii ani że próbowałam wyrwać się z apartamentu, żeby szukać Borysa”. – Wtedy już wiedziałam, że coś jest nie tak.

– Bezpośrednim dowódcą ludzi, którzy pani pilnowali, był pułkownik Korsołow z FSB. Czy ma pani jakąś sugestię, dlaczego jeden z nich miałby panią zaatakować?

„Sprzedaj mu to! – rozkazała sobie w myślach Swietłana. – Sprzedaj, mówiąc mu dokładnie to, co chce usłyszeć”.

– Byłam taka skołowana...

– Doskonale rozumiem. Ale gdyby pani jednak mogła...

– Dostał ataku furii. Cóż, w końcu przed chwilą zamordowano mu szefa. Wołał, że jestem ukraińską dziwką, zdradziecką świnią, pierdoloną suką i jeszcze inne rzeczy – opowiadała żarliwie. Sawasin musiał ujrzeć w niej kobietę, która pragnie zapomnieć o tych koszmarnych przejściach, ale nie jest w stanie, a wspominając doznaną przemoc, grzęźnie w bagnie wstydu i upokorzenia. – Jeszcze bardzo dużo innych rzeczy.

Sawasin nie wydawał się poruszony, ale może tylko jej się zdawało.

– A Andriej? – spytał. – Czemu był w pani apartamencie?

– Przyszedł mnie zawiadomić o śmierci mojego męża.

– No tak, Korsołow był zajęty na, hm, miejscu zbrodni... – westchnął Sawasin. Oczywiście doskonale wiedział, dlaczego Awiłow był w apartamencie, ale miał nadzieję, że wdowa powie coś, czym udowodni, że kłamie albo coś ukrywa. Bo że ukrywa, tego był pewny. Ukraińcy zawsze coś knują. – To niewyobrażalne, co pani przeszła. Proszę raz jeszcze przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia. Trudno ująć w słowa... – urwał w pół zdania, jakby jego myśli zmienacka zmieniły kierunek. – Odwet za to, że Andriej zarządził jednego z jego ludzi... – Sawasin uniósł zaciśniętą pięść. – Pułkownik Korsołow odpowie za to ohydztwo, mimo że Samowładca awansował go do stopnia generała.

– Nie wiem, czy to możliwe, tym bardziej że, jak pan mówi, Samowładca właśnie go awansował. Czy został także nowym szefem FSB?

– Wielki generał widział go jako swego następcę. – Sawasin nie ukrywał niesmaku. – Nie rozumiem, z jakiego powodu osobiście nadzorował ścieżkę kariery Korsołowa i wybrał go na swojego adiutanta. Ten człowiek to niebezpieczny psychopata.

„Nic dziwnego, że Samowładca awansował właśnie jego, aby wypełnić powstałą lukę” – pomyślała Swietłana. Ale w jednej sprawie zgadzała się z pierwszym ministrem.

– Jestem tego samego zdania – stwierdziła, a po chwili dodała: – Panie ministrze, czy pan jest świadom, że strażnicy z FSB, czyli ludzie generała Korsołowa, trzymali mnie pod kluczem w moim apartamencie?

– Jak to?

Oczywiście to Andriej Awiłow trzymał ją pod kluczem, przy okazji bijąc ją i gwałcąc, ale Swietłana rozumiała, że wyjawienie prawdy przyniosłoby jej same szkody.

– Jak wspominałam, wiedziałam już, że coś jest nie tak. Kiedy Andriej powiedział mi, co się stało... Mówiłam im, że chcę tylko zobaczyć mojego męża. Odmówili. Wyciągnęli broń, żebym nie miała wątpliwości. W noc mojego własnego wesela zostałam uwięziona.

– To nie do przyjęcia. Nie można, nie wolno tolerować takiego zachowania! – Sawasin wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i uniósł rękę. – Śledztwo w sprawie tych wydarzeń zostanie przeprowadzone z całą dokładnością. Winni poniosą karę. Śmierć Andrieja zostanie pomszczona. Ma pani na to moje słowo. – W jego uśmiechu było coś przerażającego. Swietłana czuła się tak, jakby stała nos w nos z wygłodniałym wilkiem. – A oto niespodzianka, którą dla pani przygotowałem. Miły, długi rejs wycieczkowy. Wkrótce leci pani do Amsterdamu, gdzie wsiądzie pani na statek. Apartament na najwyższym pokładzie jest zarezerwowany na pani panińskie nazwisko.

– Moje panińskie nazwisko? Dlaczego?

– Aby dać pani możliwość zaplanowania dalszego życia. Musi pani zostawić za sobą ten koszmar. – Znowu się uśmiechnął w ten straszny sposób, a Swietłanie zrobiło się niedobrze. – To dla pani dobra, proszę mi wierzyć. – Zapalił papierosa i rozłożył ręce. – Z pani jest już przechodzony towar, co tu kryć. Tutaj, w kraju, żaden mężczyzna nie zechce na panią nawet spojrzeć.

Czuła, jak rumieniec obejmuje jej szyję i rozlewa się na policzki. Serce waliło jej jak młotem, a w oczach pociemniało z wściekłości. Chciała skoczyć mu z pazurami do oczu, ledwo się pohamowała. Zamiast tego wygięła wargi w uśmiechu, który w rzeczywistości był grymasem bólu i upokorzenia.

„No proszę – pomyślała. – Zniewagi zaczynają się mnożyć. A więc to prawda, że nie ma sprawiedliwości?”

Upał był nieznośny, mimo wczesnej pory. Przedzierając się przez hałaśliwą dżunglę ulic Kairu, Sara obliczyła, że od jej ostatniego pobytu w tym mieście minęło już ponad pięć lat. Przyjechała wtedy bez zaproszenia, samowolnie, żeby zająć się sprawą, którą inaczej nikt by się nie zainteresował, ponieważ poza nią nikt w Mossadzie nie uważał jej za istotną.

Szła przez zatłoczone ulice, zastanawiając się, co ją będzie czekać po powrocie do Jerozolimy. Ojciec na pewno się już zorientował, dokąd poleciała i dlaczego. Powodem był Iwan Borz. Epizod z przeszłości. To przez niego przyjechała do Kairu pięć lat temu.

Jako najważniejszy handlarz bronią na świecie nie umknął uwadze Mossadu. Został uznany za poważne zagrożenie i wzięty na cel. Po trzech latach bezowocnych prób zlokalizowania i zlikwidowania jego kryjówki, Eli Yadin stracił cierpliwość. Wysłał więc córkę, by odszukała Borza i wyeliminowała go raz na zawsze. Ostrzegano ją, że w przeciwieństwie do większości zadań wykonywanych przez Kidon, ta misja może się okazać długoterminowa. Nie przeszkadzało jej to; nie miała nic do roboty ani w Jerozolimie, ani w Tel Awiwie. W zasadzie to się nudziła – po raz pierwszy i ostatni w całej swojej karierze.

Poszukiwania zaprowadziły ją do pewnego egipskiego lichwiarza. Zdobyła jego zaufanie w półtora miesiąca. W zasadzie nie był złym człowiekiem, ale tkwił po uszy w półświatku. Sara powinna była wykorzystać go bez zmruczenia oka, ale w kluczowej chwili, której potem żałowała, chwyciły ją wyrzuty sumienia. Zupełnym zbiegiem okoliczności okazało się, że pożyczał pieniądze dwóm z aktualnych klientów Borza. To dzięki niemu się dowiedziała, gdzie i kiedy Borz zamierza przekazać kupcom ogromną ilość towaru. Niedługo później ktoś ściał lichwiarza w jego biurze. Nie udało się jej ustalić, czy zrobił to Borz, czy też ktoś mszczący się za śmierć jego klientów. Z perspektywy nieszczęsnego lichwiarza to nie miało znaczenia. I tak był już martwy. Bardziej żałowała, że nie udało jej się dopaść

Borza.

Jeśli Eli był rozczarowany przebiegiem jej misji, nigdy się z tym nie zdradził. Poinformował ją tylko, że ma unikać wizyt w Kairze i w ogóle w Egipcie, aż do odwołania.

Odwołanie przyszło w formie dossier, które Dov zostawił na biurku jej ojca. Po pięciu latach. I proszę, oto wróciła do Kairu. Wysiadła z taksówki, przeszła dwa kilometry i zajrzała do sklepu z hidżabami. Kupiła jeden, obwiązała głowę i weszła na zaplecze. Siedzący tam krawiec, starszy mężczyzna o twarzy brązowej i pomarszczonej jak orzech, popatrzył na nią pytająco.

– Jak się miewa twoja córka, stryju? – zapytała Sara po arabsku.

– Która, Sidra?

– Nie, Ermina.

Staruszek uśmiechnął się szerzej.

– Wszystko u niej w porządku.

Wymienili hasło i odzew.

Krawiec wstał, skinął na Sarę i zniknął w półmroku korytarza. Otworzył drzwi prowadzące do składziku, gdzie na rzędach półek leżały bele tkanin i gotowe chusty. Starzec pociągnął za jedną z półek; był dużo silniejszy, niż sugerowała to jego postura. Skrzypnęły ukryte zawiasy i regał się odsunął, ukazując głęboką niszę. W środku też stał regał, ale pełen rozmaitej broni.

Krawiec odsunął się, czekając, aż Sara coś wybierze.

Ona zaś, jak zwykle, dokonała mądrego wyboru.

Wschód słońca zastał Bourne'a na zapadniętym hotelowym łóżku w szemranej dzielnicy Kairu. U sufitu hałasował zdezelowany wiatrak, z lekka tylko chłodząc gęstniejące powietrze.

Wstał, umył się i ubrał, po czym wyszedł z hotelu, nie zwracając uwagi na oślepiające słońce i ogłuszający hałas budzącego się miasta. Zajrzał do trzech najlepszych jubilerów w mieście i dopiero w tym ostatnim znalazł to, czego szukał.

Kupił lupę i piękny zestaw narzędzi złotniczych w wyłożonej miękkim aksamitem kasetce. Zapłacił gotówką i ruszył dalej. Teraz potrzebował jakiegoś cichego miejsca do pracy; jego pokój hotelowy zdecydowanie do takich nie należał.

Siedziba Muzeum Egipskiego nieopodal placu Tahrir w Kairze, zaprojektowana przez Marcela Dourgnona w stylu neoklasycystycznym, była pierwszym na świecie budynkiem od początku przeznaczonym na placówkę tego typu. Od 1902 roku mieściła bogatą kolekcję zabytków, wcześniej przechowywaną w pałacu Ismaila Paszy w Gizie.

Bourne udał się do muzealnej biblioteki, która okazała się oazą spokoju. Powietrze pachniało papierem i wiekowymi skórzanymi okładkami, więc atmosfera idealnie pasowała do zadania, które przed nim stało. Usadowił się na końcu jednego z długich stołów, przysunął lampkę z zielonym kloszem i rozpakował narzędzia. Wyciągnął fałszywą monetę, którą przekazał mu Borys, i przyjrzał się jej przez lupę. W kręgu oliwkowego światła znów dostrzegł cienką linię biegnącą wzdłuż krawędzi.

Wysunął z futerału dłuto o grubości ośmiu dziesiątych milimetra, najcieńsze w zestawie. Przyłożył końcówkę do przecinającej monetę pręgi, powoli zwiększając nacisk. Nic. Przycisnął mocniej, odrobinę zmieniając kąt. Nadal nic. Już zaczął wątpić, czy rzeczywiście ma do czynienia z linią zgrzewu, kiedy poczuł, jak czubek dłuta wciska się w szczelinę. Tylko o włos, ale może więcej nie było trzeba. Przekreślił dłuto i moneta otworzyła się niczym ostryga.

W jej wnętrzu krył się starannie złożony kawałek peluru. Bourne wyciągnął go pęsetą i ostrożnie rozwinął na stole. Kawałek po kawałku, jego oczom ukazywał się tekst napisany ręką Borysa. Z cmentarza podniosła się poranna mgła.

– Co za posrane miasto – rzucił Borys znad talerza z kuskusem.

Siedzieli z Bourne'em w ogródku jednej z jerozolimskich kawiarni. Przed słońcem chroniła ich markiza z niefarbowanego lnu. Przez zgiełk ulicy co i rusz przebijały się okrzyki przekupniów. Po chodniku nieprzerwaną strugą sunęli przechodnie, szybkim i zdecydowanym krokiem lub lekko jak tancerze. Był piękny dzień, cztery lata wcześniej.

– No bo kto ci tu powie prawdę? Mossad? Arabowie? Z jakiej sekty i z jakiego odłamu tej sekty? Cały problem z Izraelczykami jest taki, że wszystko jest kontrolowane przez religijne racje. Fanatycy trzymają w garści i premiera, i cały Mossad. Wszyscy tańczą pod ich dyktando, wszyscy robią, co im się mówi. – Borys wzruszył potężnymi ramionami. – Każdy ma jakieś osobiste powody zagrzebane tak głęboko, że nie wyciągnąłby ich nawet Herkules. Pieprzyć zorganizowane religie, tyle ci powiem. Pomyśl tylko, o ile świat byłby lepszy, gdyby nikt nie wierzył w takie mrzonki.

– Wszyscy bylibyśmy komunistami – prychnął Bourne z uśmiechem.

Borys nie potraktował tego jako żart.

– Komunizm to ślepa uliczka, przyjacielu. Przetrwiał w Rosji? Nie, przejrzelśmy na oczy. W Chinach? Też nie, bo zmądrzeli. Nawet Kubańczycy zaczynają już się orientować, co sobie zrobili. No dobra, zostaje jeszcze Korea Północna, najbardziej przygnębiające, ubogie i obłąkane państwo w historii ludzkości.

Przez kilka minut siedzieli w ponurym milczeniu. Bourne widywał już Borysa w takim nastroju i nie zamierzał interweniować.

– À propos historii ludzkości... Zaangażowałem się w taki mały projekt, hobbystycznie. Odkąd cyberszpiegostwo poszło do przodu i programy są w stanie złamać nawet najbardziej skomplikowany kod w kilka minut, coraz trudniej o bezpieczną komunikację. W FSB wszystkie komunikaty wewnętrzne i sprawozdania znowu pisze się na maszynie. Na serwerach nie ma już ani słowa o aktualnych projektach, inaczej wszystko by nam zwinęli. – Miał na myśli 61398 jednostkę Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, czyli oddział hakerów. – Ale jak kontaktować się z agentami w terenie? Postanowiłem rozwiązać ten problem. – Zamachał na obsługę i zamówił kolejną kawę. – Głównkowałem nad tym długo i intensywnie, nawet przeprowadziłem drobne badania, i wymyśliłem, co może się sprawdzić. Sumeryjski. – Gdy kelner przyniósł ich zamówienie, Borys rozsiadł się wygodniej. Począł, aż znów zostaną sami, po czym przeszedł od wstępu do wniosków końcowych. – Język sumeryjski ma wiele nietypowych właściwości. Jedną z nich jest bardzo duża liczba homofonów. Do tego sumeryjski miał dwa socjolekty, tak zwany męski i żeński. Moim zdaniem dzięki temu idealnie się nadaje do przekazywania zaszyfrowanych wiadomości. Symbole można podzielić na grupy, jak w alfabecie Morse'a, i dołożyć do wiadomości jedną grupę dla zmyłki, na wypadek, gdyby ktoś jednak poznał klucz do kodu. – Uniósł palec, jakby sprawdzał, z której strony wieje wiatr. – Pokażę ci te symbole i przeczytam wszystkie po kolei po rosyjsku. Ty je zapamiętasz. A potem każdy napisze drugiemu zaszyfrowaną wiadomość. Powiedzmy, dla zabawy. To akurat zabawa dla nas. Jak wszystkie nasze gierki, ta też wiąże się z potencjalnym ryzykiem. Gotowy? To zaczynamy.

Zamoczył palec w kawie i zaczął rysować na stole znaki pisma klinowego.

Bourne miał przed sobą dwadzieścia cztery symbole podzielone na cztery grupy. Każdy oznaczał nie literę czy słowo, ale pojęcie. Zapisana odręcznie przez Borysa wiadomość w pewnym sensie wskrzeszała go z martwych. Bourne miał wrażenie, że przyjaciel siedzi naprzeciw niego w dystyngowanym, ponadczasowym wnętrzu muzealnej biblioteki.

Uważnie przyjrzał się kombinacji symboli na pelurze. Borys pomieszał męskie odmiany z żeńskimi, tak jak to zrobił cztery lata temu na blacie stołu w jerozolimskiej kawiarni. Tym razem kolejność była inna. Zostawił mu zaszyfrowaną wiadomość.

Bourne był już zupełnie pewien, że jego przyjaciel spodziewał się ataku na swoje życie, inaczej nie wysłałby monety gońcem do Frankfurtu. Mógł przecież poczekać do wesela i dać ją Bourne'owi w Moskwie, ale ewidentnie czuł, że nie ma na to czasu, albo nie chciał ryzykować, przekazując ją osobiście. Postąpił zgodnie z zasadami bezpieczeństwa stosowanymi od dziesięcioleci.

Czując nagły przypływ uczuć, Bourne wyjrzał przez zakurzone okna, przez które sączyło się tak niewiele światła, że miał wrażenie, iż znajduje się pod wodą. Falujące cienie palm przywoływały na myśl ukwiały. Borys nie lubił podróżować drogą wodną, bo zawsze robiło mu się niedobrze, nie zrzędził jednak, tylko śmiał się sam z siebie, wszystko obracając w żart. Miał ogromne poczucie humoru,

zwłaszcza jak na Rosjanina. Przypominał roześmiane dziecko w otoczeniu zabawek, nowiutkich, błyszczących i przez to ukochanych. Zabawkami Borysa były jego tajemnice.

– Borysie... – szepnął Bourne niemal bezgłośnie. – Co próbujesz mi powiedzieć?

Sara wiedziała, że powinna się spotkać z agentem Levem Binem, który kierował aktualną misją przeciwko Borzowi, postanowiła jednak tego nie robić z dwóch powodów. Po pierwsze nie przepadała za Binem i nie do końca mu ufała. Po drugie była przekonana, że nie powitałby jej z otwartymi rękami.

Teraz zyskała jeszcze trzeci powód, znacznie poważniejszy. Ktoś ją śledził.

Nic dziwnego, skoro ojciec powiedział, że ją namierzyli na Szeremietiewie. Zakładała, że moskiewska policja przekazała sprawę zabójstwa pod mostem Wielkim Kamiennym FSB. Jej pobyt w Moskwie można było połączyć z tym morderstwem, przynajmniej w teorii. Jasne było, że będą żądni jej krwi.

Nie przyspieszając kroku, wmieszała się w grupę bogatych turystów pilnowaną przez prywatnych ochroniarzy.

– To miasto to jakiś koszmar – skomentował świeżo upieczony pułkownik Pankin, obejmując szerokim gestem rozwrzeszczany, pachnący spalinami chaos znany jako Kair. – Jakieś pogańskie piekło.

Nowo mianowany generał Korsołow uniósł brew.

– Spędzanie całego życia w jednym kraju ma swoje wady i zalety...

– To jest Bliski Wschód – rzucił Pankin z nutką obrzydzenia w głosie. – Mój teren to Ukraina i dawne sowieckie republiki.

– Były teren. Awans oznacza nowe obowiązki. Samowładca życzy sobie, żebyśmy obaj poszerzyli horyzonty.

– Tam jest – powiedział Pankin, ani jednym gestem nie zdradzając, o kogo chodzi.

Dwaj oficerowie FSB ruszyli za agentką Kidonu znaną im jako Rebeka.

– Jest z wycieczką – zauważył Korsołow. – Idą do Muzeum Mahmuda Mukhtara.

– Skąd wy wiecie takie rzeczy?

– Nie czytaliście przewodnika turystycznego, który nam dali?

– Nadrabiałem nieprzespane noce.

– Nie pierdol, Pankin – warknął Korsołow. – Świętowaliście awans na pułkownika.

Kiedy doszli do majestatycznych kolumn przy wejściu, generał przyspieszył kroku.

– Trzymajcie ksenofobię na krótkiej smyczy i nie spuszczać oka z celu. Inaczej wasz sukces będzie krótkotrwały.

W monumentalnym wnętrzu muzeum niesły się szepty zwiedzających, jakby po salach i korytarzach przechadzali się nie ludzie, a chmary brzęczących owadów.

– Tak przy okazji – rzucił Korsołow i skierował się w stronę grupy wycieczkowej – Mukhtar był prekursorem współczesnej rzeźby egipskiej. – Pochylając się do ucha Pankina dodał: – I od tej pory nic po rosyjsku. Mówimy tylko po angielsku, jasne?

Pankin kiwnął głową.

– Rozdzielmy się.

– Młot i kowadło?

– Dokładnie.

Korsołow przytaknął, niespiesznie obchodząc zbitych w ciasną grupę turystów. Natychmiast dostrzegł ochroniarzy, więc aby uspić ich czujność, wdał się w niezobowiązującą rozmowę z dwójką młodych ludzi, którzy wyglądali jak żywcem wyjęci z reklamy Ralpa Laurena. Pokonując odruch obrzydzenia, uśmiechnął się szeroko i przedstawił jako specjalista od sztuki egipskiej. Garść faktów o Mukhtarze wystarczyła, by zaakceptowano go jako członka grupy, a ochroniarz przestał się nim przejmować. Minęli okazałych rozmiarów płaskorzeźbę i dwa wolno stojące posągi, które Korsował pamiętał z broszury informacyjnej. Uraczył swoich rozmówców odrobiną bezsensownych wynurzeń o sztuce, mocniej integrując się z tłumem, w którym postanowiła ukryć się Rebeka.

Przewodnik zaczął swoją opowieść. Część turystów założyła słuchawki, by lepiej słyszeć, a reszta postanowiła polegać na własnych uszach. Rebeka była w tej drugiej grupie. Jej profil mignął Korsowałowi w gąszczu głów. Umyślnie zrobił gwałtowny ruch, a tłum zafalował jak trawa na wietrze. Czujna jak zwierzę, obróciła ku niemu głowę. Zobaczyła go i o to chodziło. On miał być młotem, Pankin kowadłem. Rebeka zwiertżyła niebezpieczeństwo i powoli zaczęła się odsuwać jak najdalej. On postępował w jej kierunku, ale trzymał się na dystans, chcąc, by wpadła wprost na Pankina.

Wokół nich kłębili się ludzie. Przewodnik skończył wykład, a turyści podzielili się na mniejsze grupki, zmierzające powoli ku kolejnym eksponatom. Korsował dostrzegł Pankina, który zbliżał się do Rebeki z determinacją w oczach.

Sara zauważyła swój ogon. Dwóch mężczyzn, jeden starszy i barczysty, drugi młodszy, o ostrych rysach twarzy. Rosyjska bezpieka, bez dwóch zdań. Nie umieli ukryć ani wojskowego kroku, ani faktu, że w Kairze czują się niekomfortowo. Natychmiast się zorientowała, że rzadko pracowali w terenie. Wyglądali na oficerów wysokiej rangi. Na pewno chcieli ją przesłuchać na miejscu, w Kairze, a potem zabić. Nie mieli zamiaru wlec jej aż na Łubiankę.

Starła się sprawnie przecisnąć przez tłum. Drugiego oficera nie zauważyła za sobą, więc zapewne czaił się gdzieś z przodu. Próbowali złapać ją w kleszcze, a w ludzkiej ciżbie krępującej jej ruchy i zastawiającej wszystkie drogi ucieczki ten plan miał spore szanse.

„Czy ona wie, że jest nas dwóch?” – zastanawiał się pułkownik Pankin.

Dostrzegł Rebeke w momencie, gdy przewodnik prowadził grupę do kolejnego eksponatu. Ludzka rzeka ruszyła, a on zmierzał ku niej coraz szybciej i szybciej.

Jego wątpliwości rozwiąły się same: ciasna grupa, która początkowo dawała Rebecie ochronę, teraz wyraźnie działała na jej niekorzyść. Wszystkie widoczne przejścia były zablokowane. Znalazła się między młotem a kowadłem.

Za plecami Rebeki Pankin widział sylwetkę Korsołowa, irytującą jak paproch w oku. Zdawał sobie sprawę, że choćby odegrał kluczową rolę w ujęciu agentki Kidonu – a będzie to nie lada osiągnięcie – Korsołow cały sukces przypisze sobie. W służbach specjalnych to normalna kolej rzeczy, ale i tak myśl o tym napawała go obrzydzeniem. To on zaproponował, by wziąć Rebeke w kleszcze, a teraz wystarczyło, by podszedł trzy kroki i chwycił ją za nadgarstki, asekurowany przez Korsołowa. Potem dyskretnie odłączył się od grupy, opuścił muzeum i wsadził ją do podstawionego auta. Cieszył się na chwilę, kiedy będzie mógł rozerwać ją na kawałki, wydobywając przy tym wszystkie tajemnice Kidonu. A potem poderżnie jej gardło, tak jak ona zrobiła z generałem Karpowem.

Była już bardzo blisko, prawie w jego zasięgu. Już wyciągał ręce, by zamknąć ją w uścisku, gdy nagle zatoczyła się, zahaczając ramieniem o pierś jednego z ochroniarzy. Jęknęła cicho i osunęła się na ziemię.

Ochroniarz chwycił ją i ułożył jej bezwładne ciało na kamiennej ławce pod ścianą. Jego towarzysz już ruszał w ich kierunku. Nim turyści otoczyli Rebeke kordonem, zaniepokojeni tym, co zaszło, Pankin wychwycił tylko strzępy rozmowy: „Zemdlała... niski poziom cukru... usta-usta? Nie trzeba... szpital? Zobaczmy, czy się ocknie... tak czy siak, zamów taksówkę...”.

W tej sytuacji Pankin i Korsołow nie mogli zrobić już nic. Zostawiła ich bezradnych, praktycznie ze spuszczonej gaciami. Nie mieli jak się do niej dostać.

– A to suka! – syknął cicho Pankin. – Myśli, że jest od nas sprytniejsza.

– To nie koniec pogoni, to dopiero początek. – Oczy Korsołowa gorzały nienawiścią. – A jak ją złapiemy, to dopiero się z nią zabawię.

– Ja się chętnie dołączę – rzucił Pankin, ale Korsołow już go nie słuchał.

Kod Borysa powoli doprowadzał Bourne’a do rozpacz. Choć uczył się kryptologii w Treadstone, a później także na własną rękę, nie był w stanie rozszyfrować zakodowanej wiadomości. Pochylony nad stołem w bibliotece Muzeum Egipskiego nie zwracał uwagi na korowód gości i naukowców przewijający się przez salę w szacownym milczeniu. Życie duchowe starożytnych Egipcjan było traktowane przez archeologów, religioznawców i mistyków z niemal nabożną czcią – o hienach cmentarnych i rabusiach nie wspominając. Panteon egipskich bóstw o zwierzęcych głowach wzbudzał zarazem strach i uwielbienie.

Każda próba interpretacji ciągu graniastych symboli kończyła się niepowodzeniem. Nie był w stanie złożyć ani jednego zdania. Ucisk z tyłu gałek ocznych był znakiem tego, że zaraz rozboli go głowa. Wstał więc, podszedł do okna i zapatrzył się na majaczące w oddali złotawe stożki piramid Cheopsa, Chefrena

i Mykerinosa. Widział od środka dwie z nich – piramida Mykerinosa od jakiegoś czasu była niedostępna dla zwiedzających. Być może do niej też wszedł, ale tego już nie pamiętał. Hieroglify zawsze wydawały mu się fascynujące, przede wszystkim dlatego, że przypominały współczesne rebusy – egipskie pismo przemawiało obrazami i pojęciami.

Zdjęty nagłą myślą, odsunął się od okna i wrócił na miejsce, patrząc na kod Borysa świeżym okiem. To wcale nie kod, tylko rebus, sumeryjskie pismo klinowe, tak jak egipskie hieroglify i piktogramy Majów, doskonale nadawało się do zapisywania rebusów.

Sara podała taksówkarzowi garść banknotów i wysiadła. Ochroniarze wyprowadzili ją z muzeum i pomogli wsiąść do samochodu, kazać kierowcy wieźć ją do hotelu, w którym zatrzymała się grupa turystów. Ruszyli na północ szerokim bulwarem Meret Basha. Postanowiła opuścić taksówkę niedaleko wschodniego krańca parku Gabalaya. Pospiesznie przeszła przez ulicę Wasim Hasan. Przed sobą widziała żałośnie krótki ogonek autokarów turystycznych czekających przy wjeździe na plac Tahrir, kojarzony dziś z protestami i arabską wiosną, która okazała się krótkotrwała i złudna. Teraz plac był obstawiony wojskiem, a wpuszczano tam tylko garstkę wybrańców. W dalszym tle wznosiły się bryły dwóch gmachów, oceanarium i Muzeum Egipskiego.

W zamieszaniu, które wywołała, nikt nie zapytał Sary, jak się nazywa i nie sprawdził, czy rzeczywiście jest częścią grupy. Przewodnik – jedyna osoba, która potencjalnie mogła jej zaszkodzić – zajął się na szczęście pozostałymi uczestnikami wycieczki, uspokajając zaniepokojonych i zaganiając ich w stado jak doświadczony pasterz.

Nie łudziła się, że udało jej się zgubić ogon. Incydem w muzeum kupiła sobie tylko trochę czasu. Prędzej czy później ją znajdą i zastawią kolejną pułapkę. Ucieczka nie leżała jednak w jej naturze; zdążyła się już nauczyć, że ten, kto odwraca się plecami od drapieznika, zostaje zjedzony żywcem.

Weszła po schodach oceanarium, nie oglądając się za siebie. Wiedziała, że pościg depcze jej po piętach; byłaby nawet nieco rozczarowana, gdyby tak łatwo udało jej się ich zgubić. Prawdę mówiąc, nie uwierzyłaby w takie szczęście. Wielokrotnie miała już do czynienia z agentami FSB – wiedziała, że są kompetentni, czasami aż za bardzo, szczególnie ci, których osobiście szkolił generał Karpow.

Kupiła oburzająco drogi bilet wstępu, rozgarnęła stopą leżące na posadzce śmieci i zagłębiła się w zaniebane trzewia budynku. Oceanarium, niegdyś jedna z głównych atrakcji Kairu, od wielu lat czekało na renowację. Na uwiecznione w nim ryby aż żal było patrzeć.

Sara jednak nie przyszła tu przyglądać się rybom. Już raz zwiedzała oceanarium i wiedziała, dokąd należy się udać.

– Cud, że cokolwiek jest w stanie tu przeżyć. – Pankin wyciągał szyję, starając się zajrzeć w mętne wody jednego z akwariów. – Niezły mają tupet, kazać ludziom płacić za wstęp do tego chlewu.

– U nas nawet świnię trzyma się w lepszych warunkach – stwierdził Korsołow, mijając rzędy kiepsko podświetlonych i popękanych zbiorników.

Przy dnie było widać na wpół śnięte ryby, próbujące wciągnąć w skrzela chociaż odrobinę tlenu. Pankin zaśmiał się cicho.

– A potem się je zarzyna.

– Ale to szybka śmierć. To tutaj to powolne tortury.

– Obaj co nieco o tym wiemy, prawda?

Przemykali od jednej plamy cienia do drugiej. Odrobina światła, która padała z akwariów, rozmytego i zielonkawego, powodowała, że obaj wyglądali jak zombie z taniego horroru.

– Gdzie ona do cholery idzie? – chciał wiedzieć Pankin.

– Jak najdalej od nas. Tym razem nie będziemy się rozdzielać, ona się tego spodziewa.

Im dalej się zapuszczali, tym ciemniej się robiło. W końcu półmrok ustąpił miejsca aksamitnej czerni. Weszli do wąskiej sali o chropowatych ścianach przywodzących na myśl jaskinię. Zapach odchodów uderzył ich w twarz.

– Co za czort? – rzucił Pankin. – Gdzie my, u diabła, jesteśmy?

W tej samej chwili coś wylądowało mu na twarzy. Pankin wrzasnął, przede wszystkim ze zdziwienia. Dopiero potem zobaczył czerwone oczy, błoniaste skrzydła i obrzydliwy pysk – wtedy wrzasnął po raz drugi.

– Nietoperz! – krzyknął do niego Korsołow

– Bez kitu! – Pankin wyciągnął broń i strzelił, ale chybił.

– Stój! – ostrzegł go generał. – Ktoś nas usłyszy!

Ledwo skończył, rzuciła się na nich cała chmara nietoperzy. Oganiając się od tych upiornych stworów, Pankin nie zauważył, jak z mroku rzucanego przez kamienny nawis wyłania się drobniejszy cień. Dopiero kiedy między jego trzecie i czwarte żebro wbił się nóż, zanim jego czubek wrył mu na sercu inicjały, zorientował się, co się dzieje. Ale wtedy było już za późno. Za późno na cokolwiek.

Swietłana wysiadła z mercedesa, którego użyczył jej pierwszy minister Sawasin. Kierowca miał ją odwieźć na lotnisko, ale ona kazała się zabrać gdzie indziej. Poleciwszy mu czekać, przeszła przez podwórko i otworzyła drzwi daczki.

Jak mogłaby zostawić za sobą Moskwę i pamięć o Borysie, bez pożegnania z jego ukochaną daczką? Przechodząc przez kolejne pokoje, patrzyła na jego fotografie, czuła jego zapach, słyszała głęboki, ochryply głos. Najłatwiej było sobie przypomnieć jego śmiech, tubalne echo dobywające się z głębin brzucha. „Nie każ mi się odchudzać, Łaneczka. Ze mną jak z zawodnikiem sumo, całą siłę czerpię z brzucha”.

Myślała wtedy, że żartuje, ale z czasem zrozumiała, że mówił zupełnie poważnie, i przestała pilnować, co je i ile pije. A popić to on naprawdę umiał. Kochał wódkę prawie tak mocno, jak kochał Tony’ego Soprano. Zawsze powtarzał, że najlepszym prezentem, jaki w życiu dostał, był zestaw płyt DVD z tym serialem. Ofiarodawcą był Jason Bourne. Choć Swietłanie trudno było w to uwierzyć, Borys szczerze uwielbiał *Rodzinę Soprano*. Identyfikował się z Tonym, Bóg jeden wie dlaczego. Nie był przecież aż takim potworem. Z drugiej jednak strony Tony prawdziwie kochał tego konia... Jak mu było? Pie-O-My? Cóż za idiotyczne imię. Potrząsnęła głową, nie mogąc powstrzymać ani śmiechu, ani łez. Szła przez daczę, muskając palcami wszystkie rzeczy, które mu się podobały – pluszowego misia ze srogą miną, prezent od niej, któremu przypiął do piersi część swoich orderów; srebrny medal z zawodów biathlonowych, trofeum nastolatka; satyryczne rysunki powycinane z gazet i tygodników, naśmiewające się z NATO, Unii Europejskiej i Ameryki, ale też z Rosji i przede wszystkim Samowładcy. Obok dobrze znanej fotografii półnagiego Samowładcy na koniu powiesił sobie rysunek z niezadowolonym Rosjaninem w misiurce, trzymającym pustą torebkę prezentową. Przed nim stał rząd matrioszek, każda z twarzą Samowładcy. Dymek nad obywatelem głosił: „Poproszę o zwrot pieniędzy”.

Patrząc na rysunek, Swietłana mimowolnie parsknęła śmiechem, który natychmiast zamienił się w szloch. Stała w otwartych drzwiach sypialni i się zawahała. Zamiast przestąpić próg, wróciła do frontowych drzwi i dyskretnie wyjrzała zza firanki bocznego okienka. Auto nadal czekało, a kierowca palił papierosa, wyraźnie skoncentrowany na sobie. Wiedziała, że są sami, a mimo to postanowiła to sprawdzić. Pewnych nawyków nie dało się wykorzenić.

Pewna, że poza nią i kierowcą na polanie nikogo nie ma, wycofała się w korytarz i wyciągnęła telefon na kartę, z którego kontaktowała się ze swoim łącznikiem, ukraińskim patriotą znanym jej jako Biełow. Nie zameldował się o ustalonej porze, dobre kilka godzin temu. Dręczona złym przeczuciem, wystukała miejscowy numer komórkowy i zostawiła wiadomość, trzy słowa. Rozłączyła się, odczekała odpowiednią liczbę minut, po czym zadzwoniła jeszcze raz. Tak jak poprzednio, natychmiast przekierowało ją do poczty głosowej. Biełow musiał mieć wyłączony telefon. Złe przeczucie przerodziło się w niepokój. A może złapała go FSB? Co, jeśli już ją wsypał? Może pierwszy minister tylko się z nią zabawiał, a kierowca dostał rozkaz zawieźć ją na Łubiankę?

Miała w zanadrzu jeszcze jedną sztuczkę. Wystukała numer zapasowy, którego wolno jej było używać tylko w nagłych sytuacjach, gdyby z jakiegoś powodu nie mogła się skontaktować z Biełowem przez komórkę. Przyłożyła ucho do słuchawki; dłonie miała zdrętwiałe, spocone. Odpowiedziała jej martwa cisza. Niepokój awansował do rangi kontrolowanej paniki.

„Ogarnij się – powtórzyła sobie w duchu. – Wszystko się jakoś ułoży”. Ta myśl sprawiła, że gorzko się uśmiechnęła. Jak miało się ułożyć, skoro Borys nie żyje? Bielów najprawdopodobniej też. Nie powinna była...

Gwałtownym ruchem cisnęła komórką o kamienną płytę kominka. Urządzenie rozsypało się na kawałki, więc przyklęknęła, pozbierała odłamki i wrzuciła je do kuchennego zlewu wyposażonego w młynek. Rozdrabniając telefon na proch, nieco się uspokoiła. Było to proste, celowe zajęcie przynoszące natychmiastowe rezultaty, trochę jak zmywanie naczyń.

„Koniec – pomyślała, czując burzę sprzecznych emocji. – Koniec, zrobione”.

Dopiero wtedy weszła do sypialni i siadła na łóżku, na którym tyle razy kochała się z Borysem. Wspomnienie to było teraz tak odległe, jak marzenia dziewczynki o dorosłym życiu. Pogłaskała kapę, którą dla niego kupiła. Była jednocześnie miękka i szorstka w dotyku, trochę jak owłosiona pierś Borysa. Swietłana popatrzyła na czarną tafłę plazmowego telewizora zawieszzonego dokładnie naprzeciw łóżka. Spoceni i zmęczeni seksem oglądali razem *Rodzinę Soprano*. Swietłaną ten serial przygnębiał, ale Borys chłonał odcinek za odcinkiem, analizując każde ujęcie, każdą scenę. Jej zdaniem podkochiwał się trochę w doktor Melfi, ale głównie dlatego, że podobała się Tony’emu. Była jedyną kobietą w serialu, która nie padła mu od razu do stóp.

Z ciężkim westchnieniem podniosła się z łóżka. Przypomniła sobie, że czeka na nią samochód, a mimo to nie miała ochoty wychodzić. Chciała zabrać coś ze sobą, coś materialnego, co przypominałoby jej o Borysie i o wszystkim, co razem przeżyli. Może misia? Z drugiej strony dostał go od niej, a przez przypięte do futra medale kojarzyły jej się teraz z FSB.

Jej wzrok padł na spakowane w pudełka płyty z *Rodziną Soprano*. Wyciągnęła z szafki podróży neseser Borysa, zdjęła DVD z półki i zaczęła je wkładać do pustej torby. Łzy płynęły teraz nieprzerwanym strumieniem, więc ledwo widziała, co robi. Ostatnie pudełko wyslizgnęło jej się ze zgrabiących palców, odbiło się od łóżka i upadło na podłogę. Jęknęła z rozpacz. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby uszkodziła którąś z płyt.

Uklękła na podłodze, jakby zamierzała się modlić. Płyty wysypały się z pudełka, a ona oglądała każdą po kolei, żeby się przekonać, że są całe. Później nie była w stanie powiedzieć, kiedy dokładnie zauważyła kartę pamięci. Może leżała pod ostatnią płytą w pudełku, tę z finałowym odcinkiem, o który kłócili się całymi godzinami. Swietłana twierdziła, że Tony zginął w chwili, kiedy ekran zrobił się czarny. Borys uparcie argumentował, że przeżył. Początkowo oboje bronili swojego punktu widzenia, ale po jakimś czasie Swietłana zmieniła zdanie. Przyznała, że źle rozumiała całą scenę, że Borys od początku miał rację. Zrozumiała, że z jakiegoś powodu los Tony’ego był dla Borysa niezwykle istotny.

„Co za ironia – pomyślała, obracając w palcach kartę pamięci. – Teraz to ja chcę wierzyć, że Tony przeżył, bo to oznacza, że w jakimś bliskim mi wymiarze Borys też żyje i wciąż słyhać jego śmiech”.

Schowała kartę i pospiesznie skończyła pakować neseser. Opuściła daczę z walizką w dłoni, nie oglądając się za siebie.

Chwilę później mercedes wytoczył się z podjazdu i zniknął za zakrętem, pozostawiając po sobie tylko chmurę niebieskawych spalin, która szybko rozwiała się na wietrze.

Zajęty rebusem, Bourne niemal zupełnie stracił poczucie czasu. Udało mu się rozszyfrować tylko część wiadomości. Zagadka miała wiele poziomów i bazowała na ciągach skojarzeń. Nie wystarczyło rozkodować znaczenie poszczególnych grup, trzeba było odgadnąć, co znaczą razem.

Godziny wytężonego myślenia utwierdziły go w przekonaniu, że to nie jest wiadomość w tradycyjnym

tego słowa znaczeniu. Rebus wydawał się raczej wskazówką lub może mapą współrzędnych w jakiś sposób powiązanych ze sprawą, którą zajmował się Borys tuż przed śmiercią.

W muzeum nie było zasięgu, więc Bourne podszedł do regału w czytelni i po chwili poszukiwań znalazł szczegółowy atlas Bliskiego Wschodu. Sprawdził pierwszy zestaw współrzędnych i rozczarował się. Nie miały sensu. Ponownie wpatrzył się w symbole i nagle zrozumiał, w czym leżał jego błąd. Zestaw zawierał nie litery, lecz cyfry. Rozkodowanie kombinacji zajęło mu kolejne dziesięć minut. Cyfry składały się na datę, cztery dni od dnia dzisiejszego. Już sam ten fakt wydawał się ostrzeżeniem.

Sukces dał mu siłę do dalszej pracy. Drugi zestaw symboli dosłownie przekładał się na: „zwierzę-woda” i „ziarno-fermentacja”. Co to miało znaczyć? Wodne zwierzę? Wieloryb? Lewiatan? Uznał, że to zbyt daleko idące skojarzenie, nawet jak na rebus. Skreślił Lewiatana i napisał: „ryba”. Skupił się na drugiej części. Ziarno i fermentacja... Zanotował: „alkohol” i „zgnilizna”, ale szybko wyeliminował to drugie, uznając, że istnieje wiele lepszych sposobów na zapisanie tego pojęcia. A więc „ryba” i „alkohol”. Jedzenie i picie? Miało to jakiś sens jako całość, ale raczej nie pasowało do logiki rebusów. Miał wrażenie, że coś mu umyka.

Na chwilę oderwał wzrok od kartki, oczyścił umysł ze skojarzeń i ponownie popatrzył na symbole. Ryba z alkoholem. Co pasuje do wódki? Śledź?

Śledź! Zapisał to słowo i podzielił resztę symboli na części, wiedząc już, ile poziomów ma każda zagadka. Dwadzieścia minut później miał przed oczami dwa słowa: „śledź pieniądze”.

Śledź pieniądze? Jakie pieniądze? Coś na granicy świadomości nie dawało mu spokoju, coś, co widział lub może słyszał... Próbował wyciągnąć tę informację z katalogów pamięci, ale wymykała się jego myślom, śliska jak węgorz. To właśnie zrobiła z jego umysłem amnezja, była jak uskok, rana, która od czasu do czasu otwierała się, by pochłonąć strzępy informacji.

„Pora wracać do pracy” – pomyślał. Reszta symboli była zapisana w wersji żeńskiej, nie męskiej, musiał więc podejść do nich zupełnie inaczej. Przycisnął palce do zamkniętych powiek, próbując masażem ukoić narastający ból. Odsunął ręce, otworzył oczy. Leżący przed nim ciąg symboli skojarzył mu się z jakimś dziełem sztuki współczesnej. Pismo klinowe miało w sobie pewien urok, surowy jak pustynia, z której pochodziło. Patrząc na całość rebusu, Bourne szybko się zorientował, jakie niebezpieczeństwo niesie dla niego wiadomość od Borysa. Piękna czy nie, sama w sobie wiązała się z ryzykiem. Przeanalizował całość w zupełnie inny sposób, zapamiętując symbole i ich wzajemne położenie, po czym wyszedł do łazienki. Podarł pelur na drobne kawałki, wrzucił je do muszli i spuścił wodę. Teraz wiadomość istniała jedynie w jego głowie.

Nietoperze były wszędzie. Kiedy wypuściła je z klatek, rzuciły się na nią z piskiem i trzepotem, tak samo jak na Korsołowa. Jediną różnicą był fakt, że jako sprawczyni całego zamieszania Sara była na to przygotowana – element zaskoczenia dał jej przewagę w starciu z pułkownikiem Pankinem, teraz jednak przewaga znikła. Korsołow był starszy i bardziej doświadczony, a do tego miał chwilę, by otrząsnąć się z szoku. No i nie bał się nietoperzy tak bardzo jak Pankin.

Korsołow starał się zwracać na nietoperze możliwie najmniej uwagi, lecz instynktownie oganiał się ręką, kiedy podlatywały zbyt blisko. Widząc w tym swoją szansę, Sara rzuciła się ku niemu w ciemności i weszła w zasięg jego ramion, żeby go rozbroić. Nim poczuła ciężar jego ciała i kwaśny zapach potu, zdążyła wykręcić prawą rękę Rosjanina i uderzyć go w nadgarstek grzbietem dłoni.

Upuścił pistolet, a ona kopnięciem posłała go na drugi koniec pomieszczenia. Ta sekunda wystarczyła jednak, by wyciągnął rękę i sięgnął do tętnicy szyjnej Sary.

Poczuła, że miękną jej kolana, że jej oddech się rwie, a tętno przyspiesza – za mocno. Brakowało jej tlenu, choć starała się wciągać powietrze. Odrętwienie przeniosło się na ramiona, ręce, tors. Niebawem będzie zupełnie bezbronna.

– Ty mała kurewko – wyszeptał Korsołow prosto do jej ucha. – Myślałaś, że zabijesz mnie tak łatwo jak Pankina? On nigdy wcześniej nie wyjeżdżał z Rosji. Był jak pielmieni wyjęte z rosółu.

Zaśmiał się, a ciepło jego oddechu zabolowało tak mocno, jak jego słowa.

Szarpnęła się, próbując dosięgnąć go rękami lub uderzyć łokciem, ale nie miała już siły. Głowa zaczęła jej ciążyć, oparła ją więc o ramię, a Rosjanin zaśmiał się znów, głośniejsze i bardziej szyderczo. Pochylił się nisko, jakby byli kochankami, a on chciał ją pocałować.

W tej chwili wymuszonej bliskości Sara obnażyła zęby. Korsołow zawył z bólu i zdziwienia, gdy jej szczęki zacisnęły się na jego policzku, przebijając skórę i mięśnie. Instynktownie cofnął twarz, lecz ona nie puszczała; zęby zatapiały się coraz głębiej, aż w końcu zgrzytnęły o kość. Dopiero wtedy szarpnęła głową, wyrrywając kawał różowej skóry. Wypluła krwawy ochłap i ponownie rzuciła się na niego z zębami, głośno warcząc. Oczy miała przekrwione jak dzikie zwierzę. Tym razem celowała w nos.

Chybiła o milimetry. Zakrwawiony, załamany i oszołomiony Korsołow miał już dość. Odsunął się od niej, zatoczył i rzucił biegiem do drzwi, w panice oganiając się od nietoperzy, które rzuciły się ku niemu, czując krew.

Sara chciała pobiec za nim, ale żelazny chwyt, w jakim znajdowała się jeszcze chwilę temu, wybił ją z równowagi. Popatrzyła więc tylko w wirującą ciemność, myśląc: „Niech nietoperze robią z nim, co chcą”.

Nietoperze robiły to, co nakazywał im instynkt: krążyły po ciemnej jaskini, kołując całą chmurą i szukając wyjścia z odrapanego gmachu oceanarium.

Bourne dostrzegł ich czarną smugę przez okno biblioteki, natychmiast się orientując, że coś jest nie tak. O tej porze dnia nie widywało się nietoperzy. Zwinąwszy swój zestaw narzędzi, wyszedł z budynku i szybkim krokiem ruszył w kierunku oceanarium. Po drodze musiał przedzierać się przez tłumy ludzi, którzy błędnym wzrokiem gapili się w niebo lub uciekali w popłochu z dziećmi na rękach, gnani podświadomym lękiem.

Bourne starał się zlokalizować źródło anomalii, skoncentrował więc wzrok nie na kołującym na niebie wirze czarnych skrzydeł, lecz na ludziach wysypujących się z oceanarium. Dzięki temu dostrzegł generała Korsołowa – chociaż, oczywiście, nie był świadom jego niedawnego awansu. Poznali się na przyjęciu weselnym Borysa. Przedstawił ich sobie sam pan młody i właśnie dlatego Bourne postanowił mieć się na baczności, chociaż wiedział, że Borys uczynił Korsołowa swoim zastępcą. Jego przyjaciel często powtarzał, że przyjaciół trzeba mieć blisko, ale wrogów jeszcze bliżej. Po sposobie, w jaki Borys przedstawił mu Korsołowa, Bourne się zorientował, że pułkownik należy raczej do tej drugiej grupy. A zatem był niebezpiecznym człowiekiem, którego należało mieć na oku.

Bourne rozpoznał Korsołowa, kiedy ten zygzakiem wybiegł z budynku, z jakiegoś powodu nękany przez rój nietoperzy. Podchodząc bliżej, zauważył, że spod dłoni, którą Korsołow przyciska do twarzy, spływa krew. Było jej sporo, a wśród wypuszczonych na wolność ssaków ewidentnie znalazło się kilka wampirów, żerujących na krwi małych ssaków. Choć Korsołowa trudno było określić tym mianem, posoka, którą był obryzany, działała na instynkt tych stworzeń.

Bourne ruszył ku Korsołowowi z żelazną determinacją, starając się ukryć przed jego wzrokiem za plecami spanikowanych przechodniów. Obecność pułkownika FSB w Kairze mogła oznaczać w tej

chwili tylko jedno – byli na tropie Sary. Ona sama musiała być blisko, może nawet gdzieś w tłumie, chwilowo jednak całą uwagę należało skupić na Korsołowie. Podchodząc bliżej, Bourne dostrzegł szarpaną ranę na jego policzku i natychmiast się zorientował, że nie zadały jej nietoperze, ale większy drapieżnik, bez wątpienia w ludzkiej skórze. Sara. Doszło do starcia, pewnie się broniła. Na szyi poczuł zimne palce strachu. Co się wydarzyło? Czy Korsołow ją ranił lub zrobił jej coś gorszego? Odpędził od siebie te myśli; gdybanie nie polepszało sytuacji, przeciwnie, wyraźnie go rozpraszało. A przecież musiał się zająć Korsołowem.

Był już blisko. Udało mu się pozostać niezauważonym, lecz teraz ściana ludzi rozstąpiła się gwałtownie. Między Bourne'em a Korsołowem, który toczył wokół dzikim wzrokiem, ziała pusta przestrzeń.

Rosjanin zamarł na moment, a rysy mu stężały. Poznał Bourne'a, zyskując dzięki temu cel, na którym mógłby wyładować wściekłość i frustrację. Płynnym ruchem odjął od twarzy zakrwawioną dłoń i wysunął z kieszeni nóż sprężynowy, po czym rzucił się na Bourne'a.

Ten uskoczył mu z drogi, chwycił Korsołowa za wyciągnięty nadgarstek i ciągnąc go do dołu i w przód, zaburzył jego środek ciężkości. W tej samej chwili szybkim ciosem uderzył go w szyję. Korsołow zakrztusił się, zatrzęsł, po czym staranował Bourne'a zgiętym wpół ciałem.

Przewrócili się obaj, przeturlali pod nogami przechodniów. Nikt nawet na nich nie spojrział. Wszyscy byli pochłonięci skrzydlatym spektaklem rozgrywającym się nad ich głowami.

Upadając na chodnik, Bourne wypuścił z uścisku nadgarstek Korsołowa; ostrze noża poszybowało w kierunku jego gardła. Trysnęła krew, ciepła jak letni deszcz, ale nóż dosięgnął tylko przelatującego nietoperza. Korsołow, wciąż nękany przez latające drapieżniki, tym razem wymierzył w pierś Bourne'a. Ten uchylił się, a nóż przeciął płótno koszuli, jakiś centymetr od ramienia. Nietoperze znów przypuściły nalot. Bourne zdołał się wyczołgać spod Korsołowa, owinał mu szyję lewym ramieniem, prawą dłoń ułożył na jego skroni i gwałtownie przekręcił. Trzasnęły kręgi szyjne. Głowa Korsołowa opadła bezwładnie, a na jego pokiereszowaną twarz natychmiast rzuciły się nietoperze.

Bourne leżał obok, ciężko dysząc. Ponad trzepotem błoniastych skrzydeł słyszał syrenę pogotowia. Wiedział, że musi jak najszybciej się ulotnić z placu. Kiedy podnosił się na kolana, ktoś wyciągnął ku niemu dłoń. Chwycił ją i poniósł głowę, patrząc w oczy Sary.

– Każdy w końcu dostanie to, na co sobie zasłużył – powiedziała.

Rosyjski Biały Dom można było opuścić prywatnym wyjściem. Jak o większości kwestii związanych z rządem, wiedziało o nim bardzo niewielu; od zewnątrz przejście było dobrze zamaskowane. Trzy pary zbrojonych drzwi, ciężkich jak wodoszczelne grodzie na statku, otworzyły się teraz przed pierwszym ministrem i Igorem Małaczewem, jego nowym asystentem, który zastąpił niedawno zmarłego porucznika Awiłowa. Mężczyźni zeszli trzy poziomy niżej, na podziemny dworzec kolejowy, ociekający od ornamentów i zupełnie pusty.

Czekał na nich prywatny pociąg Timura Sawasina. Weszli do pierwszego wagonu, a kiedy tylko minister usiadł za biurkiem, drzwi się zamknęły i maszyna bezgłośnie ruszyła. Cały pociąg zbudowano zgodnie ze szczegółowymi instrukcjami Sawasina, a jego wnętrze przywodziło na myśl luksusową rezydencję. Drewno tekowe na ścianach, na podłodze marmur i drogie dywany, okna z pionowymi szprosami – jedno z witrażem, tapicerowane meble w stylu retro, kryształowe żyrandole. W gabinecie był nawet kominek ze sztucznymi węgielkami podgrzewanymi elektrycznie. Na gzymsie stały rządem bibeloty z carskiej Rosji, między innymi zegar z połączanego brązu. Wagon, w którym usiedli, pełnił funkcję podróznego biura oraz pokoju gościnnego. Pod ścianami stały miękkie kanapy i wyściełane krzesła, a centralne miejsce zajmowało ogromne biurko w stylu Ludwika XVI i para wysokich krzesel. Małaczew usiadł sztywno na jednym z nich, zakładając nogę na nogę.

W odróżnieniu od Awiłowa, nie był wojskowym, a znanym na Kremlu siłownikiem, członkiem potężnej koalicji Timura Sawasina. Młody, pewny siebie i inteligentny, cechował się wysoką ambicją, którą jego szef uważał za zdrową. U Awiłowa żądza władzy była czymś zwierzęcym, u Małaczewa wykalkulowanym.

Drugi wagon pociągu mieścił sypialnię. Każdy jej element wykraczał poza normalną skalę, tak jak upodobania Sawasina. Niewiele osób widziało to wnętrze – z pewnością nie należała do nich pani ministrowa ani trójka jego dzieci. Bywały tam za to liczne kochanki. Mówiło się, że podczas nocnych kursów z Białego Domu do daczy Sawasina i z powrotem przez sypialnię przewija się cały korowód dziewcząt.

Teraz drzwi do sypialni otworzyły się, a ze środka wyszła młoda kobieta, smukła, elegancka i bardzo piękna. Była ubrana w wąską bładozieloną sukienkę, idealnie dopasowaną do odcienia jej skóry. Wysokie obcasy podkreślały kształt łydek, pośladków i piersi. Małaczew patrzył jak oczarowany. Kobieta przeszła przez wagon i usiadła, szeleszcząc jedwabiem. Sawasin nie przedstawił jej, a ona nie odezwała się ani słowem, przyglądając się obu mężczyznom takim wzrokiem, jakim kot patrzy na cień na ścianie – z ciekawością i niepojętym skupieniem.

Sawasin zapalił papierosa, zabębnił palcami o blat biurka i mocno się zaciągnął.

– Tirli Bom i Tirli Bim, Korsołow i jego udomowiona świnia, Pankin... – odezwał się wydmuchując dym. – Nigdy w życiu nie uda im się złapać tej izraelskiej agentki, Rebeki.

– Przy odrobinie szczęścia to ona załatwi ich obu w Kairze – zgodził się Małaczew.

– Tak by było najlepiej. Ale kto zlikwiduje ją?

– Mógłbym wysłać za nią dowolną liczbę agentów.

– Nie wątpię, ale w tej sytuacji potrzebny jest ktoś z zewnątrz, zabójca rozgarnięty, skuteczny...

– Znam odpowiedniego człowieka.

Małaczew wyciągnął telefon. W pociągu było wi-fi i idealny zasięg.

– Jego w to nie mieszaj. – Pierwszy minister machnął lekceważąco ręką. – Po ostatnich wyczynach nie powinien się rzucać w oczy. Im mniej będzie widoczny, tym lepiej.

– W takim razie kto się tym zajmie?

– No właśnie, kto...

Sawasin znów zabębnił palcami o blat, jakby w rytm melodii słyszalnej tylko dla niego. Zerknął na wbudowaną w ścianę półkę z książkami i jego wzrok padł na grzbiety ulubionych powieści. Jak szła ta fraza, którą powtarzał Humbert Humbert w *Lolocie*? Taka melodyjna. Dolores, Lo, Lolita... „Ach, jak zdumiewająco! Coraz zdumiewającej!”¹¹. To z *Alicji w krainie czarów*, też bardzo melodyjna fraza. Obie powieści nurzały się w dziecięcych marzeniach, zabarwionych mrocznym pigmentem pedofilii, a w przypadku *Lolity* także gwałtu i morderstwa. Rosyjski autor nie bał się obnażyć kwestii, które zahukany Brytol Lewis Carroll potrafił jedynie sublimować poprzez twórczość literacką. Mimo to fakt, że Rosjanin i Anglik popadli w dokładnie tę samą obsesję, zawsze wydawał się Sawasinowi dziwny. On sam pałał do Anglików zajadłą nienawiścią. W książce *Po drugiej stronie lustra* Biała Królowa mówi do Alicji: „Masz kiepską pamięć, jeżeli działa tylko wstecz!”¹². Mądry aparatczyk wiedział, że jest dokładnie odwrotnie: najlepsza pamięć sięga tylko w przeszłość, bo to stamtąd należy wymazywać niewygodne fakty.

– Panie ministrze?

Wyrwany z zadumy Sawasin popatrzył na Małaczewa. Jego myśli nie bez powodu pomknęły ku Lo i Alicji, dwóm niebywale inteligentnym dziewczynkom. Mierzyć się z nimi mógł tylko ktoś wyjątkowy. Z Rebeką zresztą też. Przez ułamek sekundy jego wzrok spoczął na twarzy kobiety, która wyłoniła się z sypialni. Potem, jakby zamykając jakieś mentalne drzwi, ponownie spojrzął na Małaczewa.

– Myślę, żeby wysłać za nią Żmiję – rzucił.

Oczy Małaczewa rozszerzyły się ze zdumienia. Nazwiska tego człowieka nie znał nikt, nawet sam Sawasin. Wszyscy posługiwali się jedynie kryptonimem.

– Podobno jest najlepszy – odezwał się młodszy siłownik po chwili wahania. – Słyszałem też, że jest niestabilny, nieprzewidywalny, że potrafi zmieniać plany w ostatniej chwili.

– I to właśnie jego atut. Co najważniejsze, nie będzie musiał daleko podróżować. Proszę do niego zadzwonić i zgodzić się na cenę, jaką poda, choćby wydała się astronomiczna. Zlecenia ode mnie wykonywał ze stuprocentową skutecznością. W przypadku Rebeki to liczy się teraz najbardziej.

Swietłana odczekała, aż samolot osiągnie wysokość przelotową, posiłek zostanie podany i skonsumowany, a stewardesa przyniesie jej filiżankę kawy i czekoladki. Pierwszy minister okazał się na tyle hojny, by zamówić jej bilet pierwszej klasy, więc na siedzeniu obok nie było nikogo. Mimo to postanowiła zaciągnąć zasłonkę.

Zamieszała kawę maleńką łyżeczką, dodając cukier i śmietankę. Rozpakowała belgijską czekoladkę z papierka, zauważając, że trzęsą jej się ręce. Pospiesznie włożyła pralinę do ust, wyciągnęła telefon, zdjęła tylną pokrywę i zastąpiła swoją kartę pamięci tą znaną w daczce Borysa, w pudełku z *Rodziną Soprano*. Karta miała sześćdziesiąt cztery gigabajty. Musiała kryć stopy danych.

Zatrzasnęła pokrywę telefonu i uruchomiła go w trybie samolotowym. Jej dłonie drżały tak mocno, że musiała odłożyć go na stolik. Pociągnęła łyk kawy. Filiżankę trzymała oburącz, bo bała się, że rozleje kawę na kolana. Dopiero po chwili poczuła, że jest gotowa zmierzyć się z rzeczywistością. Z brzękiem odstawiła filiżankę na spodek, wzięła telefon i wyświetliła zawartość karty. W katalogu znajdowały się

trzy typy plików: dokumenty, zdjęcia i filmiki. Nic dziwnego, że Borys potrzebował aż tyle miejsca.

Zaczęła od dokumentów. Pierwszy z nich przedstawiał ogólny zarys misji. Natychmiast zauważyła, że dokumenty są spisane na zwyczajnych arkuszach, a nie w używanym przez FSB elektronicznym formacie, którego się spodziewała. Zrozumiała, że Borys prowadził tę operację samowolnie, bez udziału FSB.

Jej oczy śmigły po tekście coraz szybciej, a gdy dotarło do niej z całą ostrością, jak makiaweliczne oszustwo szykuje Samowładca, ścisnęło ją w piersi i w trzewiach tak mocno, że musiała przytknąć do ust serwetkę, by powstrzymać wymioty.

Kiedy prawdziwy cel tajnej misji Borysa stał się dla niej jasny, puściły tamy, jakimi odgrodziła się od faktu, że on nie żyje. Po policzkach Swietłany potoczyły się łzy; zaszlochała głośno, pewna, że jej serce tego nie wytrzyma. Dojmujący chłód przeniknął ją aż do kości, zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy ojciec wymierzał jej karę, potężny jak Bóg, srogi jak nieprzyjaciel. Dygotała, nie mogąc powstrzymać łez. Krzywda, jakiej doznała, wydała jej się przytłaczająca, druzgocąca. Nic nie było w stanie jej pocieszyć. Cały jej świat wywrócono do góry nogami. Wszystko, w co wierzyła, okazało się kłamstwem. Kompletnie pomyliła się co do zamiarów Borysa, a plan, który niemal wprowadziła w życie i w którym on miał grać rolę nieświadomego pionka, napawał ją teraz tak wielkim obrzydzeniem, że zapragnęła wbić nóż prosto w swoją duszę i wykroić zgniliznę kłębiącą się w środku.

Żmija nie wiedział jeszcze o śmierci Iriny, swojej bliźniaczej siostry. Odbierając telefon od Igora Małaczewa, był pewien, że to ona dzwoni. Nie spojrzał nawet na numer. Zdziwił się więc, słysząc w słuchawce obcy głos.

– Żmija? – odezwał się Małaczew.

Tak zwracali się do niego tylko ludzie Sawasina. Lubili bawić się w takie gierki, pożałowania godne tajemnice. Słyszając ten kryptonim, zawsze dusił się ze śmiechu.

– Mamy dla was zlecenie.

„Zlecenie”, jak dla wędrownego sprzedawcy. Cóż, w pewnym sensie nim był; sprzedawał śmierć, towar, którego nikt nie chciał, ale prędzej czy później dostawał. Z jego pomocą zdecydowanie prędzej.

– Wysłałam dane – rzucił Małaczew.

Żmija włączył głośnik w komórce i odebrał wiadomość. Nie zawierała ani linijki tekstu, a jedynie plik JPG, fotografię młodej, bardzo ładnej kobiety.

– To jest Rebeka – wyjaśnił Małaczew. – Agentka Kidonu. Obecnie przebywa w Kairze.

– A dossier?

– Ona jest z Kidonu, Żmija. Nic o niej nie mamy. – Siłownik odetchnął ciężko. – Gdzie jesteście?

– Nie tak daleko – rzucił Żmija, a następnie podał rozmówcy swoje warunki i podwójną stawkę, tylko dlatego, że nie spodobał mu się ton siłownika. Słyszając, jak tamten z sykiem wciąga powietrze, poczuł się trochę lepiej.

– Honorarium otrzymacie przelewem na konto.

– Połowa od razu.

– Oczywiście. – Małaczew odchrząknął. – Zlecenie musi zostać wykonane najszybciej jak...

– Zostanie wykonane w czasie, jaki jest na to potrzebny.

Odłożył słuchawkę, znowu wyprowadzony z równowagi. Idiota śmiał dyktować mu terminy?! Nie wiedział, że zlecenia dla Żmii były dopasowane indywidualnie do celu? Stuprocentową skuteczność w wykonywaniu misji zawdzięczał między innymi dbałości o szczegóły.

Dzień był gorący, a powietrze pyliste. Na drogę wziął sobie płytę The Doors i słuchał, jak Jim

Morrison śpiewa: „*This is the end. Beautiful friend. This is the end*”. Jechał na zachód, autostradą do Kairu, prosto w białą flarę słonecznego blasku. Całym sercem i duszą tęsknił za Iriną. Jak wiele bliźniat cały czas czuł w sobie jej obecność, a teraz ten zakątek jego jestestwa ział pustką. Na myśl o tym, budził się w nim gniew, jakiego jeszcze nie znał. Nie skontaktowała się z nim, co się rzadko zdarzało, w zasadzie nigdy. Rozmawiali przynajmniej raz dziennie, chyba że wcześniej zarządzili ciszę, na przykład kiedy jedno z nich było w podróży. Teraz na nic takiego się nie umawiali. Nikt nie przekazał mu złych wiadomości, lecz pustka w środku mówiła sama za siebie. Niósł w sobie ciemność, Morze Martwe, słońce od nieprzelanych łez i niczego więcej.

Wyciągnął z kieszeni pastylkę zapakowaną w paperek po gumie do żucia, włożył ją do ust i czekał, aż się rozpuści na języku. Zaczął liczyć od stu w dół; zanim doszedł do trzydziestu, zaświeciły neony. Ogromne słońce pulsowało w rytmie jego serca. Głos Jima Morrisona zastygł w powietrzu, a frazy snuły się po przedniej szybie jak arabskie wersety. Roześmiał się na myśl o tym, co powiedziałyby Morrison, widząc coś takiego. Zapewne byłby zachwycony; poznałby jakość odlotu, zrozumiał, jak daleko w głąb króliczej nory zabrała Żmiję domowej roboty mieszanka. Na pewno chciałby spróbować, rozpoznając znajomy skład. W dzisiejszych czasach nikt już nie łykał LSD. Wszędzie tylko heroina, koka i ecstazy albo wymyślane na poczekaniu trujące mieszanki syropu na kaszel, gałki muszkatołowej, przetykacza do rur i Bóg wie czego jeszcze. Albo taniusieńki krokodyl, żrący mózg syntetyk, którym karmili się w Rosji zdesperowani heroiniści.

W kwestii narkotyków przyjmowanych rekreacyjnie Żmija był tradycjonalistą, a fakt, że robił je sam dla siebie, zapewniał mu bezpieczeństwo. Mógł bez obaw cieszyć się jasnymi, kolorowymi wspomnieniami pierwszych prawdziwych kontaktów z Iriną. Na nowo przeżywać koniec dzieciństwa i początek namiętności, obsesji, szalonej miłości i wzajemnej zależności. Nie łudził się co do tego ostatniego elementu; z siostrą łączyła go nie tylko nierozzerwalna więź emocjonalna, ale wręcz fizyczna. Był pewien, że to LSD tak ich spaczyło. Jądro tego szaleństwa odkryli po trzech latach od pamiętnego dnia, kiedy nakrył Irinę w szopie na narzędzia pogrążoną w ekstazie, którą dawała sobie sama. Rzuciła mu wtedy szelmowskie spojrzenie, jakby wiedziała, że od dawna się jej przygląda, i skinęła palcem. Chwilę, kiedy jej usta po raz pierwszy zamknęły się na jego członku, wspominał jako najpiękniejszy, najistotniejszy moment w życiu.

Od tego czasu spotykali się w szopie codziennie, o świcie i zmierzchu. Marzyło mu się więcej, i jej chyba też, bali się jednak, że ktoś się w końcu dowie. Ten sam strach nadawał ich żądzy słodko-gorzki smak zakazanego owocu.

Mieli wtedy po trzynaście lat. Trzy lata później Aleksandr zdobył LSD, przenosząc ich seksualne eksperymenty o poziom wyżej. To narkotyk rozpalił ich zmysły, zamykając oboje w świecie psychodelicznych barw i doznań erotycznych, które zdawały się ciągnąć całymi dniami i zmieniły ich na zawsze. Chyba że wszystko to był sen, iluzja, chory wytwór ich wybujałego libido. Skąd niby miał wiedzieć?

Do Kairu dotarł po trzech godzinach, ale w krainie wywołanych przez LSD wspomnień czas przestawał istnieć. Kiedy podjechał pod stację benzynową trzy przecznice od swojego mieszkania, właśnie zapadał zmierzch. Wszedł z auta i poczuł znajome, jednostajne tętno miasta. Jeśli Irina nie żyje, to gdzie jest Bourne? I gdzie rzymska moneta, którą posłał mu Borys Karpow? Od kiedy Irina usłyszała, że Karpow prowadzi nieoficjalną misję z dala od czujnych oczu Kremla i FSB, robili wszystko, by się więcej o tym dowiedzieć. Taka wiedza dałaby im władzę, którą można by było wykorzystać przeciwko każdemu – absolutnie każdemu.

Moneta musiała zawierać jakiś szyfr. Jej sekret był kluczem do planu, który ułożyli wspólnie z Iriną; bez informacji o misji Borysa zostawali na lodzie. Jeżeli Irina istotnie nie żyje, on będzie musiał dźwigać

to wszystko sam. Życie toczyć się będzie dalej, obojętnie i beznamiętnie.

Napełniając bak benzyną, wciągnął w płuca kairskie powietrze. Jego smak i zapach budził wspomnienia, w których królowała Irina. Teraz jednak musiał się skupić na pracy. Uśmiechnął się, przypominając sobie twarz Rebeki, element po elemencie. Była w tym mieście. Była blisko.

To już koniec. Jedyna przyjaciółko. Koniec.

Promienie słońca gasły nad miastem, kiedy Bourne prowadził Sarę do swojego pokoju hotelowego. Usiedli obok siebie, pogrążeni w długim, rozedrganym milczeniu, chcąc się nacieszyć swoim widokiem. Nie dotykali się. Na razie tyle im wystarczyło. Od ich ostatniego spotkania minęło już sporo czasu, a od ostatniej chwili sam na sam jeszcze więcej. Bourne zdjął koszulę upapraną krwią nietoperzy, ale nie włożył świeżej.

Za oknami toczyło się życie miasta. Potok arabskich słów uderzał w szyby melodyjnie niczym deszcz. Codzienne rozmowy, zajadłe kłótnie i wybuchy śmiechu niosły ukojenie. Uniwersalny język handlu i przyjaźni pozwalał wrócić do normalności po wyraźnie nienormalnych wydarzeniach dzisiejszego popołudnia.

Kiedy człowiek spojrzy śmierci w oczy, niełatwo mu wrócić z otchłani, nawet jeśli od dawna prowadzi takie życie. Dziś jednak przeszli przez to razem, przez strach i przypływ adrenaliny, łącząc siły i umysły, zmuszając rozum do pracy na najwyższych obrotach. Chwila dekompresji smakowała dziś bardziej słodko.

Bourne wyciągnął z kieszeni sześcioramienny wisiorek i podał go Sarze. Popatrzyła mu w oczy, ściskając ukochaną gwiazdę w dłoni.

– Gdzie to znalazłeś?

– Wciśnięte w przepiłowane garotą gardło Borysa Karpowa.

– Wiem, że to był twój przyjaciel, ale nie chcę składać nieszczerých kondolencji.

Czasami wydawała się twarda jak diament. Pod wieloma względami była bardziej bezwzględna od ojca, być może z czystej konieczności.

– Generał Karpow ma na sumieniu wielu agentów Kidonu. Część z nich była mi bliska.

– A twój ojciec ma na sumieniu wielu jego ludzi. Część z nich była mu bliska.

Na jej twarzy odmalował się prawdziwy smutek.

– Ta rozmowa zbacza na niewłaściwy tor.

Przytaknął i patrząc jej w oczy, zapytał miękko:

– Co twoja gwiazda robiła w gardle Borysa, Saro?

– Nie myślisz chyba, że to ja go zabiłam?

– Rozważałem już tę możliwość z twoim ojcem. Myślę, że ktoś chciał przekonać FSB o twoim w tym udziale. Kto wiedział, że będziesz w Moskwie?

– Mój ojciec, Amir Ophir, czyli kierownik Metsady, mój bezpośredni przełożony Dov Liron, no i ludzie, którzy przygotowywali mi lewe papiery.

– Nikt więcej?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Bourne przez chwilę przeżuwał te informacje w milczeniu.

– Kiedy zgubiłaś gwiazdę?

– Nie wiem dokładnie. – Zmarszczyła brwi. – Chociaż, jeśli się zastanowić... W Moskwie na ulicy wpadł na mnie mężczyzna. W rękach niósł zakupy, wszystko się rozleciało. Pomogłam mu pozbierać rzeczy. Jakiś czas później się zorientowałam, że nie mam gwiazdy na szyi.

– Opisz go.

– Szczupły, przystojny, na oko trzydzieści siedem, góra czterdzieści dwa lata. Około metr

osiemdziesiąt, jakieś osiemdziesiąt kilogramów.

– Rysy twarzy?

– Niech pomyślę... – Z zastanowieniem oblizwała górną wargę. – Ciemne, kręcone włosy, długi nos, odrobinę arabski. Zapadnięte policzki. Wyglądał ascetycznie, jak kapłan lub człowiek, który mało jada i jeszcze mniej sypia.

– A głos?

– Rozmawiał ze mną po rosyjsku, ale nie był to jego ojczysty język. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

– Pochodzenie etniczne?

– Skórę miał koloru herbaty z odrobiną mleka. Arab, ale nie Beduin i na pewno nie Hindus ani Pakistańczyk. Mógł być z Turcji albo z Armenii. Albo z Europy Wschodniej, tam jest jeszcze sporo osmańskiej krwi.

– Myślisz, że mógł być z Czeczenii?

Potrząsnęła głową.

– Raczej nie. Dlaczego pytasz?

Wyjaśnił jej, że Iwan Borz też złożył w Moskwie krótką wizytę. Nie skomentowała tego ani słowem, ale zbladła wyraźnie, jakby nagle poczuła się wyczerpana.

– Co ci jest? – zapytał Bourne z niepokojem.

– Nic. – Pokręciła głową, lecz w jej głosie było słycać napięcie. Podniosła na niego wzrok. – Nie masz pewności, czy człowiek, na którego wpadłam, to rzeczywiście Iwan Borz.

– Zastanów się. Borz był w Moskwie wtedy, kiedy i my. Ktoś wpadł na ciebie na ulicy, a niedługo później się zorientowałaś, że zginęła twoja gwiazda Dawida. Naprawdę sądzisz, że to było przypadkowe spotkanie?

– Nie wiemy, jak on wygląda ani czy naprawdę nazywa się Iwan Borz. Może tylko udaje Czeczena.

– Kimkolwiek by był, Saro, jedno jest pewne: on wie, kim jesteś. Wpadł na ciebie umyślnie, zabrał twoją gwiazdę i zostawił ją w ciele Borysa zaraz po tym, jak go udusił.

Cisza, jaka między nimi zapadła, była ciężka jak warstwa popiołu. Z ulicy dochodziło ich nawoływanie obwoźnego sprzedawcy i terkot samochodów.

W końcu Sara przerwała milczenie.

– Masz obsesję na punkcie Borza.

– Wiesz, z czego to wynika.

– Oczywiście. Po prostu... – Potrząsnęła głową. – Jesteśmy tacy podobni, Jasonie. Widzę siebie w tobie, wiem, jak sama bym zareagowała, jak faktycznie reagowałam, kiedy ginął ktoś bardzo mi bliski.

– Jestem bliżej Borza niż kiedykolwiek – uciał Bourne. – Mam zadanie do wykonania.

Wolną ręką odgarnęła mu włosy z czoła.

– Zarosłeś.

– Nie miałem czasu...

– Nie dałeś sobie czasu. – Lekko pociągnęła go za włosy. – Żeby wspominać Borysa, wspólne chwile i waszą przyjaźń. Nie dałeś sobie czasu, żeby przyjąć tę stratę do wiadomości. Tak niewielu ludziom pozwalamy się do siebie zbliżyć. Borys był jednym z takich ludzi, prawda?

– Był – przyznał Bourne z ciężkim sercem.

– Musisz dać sobie czas na żałobę.

– Nie mogę. Z Borzem nie ma czasu.

– Nie, mój drogi. Z tobą nigdy nie ma czasu. – Przekrzywiła głowę. – Myślisz, że to oznaka słabości, oplakiwać przyjaciela?

– Kiedy byłem przekonany, że nie żyjesz, prawie podjąłem decyzję, żeby dać sobie spokój. Z tą pracą, ze światem, w którym się obracam, ze wszystkim. To twój ojciec odwiódł mnie od tego pomysłu. Wysłał mnie na misję, która miała pomścić twoją domniemaną śmierć.

– Innymi słowy uratował cię.

– W pewnym sensie tak. Obudził we mnie pragnienie zemsty. Sprowadził mnie znad krawędzi załamania.

– A teraz – powiedziała, mocniej zaplątując palce w jego włosy i przyciągając go ku sobie – pora, żebym ja zrobiła to samo.

Wargi Sary rozchyliły się pod naciskiem jego warg. Bourne poczuł jej smak i zadrżał. Tajemnicza, niemal alchemiczna reakcja wyzwoliła go nagle z okowów żalu i wściekłości, które włókł za sobą od śmierci Borysa niczym wędrowiec błądzący po pustyni. Zniknęło napięcie, które czuł od chwili, gdy ujrzał go leżącego w kałuży krwi, czarnej i połyskującej w świetle reflektorów jak nafta. Jak wąż zrzuca skórę, tak i on pod dłońmi, ustami i nagim ciałem Sary doznał odrodzenia – kolejnego z tak wielu, że stracił już rachubę. Ale to odrodzenie było najgłębsze, najbardziej wstrząsające, bo rozświetliło mroki otchłani, z której się wyłonił, gdy ocalał od kuli zabójcy i furii Morza Śródziemnego.

Gdy wszedł w nią, usłyszał jej jęk. Pochylając głowę, wcisnął twarz w zagłębienie jej szyi i poczuł słodki zapach skóry. Nie zdołał powstrzymać łez, wraz z którymi wylał się z niego cały smutek i gniew. Borys był dla niego kimś zupełnie wyjątkowym; nikogo innego nie darzył takim podziwem i zaufaniem. Karpow znał go doskonale, sięgał wzrokiem do najgłębszych pokładów jego jaźni, niedostępnych nawet dla samego Bourne'a. Był jak starszy brat, więcej nawet – jak ojciec, bo rodzzonego ojca Bourne nie potrafił sobie przypomnieć. Był całą jego rodziną, a teraz odszedł na zawsze. Już go nie ma, ale – jak trafnie zauważyła Sara – pozostawił po sobie wspomnienia. Masę wspomnień.

Kiedy zgasł ten gwałtowny słodko-gorzki ogień, Sara przytuliła Bourne'a i w milczeniu całowała go i pieściła tak długo, aż wreszcie i on zareagował czułością. Wtedy kochali się znowu – wolniej, uważniej, bardziej szczerze. A zanim zapadli w oczyszczający sen, Bourne dostąpił stanu łaski – znalazł pocieszenie, do którego nie przywykł, lecz które natychmiast zrozumiał i przyjął z ogromną wdzięcznością.

Reakcja władz na incydent przed oceanarium oraz związaną z nim śmierć cudzoziemca byłaby znacznie szybsza i bardziej energiczna, gdyby w tym samym czasie nie doszło do zamachu przed gmachem egipskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Terrorysta wysadził się w powietrze, zabijając dwóch strażników i podsekretarza stanu, który akurat wracał z posiedzenia. Kilka osób odniosło rany. Rządząca Egiptem generalicja przejęła się śmiercią własnych obywateli bardziej niż losem obcokrajowca, a kiedy okazało się, że był Rosjaninem, a najprawdopodobniej także szpiegiem, policyjny raport szybko przerodził się w ostrą dyplomatyczną notę, którą przekazano rosyjskiemu ambasadorowi.

Wysportowany mężczyzna, którego Bourne poznał w hotelu Meisterstuck we Frankfurcie, przyglądał się skutkom zamachu z bezpiecznej odległości. Stał z rękami w kieszeniach, pogwizdując kołysankę, jakby chciał uspokoić zapłakane dziecko. Pierwszy minister Sawasin i jego asystent Małaczew znali go jako Żmiję. Prawda była taka, że Żmija nie istniał, z drugiej jednak strony w jego świecie nie było miejsca na prawdę.

Kiedy tak obserwował umundurowane ekipy sprzątające, zadzwonił jego telefon. Wycofał się z tłumu gapiów, szukając odrobinę cichszego miejsca.

– Ona nie żyje. – To był Iwan Wołkin. – Irina nie żyje.

Aleksandr Wasilijewicz poczuł, że się dusi. Ta wewnętrzna pustka... Nie wymyślił jej sobie. Nie była jedynie tęsknotą kochanka.

– Aleksandr? – odezwał się Iwan. – Jesteś tam? Słyszalesz?

– Jak... – Więcej nie był w stanie powiedzieć. Twarz miał jak z waty, język spuchnięty i skołowaciały, umysł natomiast pracował w szalonym tempie, zarzucając go potokiem tak wielu emocji, że żadnej nie był w stanie zidentyfikować. – Jak to się stało?

– Rzadki w jej przypadku brak myślenia – warknął Wołkin. W jego głosie nie było słyhać smutku, a jedynie gniew, tłący się gdzieś głęboko pod powierzchnią. – Zabrała Bourne'a do Mika.

Aleksandr poczuł się tak, jakby w głowę trafił go koktajl Mołotowa.

– Zastrzelił ją?

– Wysadził w powietrze cały magazyn. Trafiła ją fala uderzeniowa.

– A Bourne?

– Uciekł – stwierdził Iwan. – Jak zawsze. Ten facet to jakiś magik.

– Wiesz może, gdzie on teraz jest?

– Oczywiście, w Kairze. Nadal goni Iwana Borza.

– A to dobre. – Aleksandr przyglądał się wynoszonym z ministerstwa ciałom, plamom krwi na chodniku i poszarpanym resztkom. – Jego zapas szczęścia chyba się wkrótce wyczerpie.

W końcu poinformował dziadka o najnowszym zleceniu.

– Ciekawe, że to Małaczew do ciebie zadzwonił – rzucił Wołkin. – Nie zdziwiłbym się, gdyby Sawasin lansował go jako nowego szefa FSB.

– A nie Korsołowa? Karpow wybrałby jego.

– Ty się jednak nie znasz na polityce Kremla, Aleksandr. Nie jesteś jej częścią. Borys Karpow, którego kochałem jak brata i nienawidziłem jak zarazy, nie ufał Korsołowowi. Awansował go, żeby trzymać go przy sobie, a może i z innych powodów też. Znając Borysa, to całkiem prawdopodobne. Tak

czy owak, Korsołowa rzuciła psom na pożarcie. Sawasin od lat robił podchody, by przejąć kontrolę nad FSB. Powstrzymał go tylko Borys. Sawasin bał się go jak nikogo.

– Dlaczego?

– Tego, mój drogi wnuczku, nie wie nikt. A skoro Borys nie żyje, nikt już się nigdy nie dowie.

Myśli Aleksandra wróciły do punktu wyjścia – do rzymskiej monety, którą oddał Jasonowi Bourne’owi. Ten ciąg skojarzeń prowadził prosto ku Irinie. Iwan Wołkin nie wiedział, jak intymne relacje łączą go z siostrą. Łączyły. Nie! Nie wspominaj teraz Iriny! Myśl o niej była niczym otwarta rana, nóż w jego sercu.

– Po co zabrała Bourne’a do Mika? – zapytał.

– Doskonale wiesz. Mik robił Borzowi za wozdusznika, tak jak twojemu ojcu. Mógł powiedzieć Bourne’owi, gdzie Borz jest teraz.

– Jeśli Bourne wydusił z Mika cokolwiek o Borzu, na pewno dowiedział się, czym zajmowali się mój brat i ojciec. Czemu Irina podjęła takie ryzyko?

– Wybacz – rzucił Wołkin. – Zepsuła mi się szklana kula.

Żmija znów poczuł przypływ zimnej furii.

– To na pewno przez Bourne’a.

– Bardzo możliwe. Czuło się między nimi nic porozumienia – stwierdził Wołkin, wykazując się niespotykaną dla siebie naiwnością. – Z drugiej strony nie mieści mi się w głowie, że mogłaby nas zdradzić.

Dla Aleksandra „my” znaczyło w tym przypadku coś innego niż dla Iwana. Kryjąc się ze swoim buntem, od dawna chcieli założyć własny interes, ale pierwszy krok zrobili dopiero wtedy, kiedy FSB pojmała i zabiła ich ojca. Ich plan był sam w sobie niebezpieczny, do tego w każdej chwili ich wpływowy dziadek mógł poznać prawdę. Gdyby postanowili komukolwiek o tym opowiedzieć, zapewne zostaliby uznani za szaleńców. „Zresztą może byliśmy szaleni – myślał Aleksandr. – Może kieruje mną obłąd. Ale nawet jeśli, cóż z tego? Kto w tym półświatku zachowuje rozum?” Tylko wariaci byli skłonni prowadzić ten zakład zamknięty na obrzeżach normalnego społeczeństwa; jego dziadek był tego doskonałym przykładem. Wołkin każdemu dawał się poznać jako inna osoba. Jego geniusz polegał na tym, że umiał dopasować swój wizerunek idealnie do oczekiwań. Nietrudno jest zmieniać twarz, kiedy widzi się własne odbicie.

Aleksandr i Irina też się nauczyli tej sztuczki i pewnie właśnie dlatego jego siostra postanowiła zaprowadzić Bourne’a do Mika. Dała mu to, czego od niej oczekiwał. Jednak albo ona, albo Mik postanowili zainterweniować, zanim Bourne zdążył się dowiedzieć czegoś, co mogło im zaszkodzić.

Z zamyślenia wyrwał go głos dziadka:

– Aleksandr? Zaczynam się o ciebie martwić.

– Jak myślisz, jak ja się czuję, wiedząc, że Irina nie żyje? – rzucił odrobinę za ostro. – Bliźnięta łączy szczególna więź. Czuję się, jakbym stracił połowę siebie.

– Źle zrobiłem, pozwalając twojemu ojcu zadawać się z Iwanem Borzem. Nie powinienem był wykorzystywać go jako pośrednika, ale jemu jednemu mogłem ufać na tym zaszranym świecie.

Aleksandr nadstawił uszu. Jego dziadek nigdy wcześniej nie przyznał się przed nim do błędu.

– No i popatrz. – Wydawał się naprawdę smutny. – I syn i dwoje wnucząt straciło życie. Zostałeś tylko ty, Aleksandr. Gra zrobiła się zbyt niebezpieczna.

– Mam zlecenie.

– Olej Sawasina, Aleksandr. Oni wszyscy są tacy sami. Już wiesz, co masz robić. – Brzmiał jak starzec, zmęczony życiem i wszystkim, czego musiał się w życiu naoglądać. – Wiem, co sobie teraz myślisz, że pora mi się kłaść do grobu. – Roześmiał się serdecznie. – Aż podskoczyłeś, co Aleksandr?

Czytam w twoich myślach? – Ponownie wybuchnął śmiechem, chrapliwym niczym warkot silnika. – Cieszę się, że jeszcze umiem cię zaskoczyć. A oto kolejna niespodzianka. Wiem, coście szykowali z Iriną. Wiem, że chcieliście wykorzystać tajemnicę tej monety do własnych celów.

– Nie wiem...

– Przestań! Nie pogrążaj się. Wiedzieliście, że ta moneta skrywa pewną... lokalizację. – W jego głosie zadźwięczała stal. – I zapamiętaj sobie: jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie wykiwać, to fakt, że jesteśmy rodziną, nic ci nie pomoże. W trzy godziny będziesz martwy. Czy wyrażam się jasno?

Aleksandr nie był w stanie wydobyć głosu. Gdyby Iwan wiedział, że wnuk miał tę monetę w rękach...

– Odpowiadaj! – ryknął Wołkin do słuchawki.

Aleksandr głośno przełknął ślinę. W ustach miał sucho, jakby przeszedł pieszo przez pustynię.

– Jak najbardziej.

– Sawasin nic nas teraz nie obchodzi. Liczy się tylko tajemnica zamknięta w monecie. Chcę, żebyś ją poznał.

– Muszę znaleźć Bourne'a.

– To prawda. Znajdź Bourne'a, przechwyć monetę, dowiedz się, gdzie jest to miejsce. Ta informacja wystarczy. – Z jego gardła dobył się cichy dźwięk, a Aleksandr nie był pewien, jak ma go interpretować.

– Na pewno mnie rozumiesz. Wiesz, o jaką stawkę toczy się gra... O wszystko. Absolutnie wszystko.

Kiedy samolot wylądował w Amsterdamie, Swietłana pojechała prosto do portu. Jedno spojrzenie na statek wycieczkowy, którym poleciał jej płynąć Timur Sawasin, utwierdziło ją w przekonaniu, że jeżeli wejdzie na pokład, zostanie zabita. Było to dla niej tak oczywiste, jak wschody i zachody słońca. Odezwał się instynkt wbudowany w najbardziej prymitywne ośrodki mózgowy, podarła więc bilet, obróciła się na pięcie i odeszła. Każdy krok wydawał się łatwiejszy, jakby opadły pęta.

Niebo miało kolor głębokiego błękitu. Światła miasta odbijały się w lustrze kanałów. Przyglądając się śmigającym po ulicach rowerzystom, zapragnęła być jednym z nich i dopiero po chwili zorientowała się, że przecież może – że od tej pory może być kim chce. Borysowi by się to spodobało, bo zawsze bardzo mocno wierzył w jej możliwości. Był przekonany, że Swietłana potrafi dokonać wszystkiego, czego się podejmie. Kochany Borys. Z przerażeniem się zorientowała, że znowu płacze. Wydawało jej się, że lecąc tu z Moskwy, wylała już wszystkie łzy. Z drugiej strony czy to źle, że płacze? Wiedziała, że nie należy do słabych kobiet. Płacząc, w pewnym sensie uczciła pamięć mężczyzny, którego pokochała, zdradziła i znów pokochała, jeszcze mocniej, całym sercem i duszą. Jego śmierć złamała i jedno, i drugie.

Zwróciła uwagę na sklep z rowerami. W jego oszklonej witrynie odbijało się wieczorne niebo. Przez chwilę rozważała, czy dołączyć do tłumu rowerzystów i zagubić się w ich beztroskiej fali, nie weszła jednak do sklepu. Nawet gdyby kupiła rower, sprzedała albo rozdała wszystkie swoje rzeczy i do końca życia tułała się po świecie, nic by się nie zmieniło. Nie można uciec od samego siebie, chyba że w niebyt. Od żałoby też nie. Wiedziała, że ten ból zostanie z nią na zawsze. Życie i tak człowieka dogoni, więc po co marnować siły na ucieczkę?

Co w takim razie nie będzie marnowaniem czasu? Przystanęła na moście nad jednym z kanałów, przechyliła się przez żelazną barierkę i zapatrzyła w zielonoczną tafłę, po której sunęła mała drewniana łódka. Sterujący nią młodzieniec w wełnianej czapce pomachał do niej wesoło. Odruchowo odwzajemniła ten gest, ale nie potrafiła zdobyć się choćby na cień uśmiechu.

Kiedy przestąpiła z nogi na nogę, o jej udo otarła się krawędź karty, którą znalazła w daczce. Włożyła rękę do kieszeni i obróciła maleńki przedmiot w palcach. Misja Borysa, samowolna jak wiatr, trzymana w sekrecie niczym kochanka weneckiego doży. A ona wiedziała o wszystkim.

Wyciągnęła telefon. Jej dłoń na długą chwilę zawisała nad ekranem. Wokół gęstniały ciemności; w uszach słyszała tylko szum własnego tętna. W końcu schowała komórkę i zeszła z mostu. Znalazienie punktu operatora zajęło jej piętnaście minut. Już zamykali, ale udało jej się ubłagać obsługę i kupić taną komórkę na kartę, której numeru nikt nie mógł z nią skojarzyć. Na wszelki wypadek zapłaciła gotówką.

Ponownie wyszła na ulicę i lawirując pomiędzy rowerzystami, przedarła się na inny mostek. Po przeciwnej stronie grupa turystów robiła sobie zdjęcia na tle malowniczych kamienic Amsterdamu. Wieczorny półmrok rozświetlały flesze, malując na kamiennych i ceglanych fasadach jasne plamy.

Swietłana oparła się plecami o parkan i wystukała jedenaście cyfr numeru, który Borys kazał jej zapamiętać. Drżącą dłonią przyłożyła słuchawkę do ucha. Nic, tylko sygnał. Już miała się poddać, kiedy w końcu po drugiej stronie odezwał się męski głos.

– Tak?

– Tu Swietłana Karpowa – rzuciła pospiesznie. – Żona Borysa, znaczy wdowa... Ja...

– Nic pani nie jest?

Ledwo go słyszała, tak mocno dzwoniło jej w uszach.

– Borys dał mi numer do pana. Mówił, że w razie czego mam...

– Jest pani w niebezpieczeństwie?

– Spotkaliśmy się na przyjęciu weselnym – powiedziała bez związku, nie potrafiąc się skupić. – Nie wiem, czy pan pamięta...

– Oczywiście, że panią pamiętam, pani Swietłano. Powinienem był panią odszukać, ale zajęły mnie pilne sprawy.

– Wyobrażam sobie. Borys trochę mi o panu opowiadał. – Znowu przerwała, niepewna, czy powinna brnąć dalej. Ale teraz nie miała już odwrotu. Już się zaangażowała, choćby miało się to dla niej źle skończyć. – Mówił, że mogę panu zaufać.

– To prawda.

Zamknęła oczy i odchrząknęła. Przed oczami nadal miała tłum rowerzystów. Życie miasta było jej teraz zupełnie obojętne. Odgrodziła się od niego murem, tak jak Borys i mężczyzna, z którym właśnie rozmawiała. Należała już do zupełnie innego świata.

Pod wpływem nagłego impulsu zwróciła się do niego po imieniu.

– Jasonie...

– Słucham cię, Swietłano.

– Gdzie jesteś?

– W Kairze.

– Znalazłam coś... – Decyzja została podjęta. Inne możliwości zgasły jak światła w tunelu. – Muszę się z tobą zobaczyć. To pilne.

– Co takiego znalazłaś?

Pokrótkie wyjaśniła mu, czego się dowiedziała z plików Borysa. Opisała potworny plan Samowładcy. Scenariusz ten stanowił urzeczywistnienie jej najgorszych koszmarów, a nawet szedł o krok dalej.

– Musisz temu zapobiec, Jasonie.

– Jeśli to prawda, co mówisz...

– Tak jest. Mam przy sobie wszystkie materiały.

– Nie wiem, jak mógłbym coś takiego powstrzymać.

– Musisz! Borys znalazł sposób.

– Jaki?

– Nie wiem! – krzyknęła w słuchawkę. – W plikach, które czytałam, go nie ma.

– Może sam materiał wystarczy. Czy zawiera jednoznaczne dowody obciążające Samowładcę?

– Tak sądzę... Tak. Są tam oficjalne tajne dokumenty z jego podpisem. Są e-maile. Nawet transkrypcje rozmów telefonicznych.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Dostarcz mi wszystko możliwie jak najszybciej.

– Jestem w Amsterdamie, kupię bilet na następny samolot do Kairu.

Czuła, że jest u kresu sił. Musiała coś zrobić.

– Przyjadę najszybciej, jak się da. Zadzwoń, kiedy wyląduję.

Rozłączyła się i wyrzuciła telefon do kanału, jakby oparzył ją w rękę. Trzęsła się tak, że dzwoniły jej zęby.

Swietłana zadzwoniła, kiedy Bourne i Sara jechali do Amiry. Wcześniej dziewczyna poinformowała Bourne'a, że pojawił się u niej człowiek imieniem Goga – zapewne Georgij – pytając nie o Feyda, ale o samego Borysa. Czyżby Borys miał w planach wizytę w Kairze? Bourne zapytał o to Amirę. Stwierdziła, że nic o tym nie wie, pamiętała jednak, że Goga był już w ich domu. Przyszedł rozmówić się z ojcem krótko przed jego śmiercią.

Jako inteligentna i obeznana z takimi sprawami dziewczyna, Amira nie powiedziała mu, że Borys nie żyje, bo fakt, że on o tym nie wie, wydał jej się podejrzany. Skoro należał do komórki operacyjnej wysłanej przez niego do Kairu, czemu nie był w kontakcie z moskiewskim oddziałem FSB? Posadziła więc Gogę w salonie, kazać mu czekać na herbatę i ciastka, a sama zadzwoniła do Bourne'a, by zapytać, co ma dalej robić.

– Świetnie. Wszystko zrobiłaś dokładnie tak, jak trzeba – pochwalił ją, czując przyływ dumy.

– Zajmij go czymś. Ja i moja koleżanka zaraz tam będziemy.

Otworzyła drzwi, ledwie zdążył zapukać. W jej oczach malowała się niepewność. Uśmiechnął się, by dodać jej otuchy i przedstawił Sarę jej kryptonimem operacyjnym, jako Rebekę.

Kobiety przyjrzały się sobie ostrożnie. Podejrzliwość Sary wynikała zapewne z faktu, że po drodze dowiedziała się od Bourne'a o kontaktach łączących ojca Amiry z Borysem. Amira po prostu z uzasadnioną nieufnością podchodziła do wszystkich obcych, nawet jeśli przyprowadzał ich wuj Samson. Uwadze Bourne'a nie umknął też cień zazdrości w jej spojrzeniu. Dziewczyna była już w takim wieku, że mogła patrzeć na niego nieco inaczej. Niewykluczone, że się w nim zadurzyła.

Kiedy Bourne i Sara weszli do pokoju, Goga podniósł się z miejsca. Mięsień przy prawym oczodole drgał mu w nerwowym tiku, więc co chwila ocierał łzawiące oko palcem, brudnym jak u mechanika albo górnika.

– Gdzie jest generał Karpow? – zapytał ochryłym głosem. – Muszę z nim porozmawiać, ale nie udało mi się z nim skontaktować.

Mówił po rosyjsku, więc Bourne odpowiedział w tym samym języku:

– Jestem przedstawicielem generała.

Na twarzy Gogi odmalowała się niepewność.

– Miał przyjść osobiście...

– Z przykrością muszę pana poinformować, że generał nie żyje – powiedział Bourne formalnym tonem.

– Jak do tego doszło?

Bourne wyjaśnił mu wszystko, co wiedział, dzieląc się podejrzeniem, że sprawcą był Iwan Borz.

– A zatem... – Usiadł, gestem zapraszając rozmówcę, by zrobił to samo. – Wiadomość dla generała możecie przekazać mnie.

Goga zajął miejsce i popatrzył na Bourne'a podejrzliwie.

– Nie wyrażacie się jak funkcjonariusz FSB. I zachowujecie się inaczej.

– Bo nie jestem z bezpieki. Działam z zewnątrz. W tym sęk. Rozumiecie sami, że plan generała musi być kontynuowany. Szczególnie teraz, kiedy nic nas nie wstrzymuje.

Goga wyglądał, jakby doznał nagłego olśnienia.

– Oczywiście. – Przysunął się bliżej i ściszył głos. – Podajcie mi, proszę, swoje nazwisko.

– Jason Bourne.

– A, tak. Generał wspominał, że pojawicie się prędzej czy później.

– I oto jestem.

Oczy Georgija zwęziły się w szparki.

– Hasło.

– Jakie hasło?

– Generał mówił, że Jason Bourne będzie znał hasło, prywatne hasło, którego używali do kontaktowania się ze sobą.

Bourne doskonale wiedział, o jakie hasło chodzi. Jego myśli zmieniły bieg. Starannie odciął się od melancholii i samotności, jakie czuł po śmierci Borysa, lecz wzmianka o prywatnym hasle wywołała nową falę uczuć. Używali go jako przyjaciele i towarzysze broni, kiedy pracowali na własną rękę, poza ścisłym nadzorem swoich rządów. Wszystko jedno, że miał się za samotnika, outsidera, człowieka z cienia, kryjącego się gdzieś poza nawiasem. Ludzie nie zostali stworzeni do samotnego życia. Ci, którzy się na takie decydują, płacą ogromną cenę. Bourne nie miał jednak czasu na rozważania. Jak zawsze musiał się skupić na teraźniejszości. Przeszłości nie znał, a o przyszłości zaś nie chciał myśleć.

Wymówił hasło, jakby siedział przed nim nie Goga, a Borys.

Rosjanin z kamienną twarzą wyjął zza pazuchy piersiówkę i poprosił o dwie szklanki. Nalał im obu i uniósł rękę w toaście.

– Za generała.

– Za Borysa – odpowiedział Bourne.

Dopełniwszy formalności, Goga przeszedł do konkretów.

– Operacja weszła w kluczową fazę.

Aura tajemnicy otaczająca fałszywą rzymską monetę i osobliwy rebus, który Borys ukrył jej wewnątrz, wreszcie zyskały jakiś sens. Wiedział, że dalszy ciąg tej rozmowy zależy od tego, czy uda mu się wyciągnąć od Gogi więcej informacji, nie zdradzając przy tym, że nie miał pojęcia o kairskiej misji Karpowa.

– Mówcie więc – rzucił.

Kiedy się czegoś nie wie, najlepiej pytać prosto i bezpośrednio.

Goga zerknął podejrzliwie na obie kobiety.

– Nie tutaj – powiedział miękko, a potem odłożył pistolet na stół i wstał.

Wyszli na pokład obwieszony lampkami choinkowymi, których światło odbijało się w rozkołysanej wodzie.

– Iwan Borz jest w Kairze. Od wczoraj.

Goga specjalnie ustawił się plecami do wnętrza łodzi. Znał się na środkach ostrożności. Nic dziwnego, skoro Borys osobiście wybrał go do tego zadania.

– Zlokalizowaliście go? – zapytał Bourne.

– Tak i nie. – Sylwetka Rosjanina pozostała nieruchoma, by obserwujące go ze środka oczy nie mogły odgadnąć, co mówi. – Wydaje nam się, że ma dom gdzieś w Gizie.

– Co on tu robi?

– Robi głównie za obiekt obserwacji izraelskim agentom. A poza tym werbuje żołnierzy dla ISIS i sprzedaje im broń. Dowództwo ISIS ma teraz góry pieniędzy i nie szczędzi ich na swoje cele.

– Skąd biorą forszę?

– Zrabowali je z syryjskich banków.

– Ale rabunek nie jest jedynym źródłem ich dochodów, prawda? Skąd jeszcze dostają fundusze? Od Borza?

Goga wzruszył ramionami, a Bourne rzucił ponad jego ramieniem szybkie spojrzenie na Sarę, która stała w salonie Amiry. Jej sylwetka była podświetlona migotliwym blaskiem świec.

– Czy Borz wie, że Mossad go obserwuje? – spytał.

– Robią to bardziej dyskretnie niż zwykle. – Mina Gogi wskazywała wyraźnie na to, że wychwycił to spojrzenie. – A zazwyczaj są znacznie bardziej dyskretni niż my.

– Musimy go złapać. Pokieruję tą akcją osobiście.

– A co z Izraelczykami?

– Zajmę się nimi. Borys przysłał ze mną agentkę Mossadu właśnie w tym celu.

Goga lekko uniósł brwi.

– Agentkę? Tę, którą tu przyprowadziłeś?

– Zgadza się.

– Ale to jest kobieta.

Bourne skrzywił się z niezadowoleniem.

– To jakiś problem?

Usta Gogi otworzyły się i zamknęły, jak u ryby wyrzuconej na brzeg. Wydał z siebie nieartykułowany dźwięk, ni to syk, ni to parsknięcie.

– Nie... znaczy... Izraelczycy zawsze posyłają kobiety tam, gdzie potrzebny jest mężczyzna. My byśmy... my, Rosjanie, nie tak załatwiamy sprawy – skończył bez przekonania.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zamachał ręką, jakby chciał wymazać swoje słowa.

– Słyszałem, że gdyby nie generał Karpow, za głowę Amiry dawno wyznacziliby nagrodę. Boją się go tutaj, ci miejscowi. Nie wiem, czym na to zapracował, ale bardzo mnie to cieszy.

– Amirze włos z głowy nie spadnie – uciał Bourne.

Kiedy wrócili do środka, odciągnął Sarę na bok.

– Lev już zlokalizował Borza?

– Wszystko wskazuje na to, że przebywa gdzieś w Gizie lub w okolicach.

– Chyba że nie powiedzieli ci wszystkiego. – Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. – Myślisz, że to możliwe?

– Z Levem nigdy nie wiadomo. Nigdy mu nie ufałam.

– Twój ojciec mu ufa.

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

– Niewykluczone, że podziela w tej kwestii moje zdanie.

– Czemu tak myślisz? Przecież powierzył mu dowództwo nad tą operacją.

– Może w międzyczasie pożałował tej decyzji? Scena w biurze ojca nie daje mi spokoju. Dosłownie chwilę po tym, jak przyniesiono mu teczkę z tą misją, musiał wyjść coś załatwić. Na pewno zdawał sobie sprawę, że zerknę do akt. Musiał wiedzieć, że jeśli tylko się dowiem o operacji przeciwko Borzowi, to nie dam się zbyć i będę chciała brać w niej udział.

– A to dlaczego?

– Mamy z Borzem rachunki do wyrównania.

– Spotkaliście się w terenie?

Pokiwała głową.

– Zepsułam mu interes życia. Sprzątnęłam klientów, ale jego nie udało mi się trafić. Eli uznał, że w Kairze jestem spalona, więc mnie odwołał.

– A ty chcesz dostać drugą szansę.

– Żebyś wiedział – W jej oczach buzował ogień. – I teraz ją dostanę.

Bourne nie skomentował tego, a ona pocałowała go lekko i odsunęła się.

– Co ci powiedział ten Goga?

– Niewiele. Cały czas próbują namierzyć kryjówkę Borza w Gizie.

– W takim razie możemy pracować razem.

– Może zostaniesz tutaj z Amirą. – To nie było pytanie. – Z tego, co mówi Goga, była bezpieczna dopóki, dopóty żył Borys.

– Zmyślasz na poczekaniu...

– Sama go spytaj.

Patrzyła na niego podejrzliwie, ale widać było, że jest mniej pewna siebie niż przed chwilą.

– Nie ma mowy, że dam się tu zostawić z...

– To dla twojego dobra, Saro.

– Słucham? – Wyprostowała się jak struna. Zawsze tak robiła, kiedy była zła. – Skąd możesz wiedzieć, co mi wyjdzie na dobre?

– Z tego, co mówisz, w przypadku Iwana Borza jesteś zbyt zaangażowana, za bardzo się przejmujesz tym incydentem z przeszłości, żeby...

– Zadrwił ze mnie w Moskwie. Ukradł moją gwiazdę. – Przesunęła palcem po wisiorze. – Wykorzystał ją, żeby zrobić mnie w morderstwo twojego przyjaciela.

– Twoja misja była czysto służbowa. A teraz Borz to dla ciebie sprawa osobista. Nie widzisz, dlaczego to zrobił? Próbuje wyprowadzić cię z równowagi, żebyś nie myślała trzeźwo.

– Bzdura. Mój umysł działa bez zarzutu. Żadna jego sztuczka tego nie zmieni. – To samo musiała niedawno tłumaczyć ojcu. – Nie rób mi tego. Nie odbieraj mi szansy na zemstę.

– Przyhamuj trochę, a sama zrozumiesz, że najlepiej będzie, jeśli tu zostaniesz.

– Nie zostanę. Nie mogę. Sam tu siedź i pilnuj dziewczyny. Dla ciebie to chyba sprawa osobista.

W rozmowie i w walce Sara lubiła używać broni przeciwnika.

Pokręcił głową.

– Goga nie wie... Goga nie będzie chciał z tobą współpracować. Po pierwsze, dlatego że jesteś z Izraela, po drugie, że jesteś kobietą. Ze mną nie będzie miał problemu. A Amira potrzebuje ochrony.

– Pierdol się! – Miała ochotę roznieść go na strzępy, ale im dłużej nad tym myślała, tym mocniej do głosu dochodziło wszystko to, czego nauczyła się w Mossadzie. Zrozumiała, że Bourne ma rację, postanowiła jednak wyciągnąć ostatni argument.

– A co powiesz o własnym stosunku do Borza?

– Co mam powiedzieć? Śledzę go od ponad roku. Jestem bliski sukcesu. To wszystko, co mnie z nim łączy.

– Akurat! – Nie wytrzymała. – Po tym wszystkim, co przez niego przeszedłeś?!

– To tylko kwestia zawodowa.

– Może z twojej strony. Jak go złapiesz, zapytaj go, czy to tylko praca, czy też działa z pobudek osobistych.

– Czy to znaczy, że zgadzasz się na moją propozycję?

Popatrzył na nią poważnie. Rumieniec na jej policzkach i sposób, w jaki się do niego zwracała, trochę go uspokoiły. Musiał być pewien, że nic jej nie jest, że za chwilę wróci do roli twardej, nieustępliwej agentki Kidonu, której opiece mógł bez obaw powierzyć Amirę. – Zostaniesz tu z Amirą. Nikt nie zapewni jej lepszej ochrony. Proszę cię, Saro. Jesteś mi potrzebna. Jeśli Goga ma rację i za tę dziewczynę wyznaczono nagrodę, nigdzie nie będzie bezpieczna. Będę spokojny, wiedząc, że to ty nad nią czuwasz.

Sara nie odezwała się ani słowem, wściekła jak szerszeń w potrzasku, on jednak wiedział, co znaczy to milczenie.

– Najpierw ktoś morduje Feyda, potem Borysa. Borz był w Moskwie, a teraz jest tutaj. To nie jest zbieg okoliczności, na pewno nie. Tym razem wpadliśmy w naprawdę głębokie bagno. Wolałbym mieć pewność, że wyjdziemy z niego żywi.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Nie martw się – powiedziała w końcu Sara. – Amirze nic się nie stanie.

– W moim życiu nic się nie dzieje! – jęknęła żałośnie Amira.

– Powinnaś się cieszyć – rzuciła Sara.

Dziewczyna nawet na nią nie spojrzała.

– Wszyscy inni coś robią, a mnie każecie siedzieć na tyłku i patrzeć.

Odkąd Bourne i Goga sobie poszli, obie kobiety przyglądały się sobie jak para bokserów, starając się znaleźć lukę w obronie przeciwnika.

– Tego mi właśnie trzeba. Niańki...

– Myślisz, że uśmiecha mi się tu siedzieć? I czemu złościsz się na mnie?

Dziewczyna spiorunowała Sarę wzrokiem, a potem zerwała się i wyszła na pokład.

– Lepiej, żebyś nigdzie nie wychodziła – powiedziała Sara, wychylając się za nią.

– Pieprz się. Nie będę słuchać się niańki. Nie potrzebuję niańki.

– Twój wuj Samson jest innego zdania.

Stały na pokładzie. Amira wpatrywała się w wody Nilu, w którym odbijały się kolorowe plamy, jak na impresjonistycznym obrazie. Sara wodziła po okolicy czujnym wzrokiem, patrząc, czy nie błysnie gdzieś lufa pistoletu albo szkło lornetki.

– Dobrze się czujesz, ignorując jego polecenia, Amiro? – odezwała się. – Nie wydaje mi się. Widzę przecież, co do niego czujesz.

Amira poderwała głowę i wbiła wzrok w ciemność.

– Słucham?

– Nie masz co się wstydzić.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jakoś ci nie wierzę. – Sara postąpiła krok do przodu i oparła się o reling. Nadal obserwowała rzekę, gotowa zareagować na najmniejszy ruch, wychwycić wszystko, co wydawało się nie na miejscu, przyczajone i złowrogie. Cień Borysa nie zapewniał już Amirze ochrony, więc ci, którzy czyhali na jej życie, mogli bez obaw zgłosić się po swoją nagrodę. – Jesteś za mądra, żeby udawać ignorantkę w takich sprawach.

Amira tylko wzruszyła ramionami, jakby otrząsając się ze słów Sary.

– Już mnie nie lubisz, tylko dlatego, że Jason mnie tu przyprowadził. Zauważyłaś, jak się do siebie odnosimy. Widzisz we mnie rywalkę.

– Zwariowałaś! – prychnęła Amira, ale nie odwróciła twarzy.

– Czy to twoja motorówka? – zapytała Sara zupełnie innym tonem, ciszej, bardziej miękko.

– Moich sąsiadów.

– Których?

Amira wskazała palcem jedną z łodzi mieszkalnych, całą obudowaną rusztowaniami.

– Tamtych. Nie cierpię ich. Wybebeszyli łódkę i budują drugie piętro.

W głowie Sary zapaliło się ostrzegawcze światełko.

– Za dnia pewnie kręci się tam wielu robotników.

– Całe stada. – Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało. – Czasem zanoszę im obiad, tak jak ojcu.

– Pewnie za nim tęsknisz... Za ojcem.

Uśmiech zniknął z twarzy Amiry jak zdmuchnięty.

– Gotowałam dla niego obiad i kolację, bo tego ode mnie oczekiwał.

– I niczego więcej?

– On widział we mnie tylko tyle.

– A matka?

– Odeszła, wiele lat temu.

– Przepraszam, że pytam, ale czy chcesz przez to powiedzieć, że nie żyje?

Amira wzruszyła ramionami.

– Wyprowadziła się do kuzynki, do Strefy Gazy. Więcej nie dała znaku życia.

– Dlaczego wyjechała?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Przez ojca.

– A czemu nie zabrała cię ze sobą?

Amira popatrzyła na nią gniewnie.

– Przecież wiesz. Powiedział, że ją zabije, jeżeli spróbuje mnie porwać. Tak to określił, chociaż mu mówiłam, że chcę jechać z matką. Zostałam potem surowo ukarana za wyrażanie własnego zdania.

Sara wpatrywała się w zarys łodzi, ale nie dostrzegła żadnego ruchu. Nie mogła mieć pewności, że nikt się tam nie chowa, chyba że poszłaby przeszukać jej wnętrze z latarką. Pod nimi kołysała się samotna motorówka, jedyna łódka w zasięgu wzroku.

– Posłuchaj, tu naprawdę nie jest bezpiecznie... – zwróciła się do dziewczyny.

Amira odwróciła się gwałtownie.

– Rzeczywiście wyznaczyli za mnie nagrodę?

„Nie chce się z tym zdradzić, ale się boi” – pomyślała Sara, uznała jednak, że nie ma sensu jej okłamywać.

– Do tej pory chroniły cię wpływy Borysa. A skoro on nie żyje... – Wzruszyła ramionami. – Obiecałam Jasonowi, że będę cię strzec. – Z uśmiechem wskazała palcem otwarte drzwi do salonu. – Nie chcesz chyba, żebym przez ciebie wyszła na niesłowną.

Amira wahała się przez chwilę, po czym zeszła z pokładu.

– Jeśli mam ci wierzyć – zwróciła się do Sary, kiedy zamknęły drzwi – to nie jestem bezpieczna ani tutaj, ani nigdzie w Kairze.

– Ze mną jesteś.

Dokładnie w tej samej chwili, kiedy Sara to powiedziała, frontowe drzwi poszatkowała salwa z broni maszynowej.

Aleksandr Wołkin, znany pod wieloma pseudonimami, bez problemu odszukał w Kairze Gogę. Dziadek wyjawiał mu, gdzie stacjonuje nieoficjalna jednostka operacyjna Borysa Karpowa. Zaparkował wynajęte auto niedaleko łodzi mieszkalnej należącej do niejakiego Feyda, który był człowiekiem Karpowa i czekał. Jego myśli uparcie kierowały się w przeszłość. Na skórze czuł oddech Iriny, a jej szept odbijał się namiętym echem w jego udach i lędźwiach. Znał się co nieco na psychologii i wiedział, że umysł nastolatka jest bardzo podatny na wszelkie wpływy i że nabyte w młodym wieku preferencje seksualne zakorzeniają się tak silnie, że później trudno je zmienić. Przez ich szczenięce wybryki nigdy nie zdołał się uwolnić od uczucia, jakim darzył Irinę. Zresztą nawet nie chciał. Była wszystkim, czego potrzebował. Na zawsze.

A teraz ona nie żyje, a w jego duszy rośnie śmiertelna pustka – niedługo nim zawładnie. Czy warto żyć dalej bez niej? Od kiedy dziadek potwierdził jego złe przeczucia, zadawał sobie to pytanie przez cały czas.

Najgorzej znosił czekanie, a w zasadzie każdą chwilę wymuszonej bezczynności. Umysł i ciało pulsowały niczym rażone prądem. Czuł, że plama atramentowej pustki rosnąca w jego duszy spycha wszystko inne w niebyt.

W pewnej chwili wydało mu się, że w obudowanej rusztowaniami łodzi mieszkalnej po prawej stronie coś się rusza. Było to jednak mgnienie na granicy pola widzenia, uznał więc, że być może po prostu coś mu się przywidziało.

Na powrót skupił się na obserwowaniu łodzi Feyda i niedługo później jego cierpliwość została nagrodzona – ze środka wyszedł Goga i skierował się prosto do swojego auta. Aleksandr zamarł, patrząc nieruchomym wzrokiem, jak do samochodu wsiada również Jason Bourne.

Amira zastrzeliła pierwszego napastnika, który przeszedł przez rozbite drzwi. Strzelała dobrze, ktoś – może Bourne – nauczył ją, jak trzymać broń. Pozostali dwaj byli jednak bardzo szybcy i posłużyli się ciałem martwego towarzysza niczym tarczą, więc nie udało jej się ich trafić.

Sara tymczasem przewróciła stół i schowała się za nim. Kiedy w ich kierunku posypał się grad kul, wciągnęła Amirę za tę ochronną barierę. Błat zatrzęsł się jak żywe stworzenie. Sara wyciągnęła CZ 75 i oddała dwa idealne strzały. Dwa ciała osunęły się na podłogę.

Spodziewała się kolejnych napastników, bardziej zajadłej salwy z broni maszynowej, ale nie doczekawszy się strzałów, ostrożnie wyjrzała zza stołu. Trzy trupy, żadnych intruzów.

– Wystraszyliśmy ich! – Amira wychyliła się ponad jej ramieniem. – Zwiali!

Rzeczywiście. Tylko dlaczego? Patrząc, jak Amira podnosi się z klęczek, Sara poczuła, że drobne włoski na jej szyi stają dęba. Nagle zrozumiała.

– Ruszaj się! – krzyknęła, łapiąc dziewczynę ze rękę.

– Co? Co ty...

Wypchnęła Amirę na pokład i przycisnęła do relingu, na którym wciąż błyskały wesoło kolorowe światełka.

– Skacz!

– Co?

Nie chcąc czekać ani chwili dłużej, podniosła nastolatkę i przerzuciła ją za burtę, po czym wyskoczyła za nią. Wylądowały na rufie motorówki.

– Gdzie kluczyki?

Amira sięgnęła pod deskę rozdzielczą i podała jej na wyciągniętej dłoni pęk kluczy. Dzięki Bogu łódź była zatankowana. Odwiązała cumy, a Sara pchnęła dźwignię.

– Padnij! – wrzasnęła, gdy były już na środku rzeki.

Chwilę później znajdującą się za ich plecami łódź rozerwała potężna eksplozja. Dom Amiry przestał istnieć, pochłonięty przez żarłoczne płomienie, z których buchał oleisty dym.

Motorówka zatrzęsała się gwałtownie. Podmuchał niemal zmiotł obie kobiety z pokładu. W łódź uderzyła fala tak potężna, że Sara z trudnością utrzymała kurs. Przypomniała sobie rejsy żaglówką ojca i rady, jakich jej udzielał, kiedy zaskoczyła ich nagła zmiana pogody, a niebo zasnuło się chmurami czarnymi jak dym, który otaczał ją i teraz. Pierwsze, czego Eli ją nauczył, to nie tracić głowy i ustawiać się rufą do podmuchów wiatru, żeby fale nie przewróciły łodzi, zanim nie zwiną żagli. Lekcje te bardzo jej się teraz przydały, bo gdyby posłuchała instynktu i poprowadziła łódź szerokim łukiem, na pewno wywróciłaby ją do góry dnem. Sterowała więc równo z falą, ani na chwilę nie zmniejszając prędkości.

Szczątki łodzi Amiry spadły na nich niczym deszcz. Plecy zapiekły Sarę ostrym bólem. Chwilę później poczuła, że Amira gasi płomienie gołymi rękami, zdziera z niej strzępki zwęglonej koszuli. Resztki żaru zdeptała butem.

– Amiro? Nic ci nie jest?

– Fizycznie chyba nie – wysapała dziewczyna. – O całą resztę zapytaj mnie jutro albo pojutrze.

Coś w jej głosie kazało Sarze się odwrócić. Na dno łódki kapiała świeża krew.

Część aglomeracji Kairu na zachodnim brzegu Nilu to w zasadzie odrębne miasto, Giza. Dzieli się ono na cztery dzielnice: Imbabę, Agouzę, Dokki i Mohandiseen. W czasach starożytnych, gdy Egiptem rządono nie z Kairu, a z Memfis, Giza pełniła funkcję miejsca pochówku faraonów. Wielkim osiągnięciem urbanistycznym za czasów Nasera było przekształcenie zachodniego brzegu Nilu w koszmarny las betonowych mrówkowców, wielopasmowych szos i ogromnych centrów handlowych.

Dzielnica Mohandiseen pierwotnie miała służyć inżynierom, obecnie jednak była pełna hoteli, ambasad i dwupoziomowych apartamentów dla bogaczy. Goga zawiózł Bourne'a właśnie tam.

Niebo zaczynało się już mienić pierwszymi barwami świtu, kiedy wjeżdżali na Dżami'at ad-Duwal al-Arabijja, czyli bulwar Ligi Państw Arabskich. Po obu stronach wznosiły się paskudne wysokościowce. Przy siedzeniu pasażera w dżipie Gogi stało urządzenie przypominające okazałych rozmiarów radio. Z głośników co jakiś czas było słychać potok arabskich słów, poszatowany cichym elektrycznym szumem.

– Monitorujemy komunikację elektroniczną Borza – odezwał się Goga. – Sygnał idzie gdzieś z tej okolicy. Cały czas namierzamy, zawężamy pole poszukiwań. Zostało jeszcze sześć przecznic. To sporo budynków do przeczesania. Ale robimy postępy.

Bourne uznał, że żadna z tych informacji nie przyda się mu w poszukiwaniach Borza.

– Wiecie, gdzie stacjonuje Mossad?

– Oni znają naszą kryjówkę, a my ich. Mamy taki nieoficjalny pakt o nieagresji. To się czasem zdarza, kiedy dwoje nieprzyjaciół znajdzie się na terytorium wspólnego wroga.

– Chcę wiedzieć, gdzie się ukryli. – Oczywiście, wystarczyło zadzwonić do Sary, ale Bourne nie chciał podsycać jej obsesji na punkcie Borza. – Tylko mnie tam nie wieźcie. Podajcie mi adres. Pójdę pieszo.

– Tam nie jest bezpiecznie – rzucił Goga.

– Pójdę sam.

Wysiadł z dżipa, kiedy Goga zjechał na pobocze. Rosjanin nie zdążył do końca wyhamować, więc Bourne przebiegł kilka metrów, żeby nie stracić równowagi, po czym równym krokiem ruszył w kierunku bloku, w którego Lev Bin zarządzał wymierzoną w Borza operacją Mossadu. Bourne spotkał już Leva, ale znał go pobieżnie, więc chwilowo mógł polegać jedynie na niepochlebnej opinii Sary.

Szedł przez okopcone spalinami ulice Mohandiseen okrężną drogą, więc na miejsce dotarł pół godziny później. Goga twierdził, że Mossad zainstalował się w mieszkaniu na najwyższym piętrze, więc Bourne wszedł od podwórza i wytrychem wyłamał drzwi. Podjechał windą na najwyższe piętro, przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi prowadzące na schody pożarowe. Stał na zewnątrz i wyjrzał na piętro przez okienko.

Znieruchomiał, przygotowując się na dłuższe oczekiwanie. Skoncentrowany na korytarzu i drzwiach windy, o mały włos nie przegapił dźwięku za swoimi plecami. Był to cichy odgłos, podobny do rozmaitych stukotów i szumów, jakie wydaje z siebie każdy budynek – od fundamentów zapadających się w piaszczysty grunt po plątanie rur i przewodów wentylacyjnych. Podobny, ale nie identyczny, bo tego dźwięku nie wydał ani kamień, ani metal. To był człowiek.

Bourne obrócił się i w tej samej chwili dostał potężny cios w szczękę. Obijając się o drzwi przeciwpożarowe, dostrzegł kątem oka, jak napastnik robi zamach lewą ręką. Błysnęło ostrze zakrzywione jak pazur tygrysa.

Nie zatrzymał uderzenia. Zamiast zrobić unik, postąpił krok do przodu. Czując, jak nóż prześlizguje się tuż obok prawego boku, uderzył przeciwnika w gardło nasadą dłoni i zabrał mu broń, kiedy ten osuwał

się na kolano. Potem podniósł mężczyznę za koszulę i wysyczał po hebrajsku:

– Daj znać Binowi, że Jason Bourne przyszedł pogadać.

– Skąd wiedziałeś, że to mój człowiek?

– Miałem już do czynienia z Mossadem – rzucił Bourne. – Trzymał się standardowej procedury.

Lev Bin pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Zrobiliśmy się przewidywalni. Przygnębiające.

Kiedy pobity agent przyprowadził Bourne'a do kwatery Mossadu, Bin zmarszczył nos, jakby w pokoju zaleciało nieświeżą rybą. To nagłe wtargnięcie wprawiło go w wojowniczy nastrój, a może po prostu taką miał naturę.

– Przewidywalność bywa niebezpieczna – skomentował Bourne.

– Nie ucz mnie, jak mam wykonywać swoją pracę. – Lev oparł dłonie o biodra. Za jego plecami było widać trzech mężczyzn pochylonych nad stosem laptopów, odbiorników radiowych i urządzeń do monitorowania przesyłu danych. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach nowoczesnej elektroniki: rozgrzany metal i gumowa izolacja kabli. Odległy szum zakłóceń radiowych i niewyraźne echa słów przywodziły na myśl szepty niespokojnych duchów.

Bin przesunął się, zasłaniając swoich ludzi.

– Lepiej przenieśmy się gdzieś indziej.

– Możemy rozmawiać tutaj – rzucił Bourne, a kiedy Lev mimo tego postąpił krok w kierunku bocznego pokoju, dodał: – Rosjanie wiedzą, gdzie macie bazę.

Bin zatrzymał się, obrócił głowę i rzucił, lekko wydymając usta:

– Nie dbam o to. Możemy się nimi zająć. Ich agenci to idioci.

– Polemizowałbym. Tę ekipę dobrał osobiście generał Karpow. Prowadzą tajną operację, pełna samowolka.

Izraelczyk pociągnął nosem, nie kryjąc się z poczuciem wyższości.

– Takie numery odstawiają tylko Amerykanie. Rosjanie nigdy.

– Metody Borysa Karpowa różnią się od tych stosowanych przez innych rosyjskich agentów.

– I może właśnie dlatego nie żyje.

No proszę, Lev był na bieżąco nawet z informacjami z drugiego końca świata. Dzięki temu Bourne już wiedział, jak pokierować rozmową.

– To nie ma znaczenia. Misję opracowano tak, że można ją prowadzić nawet bez generała. Wszystkie cele ustalono z góry.

– Skąd pan to wie? – zapytał Bin podejrzliwie.

– Od dyrektora.

Lev parsknął śmiechem.

– Naszego?

– Od Eliego, czyli waszego – ciągnął Bourne spokojnym tonem.

Miewał już do czynienia z ludźmi pokroju Leva Bina. Każde wahanie natychmiast uznawali za oznakę strachu, a zatem słabości.

– Nie wierzę panu.

– Z pańskiej perspektywy pewnie wydaje się to dziwne.

Bin wyciągnął komórkę.

– Zadzwoń do niego i zapytam.

– Ależ proszę bardzo. Ale jestem pewien, że Eli nie powie panu prawdy.

Na twarzy Izraelczyka powątpiewanie mieszało się z rozbawieniem i konsternacją.

– Czyżby? A to czemu?

– Stracił wiarę w pana.

Lev skwitował to śmiechem, lecz twarz miał napiętą, a kąciki ust pobieleały.

– Bzdura. Powierzył mi dowództwo nad całą operacją.

– Nad jakąś operacją – powiedział cicho Bourne. – To przykrywka, żeby zamydlić oczy FSB

i Borzowi. On kieruje swoją uwagę na was i ludzi Karpowa, a prawdziwą misją zajmujemy się ja i Rebeka.

– Rebeka jest w Jerozolimie.

– Nie. Jest tutaj ze mną.

– Wiedziałbym o tym. Jako dowodzący operacją mam prawo do takich informacji.

– A mimo to pan nie wie...

Bourne mówił z takim przekonaniem, że w oczach izraelskiego agenta błysnął strach.

– Jeśli to prawda... – przerwał, jakby potrzebował chwili, by dojść do siebie. – Dlaczego mi pan to mówi?

Bourne zauważył subtelną zmianę w tonie głosu Bina. Zniknęła nuta arogancji.

– Chcę dotrzeć do Iwana Borza, zanim dopadną go ludzie Karpowa.

Wiedział, że ten komentarz zrobi swoje. Lev Bin połknął haczyk.

– Rozmawiałem z Gogą, ich naczelnym agentem. To on mnie przywiózł do Gizy. Zaparkowałyby wam przed drzwiami, gdybym go nie powstrzymał.

Lev powoli pokiwał głową.

– Dziękuję.

– Goga jest bliższy znalezienia Borza niż wy, a kiedy tylko będzie go miał w zasięgu, sprzątnie go bez wahania. Eli kazał mi temu zapobiec. Chce, żebym najpierw Borza przesłuchał.

– Po co? Skurwiel zasługuje na śmierć.

– Tu się zgadzamy, ale najpierw trzeba z niego wyciągnąć wszystkie lewe tożsamości, kontakty, wszystkie tajemnice.

– I przyszedł pan do mnie...

– Po pomoc. Jest coś, co może zrobić tylko pan.

Tego typu prośba jest kluczowym elementem szwindla. Pokaż, że pokładasz w ofercie zaufanie, a ona zrobi dla ciebie dosłownie wszystko.

– Proszę wyjaśnić, o co chodzi.

– Obserwowałem, jak prowadzicie tę misję. Wierzę w pana bardziej niż Eli. On jest daleko, a ja na miejscu.

Bin przez chwilę rozważał jego słowa.

– Nadal nie wiemy, gdzie dokładnie ukrywa się Borz.

– Tu akurat mogę pomóc. Dowiedziałem się, że lubi seks analny. Wszystko mu jedno, z dziewczętami czy z chłopcami.

Twarz Bina pojaśniała.

– To już coś konkretnego. Egipskie władze mocno szykanują wszystkie formy aktywności seksualnej, które uznają za nienaturalne. Jest jednak elektroniczny biuletyn informacyjny dla zainteresowanych. Na serwerach Dark Web, gdzie wchodzi wszyscy niktzemnicy i wazeliniarze.

Bourne uznał ten ostatni komentarz za zabawny, biorąc pod uwagę preferencje seksualne Borza, lecz Bin ewidentnie nie powiedział tego dla żartu. Zbyt pochłaniała go myśl o tym, jak mógłby poprawić swój

wizerunek w oczach dyrektora. Zwracając się do jednego z mężczyzn przy stole ze sprzętem elektronicznym, wyrzucił z siebie potok rozkazów po hebrajsku. Potem znów obrócił twarz do Bourne'a.

– Ten biuletyn jest dość specyficzny. Zobaczmy, co się uda znaleźć. Mój człowiek analizuje aktualne wątki, śledząc je wstecz, żeby sprawdzić...

W tej samej chwili jeden z informatyków przywołał Bina gestem i pokazał mu coś na ekranie. Wymienili kilka zdań szeptem. Wracając do Bourne'a, Lev Bin znów miał na twarzy zarozumiały uśmiezek.

– Kobieta imieniem Meira kontaktowała się ostatnio z kimś, kto każdą, choćby i najkrótszą rozmowę prowadził z telefonu o innym numerze. Oczywiście jest znana tylko pod pseudonimem, ale namierzyliśmy jej adres IP. Pracuje w jednym z biur organizujących wycieczki pod piramidy. Chwileczkę...

Wstukał w telefon podany przez informatyka numer. Rozmowa, którą przeprowadził, była krótka i na temat.

– Meira jest właśnie w pracy – powiedział, gdy się rozłączył. – Mamy szczęście. Kończy za czterdzieści minut. Poprosiła o zastępstwo. Na resztę dnia bierze wolne.

– Borz – rzucił Bourne.

Lev Bin wzruszył ramionami.

– To strzał w ciemno, ale lepszy taki niż żaden. – Z szuflady biurka wyciągnął pistolet i włożył go do kabury pod pachą. – Chodźmy.

Czerwonawe słońce, wiecznie zaplamione miejskim smogiem, zalewało pustynię jednostajnym blaskiem. Odrobinę cienia rzucały jedynie rozedrgane korony palm i przejeżdżające samochody, których silniki podnosiły temperaturę o dobre pięć stopni, zamieniając poranny chłód w spiekotę południa.

W porównaniu do współczesnych budowli, Sfinks i piramidy to przykład ponadczasowego piękna, niezrównanego w formie i jakości wykonania. Piramidy Mykerinosa, Chefrena i Cheopsa swoim ustawieniem naśladują układ gwiazdozbioru Oriona, w starożytnym Egipcie kojarzonego z Ozyrysem. Komora królewska piramidy Cheopsa jest zorientowana wprost na pierwszą gwiazdę w tej konstelacji, Alnitak. Najwyższa z piramid stoi dokładnie pośrodku obszaru zajętego przez łądy. Kąt wygięcia jej boków idealnie odpowiada promieniowi Ziemi. W jednej ze ścian wbudowano obrotowe drzwi o wadze dwudziestu ton, które były wyważone tak idealnie, że otwierały się od środka pod najmniejszym naciskiem. Przylegały do muru tak ściśle, że z zewnątrz były niemal niewidoczne. Pierwotnie cała budowla była pokryta blokami polerowanego wapienia, który rozpraszał promienie słoneczne, upodabniając piramidę do lśniącego klejnotu. Jej boki odbijały tyle światła, że byłaby widoczna nawet z Księżyca. Nic zatem dziwnego, że starożytni Egipcjanie nadali piramidzie Cheopsa nazwę Ikhet, czyli „cudowne światło”.

Tych i innych ciekawostek dowiedzieli się z drugiej części wykładu, jaki Meira wygłosiła grupie turystów. Autobus, który ich tu przywiózł, czekał nieopodal, ciężko dysząc, omiatany beznamiętnym i nieodgadnionym spojrzeniem Sfinksa.

Bourne i Lev trzymali się z boku, za ostatnim rzędem zasłuchanych w głos przewodniczki turystów. Za nimi krążyły żarłoczne stada sprzedawców oferujących tandetne pamiątki oraz horrendalnie drogie przejażdżki na wielbłądzie. Między handlarzami przemykały wielkookie dzieci podające się za przewodników oraz bure psy o przekrwionych oczach. W tłumie było również widać żołnierzy i prywatnych ochroniarzy pilnujących skupionych wokół Meiry turystów.

Jeden rzut oka na przewodniczkę utwierdził Bourne’a w przekonaniu, że zaprowadzi ich ona prosto do Borza. Meira była ładna i bardzo drobna. Wyglądała na nastolatkę, choć przecież musiała być starsza. Łącząc w umyśle nieudaną akcję Sary sprzed kilku lat i fakt, że Borz specjalnie wpadł na nią na ulicy w Moskwie, Bourne musiał przyznać rację swojej przyjaciółce – zabawiał się z nią, próbował ją wystraszyć, onieśmielić. Jasne było, że Sara jest w poważnym niebezpieczeństwie. Już tylko za to Borz zasługiwał na wszystko, co szykował mu Bourne.

Pięciu czy sześciu turystów z grupy Meiry ustawiło się w kolejce po bilety wstępu. Bourne zerknął na zegarek. Jej zmiana zaraz się skończy. Czy to znaczy, że pojawi się Iwan Borz? Lev wsiadł do swojego auta, żeby w spokoju odebrać telefon, a Bourne zaczął się rozglądać – nie tylko za potencjalnym niebezpieczeństwem, ale i za Sarą. Nie zdziwiłby się, gdyby znalazła Amirze tymczasową kryjówkę, a sama pognała za Borzem. Doskonale rozumiał jej potrzebę wyrównania rachunków, oczyszczenia się we krwi. Wiedział jednak o Borzu więcej niż ona. Potrafił spojrzeć na niego z dystansem, docenić go jako przeciwnika. Ona widziała w nim tylko potwora, którym niewątpliwie był, w każdym tego słowa znaczeniu. Problem w tym, że ludzie zazwyczaj przypisują potworom niską inteligencję, a w przypadku Borza byłoby to błędne założenie. Bourne bał się, że za ten błąd Sara może zapłacić życiem.

Słońce grzało coraz mocniej. Nad miastem wisiał smog, lecz niebo nad otwartym pustynnym

płaskowyżem było lazuruwe. Bourne zanurkował do wnętrza samochodu przez boczne okno, sięgając po butelkę wody. Przyjechali starym, pokiereszowanym autem, które nie rzucało się w oczy. Jeśli w ogóle miało kiedyś jakąś klimatyzację, dawno przestała działać i rozsypała się w pył. Lev otworzył wszystkie okna.

Sięgając po wodę, Bourne zauważył, że Lev siedzi krzywo. Złapał go za ramię i poczuł bezwład ciała. Kiedy lekko obrócił tors agenta, dostrzegł małą strzałkę wbity w kark. Ostrze było zapewne pokryte jakąś szybko działającą trucizną – przystawiając palce do szyi i nozdrzy Leva Bina, Bourne się tylko upewnił, że jest za późno.

Sięgnął do schowka pod deską rozdzielczą, wyjął latarkę, glocka kaliber dziewięć milimetrów i przykręcany tłumik. Potem wysunął się z samochodu. Gdy tylko postąpił krok do przodu, hordy sprzedawców zaczęły machać i wabić go do swych straganów, a dzieci i zabiedzone psy otoczyły go hałaśliwym kordonem. Bourne odszedł dalej od auta i ciała. Otwarta przestrzeń zapewniała mu bezpieczeństwo – nikt nie będzie próbował zabić go na terenie obserwowanym przez żołnierzy i ochroniarzy. I nikt nie spróbuje go zabić, dopóki ma monetę Borysa. Tych dwóch rzeczy mógł być pewien – i tylko tych.

Oczywiście moneta straciła już wartość. Teraz była już jedynie pustą skorupą, ładną podróbką pozbawioną funkcji i znaczenia, ale o tym wiedział jedynie Bourne. Cały czas lustrując okolicę, kierował się teraz ku mniejszej i pod pewnymi względami bardziej tajemniczej piramidzie Mykerinosa. O tym faraonie niewiele było wiadomo, nawet o daty jego panowania trwały spory. Pozostały po nim jedynie legendy, jak zwykle sprzeczne lub zupełnie nieprawdopodobne. Jego grobowiec jako jedyny z trzech piramid w Gizie był aktualnie niedostępny dla zwiedzających, a zatem najlepiej pasował do naprędce opracowanego planu.

Bourne nie miał wątpliwości, dlaczego Leva zabito akurat teraz. Ktoś próbował odciąć go od wszelkiej pomocy – odizolowaną ofiarę łatwiej wziąć w niewolę. Jak zawsze w sztuce wojennej, musiał teraz obrócić obroną przez nieprzyjaciela strategią przeciw niemu, zyskując w ten sposób przewagę. Od tego, czy będzie umiał to zrobić, miały zależeć jego sukces lub porażka. Żeby mieć jakiegokolwiek szanse, musiał teraz znaleźć przyjazny grunt na terenie wroga. W obecnej sytuacji jedynym sensownym wyborem było zaszyć się w kompletnych ciemnościach – wchodząc w nie jako pierwszy, zyskiwał uprzywilejowaną pozycję, a zatem także i odrobinę kontroli.

W północnej ścianie piramidy, mniej więcej w jednej trzeciej jej wysokości, ziała długa pionowa dziura, pamiątka po czasach, kiedy jeden z sułtanów postanowił zburzyć budowlę. Poddał się po kilku miesiącach, bo prace rozbiórkowe pochłaniały zbyt wiele sił i środków, piramida więc wyszła z tego starcia zwycięsko, chociaż nie bez szwanku. Bourne rozważał, czy schować się w szczelinie, ale uznał, że strażnicy zobaczą go, zanim zdąży tam dotrzeć.

Podszedł bliżej, do wejścia, którego używały liczne ekipy archeologów, zanim finansujące ich instytucje uznały badania za zbyt kosztowne w obecnej sytuacji politycznej. Teraz brama była ogrodzona drewnianymi barierkami. Turyści nie mieli tu wstępu, a cały teren był opuszczony. Nie pilnował go ani jeden strażnik. Samo wejście blokowały ciężkie drewniane wrota na metalowych zawiasach. Zawieszona u sztaby kłódka poddała się w mniej niż dwadzieścia sekund. Bourne bezszelestnie wsunął się do środka.

Pięć kroków wystarczyło, by znalazł się w zupełnych ciemnościach. Włączył latarkę. Stał w klaustrofobicznie wąskim korytarzu zstępującym w dół. Sufit był tak nisko, że wchodząc głębiej, musiał pochylić głowę. W suchym, rozgrzanym powietrzu unosił się pył. Po ścianie biegł ciąg kabli i żarówek, ale obwód nie był podłączony do prądu. Podłogę korytarza wyłożono arkuszami dykty, do których w równych odstępach były przybite poprzeczne deseczki, żeby ułatwić zwiedzającym wchodzenie i schodzenie. Z jednej strony umieszczono drewnianą poręcz. Bourne czuł nad głową ciężar tysiącleci,

czyhające na niego setki ton wapienia. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może wchodząc tu, popełnił błąd, ale cóż innego mógł zrobić? Nie miał szans uciec samochodem, nie z trupem Leva na siedzeniu. Zresztą miał ochotę wywabić z kryjówki swojego przeciwnika. Można było założyć, że to Borz, a nawet uznać, że drań specjalnie zastawił pułapkę, by doprowadzić FSB albo Mossad do Meiry i tu ich zlikwidować.

Oczywiście, Borz mógł zacząć się na zewnątrz i czekać, aż Bourne sam wyjdzie z piramidy, ale skąd miałby pewność, że jego ofiara nie znajdzie innego korytarza? Poza tym nie byłoby trudno wymknąć się niepostrzeżenie pod osłoną nocy. Bourne był zatem pewien, że jego prześladowca podąży za nim od razu.

Kąt nachylenia podłogi zmienił się wyraźnie. Przyglądając się ścianom w wąskim snopie światła latarki, Bourne skonstatował, że oto dotarł do przedsionka grobowca. Podobnych pomieszczeń było w piramidzie wiele. Łączyła je sieć korytarzy prowadzących do serca piramidy: komory, w której spoczywał sarkofag faraona – przynajmniej dopóki nie znaleźli go rabusie lub archeolodzy.

Bourne zatrzymał się w przedsionku i wyteżył słuch. Było tu chyba jeszcze goręcej niż w korytarzu. Powietrze było suche, pełne kurzu i bardzo ciężkie, jakby wisząc tu przez tysiąclecia, zdążyło się skondensować.

Czuł się jak Jonasz w trzewiach Lewiatana. Niezmacona cisza, która go otaczała, była niczym żywe stworzenie, które pożera ciemność, przerabiając je na papkę z kamienia, drewna i zaprawy, wysysając powietrze i odbierając oddech.

Nagle rozległ się jakiś dźwięk. Pojedynczy, ale wyraźny. Potem znów zapadła cisza. Bourne stał nieruchomo, zwrócony twarzą w kierunku, z którego przyszedł. Patrzył tak długo, aż w mroku korytarza dostrzegł ciemniejszy kształt – poruszający się lekko, w rytmie kroków dorosłego mężczyzny. To wystarczyło, by utwierdzić go w przekonaniu, że ktoś rzeczywiście podąża jego śladem.

Opuścił przedsionek, przechodząc pod trzema zwodzonymi blokami kamienia, znowu minął jakiś korytarz, nieco krótszy, i znalazł się w kolejnej komorze. Ta była znacznie większa i jeszcze bardziej rozgrzana. Gorące powietrze piekło w nozdrza i gardło.

Teraz miał przed sobą następne przejście. Skierował tam światło latarki i dostrzegł, że kończy się mniejszym pomieszczeniem. O ile zastosowano tu ten sam model, co w innych piramidach, właśnie tam należało szukać zejścia do głównej komory grobowej. Z tej perspektywy przejście wyglądało na ślepy zaułek, lecz Bourne podejrzewał, że w kamiennej ścianie są ukryte drzwi. Ignorując schody prowadzące w dół, wszedł do ciasnego pomieszczenia i przesunął dłońmi po kamieniu. Nie znalazł żadnej rysy, żadnej szczeliny. Zupełnie go to nie zdziwiło.

Staął z boku i przystawił latarkę do ściany, przesuwając ją powoli. Z korytarza prowadzącego do drugiego przedsionka dobiegł go hałas, nie mógł się jednak spieszyć. Przesunął latarkę jeszcze o centymetr i znieruchomiał. Snop światła odsłaniał zarys drzwi, choć szpara między blokami była ledwie widoczna. Bourne popchnął je z jednej strony, potem z drugiej. Z cichym skrzypnięciem przypominającym skrzek wygłodniałego sępa kamienne odrzwia przesunęły się wokół centralnej osi. Za nimi ciągnął się stromo opadający korytarz. Wchodząc do niego, Bourne wciągnął w nozdrza zupełnie inny zapach. Szybko zasunął drzwi za sobą, zostawiając maleńką szczelinę – nie dla siebie.

Nie było tu już ani dykty, ani poręczy – tylko kamień pokryty grubą warstwą brudu. Wiedział, że przy takiej stromiźnie droga powrotna będzie znacznie trudniejsza. Z każdym metrem zapach stęchlizny się nasilał. Na ścianach było widać pozostałości malowideł: z jednej strony sceny z życia faraona, nad którym czuwała bogini Izyza, z drugiej procesja sprowadzająca sarkofag władcy do grobowca, pod przewodnictwem Chorusa i Ozyrysa. Na ciężkim kamiennym nadprożu w końcu korytarza widniała inskrypcja: „Anet aledy tedkhel hena hedar”. „Strzeżcie się wy, którzy tu wchodzicie”.

„Starożytni Egipcjanie lubili dramatyzować – pomyślał Bourne. – Tyle że w tym przypadku to pasuje

do sytuacji...”

Znów nastawił uszu, lecz tym razem nie usłyszał nic. Rzut oka na hieroglify przypomniał mu o rebusie Borysa. Kiedy przestawił się z męskich form sumeryjskiego na żeńskie, odszyfrował kolejny fragment. Wydawało mu się, że zakodowanym słowem jest „albedo”.

Niemal bezszelestny krok w korytarzu, cichy syk i nagle od ściany obok policzka Bourne’a odbiła się strzałka, identyczna jak ta, która zabiła Leva Bina. Zgasił latarkę i ostatni odcinek dzielący go od komory grobowej pokonał na klęczkach. Oczywiście, sarkofag dawno wyniesiono, jednak ogromne kamienne podstawy, na których przez wieki spoczywał, nadal stały pod ścianą po prawej stronie. Bourne czuł je wyraźnie, jakby to były żywe stworzenia. Ominął je, sunąc dłonią po ścianie. Musiał teraz zarejestrować każdy szczegół wnętrza komory, a nie miał dużo czasu. Lewa ściana była tak samo gładka jak korytarz, w przeciwległej do wejścia wycięto pojedyncze półkoliste wgłębienie, za to ściana po prawej... Przecinała ją seria pionowych nisz sięgających od podłogi aż do stropu. Bourne nie był pewien, do czego pierwotnie służyły – może stały w nich wielkie urny z różnymi przedmiotami, których faraon mógł potrzebować w zaświatach? Teraz jednak wszystkie były puste, na szczęście dla Bourne’a. Wcisnął się w niszę położoną najbliżej wejścia, przyklejając lewe ramię do bliższego rogu. Nawet jeśli jego prześladowca zamierzał zejść tu z potężną latarką, istniała duża szansa, że cień niszy ukryje Bourne’a, dając mu czas na...

Nagle w drzwiach stanął człowiek. Od dołu biła od niego dziwna niebieskawa poświata, upodabniając go do postaci z horroru. Dopiero po chwili Bourne się zorientował, że źródłem światła są LED-owe opaski na kostkach. Niebieska łuna zniekształcała rysy, lecz Bourne i tak poznał, że ma przed sobą mężczyznę, który wcześniej podawał się za kapitana Wanowa. Oto znalazł kolejny element układanki. Ten człowiek – kimkolwiek był – wiedział o monecie, tak jak wiedziała o niej Irina. Co więcej, to właśnie on skierował Bourne’a do Iriny, twierdząc, że Borys życzy sobie, by towarzyszyła mu na jego weselu. Kolejne kłamstwo. Bourne nie zdążył skonsultować tego z Borysem, na szczęście dla Iriny – był to ostatni uśmiech losu w jej krótkim życiu.

Szybko skojarzył jeszcze jedną rzecz. Irina i ten człowiek musieli działać razem. Zabrała Bourne’a do Mika, wozduszniaka Iwana Borza, jego kasjera. Nadal nie był pewien, dlaczego to zrobiła.

– Bourne – odezwał się tymczasem fałszywy Wanow. – Jesteś w pułapce.

Pistolet strzałkowy w jego dłoni wędrował od lewej ściany do prawej jak metronom. – Na pewno rozgryzłeś tajemnicę monety. Powiedz mi, co to jest, a zostawię cię w spokoju. Chyba że wolisz dostać strzałkę. Ta cię nie zabije, a jedynie sparaliżuje. A potem ja się tobą zajmę. Uwierz mi, nie chcesz, żeby do tego doszło. Nawet ja tego nie chcę... Nie? To może inaczej, daj mi, czego chcę, a ja w zamian zostawię w spokoju to dziewczętko, jak jej tam... Amirę. – Zarechotał brzydtko. – Powinno ci się to spodobać.

Bourne trzymał glocka z tłumikiem przy prawym udzie. Szybkim ruchem podniósł broń i wpakował trzy kulki w pierś fałszywego Wanowa. Jego ciało opadło na posadzkę. Przejście stało otworem.

Bourne wyteńczył słuch. Cisza. Wysunął się z niszy i postąpił kilka kroków w kierunku wyjścia prowadzącego z powrotem na zalany słońcem płaskowyż, który wydawał się teraz odległym wspomnieniem. Zbliżył się ostrożnie, chociaż dokładnie wiedział, w które miejsca trafiły kule: płuco, płuco, serce. Fałszywy Wanow nie miał żadnych szans. Powinien być martwy, zanim zdążył upaść.

A jednak nie. Kiedy tylko Bourne minął ciało, mężczyzna poderwał się na kolana. Kule przeszły koszulę na piersi. Pod spodem było widać kevlarową kamizelkę.

Unosząc broń, Bourne usłyszał kolejny syk. Zdążył się jeszcze zasłonić lewą dłonią, tak że strzałka trafiła w jej grzbiet, a nie prosto w gardło. Wyciągnął strzałkę i nacisnął spust glocka. Chybił. Wycelował znów, lecz obraz zaczął mu się rozmywać, jakby patrzył przez moskitierę. Stojąca przed nim postać podzieliła się na dwie, potem na trzy, on zaś nie przestawał strzelać, dopóki starczyło mu kul.

Fałszywy Wanow wycelował broń niżej, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Jeden buch w ramię nie wystarczy, żebyś padł mi do stóp, co? – wycedził.

W tej samej chwili jego czoło eksplodowało jak gejzer, wyrzucając z siebie krew, fragmenty mózgu i odłamki czaszki. Upadł na zmasakrowaną twarz, zadrżał i znieruchomiał.

Za nim, ledwo widoczny w zabarwionym na niebiesko półmroku, stał wysoki, szczupły mężczyzna o twarzy ascety. Bourne znał ją ze szczegółowego opisu, jaki podała mu Sara – był to facet, który wpadł na nią w Moskwie i ukradł jej gwiazdę Dawida.

Iwan Borz, we własnej osobie.

Bourne cisnął w niego bezużytecznym glockiem, ale nie trafił. Zdziwił się tym brakiem celności, dopiero po chwili przypominając sobie, że paralizująca strzałka trafiła go w dłoń. Ogarnęła go fala zawrotów głowy, więc zrobił krok do tyłu. Rozległ się strzał, wypełniając komorę grobową grzmiącym echem. W normalnej sytuacji Bourne rzuciłby się na Borza i zaatakował go gołymi rękami, ale teraz zawodził go i refleks, i nawet rytm oddechu. Skoro nie mógł walczyć, musiał uciekać.

– Trafiłbym, gdybym chciał – odezwał się Borz po arabsku.

Bourne wszedł z powrotem do komory grobowej, zatoczył się i wpadł na przeciwległą ścianę. Za sobą słyszał kroki Borza.

– Dawno się nie widzieliśmy – odezwał się tamten po rosyjsku, po czym przerzucił się na angielski. – Naszego poprzedniego spotkania zapewne nie pamiętasz.

Bourne siedział skulony w półkolistym wgłębieniu, opierając się rękami o podłogę. W uszach słyszał szum krwi, która bezlitośnie rozproszczała truciznę po jego organizmie. Wiedział, że gdyby dostał w szyję, byłby już bezbronny, dopóki paraliż nie ustąpiłby naturalnie lub po podaniu antidotum.

– Wiem z dobrego źródła, że twoja pamięć nie jest już taka jak kiedyś – ciągnął Borz. – Podobno nie pamiętasz nic sprzed dnia, kiedy postrzelili cię w Marsylii. Miałem nadzieję, że zginiesz, Bourne. Solidnie mnie rozczarowałeś!

Prawa dłoń Bourne'a – ta, w której jeszcze nie stracił czucia, natrafiła na sprytnie zamaskowaną dźwigienkę, jakie lubili montować starożytni egipscy architekci. Mechanizmy te otwierały często wejścia do zamaskowanych szybów i korytarzyków, którymi budowniczy przemierzali piramidę na skróty, pilnując, by ich projekt był realizowany co do joty.

– Nie wiem, czy ocalałeś wtedy podstępem, czy cudem. Ale do rzeczy... Wzywają mnie pilne sprawy,

więc muszę przestać posyłać do ciebie kolejne sobowtóry. Koniec zabawy. Zaraz mi opowiesz o swoim cudownym odrodzeniu i o innych rzeczach też, skoro trucizna Aleksandra Wołkina stępiła ci zęby.

Bourne znieruchomiał na dźwięk tego nazwiska. Pracujące z wysiłkiem serce na chwilę zgubiło rytm.

– Aleksandra...

– Wołkina – odpowiedział usłużnie Borz. – Wiedziałem, że to cię nieco otrzeźwi.

Zdążył już wejść do komory oświetlonej niebieską poświatą, z sekundy na sekundę coraz bledszą, jakby śmierć Aleksandra zabiła również diody.

– Tak jest, Aleksandr jest... przepraszam, był, ostatnim żyjącym wnukiem starego Wołkina. Brat bliźniak Iriny. Założę się, że tego też nie wiedziałeś.

Bourne nie miał o tym pojęcia, lecz w tej chwili jego umysł zajmowały ważniejsze sprawy. Po pierwsze musiał jakoś wydostać się z komory grobowej. Po drugie musiał znaleźć sposób na opóźnienie działania substancji paraliżującej. Zatem po kolei...

Szarpnął za dźwignię, przekręcił ją o czterdzieści pięć stopni i z zadowoleniem poczuł, że podłoga półkolistego zagłębienia ustępuje pod jego ciężarem. Spadł z ciemności w ciemność, a lądując, boleśnie uderzył się w udo, bo nogi nie były już w stanie go utrzymać.

– Gdzie się podziałeś, Bourne? – Głos Borza, który zaczął teraz mówić z melodyjnym akcentem brytyjskiej arystokracji, dobiegał z wylotu szybu. – Zapewne wpadłeś w króliczą norę. Na próżno szukasz drogi ucieczki. Nie na takich miękkich nogach. Toksyna pewnie wdziera ci się już w autonomiczny układ nerwowy. Im szybciej się ruszasz, tym szybciej cię dopadnie.

Ignorując zaczepki, Bourne starał się odczołgać od szybu, przez który się zsunął. Serce kołatało mu w piersi jak w pudle rezonansowym, ale puls zwalniał, cały czas zwalniał. Lewej dłoni nie czuł już zupełnie, przedramię mrowiło i zaczynało drętwieć. Wiedział, że ma już tylko kilka chwil, więc pełzł jak ślimak przez autostradę. Spadając, zgubił latarkę. Był teraz o poziom niżej, w sali o zupełnie nieznanym przeznaczeniu, nie wiedząc, czy znajdzie tu cokolwiek, czego będzie mógł użyć jako broni. Została mu tylko jedna sprawna ręka, macał więc podłogę przed sobą, szukając czegokolwiek, czym mógłby odeprzeć atak.

Za sobą usłyszał odgłos miękkiego lądowania. Podeszwy butów zaszurały na piasku; z ust dobyło się ciche stęknienie, gdy zgięte kolana amortyzowały upadek.

– Rzecz w tym, Bourne, że nawet nie muszę cię widzieć – odezwał się Borz po hebrajsku. – Doskonale wiem, gdzie się znajdujesz. Dokładnie u moich stóp. I wiem, dokąd zmierzasz. Donikąd. Wydaje mi się, że na tym etapie ledwo możesz się ruszyć. – Spokojnym krokiem podszedł do Bourne'a, który leżał bezbronny. – Ale nie przejmuj się, przyjacielu. Nie musisz się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie da się. Nie tym razem.

To mówiąc, Borz pochylił się i przyłożył Bourne'owi kolbą w potylicę.

„Jestem w grobowcu. Doskonale miejsce, żeby umrzeć. Przynajmniej zaoszczędzi się na transporcie zwłok” – pomyślał Bourne, a potem zapadł się w nicość.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Współczesne imperia powstają i upadają
nie dzięki armii, ideologii czy przemocy,
lecz natychmiastowym zastrzykom kapitału.*

BORYS KARPOW

– Nic jej nie będzie – powiedziała doktor McGuire uspokajającym tonem.

Sara popatrzyła na Amirę rozciągniętą na prowizorycznym stole operacyjnym.

– Jest blada jak ściana...

Lekarka kiwnęła głową, a pstre światło lampy chirurgicznej odbiło się w szklach jej szerokich okularów w metalowych oprawkach.

– Straciła sporo krwi. Dobrze, że byłaś z nią, Rebeko, inaczej... – Zawiesiła głos, a potem zerknęła na pacjentkę i uśmiechnęła się serdecznie.

Miała białe zęby i szeroką, szczerą twarz, która budziła sympatię i zaufanie. Któż mógłby podejrzewać, że Martha McGuire jest kimś więcej niż tylko doskonałym chirurgiem?

– Nie martw się, kochanie. Niedługo będziesz zdrowa jak ryba – zwróciła się po angielsku do Amiry.

Lubiła używać nieco staroświeckich związków frazeologicznych, szczególnie w rozmowach z młodszymi pacjentami. Twierdziła, że ich to uspokaja.

– Niby jak? – Sara chciała odciągnąć lekarzkę i porozmawiać z nią na osobności, lecz Amira ścisnęła jej dłoń z taką desperacją, że nie miała serca jej zostawić. – Potrzebna jest transfuzja.

– I ją dostanie. – Głos doktor McGuire emanował spokojem. – Na nasze szczęście Amira ma grupę krwi uniwersalnego biorcy, AB Rh plus. Moja asystentka zgodziła się oddać krew.

Wspomniana asystentka, która chwilę temu opatrzyła poparzone plecy Sary, była pulchną Egipcjanką o wesołych oczach. Doktor McGuire posadziła ją na krześle przy stole operacyjnym. Kobieta zdążyła już podciągnąć prawy rękaw. To nie był jej pierwszy raz.

Długi kawałek drewna, niesiony impetem eksplozji niczym oszczep, wbił się w bok Amiry pod żebrami, tuż nad nerką. Dziewczyna krwawiła. Kierując motorówkę w dół rzeki, Sara zadzwoniła do Marthy McGuire – tak brzmiał operacyjny pseudonim chirurga będącej rezydentką Mossadu w Kairze. Szczegółowo opisała obrażenia Amiry; dzięki wieloletniemu doświadczeniu dobrze wiedziała, co będzie dla lekarki istotne, a co może poczekać do chwili, kiedy Martha obejrzy rany Amiry osobiście.

Doktor McGuire natychmiast zajęła się dziewczyną, teraz zaś podłączała aparaturę do transfuzji, oplatając dawcę i biorcę siecią igieł i przewodów. Cały czas trzymając Amirę za rękę, Sara popatrzyła w jej ogromne, rozgorączkowane oczy, które właśnie w tej chwili straciły blask i podjechały do góry.

Swietłana wylądowała w Kairze i natychmiast poczuła się przytłoczona upałem, tłumem w hali przylotów, poszturchiwaniem i hałasem, na który składały się rozmowy, płacz dzieci oraz nawoływania sprzedawców i potwornie zdeformowanych żebraków.

Stała jak sparalizowana, z walizką w rękę, uderzana ze wszystkich stron. Szukając wzrokiem kogoś, kto pomógłby jej się zorientować w otaczającym ją chaosie, dostrzegła w tłumie znajomą twarz. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz; walizka wysunęła się z omdlałej dłoni. To był Rosjanin, funkcjonariusz FSB. Była pewna, że obserwuje ją jak jastrząb królika.

Nie należała do bojaźliwych kobiet. Mężczyźni nie onieśmielali jej ani nie budzili lęku. Zdaniem Borysa była to jedna z jej największych zalet. Nauczyła się, że jeśli nie chce stracić kontroli nad sytuacją,

musi przejmować inicjatywę. Wahanie, brak decyzji, oznaczały niewolę. Lepiej było postanowić coś i działać, nawet jeśli decyzja miałaby się okazać błędna.

Tak myślała w Moskwie, którą знаła jak starą przyjaciółkę, jedyną, której towarzystwo nigdy jej nie nudziło. Teraz jednak znalazła się w Kairze, mieście zupełnie obcym, gdzie z każdej strony bombardowały ją nieznanne słowa, kolory i zapachy. „Jestem Rosjanką i Ukrainką – pomyślała. – I jestem tu zupełnie zagubiona”.

Gorzej nawet, była ścigana. Czowała to, kiedy Sawasin próbował ją namówić na rejs. Świadomość ta uderzyła w nią jeszcze silniej, gdy stanęła na nabrzeżu, przy którym cumował statek wycieczkowy. Zmieniła plany, nie informując nikogo poza przyjacielem Borysa, Jasonem Bourne'em, ale przeszłość uczepliła się jej niczym zajadły pies nogawki włamywacza. Widok obserwującego ją mężczyzny potwierdził jej podejrzenia: Sawasin wysłał kogoś za nią, aby się upewnić, że wsiądzie na statek, i wyeliminować ją, nim dobieje do portu. Miała zginąć wypchnięta za burtę podczas romantycznego rejsu – musiała przyznać, że to dość pomysłowe.

Co teraz robić? Agent FSB, postawny i lekko niedogolony, torował sobie drogę przez ławice ludzkich głów, idąc w jej kierunku. Cofnęła się instynktownie, ale przypomniała sobie, że upuściła walizkę. Kiedy wyciągnęła po nią rękę, jakiś wychudzony młodzik chwycił neseser i zniknął w tłumie, zanim zdążyła podnieść alarm. Zresztą kto by ją usłyszał w tym hałasie? Jak głośno musiałyby wrzeszczeć? I jak długo?

Doszedłszy do wniosku, że dzieciakowi zawartość walizki przyda się bardziej niż jej, zaczęła się przedzierać przez tłum, ale radziła sobie znacznie gorzej niż człowiek z FSB. Manewrował w gąszczu zwinnie jak węgorz, podczas gdy ją tłum oplatał jak macki ośmiornicy, spowalniając ucieczkę.

Poczuła, że oddech jej się rwie i robi się coraz płytszy. Problemy z oddychaniem tylko wzmogły uczucie paniki. W głowie kołatała się myśl, że taki stan tylko pogorszy sytuację. „Im bardziej się boję, tym gorsze będę podejmować decyzje” – pomyślała, a mimo to, widząc, że dystans między nią a niedogolonym maleje, nie umiała zdusić obawy. Po raz tysięczny od koszmarnego dnia wesela pożałowała, że nie ma z nią Borysa. Pożałowała, że nie powierzyła mu swoich tajemnic, zamiast próbować nim manipulować. Że tak rzadko mówiła mu, że go kocha. I przede wszystkim, że nie miała czasu się nim nacieszyć. Teraz jednak na wszystko było już za późno. Wzrok Swietłany rozmywał się od łez. „Dobry Boże – pomyślała. – I co teraz?”

Dalej było już tylko gorzej. Cofając się, wpadła na ścianę – a przynajmniej tak jej się w pierwszej chwili wydawało, zderzyła się bowiem z twardą jak kamień pierśią mężczyzny. Odskoczyła instynktownie, lecz było już za późno. Wokół niej zamknęły się potężne ramiona.

– *Zdrawstwujcie, Swietłana* – odezwał się nieznajomy głos. – Witamy!

– Odsuń się! – rzuciła ostro doktor McGuire.

Trochę się ociągając, Sara puściła dłoń Amiry. Usta dziewczyny posiniały. Wydawało się, że przestała oddychać.

– Martho, co się dzieje?

– Omdlenie – rzuciła chirurg zupełnie opanowanym głosem. – Spokojnie, to nic nadzwyczajnego. Wywołane widokiem krwi, igły lub czegoś podobnego. Organizm przesadza z reakcją na określone bodźce. Tętno i ciśnienie krwi gwałtownie spada.

– Zrób coś! – rzuciła nerwowo Sara.

– Nie ma po co. Niedługo sama się ocknie. – Lekarka wskazała palcem Amirę, która odetchnęła głęboko i poruszyła się. – Widzisz? Miałam rację.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami i otworzyła oczy. Sara pochyliła się nad nią i powiedziała:

– Nic ci nie jest, nie martw się. Nic się nie dzieje.

– Rozmawiaj z nią, ja zacznę transfuzję – rzuciła Martha. – Im szybciej dostarczymy jej krew, tym lepiej.

Amira podniosła dłoń i ścisnęła rękę Sary. Palce miała zimne i wilgotne. Wolną ręką Sara otarła pot z czoła dziewczyny.

– Co się stało? – zapytała Amira.

– Zemdlałaś. – Sara uśmiechnęła się szerzej, maskując niepokój. Czy dziewczynie naprawdę nic nie jest? Czy Martha mówi prawdę? Musiała jej zaufać, nie miała wyjścia. – To się często zdarza.

Cała aparatura była już na miejscu; przewodami płynęła krew. Martha McGuire przyjrzała się efektom swojej pracy i jej twarz lekko się rozluźniła. Sara uznała to za dobry znak i też odrobinę się uspokoiła.

Spojrzała na ściągniętą bólem twarz Amiry i niepokój powrócił.

– Co ci jest? Coś nie tak?

Amira zaprzeczyła ruchem głowy.

– Przysuń się bliżej – wyszeptała.

Sara usiadła na krawędzi stołu, pochylając się ku dziewczynie. W brązowych oczach Amiry było widać różne emocje: niepewność, zastanowienie, niepokój, a na samym dnie cień rozczarowania. „To przez jej ojca” – pomyślała Sara.

– Rebeko – wymruczała Amira. – Zrobiłam coś strasznego.

– Musisz wybaczyć sama sobie.

– Nie mogę, bo ja...

Z kącików oczu dziewczyny popłynęły łzy.

– Ciśnienie jej się podnosi! – zawołała doktor McGuire ze swojego miejsca po drugiej stronie stołu. –

Uspokój ją.

Sara pochyliła się nad dziewczyną, ocierając jej łzy.

– Zabiłaś kogoś?

– Nie... – jęknęła cichutko Amira.

– Mnie się zdarzało, a mimo to udało mi się wszystko sobie wybaczyć. – Pocałowała dziewczynę w policzek. – Ty też musisz znaleźć w sobie odwagę, żeby zrobić to samo.

– Ale ja okłamałam wuja Samsona...

Okłamała Bourne'a. Sara poczuła w trzewiach dziwny ucisk, ale niczym się nie zdradziła z tym nagłym lękiem. Uśmiechnęła się tylko.

– To pewnie nic takiego.

– A jednak.

Amira szarpnęła płataniną przewodów, jakby chciała wstać i uciec ze szpitalnego łóżka. Sara stanowczym ruchem położyła jej dłonie na ramionach.

– Czemu miałabyś okłamywać wuja Samsona?

– Bałam się.

– Czego?

– Że on mnie znienawidzi.

– To niemożliwe. Sama o tym wiesz, prawda? Wuj Samson darzy cię bezwarunkową miłością.

Słyszac to, Amira rozszlochała się na dobre.

– Tak mi wstyd...

– Cii... – szepnęła Sara, na chwilę przytykając wargi do czoła dziewczyny. – Uspokój się, Amiro.

– Nie mogę.

– W takim razie powiedz prawdę mnie. Powiedz mi to, czego nie powiedziałas Samsonowi.

Amira popatrzyła na nią. Jej twarz powoli zaczęła odzyskiwać normalny ocień.

– Nie znienawidzisz mnie, jak ci powiem?

– Oczywiście, że nie – odparła Sara z przekornym uśmiechem. – Przecież ledwo się znamy.

Amira parsknęła cichym śmiechem. Przez chwilę obie rozkoszowały się nieskrępowaną radością, jaką przynosi żart. Później jednak ta chwila minęła, pozostawiając obawę przed dalszym ciągiem tej rozmowy.

– Rebeko... – odezwała się w końcu Amira. – Powiedziałam wujowi Samsonowi, że El-Amir, mój brat, pracuje w telewizji CloudNet.

– A nie pracuje? I co z tego? Nie rozumiem...

Dziewczyna podniosła na Sarę smutne oczy.

– Kiedyś pracował. Sporo się nauczył, piął się do góry. Tego nie zmyśliłam. Ale... On już tam nie pracuje.

Głośno przełknęła ślinę, niemal się krztusząc. Sara delikatnie uniosła głowę dziewczyny i poprawiła jej poduszki. Amira ciężko odetchnęła, jakby zbierając siły.

– W zeszłym roku nagle zniknął. Zupełnie bez słowa. Zostawił pracę, żonę, wszystko. Nikomu nie udało się ustalić, co się z nim stało. Dopiero ojciec czegoś się dowiedział, jakiś tydzień przed tym, jak go zamordowali. Okazało się, że El-Amir od wielu miesięcy potajemnie chodził do meczetu na przedmieściach Brighton. Tam zrobili z niego fanatyka.

Przerwała, wyraźnie wyczerpana. Kiedy odezwała się ponownie, Sara miała wrażenie, że mówi nie tyle do niej, ile do siebie.

– Jak to się mogło stać? No jak? El-Amir ma tyle rozumu, tyle talentu... Jak mógł pozwolić, żeby... – Na moment zamknęła oczy. – Co za wstyd... Nie mogę tego znieść.

Zaczęła oddychać tak ciężko, że doktor McGuire przegoniła Sarę i sprawdziła ciśnienie, puls i rytm serca. Skończywszy oględziny, zacmokała z niezadowoleniem.

– Zostaw ją teraz – powiedziała. – Moja pacjentka potrzebuje nie tylko odpoczynku. Potrzebny jej sen. Podam jej łagodny środek uspokajający.

– Nie – zaprotestowała Amira. – Proszę...

Lekarka stanęła nad nią ze strzykawką w dłoni.

– Jesteś pod moją opieką. A zatem...

– Jeszcze minutkę... – rzuciła błagalnie Amira.

– Martho... – Sarze zrobiło się żal tej biednej dziewczyny. – Daj nam minutę.

Doktor McGuire demonstracyjnie podciągnęła rękaw i spojrzała na zegarek.

– Czas start...

Amira na powrót skupiła uwagę na Sarze.

– Posłuchaj. Moim zdaniem ojciec zginął, bo dowiedział się, że El-Amir przyłączył się do Iwana Borza. Że reżyseruje dla niego filmy, wykorzystując umiejętności, które nabył, pracując w CloudNet.

– A skąd Feyd dowiedział się o El-Amirze?

– Prześledził przelewy, które szły do nas od El-Amira. Okazało się, że wysyła je facet o imieniu Mik, z Moskwy. Ten Mik jest pośrednikiem. Ojciec używał rosyjskiego słowa, woz...

– Wozdusznik – podsunęła Sara, czując, jak przyspiesza jej puls. – Człowiek, który sprawia, że pieniądze rozpływają się w powietrzu.

– Dzięki Borysowi ojciec ustalił, że ten Mik pracuje dla Iwana Borza. Nie zdołał się dowiedzieć niczego więcej. Trzy dni później został zamordowany. – Przełknęła ślinę. – I... to nie wszystko.

– Czas minął.

Doktor McGuire podniosła głowę, lecz Sara powstrzymała ją gestem.

– Jeszcze chwileczkę.

Lekarka odsunęła się z westchnieniem, patrząc wymownie na pacjentkę. Sara wiedziała, że musi się spieszyć. Pochyliła się tak nisko, że niemal stykały się głowami.

– Co jeszcze? Co jeszcze chcesz mi powiedzieć, Amiro?

Dziewczyna popatrzyła na nią zalęknionym wzrokiem i wyszeptała:

– Mój ojciec zdradził generała Karpowa. – Oblizwała spierzchnięte wargi. – Mieliśmy kłopoty finansowe, mówiłam ci. Nasza łódź... Generał Karpow wziął dla nas pożyczkę w banku, który nie działa według prawa szariatu. Mieliśmy ją spłacać powoli... Ale sąsiedzi wykupili ten weksel. Mieli chrapkę na nasze miejsce. Grozili, że wyrzucą nas z łodzi, jeśli nie zapłacimy w ciągu miesiąca. Ojciec znalazł więc innego pracodawcę.

– Kogo?

– Nie wiem... nie powiedział...

– Dość tego.

Doktor McGuire, zazwyczaj łagodna, bezceremonialnie odepchnęła Sarę i wstrzyknęła Amirze środek nasenny.

– Amiro – odezwała się Sara – jesteś pewna, że nie znasz nazwiska?

– Przysięgam, nic nie wiem...

– Wierzę ci, kochanie. Odpocznij.

Amira chciała zaprotestować, lecz środek nasenny zaczął już działać. Nagle poderwała głowę, znów skupiona.

– Błagam cię, obiecaj, że mojemu bratu nic się nie stanie. – Nie była w stanie skupić wzroku, ale wciąż była wzburzona. – Rebeko, obiecaj mi!

– Obiecuję – wyszeptała Sara.

Amira westchnęła ciężko i zamknęła oczy. Chwilę później oddychała już głęboko i miarowo. Sara została z nią jeszcze przez chwilę, patrząc, jak śpi. Na twarzy dziewczyny malował się błogi spokój... Sara z westchnieniem podniosła się ze swojego miejsca i wyszła cicho jak duch.

Umysł Bourne'a wynurzał się powoli i mozolnie z otchłani. Czuł się trochę tak, jakby czaszkę wypełniał mu cement. Każda myśl przychodziła z wysiłkiem, a formułowanie słów w zdania zdawało się niemożliwością.

Leżał. Skołowane zmysły zarejestrowały chociaż tyle. Obróciwszy głowę, zobaczył wysportowanego mężczyznę ubranego w strój koloru khaki, lekko wojskowy w kroju. Siedział przy metalowym biurku, z nogami na blacie. Oparcie obrotowego krzesła skrzypiało lekko, kiedy się poruszał.

W pewnej chwili odwrócił głowę, a Bourne ze zdumieniem odkrył, że patrzy na niego jego własna twarz.

– Niespodzianka, Jason! Poznaj samego siebie! – odezwał się mężczyzna, idealnie naśladowując tembr głosu Bourne'a.

Tylko usta miał inne, trochę węższe. Subtelna różnica, widoczna jedynie dla bliskich znajomych, a takich nie było zbyt wielu. Kolor miały jednak identyczny, zapewne za sprawą makijażu. Na pierwszy rzut oka mężczyzna wyglądał dokładnie jak on. Powoli ogniskując wzrok, Bourne zauważył, że kształt nosa i zarys policzków jego sobowtóra to zasługa wosku do charakteryzacji, a za kolor oczu odpowiadają szkła kontaktowe. To też można było dostrzec tylko przy bliższych oględzinach.

– Ale nie ma co wychodzić przed szereg.

Sobowtór, którym musiał być Iwan Borz, odepchnął się stopami od blatu i podjechał na krzesło do ławy, na której leżał więzień.

– Gdzie jestem? – wyrzucił Bourne.

– To pytanie musi poczekać. – Borz zwrócił się do niego z życzliwością, jaką myśliwy czasem okazuje zwierzynie złapanej w sidła. – Do czasu, aż odpowiesz na wszystkie, które ja zadam.

Bourne czuł potworną suchość w ustach. Borz chyba to zauważył, ale nie zaproponował mu nic do picia. Przeciwnie, nalał sobie wody z lodem, powoli opróżnił szklanekę i odstawił ją na stolik, oblizując wargi.

– Dobra, przyznaję, że zżera mnie ciekawość. Powiedz, jak bardzo podle się czujesz? Generał Karpow był twoim przyjacielem. Z tego, co mówią moi informatorzy, bardzo dobrym. Dziwnie się życie układa, nie? – Uśmiechnął się szerzej, pokazując szerokie, ostre zęby. – Odszedł, ale nie w niepamięć. Przynajmniej ja go zapamiętam. Jego śmierć pchnęła cię na ten szlak. Przeprowadziła cię do mnie.

Obrzucił Bourne'a szybkim spojrzeniem.

– Moi ludzie przeszukali cię i stwierdzili, że nie masz żadnej ukrytej broni. Skoro rzuciłeś we mnie wystrzelanym glockiem, niecelnie zresztą, i bez oględzin byłbym skłonny zgadywać, że nic nie masz. – Zaśmiał się pod nosem. – Ale zbaczam z tematu... Widzę, że wracają ci zdolności motoryczne. Odzyskujesz sprawność w godnym podziw tempie. Ale na próżno próbujesz się podnieść. Jesteś mocno przywiązany do masztu, jak Odyseusz, nie? – Westchnął głęboko. – W klasycznej literaturze można znaleźć wszystko. Szkoda, że obecnie mamy tak mało czasu na czytanie... – Uśmiechał się w sposób tak teatralny, jakby grał przed ukrytą widownią. – Ale znów zbaczam z tematu. O twojej pamięci ejdetycznej słyszałem cuda, zresztą sam widziałem cię w akcji. – Złożył ręce na piersiach. – Ale ty nic z tego nie pamiętasz, prawda? „Gdzie to było”, myślisz sobie teraz. „Gdzie ja spotkałem tego człowieka, którego żadną siłą nie mogę sobie przypomnieć?” Możliwe, że bez użycia siły się nie obędzie, ale chwilowo

może wystarczy odpowiedź. Spotkaliśmy się w pewnym mieście. Jakim? Takim, które wywoływało w tobie silne déjà vu. Paryż, Zurych, Londyn, Budapeszt, Cambridge, Pekin? A może w jakimś mieście na Bliskim Wschodzie – na przykład w Dosze? Albo w Bejrucie, Damaszku, Jerozolimie. Kto wie, może to była Moskwa? To dopiero byłaby ironia losu, prawda? To jak, coś ci się kojarzy? – Mruknął z niezadowoleniem. – Tak myślałem... Gdziekolwiek to się zdarzyło, nauczyłeś mnie, jak stać się kameleonem. Nie tylko jak korzystać z masek i charakteryzacji, ale jak zmieniać barwę głosu, konstrukcję wypowiedzi, sposób chodzenia i układ ciała. „Manieryzmy, Bobby!” Mówiłeś do mnie Bobby, pamiętasz? Nie pamiętasz... Jeśli chodzi o przeszłość, masz głowę równie pustą jak sklepowy manekin. Nie cierpiałem tego zdrobnienia. Wolałem, żeby mówić do mnie Rob. Jakkolwiek było, uczyłeś mnie, że manieryzmy stanowią o jakości kamuflażu. „Twoje oczy, usta, nos mogą wydać się komuś znajome, ale jeśli manieryzmy nie będą się zgadzać, każdy minie cię i natychmiast o tym zapomni. Kiedy szuka cię wróg, Bobby, umiejętność zmiany nawyków staje się kwestią życia i śmierci”. – Znow nalał sobie wody i poczekał, aż szklanka spotnieje od zimna. Wypił ją jeszcze wolniej, nie spuszczając z Bourne’a oczu. Cały ten rytuał był celowy, przemyślany. – To jak? Przypominasz sobie choćby jedno zdanie z całej tej lekcji?

Bourne milczał, uznając, że Borz rozkoszuje się dźwiękiem własnego głosu i lubi sam odpowiadać na zadawane przez siebie pytania. Im dalej się zapędzał, tym łatwiej było dokonać trafnej analizy psychologicznej. Zrozumienie, jak działa przeciwnik, jest pierwszym krokiem na drodze do jego pokonania. Oczywiście, Bourne miał jeszcze jeden powód, by się nie odzywać – desperacko próbował dopasować jeden element do obrazu, jaki roztaczał przed nim terrorysta. Podstawy sztuki ukrywania się w tłumie były elementem rygorystycznego szkolenia, które przeszedł w Treadstone, ale dalszą edukację w tym zakresie – niejako dyplom magisterski i doktorski – zdobył sam, po tym, jak w gwałtowny sposób pożegnał się z Treadstone. Nie przypominał sobie ani tego człowieka, ani faktu, że uczył jego – albo w ogóle kogokolwiek – tajników kamuflażu. Co więcej, nie był w stanie wymyślić powodu, dla którego miałby to robić.

Uśmiech Borza wydał mu się odrażający.

– Nie pamiętasz? Tak myślałem. Powiedziałbym, że to szkoda, ale twoja niewiedza da mi okazję, by otworzyć okno na ten epizod z twojej przeszłości i przyjrzeć się temu, co on kryje.

Bourne dopiero teraz rejestrował, gdzie się znajduje: długie, wąskie pomieszczenie, niemal puste, o bielonych wapnem ścianach. Ta naprzeciwko miała staroświeckie okno z metalową ramą. Niestety, widać przez nie było jedynie drewnianą ścianę kolejnego budynku. W polu widzenia nie miał ani jednego drzewa, skrawka nieba czy choćby liścia. Powietrze nie pachniało środkami do dezynfekcji ani detergentem, więc możliwość, że znajduje się w szpitalu lub przychodni, mógł wykluczyć od razu. Zresztą budynek w niczym nie przypominał żadnego w mieście. Wręcz przeciwnie, czuć było drzewo sandałowe, piaszczystą ziemię i kurz, nieodzowny element niegościnnego klimatu. Nie wyłapał żadnych zapachów pochodzenia zwierzęcego, a zatem nie znajdowali się w gospodarstwie. Subtelnej woni pustyni też nie wyczuł.

Gdziekolwiek się znajdowali, raczej nie była to ani dzielnica Kairu, ani nawet jego okolice. Nie wiedząc, jak długo był nieprzytomny, nie mógł ocenić przebytej odległości. Mogli być dosłownie wszędzie, może poza biegunami.

Borz nagle się poderwał.

– Słyszę, jak pracują trybiki, Jasonie. Męczysz się jak reaktor jądrowy, który osiągnął masę krytyczną. – Zaplótł palce i ułożył dłonie na kolanach. – A zatem... Gdzie się spotkaliśmy? W jednym z miast, które wymieniałem, a może w żadnym? Czy to ważne? Rob i Jason. Tak, to były czasy. – Jego spojrzenie stało się zimne. – A potem mnie zdradziłeś – rzucił i uderzył Bourne’a pięścią w policzek.

Swietłana nigdy w życiu nie czuła się tak osamotniona i bezbronna jak teraz, w szponach tego nieznanego mężczyzny. Nim bezceremonialnie wyprowadził ją z tłumy, zdążyła dostrzec, że ktoś zaszedł agenta FSB z boku. Czy zgiął się wpół, czy tylko jej się zdawało? Ludzka ciżba zasłoniła jej widok. Nieznajomy wsadził ją na tylne siedzenie samochodu nieokreślonej marki, sadowiąc się obok niej. Ledwo zdążył zatrzaskać drzwi, kierowca już się ustawił w chaotycznej kolejce do wyjazdu z lotniska.

– Przepraszam za to obcesowe powitanie – odezwał się wreszcie jej dozorca z uśmiechem, który też wydał jej się obcesowy. – Mam na imię Goga. Pani mąż osobiście mianował mnie szefem prowadzonej tu operacji. Jest pani wśród przyjaciół, Swietłano.

Swietłana, która w międzyczasie zaczęła się pocić ze strachu, poczuła, jak ogarnia ją fala ulgi.

– Jak... Skąd wiedzieliście, że przyjadę?

– Od Jasona Bourne'a.

Oczywiście. Gdyby nie dała się ponieść panice, sama doszłaby do tego wniosku.

– A tamten mężczyzna?

– Po śmierci generała część bywalców Kremla uważa panią za niepotrzebny balast.

– Sawasin.

Goga kiwnął głową.

– Nie ma co do tego wątpliwości.

Swietłana wyjrzała przez boczną szybę, mocno przyciemnioną.

– Dokąd mnie zabieracie?

– W bezpieczne miejsce. Z dnia na dzień Kair stał się gniazdem szerszeni, pełnym spisków i sprzecznych interesów. Proszę się nie martwić. Dobrze się panią zajmiemy... – To mówiąc, wyciągnął z kabury makarowa i strzelił Swietłanie prosto w skroń. – Pozdrowienia od ministra Sawasina.

– Biedactwo – skomentował kierowca, zjeżdżając na pobocze.

Na chodniku czekał młody chłopak, ten sam, który ukradł zawierającą tajne materiały Borysa walizkę Swietłany. Usłużnie podał neseser Godze, chwycił plik banknotów i już go nie było.

Gdy samochód znów znalazł się w kolejce do zjazdu, Goga wzruszył ramionami i rzucił:

– Może i biedactwo, ale polityka to polityka. Każdy chce zarobić.

Wykład Borza przerwała fala ataków bombowych. Ściany zatrzęsły się, podłoga zadrżała, zadzwoniły szyby w oknach. Dzbanek z wodą roztrzaskał się o posadzkę.

„A zatem jesteśmy w strefie działań wojennych” – pomyślał Bourne. To mocno zawężyło pulę możliwości. Ponownie rozejrzał się dookoła. Kąt widzenia zmienił się drastycznie. Siedział teraz przywiązany do krzesła. Przed sobą miał ławę, która wyglądała jak żywcem wyjęta z refektarza w klasztorze – ciężkie ciemne drewno, rzeźbione boki. Czy to na niej wcześniej leżał? Czyżby znowu stracił przytomność? A może to Borz wstrzyknął mu jakieś środki? Ta druga opcja wydała mu się bardziej prawdopodobna; głowę miał ciężką, myśli splątane.

Borz, ciągle ucharakteryzowany na bliźniaka Bourne’a, siedział u szczytu stołu. Jego posadził po prawej ręce. Właśnie podano posiłek: dwa nakrycia – jedno przed Borzem, drugie na miejscu naprzeciw Bourne’a. Miski były wypełnione posypaną cukrem pudrem pastillą z gołębim mięsem i daktylami oraz aromatycznym tadżinem z baraniny i kandyzowanych cytryn. Obok stało naczynie z bladożółtym kuskusem.

Borz właśnie zabierał się do jedzenia.

– Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu. Kiedy wysiądę z samolotu, zawsze chce mi się jeść. Tobie też?

– Dlaczego zabiłeś Borysa?

Sobowtór podniósł na Bourne’a zdziwione oczy.

– No coś ty, Jason, przecież wiesz. Zabiłem generała Karpowa, i to garotą, a potem ułożyłem jego ciało w religijnej pozycji z jednego jedyne go powodu. – Przekrzywił głowę. – Nadal się nie domyślasz? To wszystko dla ciebie. Chciałem cię tu zwabić, budząc w tobie pragnienie zemsty, ale także niepohamowaną ciekawość. Takie efekciarskie, skandaliczne morderstwo po prostu musiało wywołać reakcję. Poza tym twój koleżka był pieprzonym ateistą, bezbożnym Ruskiem. – Rozłożył szeroko ręce. – I oto jesteś, co dowodzi, że się co do ciebie nie myliłem.

– Oto jestem – wycedził Bourne. – Na ostatniej wieczerzy z innym pieprzonym ateistą i bezbożnikiem.

Borz uśmiechnął się błyszczącymi od tłuszczu wargami.

– To właśnie w tobie lubię, Bourne. Szybką ripostę.

Znów pochylił głowę nad talerzem. Pałaszował swoją porcję z wyraźnym apetytem.

– Nie zaczekasz na swojego gościa? – zapytał Bourne.

– Gościem jesteś tu tylko ty – odpowiedział wysoki, przystojny Arab, który właśnie wszedł do pokoju. Wydawał się jakieś dziesięć lat młodszy od Borza. Mówił po angielsku jak Brytyjczyk, z akcentem londyńczyka z wyższych sfer. Przywitał się z Borzem skinieniem głowy i usiadł na wyznaczonym miejscu. – Ja jestem członkiem rodziny.

Borz uśmiechnął się, ignorując kolejną serię wybuchów. Wydawało się zresztą, że tym razem cel bombardowania znajdował się dalej. Gdy Arab zaczął nakładać sobie sos, otarł usta i z lekko złośliwym uśmiechem powiedział:

– Jasonie, poznaj El-Amira, syna Feyda i brata Amiry.

Bourne wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze, przyglądając się El-Amirowi. Z umyślnie obojętnym wyrazem twarzy przeanalizował rysy El-Amira, wymodelowane przez znany mu koktajl genów. Żona Feyda odeszła długo przedtem, jak Bourne pojawił się w ich życiu, widział jednak jej

zdjęcia. Była piękną kobietą o smagłej, egzotycznej karnacji i wielkich błyszczących oczach gwiazdy filmowej. Amira odziedziczyła wiele z jej urody, naturalnej i dzikiej, choć niezaprzeczalnie była dzieckiem tej krainy. Pod tym względem El-Amir bardzo się od niej różnił – był zadbany i elegancki na zachodnią modłę. Starannie przystrzyżone, smoliście czarne włosy okalały kanciastą twarz, zasłaniając czubki uszu. Sięgały dokładnie karku.

„Co on tu robi? Czemu nie jest w Londynie?”

– Czym się zajmujesz, jako członek rodziny Bobby’ego?

El-Amir uniósł brwi.

– Bobby’ego?

– Iwan tak naprawdę ma na imię Bobby. – Bourne zauważył, że na te słowa Borz zmarszczył nos, jakby poczuł woń zdechłego szczura, więc się uśmiechnął. – Nie powiedział ci? To może nie jesteś jeszcze członkiem najbliższej rodziny, jak choćby ja.

– O czym on bredzi? – zwrócił się El-Amir do Borza.

Ten, zajęty nakładaniem tadżinu na kawałek pity, rzucił tylko:

– To taki żart.

– Żarcik rodzinny.

Starając się ignorować rosnący głód, Bourne obserwował, jak El-Amir zareaguje na przytyk. Potem znów popatrzył na Borza.

– Rozumiem, że byłem nieprzytomny...

– Mniej niż dwadzieścia cztery godziny, więcej niż osiem. – Borz wziął kolejny kęs mięsa i powoli przeżuwał, rozkoszując się smakiem. – Dla ciebie to i tak nieistotne.

– Ale istotne dla ciebie, Bobby. Za dwa dni dojdzie do dramatycznych wydarzeń. Wiedział to Borys, wiem i ja. Co to będzie?

Przez ułamek sekundy na twarzy Borza malowało się zdziwienie, po czym zastęła w wyrazie wystudiowanej obojętności. W umyśle Bourne’a triumf mieszał się z konsternacją. A więc, wbrew jego podejrzeniom, to nie Borz miał być sprawcą.

Jego gospodarz wytarł tymczasem prawą rękę. Jadł palcami, jak Beduin.

– Jedyne rzecz, której nie udało mi się ustalić, to co Karpow kombinował za plecami Samowładcy. Prowadził niebezpieczną grę... Ale tego chyba nie muszę ci tłumaczyć. Na Kremlu coś się dzieje. Jakieś wewnętrzne niesnaski, prawda? Niezależnie od szczegółów, sprawa jest naprawdę gruba.

– A ty chcesz mieć w tym swój udział.

– Chcę znaleźć się po stronie zwycięzców. Wydaje mi się, że wiele osób z otoczenia Karpowa w ostatnim czasie powiększyło grono aniołków. Między innymi potomkowie Iwana Wołkina. – Przerzucił się na rosyjski. – Irina i Aleksandr, cóż to była za para! Biedny Iwan nie umiał sobie z nimi poradzić. Cóż, nie mogło trafić na gorszą gwiazdę.

– Ale cóż, tak człowiek kończy, kiedy pracuje dla swojego dziadka...

„Coś tu się nie zgadza...” – pomyślał Bourne.

– Z twojego punktu widzenia dobrze się złożyło, że Mik wysadził swoją kwaterę w Moskwie, zanim zdążyłem przyjrzeć się transakcjom, które wykonywał dla ciebie.

– Nie tylko dla mnie – rzucił Borz cierpko. – Dla starego Wołkina też.

Bourne był wstrząśnięty. Jeśli Irina pracowała dla swojego dziadka, po co miałyby prowadzić go do Mika, który prał pieniądze i dla Borza, i dla Wołkina? Czemu starała się go powstrzymać przed wysadzeniem swoich danych w powietrze? Gdzieś musiał się pomylić, chyba że... Irina i Aleksandr działali we własnym interesie. Biorąc pod uwagę nowe informacje, to rozwiązanie wydawało się najbardziej logiczne. Irina zaprowadziła go do Mika, by wyświadczyć mu przysługę. Chciała pokazać się

jako sojuszniczka, i to taka, która zada sobie wiele trudu, by dać Bourne'owi to, czego pragnął najbardziej: niemiłość na Borza. A czego ona i jej bliźniak najbardziej pragnęli? Miłość i tego, co kryło jej wnętrze. Irina zapewne liczyła, że będzie skłonny się odwdziaczyć.

Podczas tej wymiany zdań Bourne cały czas widział kątem oka El-Amira. Młodzieniec jechał w milczeniu, obserwując, ale nie przerywając rozmowy. Amira nie pomyliła się, mówiąc, że jej brat posiada spryt i inteligencję. Przez obserwację można się wiele nauczyć, szczególnie w otoczonej tajemnicą półświatku szpiegów, terrorystów, siłowników i oligarchów.

– To powiedz mi, Bourne, co takiego kombinował twój przyjaciel Borys? Co takiego gnało go do Kairu? – dopytywał się Borz.

– Ty, Bobby. Chciał cię dopaść, tak samo jak ja.

– Bobby i Bobby – mruknął El-Amir.

Borz zignorował go kompletnie. Mierzył Bourne'a wzrokiem bazyliuszka.

– Posrane masz życie, Jasonie. – Pokręcił głową z udawanym współczuciem. – Jesteś jak beznogi facet, którego nie stać na kule. Jak ty sobie radzisz?

– Wypracowałem umiejętność adaptacji.

Z gardła Borza dobył się cichy dźwięk.

– Nie wątpię.

– Mówiłeś, że spotkaliśmy się w mieście...

Borz posłał mu długie, przeciągłe spojrzenie. Nie mrugnął ani razu.

– Nurtuje cię to, prawda? Dla ludzi takich jak my informacje są wszystkim. Bez nich więdniemy i umieramy. – Odsunął od siebie talerz. – Jesteś głodny?

Bourne spróbował poruszyć rękami.

– Nawet jeśli, to nie byłbym w stanie jeść. – Odgłosy bombardowania zastąpiła teraz martwa cisza, pulsująca w uszach niczym niesłyszalny dzwon. – Może znajdziemy jakieś wyjście z sytuacji – odezwał się po dłuższej chwili Bourne.

– Ależ oczywiście – odparł Borz radośnie. – Zaraz ci je pokażę.

– Pójdźmy na kompromis. Obaj dostaniemy to, czego chcemy.

– Brzmi kusząco, kiedy tak to ujmujesz. – Borz przywołał na twarz smętny uśmiech. – Ale widzisz, Jason, problem w tym, że jesteś takim samym skorpionem jak ja. Wiem, że ukąsisz przy pierwszej okazji. Prawda jest taka, że w naszym przypadku nie ma miejsca na zaufanie. – Podniósł się z krzesła. – Dlatego opracowałem plan, który zmusi cię do wyjawienia mi wszystkich informacji, jakich potrzebuję.

– Jeśli zamierzasz mnie przesłuchiwać, mocno się rozczarujesz – rzucił Bourne. – Nic nie jesteś w stanie mi zrobić. Próbowaleś już wszystkiego, nawet porwania moich przyjaciół i przetrzymywania ich jako zakładników. I jak to się skończyło?

Borz spiorunował go wzrokiem.

– Nie traktuj mnie jak idiotę, Jason! – krzyknął i chwycił za oparcie krzesła, jakby próbując w ten sposób odzyskać emocjonalną równowagę. – Każdego można przekonać. Cała sztuka polega na znalezieniu odpowiednich argumentów. – Przerwał na chwilę. Na jego usta – podobne do ust Bourne'a, ale nie identyczne – wypełził okrutny uśmiech. – Tego też nauczyłem się od ciebie. – Skinął na El-Amira, który natychmiast wstał, chociaż nie skończył jeść. Wyglądał, jakby już zdążył przyzwyczaić się do takich wybuchów gniewu. – Zakładam, że Amira powiedziała ci, czym się zajmuje jej brat? – odezwał się Borz.

– Pracuje dla telewizji CloudNet.

Uśmiech Borza sięgnął teraz od ucha do ucha.

– A to niegrzeczna dziewczynka...

– Może nie wie – wtrącił El-Amir, marszcząc brwi.

Borz tylko parsknął śmiechem.

– Jak to się u was mówi? Nie rźnij głupa. Twój ojciec dowiedział się, że dla mnie pracujesz. Twoja siostra jest bystra, pewnie też wiedziała. Ciekawe tylko, dlaczego nie pisnęła Jasonowi ani słowa.

– Wstydzi się za mnie – rzucił El-Amir.

– Może i tak – przyznał Borz.

– Znam ją...

– Wszystko jedno. Chyba nadszedł czas, by pokazać Jasonowi, co go czeka.

Skinął głową. Z cienia wysunął się trzeci mężczyzna, przeciął krępujące Bourne'a sznury, przystawił nóż do jego pleców i siłą zawlókł go do budynku obok, który Bourne widział wcześniej przez okno.

Wnętrze wyglądało jak z innego świata. Masywne kamery, kłębowisko kabli, mikrofony na wysięgnikach, potężny arsenał reflektorów, lamp, świateł punktowych... Mieli nawet prompter. Panel monitorów odgradzała płachta czystej folii. Równie dobrze mogli być w studiu filmowym w Hollywood.

Bourne jako pierwszy dostrzegł zielony ekran do podmiany tła.

– Co na tym wyświetlacie? – zapytał.

– Popatrz w monitor – powiedział Borz, stając przy jego ramieniu. Przytrzymujący Bourne'a człowiek gwałtownie pociągnął go w lewo, za foliowy ekran, i posadził go na krześle, wiążąc mu ręce i nogi. El-Amir tymczasem pochylił się do jednego z techników i tłumaczył mu coś przyciszonym głosem. Chwilę później na ekranach pojawił się pustynny krajobraz.

– Dobra, światła i dźwięk gotowe – rzucił, opadając na krzesło. – Gotowy na zbliżenie twarzy?

Bourne patrzył, jak jego sobowtór wchodzi na scenę. Na monitorach widział go na pustyni, nie w naprędce skleconym studiu.

– Wszyscy na miejsca! – rozkazał El-Amir, a potem usiadł, podniósł rękę i opuścił ją gwałtownie. – I akcja!

Dwóch mężczyzn w kapturach wprowadziło więźnia. Wyglądał, jakby przeszedł przez piekło. Zaciągnęli go przed ucharakteryzowanego Borza i pchnęli na kolana. Jeden z oprawców podał mu nóż o długim, zakrzywionym ostrzu. Borz chwycił więźnia za włosy i odchylił jego głowę, eksponując gardło. Wystudiowanym ruchem przysunął nóż do grdyki jeńca i uśmiechnął się do kamery, gdy spod ostrza popłynęła cienka strużka krwi. Kilka kropeł z płaskim opadło na scenę.

El-Amir przysunął się z krzesłem do Bourne'a.

– Teraz będzie najlepsze – wyszeptał mu prosto do ucha. – Gestem wskazał rząd monitorów, na których wyświetliło się nazwisko Bourne'a, nazwisko i stopień więźnia oraz krótkie wezwanie do świętej wojny. Napis przemykał dołem zapętłony jak najnowsze wiadomości w amerykańskiej telewizji. – Nie zasepiaj się tak. Stoisz u progu międzynarodowej kariery. – El-Amir poklepał Bourne'a po głowie. – Za chwilę cały świat zobaczy, jak Jason Bourne ścina głowę oficerowi łącznikowemu brytyjskiej armii.

Jeszcze jako gładkolicy młodzieniec Roy Michael Tambourine marzył o podróży do Kairu. Od dzieciennych lat fascynowało go wspaniałe imperium egipskich faraonów, a Kair był przecież jego kolebką. Zgłębiał jego tajemnice na studiach, nauczył się gardłowej egipskiej odmiany arabskiego, a gdy wreszcie udało mu się tam pojechać, nie posiadał się z radości.

To było prawie czterdzieści lat temu. Od dziesięcioleci wykładał na Uniwersytecie Kairskim. Był świadkiem zmian reżimów, rewolucji, kontrrewolucji, a wreszcie tak zwanej arabskiej wiosny, która była niczym innym niż sloganem ukutym przez zachodnie media. Zdumiewało go, że im bardziej wszystko zdaje się zmieniać, tym bardziej pozostaje takie samo. Egipt sprawiał wrażenie uwiecznionego w bursztynie, zakonserwowanego jak mumie i eksponaty w Muzeum Archeologicznym, w którego zakurzonych czeluściach spędzał większość wolnego czasu.

Ten dzień wpisywał się w schemat, który powtarzał się od ostatnich czterdziestu lat. Profesor Tambourine obudził się w swoim małym mieszkaniu, wziął prysznic, ogolił się, nałożył na włosy pomadę i wybrał jeden z trzech przewiewnych garniturów. W maleńkiej kuchni zjadł dwa tosty z masłem i marmoladą, przypieczone z jednej strony, wypił filiżankę herbaty earl grey z odrobiną mleka i sprzątnął po śniadaniu. Następnie przedarł się przez chaos ruchu ulicznego do swojej klitki na uniwersytecie.

Spędził czterdzieści minut nad esejami studentów, siedząc za wiekowym biurkiem z czasów, gdy Egipt był jeszcze brytyjską kolonią, szybko jednak zauważył, że nie może się skupić. Spojrzał znad okularów na portret Zahiego Hawassa, najsławniejszego egipskiego archeologa. Hawass ze zdjęcia odwzajemnił spojrzenie Tambourine'a. Pozując do portretu, zapewne nie podejrzewał, że odejdzie w niesławie, wygnany za machlojki przy kontraktach w Muzeum Egipskim. Jego prawdziwym przewinieniem były raczej wyrazy poparcia dla Husniego Mubaraka, z którymi nie krył się nawet podczas protestów arabskiej wiosny.

Tambourine zawiesił ten portret nie dlatego, że czuł jakiś wyjątkowy respekt wobec doktora Hawassa. Raczej jako przestrożę i przykład, co dzieje się z tymi, którzy mieszają się w zdradliwie niestabilną egipską politykę – nawet jeśli są jedynie gościnnymi wykładowcami.

Znajoma twarz doktora Zahiego rozmyła się przed oczami Tambourine'a, a jego myśli wędrowały dalej. Zdał sobie sprawę, trochę poniewczasie, że się nudzi, w zasadzie już od lat. Niczym piasek pustyni, akademicka monotonia wcisnęła się we wszystkie dziedziny jego życia, sprawiając, że stało się suche i szare. Zestarzał się, a czego w życiu dokonał? Wszystkie sekrety starożytnego Egiptu dawno już odkryto albo bezpowrotnie stracono. Wspecjalizował się w dziedzinie, która okazała się ślepą uliczką.

Westchnął głęboko, zdjęty melancholią, jaka dopada Brytyjczyków, którzy zbyt długo zwlekali z powrotem do domu. Właśnie miał sobie zaparzyć więcej herbaty, kiedy usłyszał, jak wibruje jego prywatna komórka. Tętno natychmiast przyspieszyło. Niezdarnie sięgnął po aparat, niemal upuszczając go z pośpiechu i podniecenia. Podniósł klapkę.

Na ekranie wyświetliła się wiadomość: „Czy piekarnia jest czynna?”.

„A jednak to prawda – pomyślał Tambourine. – Bóg rzeczywiście kocha Anglików!”

Pewną ręką wystukał: „Za czterdzieści minut”, a potem wysłał wiadomość.

Sekretarce kazał odwołać wszystkie poranne zajęcia, mówiąc, że źle się poczuł. Idąc korytarzem, zaczął gwizdać ulubioną melodię z filmu o Mary Poppins.

Smukłe minarety miasta, okolone falbaną balkonów, rysowały się ostrymi liniami ponad czubkami drzew w parku Al-Azhar. Dokładnie czterdzieści minut po tym, jak wyszedł z uniwersytetu, profesor Tambourine – wysoki, tęgi mężczyzna o drobnych stopach baletmistrza i wypiełgnowanych dłoniach naukowca – stanął w cieniu przy południowo-zachodnim rogu pawilonu nieopodal muru z czasów Ajjubidów. Pawilon sklepowy, chociaż nowy i jeszcze pachnący drewnem cedrowym, był zbudowany w staroświeckim stylu, z arabeskami pasującymi do tej zabytkowej dzielnicy.

Tambourine kupił sobie niedużą porcję pistacji i pogryzał je powoli, zapatrzony w panoramę miasta, które wydawało mu się zarazem znajome i obce. Ranek był pogodny; opary na chwilę się podniosły, odsłaniając lazuruwe niebo. Wiejący z pustyni wiatr zaczął już ogrzewać nasłonecznione aleje parku.

Nie usłyszał jej kroków, ale też nie spodziewał się tego. Chwilę wcześniej stał sam pośród tłumu rodzin, rozbieganych dzieci, młodych ludzi trzymających się za ręce i pielgrzymek turystów fotografujących wszystko jak leci. Teraz u jego boku stała kobieta w beżowym hidżabie.

– Nie przepadam za ciastkami – rzuciła.

– Ja też nie – odparł Tambourine. – Ale na czymś zarabiać trzeba.

Po tej obowiązkowej części ramię w ramię ruszyli przez zatłoczone alejki. Poczęstował ją pistacjami.

– Muszę jak najszybciej wydostać się z Egiptu – powiedziała, nie patrząc w jego stronę.

Była naprawdę ładna. Poznał ją od razu, bo pamiętał twarze wszystkich agentów Kidonu. Ta kobieta – Rebeka – należała do jednostki Cezarea. Czuł się wręcz zaszczycony.

– Dokąd chcesz się udać? – zapytał.

Jej odpowiedź zaskoczyła go tak, że łamiąc protokół, odwrócił się w jej stronę i powiedział:

– Żartujesz, prawda?

– Chciałabym – rzuciła. – Iwan Borz opuścił Kair prywatnym odrzutowcem dziesięć godzin temu. Poruszyłam niebo i ziemię, a i tak dopiero teraz dowiedziałam się, dokąd poleciał.

– Prosisz mnie, żebym wysłał cię prosto na front.

– I co z tego?

– Czy dyrektor...

– Czy to zadanie przerasta twoje możliwości?

Jej głos smagał jak bicz.

Profesor Tambourine zaśmiał się łagodnie.

– Ani trochę. – Wydłużył krok, dopasowując jego tempo do przyspieszającego pulsu. – Chodź. Nie mamy ani chwili do stracenia.

– Czekaj! – krzyknął Bourne.

– Obawiam się, że on cię nie słyszy – rzekł El-Amir.

– Dam mu, czego chce.

– W obecnym stanie ducha i tak ci nie uwierzy.

– Powiedz mu!

El-Amir wzruszył ramionami.

– Cięcie! – rzucił do mikrofonu. – Iwanie, nasz gość chyba zmienił zdanie.

– Z terrorystami nie będę się dogadywał – odezwał się Bourne, kiedy Borz wrócił za foliowy ekran.

– Nie jestem terrorystą – odparował. – Jestem wysokofunkcjonującym socjopatą.

Bourne zadarł głowę, żeby na niego spojrzeć.

– A zatem mamy jakiś punkt zaczepienia.

– Bezczelny drań, nie? – skomentował El-Amir.

– Zabierz kolegę na herbatkę i ciastko – rzucił Borz, nawet na niego nie patrząc.

Brat Amiry podniósł się bez słowa protestu i wyszedł z budynku. Technik podążył za nim. Borz tymczasem opadł na jedno z krzeseł. Odgłosy bombardowania znów się rozległy, ale znacznie cichsze. Bourne uznał, że tłumią je podwójne ściany i izolacja prowizorycznego studia.

– Wiesz, Jasonie, zmieniłeś się od naszego ostatniego spotkania.

– A gdzie to było?

– Po raz pierwszy spotkaliśmy się w Stambule, gdzie Wschód styka się z Zachodem. Pasuje to do nas, prawda?

– Stambuł... – odezwał się Bourne, czując, że Borz potrzebuje słowa zachęty, żeby zacząć opowiadać o przeszłości. – To jedno z moich ulubionych miast.

– Moich też. Wiedziałbyś, gdybyś nadal miał swoje wspomnienia. – Złożył ręce jak do modlitwy. – Od tamtego czasu wykształciło ci się poczucie humoru. Wyrazy uznania. W świecie, gdzie króluje cynizm, poczucie humoru pomaga zachować dystans, nie sądzisz?

– Owszem – zgodził się Bourne, uznając, że pora przejść do konkretów.

Borz pokiwał głową.

– A zatem, my, socjopaci, nie mamy co się bawić we wstępy. Obiecałeś, że powiesz mi, jaki fortel szykował Borys Karpow.

– Najpierw każesz swoim ludziom zabrać więźnia. Wygląda, jakby chciał się położyć.

Borz popatrzył na Bourne'a przeciągle, analizując każdy szczegół twarzy, którą przecież dobrze znał.

– To jakby patrzeć w lustro, nie?

– Krzywe zwierciadło.

Kąciaki ust Borza drgnęły w najłżejszym z uśmiechów. Pochylił się do mikrofonu i rzucił serię rozkazów. Jego ludzie podnieśli Brytyjczyka z kolan i wyprowadzili z budynku. Wydawał się ledwie żywy.

– Załatwisz mu opiekę medyczną, co?

– Szkoda zachodu – burknął Borz. – I tak długo nie pożyje.

– Więc przynajmniej trochę ulżysz mu w cierpieniach.

Borz postukał palcem w dolną wargę.

– Wiesz co, zaczynam myśleć, że jednak nie jesteś socjopatą. Jak w takim razie cię zaklasyfikować?

– Jesteśmy jacy jesteśmy, Bobby. Nic tego nie zmieni.

– W sumie racja. Weźmy za przykład mnie... Mam naturę handlarza. Przemoc nie jest moim powołaniem. W zasadzie to jej nawet nie lubię. Ale cóż mogę poradzić? Korzystania z przemocy nauczyłem się u podstaw, z głową pod wodą, mówiąc metaforycznie. Było to okropne przeżycie, uwierz mi.

Bourne'owi wydało się, że słowa te miały podwójne znaczenie. Bardziej interesowało go to drugie, przejmujące i niepokojące, ukryte pod powierzchnią. Nie mógł się oprzeć nieprzyjemnemu wrażeniu, że stwierdzenie Borza odnosi się nie do ogółu, a do szczegółu, i jest nie tyle obiektywne, co osobiste. Jeszcze bardziej zapragnął się dowiedzieć, co stało się w Stambule. Czuł wyraźnie, że Borzowi zależy na informacji o planie Borysa. Zdawał sobie także sprawę z własnej potrzeby odzyskania fragmentu zagubionej przeszłości.

- Mów – rzucił Borz lakonicznie.
- Mów – odpowiedział Bourne jak echo.

Lustrzane odbicia przerzucające się słowami.

- O twoim przyjacielu, nieodżałowanej pamięci Borysie.
- O Stambule. I naszym przeklętym spotkaniu.
- To był twój pomysł.

„Nie ma rady” – pomyślał Bourne. Pośród skorpionów nie ma miejsca na zaufanie, ale jeśli istniał choć cień szansy, by uratować życie nieszczęsnemu brytyjskiemu oficerowi, a do tego poznać choćby skrawek swego zapomnianego życia, to musiał zaryzykować.

- Borys dowiedział się o spisku szykowanym przez prezydenta.
- Czyli przez Kreml?

– Nie do końca. – Bourne patrzył Borzowi prosto w oczy. Z tej odległości był w stanie dostrzec ukryte pod szklami kontaktowymi tęczówki. – Wie o nim bardzo niewielu siłowników i żaden z najwyższej postawionych oligarchów.

- Mów dalej.

Czując, że cała uwaga Borza jest skupiona na nim, podzielił się informacjami, które przekazała mu Swietłana.

– Za dwa dni prezydent zamierza nakazać stacjonującym na granicy wojskom, by rozpoczęły inwazję na Ukrainę.

Borz popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– I to cała historia? Za to przehandlowałem życie tego oficera? – Pokręcił głową i wstał. – Rozczarowałeś mnie, Jasonie. Dogłębnie.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego.

– Po co mam słuchać, skoro wstęp jest kompletnie absurdalny?

– Aktualna umowa dotycząca przesyłu gazu z Rosji na Ukrainę to ściema. Podstęp, który ma uspokoić kraje Zachodu.

– A Samowładca tymczasem szykuje się do wojny, która zrujnuje jego i jego kraj – parsknął Borz.

– Właśnie tak. Pozwól, że zadam ci zagadkę. Jak sądzisz, skąd ISIS bierze te wszystkie pieniądze?

– Po co zgadywać, skoro zaraz sam mi powiesz.

– Od ciebie, Bobby. To twoja kasa.

Goga stał na środku salonu w willi Iwana Borza w Gizie. Przez ogromne okna było widać majestatyczne stożki piramid. Sfinks patrzył dokładnie w tę stronę. Z jego wzroku biła mądrość stuleci.

Georgij zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Nie ma generała, nie ma Borza, nie ma Bourne'a, Amiry też nie. W Kairze nie został nikt, nawet komórka Mossadu wróciła do Jerozolimy z podkulonym ogonem, zabierając ciało zabitego dowódcy. Po nich akurat Goga płakać nie miał zamiaru.

Został w Kairze sam – nie miał dokąd iść ani co robić. Popatrzył na otwartą walizkę Swietłany. Wcześniej sfotografował jej zawartość, żeby móc ułożyć każdą sztukę odzieży i flakon kosmetyków dokładnie tak samo.

Pierwszy minister zażyczył sobie, by Goga odesłał rzeczy Swietłany do Moskwy nietknięte. Wyraził się bardzo jasno. Goga serdecznie nienawidził Sawasina, lecz wraz ze śmiercią generała został na lodzie. Jak mawiają Żydzi, potrzebował rabina, inaczej jako jeden z najbardziej zaufanych ludzi Karpowa nie miał szans utrzymać się na powierzchni. Skontaktował się więc z Sawasinem, a ten obiecał zapewnić mu bezpieczne schronienie w zamian za wyeliminowanie wdowy po generale i zwrot jej bagażu.

Początkowo planował przetrząsnąć rzeczy Swietłany i sprawdzić, co tak rozpaczliwie chciał odzyskać minister, nie mógł się jednak jakoś za to zabrać. Niezmiennie dręczyła go myśl o tym, jak błyskawicznie Sawasin pozbył się Swietłany. Cała sprawa pachniała czystką; dało się to wyczuć nawet tu, w Kairze. Podejrzewał, że kiedy tylko pokaże się w Moskwie, przyjdą po niego ludzie Sawasina i wywiozą na Łubiankę albo na jakieś odludzie. A potem będą go przesłuchiwać, aż wywloką z niego wszystkie sekrety. Nie łudził się, że będzie inaczej. Za dobrze znał procedury. Prędzej czy później powie im wszystko, a nawet więcej.

Nie mógł wrócić do Moskwy. Nie mógł pozwolić, by do tego doszło. Już i tak trzęsło nim poczucie winy. Instynktowny strach przed niepowstrzymaną machiną Federacji kazał mu zadzwonić do pierwszego ministra, a Sawasin w pełni wykorzystał tę jego zwierzęcą obawę. Teraz Goga brzydził się sam siebie i własnej słabości. Zdrada, której się dopuścił, toczyła jego duszę jak rak. Likwidacja wdowy po generale jeszcze niedawno wydawała mu się idealnym wyjściem z kłopotliwej sytuacji, teraz jednak widział w tym czynie jedynie niewybaczalną zbrodnię.

Przeszukiwanie dobytku tej kobiety – wszystkiego, co po niej zostało – byłoby niegodziwością, na jaką po prostu nie umiał się zdobyć.

Plama słonecznego blasku wędrowała po podłodze, cicha jak rozległa nekropolia za oknami. Gwałtownym gestem Goga cisnął niedopałek na warstwę ubrań. Widząc, że tłą się wątlym płomieniem, dorzucił do walizki zapaloną zapalniczkę.

Ogień buchnął, powietrze wypełnił gryzący dym.

Ominął płonący neseser, odsunął przeszklony panel i wyszedł na balkon. Popatrzył na Sfinksa, po raz kolejny żałując, że rzeźba nie chce przemówić, zdradzić mu swoich sekretów, podsunąć rozwiązania.

Sfinks milczał. Najmądrzejsi nie lubią dzielić się wiedzą.

Cóż, został mu jeszcze jeden honorowy gest. Wkładając w usta lufę makarowa, uniósł głowę i zapatrzył się w niebo: błękit, biel a potem...

Nicość. Upragniony spokój.

Przez kilka sekund Borz stał nieruchomo jak posąg, po czym niespiesznie, z rozmysłem, usadowił się z powrotem na krześle naprzeciw Bourne'a.

– Poproszę o wyjaśnienia.

Bourne pokręcił głową.

– Najpierw chcę usłyszeć coś o Stambule.

– Jason, Jason... Twoja pozycja negocjacyjna jest marna.

– Okazałem ci odrobinę zaufania.

– Twój problem. – Borz pochylił się do mikrofonu. – Przyprowadzić więźnia.

– Nie rób tego – rzucił Bourne. – Potrzebujesz mnie.

– Doprawdy?

Iwan popatrzył na niego z udawanym niedowierzaniem.

– Twierdzisz, że jesteś kupcem, nie terrorystą.

Para osiłków znów zawlokła ślaniającego się Brytyjczyka na plac egzekucji. Borz popatrzył w ich stronę i powiedział:

– I będę się tego trzymać.

– Beze mnie nigdy nie odzyskasz swoich pieniędzy.

Borz powoli odwrócił się w jego stronę.

– Jakich pieniędzy?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Zamieniam się w słuch.

– Coraz trudniej mi się skupić, kiedy tak siedzę przywiązany do krzesła.

Jego rozmówca wahał się tylko przez chwilę. Wyciągnął sztylet i przeciął krępującą Bourne'a taśmę izolacyjną. Potem znów usiadł na krześle.

– Oficer czeka, Jasonie.

Bourne rozmasował zdrętwiałe kostki i nadgarstki.

– Głowiłem się, czemu Irina z własnej woli zaprowadziła mnie do twojego wozduszniaka. Mika operował też pieniędzmi jej dziadka, przesuwając je z miejsca na miejsce. – To właśnie sugerowała druga część rebusu z monety. „Śledź pieniądze” – Ale nikt nie był świadom tego, czego dowiedział się Borys: że przez Mika, i tylko przez niego, szły pieniądze rosyjskiego prezydenta.

– Jak to możliwe? – obruszył się Borz. – Czegoś takiego nie dałoby się później zakwestionować.

– Dałoby się, na przykład gdyby za przykrywkę służył ojciec Iriny, Wasilij.

– Czyste fantazje. Zginął z rozkazu prezydenta.

– Moim zdaniem Wasilija i jego starszego syna zgubiła chciwość. Zaczęli podbierać. – „Tam są zapisy, które musisz zobaczyć”, powiedziała Irina, kiedy poszli do Mika. „Dzieje się coś strasznego. Przekonam Mika, żeby pokazał ci coś, co wszystko wyjaśni”. To tego skrawka informacji szukał w ziejącej ranie swej pamięci. Irina wiedziała, czym tak naprawdę zajmował się jej ojciec. Bourne zakładał, że żona Wasilija też. Ta wiedza, a także fakt, że mąż nie chciał porzucić tej roboty, wpędziły ją w obłąd. Nic dziwnego, że uważała się za opętaną. Jej prywatnym demonem był Wasilij. – Irina chciała pokazać mi dowody, bo dzięki nim mógłbym powiązać cały plan z osobą Samowładcy.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Cierpliwości, Bobby. Za pośrednictwem Wasilija i Mika prezydent przesuwiał fundusze z miejsca na miejsce. Sumy, jakie składałeś u Mika, były dzielone na pół... najprawdopodobniej na pół... i przesyłane...

– I myślisz, że bym się nie zorientował?

– To prawdziwa piramida Madoffa, trik mistrza iluzjonisty. Wydaje się, że całe pieniądze są gdzie trzeba, ale gdybyś zażądał wypłaty wszystkiego... – Bourne zawiesił głos, wierząc, że niewypowiedziana zdrada zaboli bardziej.

Borz wstał bez słowa, wyjął solidną metalową walizkę i wyciągnął z niej pancerny laptop. Położył urządzenie na blacie i uruchomił go. Ustawił laptop w taki sposób, by Bourne nie widział ekranu, ale jemu to nie przeszkadzało. Wiedział, że Borz sprawdza konto.

– Proszę – rzucił tamten z wyraźnym zadowoleniem w głosie. – Wszystko na miejscu. Wiedziałem, że to pierdolenie.

– Na pewno masz inne konta, Bobby. Przelej pieniądze na jedno z nich.

Borz zmarszczył brwi.

– Próbujesz jakichś sztuczek?

– Staram się ci pomóc. Zaufaj mi.

– Zaufać? Tobie?

– Tak, wiem, tego terminu nie ma w twoim słowniku.

Borz przez chwilę rozważał to w milczeniu, starając się podejść do sprawy z każdej strony, dojść do tego, gdzie jest haczyk. Nie wymyślił nic. Jego palce zatańczyły na klawiaturze.

– No, wszedłem – mruknął, w zasadzie do siebie. – Przelew doszedł.

Przez kilka długich minut siedział wpatrzony w ekran, jakby z chwilą realizacji przelewu czas stanął w miejscu. Potem głośno wciągnął powietrze i wypuścił je z sykiem.

– Połowa – wycedził. – Dostałem tylko połowę. Kurwa! – Popatrzył prosto na Bourne'a. – Gdzie, do chuja, podziła się moja forsa?!

– Wiesz gdzie, Bobby. To pytanie już dzisiaj padło.

– Jakie znów pytanie? Nie chcesz powiedzieć, że ISIS...

– Jest finansowana przez Samowładcę, z twoich pieniędzy. Tak.

Borz aż podskoczył.

– To wariactwo. – Zaczął krążyć po pokoju jak zwierzę w klatce, którym zresztą w pewnym sensie był. – Czemu on miałby to robić?

– To wszystko element gry – wyjaśnił Bourne. – Odwracanie uwagi. Każ światu patrzeć w inną stronę, skupić się na ISIS...

– A tymczasem Rosja zawładnie Ukrainą, zanim Zachód zdąży choćby pisnąć.

– Zachodnie organizacje podejmują decyzje w tempie dryfu kontynentalnego – zauważył sucho Bourne.

– Za dwa dni zacznie się realizacja pierwszego etapu planu Samowładcy na drodze do odzyskania terytoriów utraconych przez Związek Radziecki.

– A on nie wyłoży na to ani grosza. – Borz popatrzył na ekran komputera, jakby miał nadzieję, że wyświetlająca się tam liczba w międzyczasie uległa zmianie. – I mówisz, że potrafisz odzyskać moje pieniądze? Jak?

– Bobby, Bobby... – odezwał się Bourne. – Najpierw bądź tak uprzejmy i opowiedz mi, co się stało w Stambule.

– Uprzejmość nie figuruje w tej opowieści – mruknął Iwan, z trzaskiem zamykając laptop.

- Kiedy wrócisz do domu, będziesz musiała ponieść konsekwencje... – rzucił profesor Tambourine.
Sara tylko wzruszyła ramionami.
- To nic nowego.
- Archeolog pomagał jej usadowić się w kokpicie samolotu z pomocą humanitarną przeznaczoną dla Ajn al-Arab, syryjskiego miasta niedaleko granicy z Turcją, obecnie oblężonego przez siły ISIS. Pilot miał wspomóc walczących Kurdów skrzyniami z zaopatrzeniem. Tambourine uprosił załogę, żeby pozwoliła Sarze polecieć z nimi i skoczyć ze spadochronem w miejscu zrzutu.
- Obawiam się, że tym razem będzie trochę inaczej. – Profesor miał strapioną minę. – Dyrektor dzwonił do mnie, żeby zapytać, dlaczego nie wróciłaś do domu razem z resztą ekipy.
Rzuciła mu szybkie spojrzenie.
- I co mu powiedziałaś?
- Zanim zdążyłem otworzyć usta, powiedział mi, że wysłała...
- Nie mów mi – przerwała Sara, przypinając się w fotelu, podczas gdy obaj piloci kończyli przygotowywać maszynę do startu. – Wysłał Dova Lirona, mojego szefa, żeby sprowadził mnie z powrotem. Ech. To nie pierwszy raz.
- Nie Lirona, Rebeko. Wysłał Ophira.
- O kurczę. – Amir Ophir stał na czele Metsady, czyli departamentu operacji specjalnych. Był bezpośrednim zastępcą jej ojca. – To mam pecha.
- A raczej miałabyś – powiedział profesor Tambourine z błyskiem w oku. – Gdyby wiedzieli, gdzie się wybierasz.
- Co powiedziałaś dyrektorowi?
- Że nie ma cię już w Kairze. Wyjechałaś do Tunisu.
- Do Tunisu? Co bym tam niby miała robić?
- Tambourine wzruszył ramionami.
- A skąd ja miałbym to wiedzieć? – Posłał jej szelmowski uśmiech. – Jestem tylko małym trybikiem w maszynie.
- Dziękuję, profesorze, z całego serca.
- Nie ma za co. Ale obawiam się, że ta przygoda może oznaczać koniec kariery dla nas obojga.
Sara zmrużyła jedno oko.
- Za bardzo bym na to nie liczyła.
- Pokiwał głową z aprobatą.
- Czy dostatecznie cię dozbroiłem?
- Jak najbardziej. Jesteś geniuszem, profesorze.
- Robię, co mogę.
- Jesteśmy gotowi – odezwał się pilot. – Zbieraj się, R.M. Mamy tylko jeden dodatkowy spadochron.
Profesor Tambourine zaśmiał się serdecznie.
- Trzymaj się, Richard. Jak już wrócicie, ty i twoja załoga możecie liczyć na obiad i drinki w najlepszej knajpie w Kairze. – Zatarł ręce i zwrócił się znów do Sary: – Odwagi w sercu i pewnej ręki, *brava mia*.

Ułożył palce w znak zwycięstwa, po czym wygramolił się z kokpitu na płytę lotniska.

Sara przyglądała się, jak maszeruje po betonie. Trzymał się prosto jak struna, głowę niósł wysoko, jak ktoś, kto jest gotów stawić czoło każdemu wyzwaniu. Nie pamiętała go takim. Obiecała sobie, że kiedy tylko wróci do Jerozolimy, zrobi wszystko, by zapewnić mu ochronę.

Chwilę później płyta była wolna, zaś Richard rozkręcił silniki do pełnej mocy. Lotki na skrzydłach wychyliły się; samolot ruszył po pasie, poderwał się gwałtownie i poszybował w rozświetlone słońcem niebo.

– W tamtych czasach szmuglowałem broń ze Stambułu – opowiadał Borz. – To było wtedy, zanim w Turcji do głosu zaczęli dochodzić islamiści. Wtedy jeszcze dało się bezkarnie szmuglować broń.

– Nadal się da – skwitował Bourne. – Zmienili się urzędnicy, nie przepisy. – Przez chwilę mierzył Borza wzrokiem. Nadal czuł się dziwnie, rozmawiając z kopią samego siebie. Tamten zapewne był tego świadom. Udowodnił, że co nieco zna się na psychologii. – Więc albo nie przemycałeś broni, albo była to tylko przykrywka dla innego procederu.

Borz siedział nieruchomy jak skała. Ponad jednostajnym szumem elektroniki usłyszeli żalostny jęk brytyjskiego oficera. Bourne podejrzewał, że gdzieś w pobliżu znajduje się spory generator, który zasila cały ten sprzęt. W strefie działań wojennych dostęp do prądu jest w najlepszym razie nieciągły.

– Nie wytrzymam tego skomlenia – warknął Borz. – Za mną!

Wskazał Bourne'a palcem, a jeden z uzbrojonych strażników ruszył się ze swojego miejsca pod ścianą. Wyszli ze studia i wrócili do pomieszczenia ze stołem – Borz przodem, strażnik z tyłu. Naczynia z potrawami już sprzątnięto, ale niedojedzona porcja El-Amira wciąż stała na blacie.

– Proszę. – Borz wskazał krzesło, na którym wcześniej siedział młody Arab. – Chłopak nie skończył obiadu, więc siadaj. Jedz.

Bourne nie zamierzał korzystać z tej oferty. Rozsiadł się wygodnie, założył ręce na piersi i przyjrzał się Borzowi spod półprzymkniętych powiek.

– Jakiż to biznes mógł się podobać takiemu człowiekowi jak ty, Bobby? Handlarzowi i samozwańczemu socjopacie...

Borz zacisnął palce na oparciu krzesła stojącego naprzeciw.

– Wysokofunkcjonującemu socjopacie.

– Tak, oczywiście. – Bourne przeniósł spojrzenie na sufit, a potem znów na Borza. – Przewoziłeś przez granicę młode dziewczęta.

– Jak do tego doszedłeś?

– Po pierwsze handel białymi niewolnikami jest najbardziej lukratywnym z nielegalnych interesów. Po drugie...

– Czekaj, czekaj. A dlaczego nie handel narkotykami?

– Żeby się trudnić handlem narkotykami w takim mieście jak Stambuł, trzeba mieć dobre dojścia, a ty byłeś wtedy za młody. Zresztą właśnie miałem powiedzieć, że z racji położenia geograficznego Stambuł idealnie się nadaje na punkt tranzytowy między Europą Wschodnią a Zachodnią, gdzie za dziewczyny najlepiej płacą. A jako socjopata nie miałbyś najmniejszego problemu z traktowaniem ludzi jak towaru. Bo nie masz sumienia.

– Może sam chcesz opowiadać tę historię? – rzucił Borz wyraźnie poirytowany, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej, choć innym tonem: – Przerzucono cię do Stambułu, żebyś zlikwidował niejakiego Dolmana. Mówi ci to coś? Nie? W każdym razie on był twoim celem. Dowiedziałem się o tym

dużo później. Rzekłbym nawet, że za późno. Pracowałem dla Dolmana przez jakiś czas, zanim postanowiłem założyć własny interes. Nie było łatwo się uniezależnić. Wiele osób straciło życie, a jeszcze więcej sporo krwi. W końcu jednak doszło do zawieszania broni. Jakiś czas później zorientowałem się, że ktoś podał ci informacje sugerujące, jakobyś znał strukturę organizacji Dolmana na wylot. Przy naszym pierwszym spotkaniu zaimponowałeś mi znajomością zasad miejscowego półświatka.

– A jak miałeś wtedy na imię, Bobby? Albo na nazwisko?

Borz wyszczerzył zęby.

– Skupmy się na opowieści, Jasonie. To ona jest ważna. – Przysiadł naprzeciw Bourne’a. – Nie jesteś głodny? Cóż, tej historii lepiej nie opowiadać przy jedzeniu, tyle ci powiem.

– Wróćmy do tego Dolmana.

– Nie. Dolman grał w tym dramacie tylko epizodyczną rolę. Wróćmy do ciebie i mnie. Zaczęliśmy współpracować właśnie wtedy, w Stambule. Byłeś użyteczny i niebawem nie mogłem się bez ciebie obejść. Masz do tego talent.

– Do czego?

– Umiesz wkręcić się wszędzie.

– Wrodzony dar.

– Taa... – Borz zaśmiał się niewesoło, a potem pochylił się i oparł łokcie o stół. – Tak czy inaczej, staliśmy się nierozłączni. Mój biznes nigdy nie miał się lepiej, przynajmniej ten związany z bronią. O tych... dziewczynach... dowiedziałeś się dopiero na samym końcu. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Z czasem jednak dotarło do mnie, że się myliłem i że od pierwszej chwili wiedziałeś o żywym towarze. Naprawdę miałeś dobre informacje. – Przez chwilę siedział, pogrążony w rozmyśleniach. – Po jakimś czasie wkręciłeś się w moją firmę tak głęboko, że nie bałeś się podjąć tematu Dolmana. Był moim głównym konkurentem, miał więcej lat, więcej koneksji, więcej władzy. Chciałem mu dorównać, a on to wiedział. Czuł, że deptę mu po piętach. Ty również. Zaoferowałeś, że go dla mnie sprzątniesz. Oczywiście, żeby to zrobić, potrzebowałeś informacji, które mógł ci dostarczyć jedynie członek jego organizacji. Ja kiedyś do niej należałem, więc wyśpiewałem ci wszystko, czego się dowiedziałem, pracując dla Dolmana: o strukturze organizacji, ludziach z jego najbliższego otoczenia, o tym, komu ufał, a komu nie. Co najważniejsze, narysowałem ci mapę kompleksu, podałem ramowy plan dnia. Dolman lubił rutynę, miał stałe zwyczaje. Uzbrojony w tę wiedzę, zakradłeś się do ich budynku, znalazłeś Dolmana i go zlikwidowałeś. – Borz znów nie mógł usiedzieć na miejscu, podniósł się więc i stanął za krzesłem Bourne’a. Chwycił dłońmi za oparcie, tak że ten czuł jego kłykcie na łopatkach. – Nie, nie spodziewałem się, że postąpisz ze mną tak, jak postąpiłeś. Że głównym podejrzanym w sprawie zabójstwa Dolmana uczynisz mnie. Ukradłeś mój sztylet, nóż, który miał dla mnie szczególne znaczenie. Dostałem go od Dolmana. Wszyscy mnie z nim widzieli, wszyscy wiedzieli, że należy do mnie. A ty poderżnąłeś nim gardło mojego byłego szefa.

„Tak jak ty poderżnąłeś gardło Borysowi” – zdążył pomyśleć Bourne, nim Borz oplótł mu szyję ramieniem tak mocno, że praktycznie podniósł go z krzesła.

– Chcę... mieć... z powrotem... moją... forse... gnoju... – wysapał wprost do jego ucha.

Zamiast stawiać opór, Bourne dał się podnieść, po czym podkurczył kolana i przekoziółkował nad głową przeciwnika. Ten nadal trzymał go za szyję. Gorzej nawet – kości przedramienia Borza dosłownie miażdżyły Bourne’owi tchawicę, nie pozwalając zaczerpnąć oddechu. Plus był taki, że znalazł się za Borzem, który utknął w niewygodnej pozycji i nie mógł się bronić. Jęknął, gdy kolano Bourne’a uderzyło go w nerki, a potem zwolnił uścisk. Bourne zamachnął się, celując w dolne żebra, lecz nim zdążył wyprowadzić cios, strażnik Borza przystawił mu do skroni lufę pistoletu.

To był błąd. Bourne staranował go całym ciałem, jednocześnie odsuwając lufę tak, że kiedy wreszcie nacisnął spust, kula przeleciała milimetry od głowy Borza. Ten wrzasnął i zanurkował pod stół. Słyszając krzyk, strzelec zamarł zdezorientowany. Odsłonił się odrobinę, ale więcej nie było trzeba. Bourne wcisnął grzbiet dłoni w nasadę szyi strażnika, wyrwał mu broń z ręki i uderzył go kolbą w potylicę. Mężczyzna upadł tuż obok Borza, który próbował się otrząsnąć po bliskim spotkaniu z kulą.

Bourne schylił się, złapał go za koszulę i strzelił go pięścią w brodę. Zatoczył się, ale odzyskał równowagę i przeszedł do ataku. Ciosy padały tak gęsto i szybko, że trudno było się bronić. Wreszcie Bourne uderzył Borza z taką siłą, że tamten przeleciał przez cały pokój, lądując na jednym kolanie. Wstał natychmiast, złapał krzesło i roztrzaskał je o ścianę. W ręku została mu solidnie wyglądająca noga. Zamachnął się nią, lecz w tej samej chwili w boczną ścianę budynku trafił pocisk z moździerza, podrzucając do góry wszystkich i wszystko.

Obudziwszy się z głębokiego snu, Sara zerknęła na telefon. Dziesięć nowych wiadomości od ojca. W sumie wysłał ich już dwadzieścia pięć. Profesor Tambourine nie przesadzał. Po powrocie do Jerozolimy nie będzie wesoło.

Pilot, który chyba miał na imię Richard, wychylił się do niej zza oparcia fotela.

– Ajn al-Arab znowu jest bombardowane. Nie możemy zejść zbyt nisko. Umie pani skakać z dużej wysokości?

Uśmiechnęła się do niego.

– Robiłam to raz czy dwa razy.

Pilot popatrzył na nią niepewnie.

– Obawiam się, że do lądowania w tych warunkach potrzeba ogromnego doświadczenia.

Sara wstała i zaczęła zapinać uprząż spadochronu.

– Nic mi nie będzie. Tylko żartowałam.

– Mam nadzieję. – Richard ponownie ujął stery. – Inaczej będzie pani martwa, zanim pani stopy dotkną ziemi.

Impet uderzenia wyrzucił Bourne'a przez dziurę w ścianie. W uszach mu dzwoniło, głowę rozsadał pulsujący ból, lecz poza tym nie odniósł żadnych obrażeń. Na ziemi leżały bezładnie rozrzucone ciała martwych i rannych. Zgarniając po drodze porzucony karabin, Bourne wrócił do zniszczonego budynku. Ani śladu Borza. Miał ochotę przeszukać każde pomieszczenie, ale brakowało mu czasu. Bombardowanie nawiązało się. Kolejny pocisk mógł trafić budynek w każdej chwili.

Ponownie wyszedł na otwartą przestrzeń. Jeden rzut oka na teren i kurdyjskie myśliwce wystarczył – z prędkością światła przebiegł w myślach listę możliwych lokalizacji i zrozumiał, że jest w Ajn al-Arab, w Syrii, tuż przy zachodniej granicy Turcji.

Siły ISIS przeszły do kontrataku, a z nieba posypały się kolejne pociski. Grunt pod jego stopami trząsł się i dudnił, a powietrze drgało, ciężkie od dymu i płonących szczątków. Ludzie uciekali, kryli się w panice. Bourne zadarł głowę. Wysoko leciał samolot, mniej więcej w tym kierunku. Przypominał nieduże jednostki, jakimi dostarczano zaopatrzenie dla walczących Kurdów.

Nie więcej niż sto metrów przed Bourne'em stał helikopter pilnowany przez samotnego strażnika. Za sobą usłyszał odgłos strzelaniny; kule obily się o róg budynku, do ściany którego się przycisnął. Strażnik poderwał głowę i chwycił za broń, gotów do strzału.

Widząc, że znalazł się w potrzasku, Bourne kucnął, zgarnął z ziemi nieduży kamień i cisnął nim w piach obok wartownika. Gdy tamten robił zwrot, odbił się od ściany i pomknął prosto do helikoptera, błagając los, by żaden pocisk nie trafił maszyny.

Strażnik dostrzegł go, obrócił się i wystrzelił, ale nie trafił. Bourne wypalił mu prosto w pierś, odepchnął ciało i wgramolił się do śmigłowca. Na linii frontu maszyny przez cały czas trzyma się w stanie gotowości. Na szczęście dla Bourne'a ten helikopter nie był wyjątkiem. Włączył zapłon i właśnie rozkręcał turbiny, kiedy zza węgła budynku, przy którym przed chwilą się chował, wyskoczyło

trzech ludzi Borza. Popatrzyli na leżącego wartownika, potem na helikopter i rzucili się biegiem ku maszynie. Nie strzelali; bali się uszkodzić sprzęt wart miliony dolarów.

Słyszając wizg nadlatującego pocisku, Bourne chwycił za drążek i poderwał śmigłowiec w chwili, gdy potężny wybuch rozerwał jednego ze strażników i okaleczył drugiego. Trzeci czmychnął z powrotem pod dach.

Bourne obrócił śmigłowiec, starając się rozwiać turbinami chmurę dymu. Kiedy wzniósł się ponad nią, po południowej stronie kompleksu dostrzegł grupę bojowników ISIS w czarnych mundurach. Oni też go zauważyli i natychmiast otworzyli ogień. Bourne wznosił się coraz wyżej, cały czas zerkając na kompas. Obierając kurs na turecką granicę, wypatrzył na ziemi dwóch ludzi z ISIS – jeden trzymał na ramieniu ręczną wyrzutnię rakiet, drugi już szykował pocisk. Załadowali go, mierząc w samolot transportowy, który Bourne zauważył już wcześniej. Obniżając lot i zmuszając śmigłowiec do gwałtownego zwrotu, zwrócił na siebie uwagę terrorystów. Był teraz na tyle nisko, że dostrzegł, jak jeden z nich ponuro się uśmiecha.

Nabrał prędkości i podciągnął maszynę, podczas gdy strzelec próbował ustawić śmigłowiec na celowniku. Bourne zdawał sobie sprawę, że nie prześcignie pocisku. Mógł jedynie mieć nadzieję, że rakietka jest starego typu i że system naprowadzania nie działa poprawnie. Sekundę później dostrzegł smugę kondensacyjną pocisku zmierzającego w jego stronę. Przynajmniej samolot zaopatrzeniowy miał teraz szansę ucieczki.

Rakietka znalazła się dokładnie za śmigłowcem, więc Bourne zaczął robić uniki, manewrując to w górę, to w dół i na boki. Pocisk przez cały czas zmierzał w jego stronę. To tyle w kwestii nadziei na wadliwe naprowadzanie. O kabinę helikoptera dzwoniły kule. Bourne z dużym wysiłkiem starał się kierować ku granicy z Turcją. Maszyna przedarła się przez słupy czarnego dymu. Zostawiał za sobą piekło płonących szczątków, okaleczonych ciał i straconych nadziei.

Śmigłowiec miał znacznie mniejsze zdolności manewrowe niż myśliwiec bojowy, o różnicy w prędkości maksymalnej nie wspominając, więc Bourne nie był w stanie zmylić ścigającej go rakietki. Z każdą chwilą była coraz bliżej; na szczęście do tureckiej granicy też było już niedaleko. Zmusił maszynę do lotu wznoszącego pod najostrożniejszym kątem, jaki była w stanie znieść. Obliczył, że na ostateczny, rozpaczliwy manewr ma mniej niż minutę.

Przed nim, mniej więcej na północ, ciągnęła się wstęga granicy. Teren po obu jej stronach nie różnił się zbyt wiele – spękana ziemia rozorana przez wybuchy i ogień, w oddali linia rdzawych wzgórz. W zasięgu wzroku nie miał ani jednego drzewa. Widział za to grupki obszarpanych kurdyjskich żołnierzy, obserwujących z uniesioną bronią pocisk siedzący mu na ogonie. Włączył autopilot – była to ryzykowna decyzja, która mogła go kosztować życie, jednak w tej sytuacji nie miał innego wyboru. Zaczął przetrząsać kabinę, szukając czegokolwiek, co mogło się przydać

Czterdzieści sekund później rakietka uderzyła w tylny wirnik, zamieniając go w oślepiającą kulę paliwa, materiałów wybuchowych, stopionego plastiku i pogiętej blachy. Uszkodzony helikopter okręcił się dwa razy wokół własnej osi, po czym jego kadłub eksplodował, spadając lotem wirowym na turecką ziemię.

Pikując ze złożonymi rękami, Sara czuła się jak rakieta. Było jeszcze za wcześnie, by otwierać spadochron. Przez jej głowę przebiegały tabuny myśli; żadna nie była konstruktywna, wszystkie podkolorowane strachem. Obawa mieszała się z podnieceniem, lecz teraz najważniejszą rzeczą było zachować spokój, zacząć odliczanie i przypomnieć sobie, co będzie musiała zrobić, żeby zniwelować nie tylko wpływ wiatru, którego siłę podał jej Richard zanim wyskoczyła, ale też dziur powietrznych wywoływanych przez pociski. Spadała prosto na pole bitwy.

Dym i rozbłyśki eksplozji zasłaniały widok; żeby otworzyć spadochron w odpowiednim momencie, musiała polegać wyłącznie na odliczaniu – gdyby zrobiła to za wcześnie, wiejące na dużych wysokościach wiatry zniosłyby ją zbyt daleko od planowanej strefy zrzutu, lecz jeśli zwlekałaby zbyt długo, twarde lądowanie mogło połamać jej nogi albo skończyć się jeszcze gorzej.

Jej życie zależało teraz od jednej decyzji, jednego ruchu ręki. Chwyciła za sznur i pociągnęła. Zamroczyło ją na chwilę, nim organizm przystosował się do spadania z mniej balistyczną prędkością. Znalazła się w oparach dymu i popiołu, od którego zapiekły ją oczy i gardło. Powoli orientując się w terenie, dostrzegła w oddali rozbłyśk wybuchu; przez ułamek sekundy widziała wirujący kokpit śmigłowca, który stanął w płomieniach i runął na ziemię jak ognista kula.

W tej samej chwili z kursu zmiotła ją kolejna eksplozja, tym razem na ziemi. Następne dwadzieścia sekund spędziła, mocując się z linami i korygując kurs. Zupełnie zapomniała o zestrzelonym helikopterze.

Była już prawie na ziemi, kiedy miał miejsce trzeci wybuch – tak blisko, że odłamki poleciały w jej kierunku, przebijając czaszę spadochronu. Cała jego powierzchnia natychmiast się przekrzywiła, a Sara runęła w dół z niebezpieczną prędkością.

Nierówny, głęboko zorany grunt był coraz bliżej. Zerwała uprząż, wspięła się po taśmach nośnych i owinęła sflaczałą czaszę wokół siebie. Uderzyła w ziemię skulona jak niemowlę i wtoczyła się w lej po pocisku, którego krzywizna dodatkowo zamortyzowała upadek.

Przez chwilę leżała na plecach, starając się złapać oddech; potem wyjęła nóż i wyłuskała się z ochronnego kokonu. Dół pleców i biodra bolały, jakby właśnie zeszła z ringu po piętnastu rundach walki. Serce tłukło się w piersi; w nos uderzyły zapachy wojny: krew, przypalona skóra, odchody, zwęglony plastik i metal rozgrzany do czerwoności. Żadna z tych woni nie była jej obca; przeciwnie, wydawały się aż nazbyt znajome. Wzięła się w garść i wyrzała z prowizorycznego okopu, aby ustalić pozycję. Znajdowała się na południowy wschód od miasta, w jakimś obozowisku. W polu widzenia miała trzy budynki – albo raczej to, co z nich zostało.

Wszędzie leżały ciała, jak szmaciane lalki rozszarpane przez zajadłe psy. Uwagę Sary zwrócił ich strój – nie przypominali ani bojowników ISIS, ani nieregularnych oddziałów kurdyjskich. Czyja to była kwatera? Czyżby Iwana Borza? Jeśli tak, czemu ustawił się dokładnie pomiędzy ISIS a tureckimi Kurdami?

Bombardowanie na chwilę ustało, dając Sarze szansę wydostać się z leja. Po drodze zgarnęła z ziemi porzucony karabin maszynowy. Pobiegnęła ku dwóm równoległym budynkom – jeden z nich stał nietknięty, połowa drugiego zawałiła się, najprawdopodobniej niedawno. Minęła plac, który musiał służyć jako lądowisko helikoptera; miał nawet krąg fioletowych lampek i krzyż pośrodku. Przypomniał jej się śmigłowiec strącony – jak jej się zdawało – pociskiem ziemia-powietrze. Zapewne to stąd wystartował.

Czyżby Borz próbował nim uciec? Gdzie w takim razie jest Jason?

Czując, że serce podchodzi jej do gardła, weszła do zrujnowanego budynku przez poszarpaną dziurę w ścianie. Dostrzegła trupa na podłodze, przewróconą ławę, strzaskane krzesła. Na posadzce rozsmarowane były resztki czyjegoś posiłku. Pozostałe pomieszczenia były puste, wyszła więc i skierowała się do drugiego budynku.

Omiotła spojrzeniem studio, mikrofony na wisięgnikach, powieszzone u sufitu reflektory, prowizoryczną konsolę do montażu. Światła były przyćmione, jakby brakowało prądu. Część żarówek pękła i zwisała smętnie. Pod jedną ze ścian syczał głośno wyrwany z gniazdka kabel elektryczny. Sara patrzyła na to wszystko przez chwilę, a potem powoli podeszła do drewnianej sceny. Na samym środku rozlewała się plama tak czarna, że wyglądała jak krawędź bezdennej otchłani. Przykucnęła, wysunęła palec i natychmiast cofnęła dłoń. Nie musiała dotykać powierzchni; od samego zapachu zakręciło jej się w głowie. Podłoga w tym miejscu była zalana ludzką krwią. Tylko górna warstwa była świeża. Posoka wsiąkła w deski, głęboko między włókna drewna. Sara była pewna, że gdyby wyrwała jedną z nich, czarną krew znalazłaby także od spodu.

Już miała się podnieść, gdy zza pleców dobiegł ją znajomy głos:

– Rebeka, to naprawdę ty. Jak się tu dostałaś?

Odwróciła się powoli, czując dreszcz.

– Jason! – zawołała, rzucając się w jego ramiona.

Przez chwilę widział tylko rozmyte brązowe plamy i słyszał tylko szum wiatru. Potem drugi wybuch cisnął nim w bok, dalej od syryjskiej granicy. Spadochron zafalował; niewiele brakowało, a złożyłby się całkowicie. Bourne pociągnął za linki, starając się niwelować wychył. Posypał się na niego grad stopionego plastiku; kilka miejsc na ciele zapiekło nagłym bólem. Szybujących w jego stronę kawałków osmalonej blachy udało mu się uniknąć. Impet ruchu obrócił nim, tak że przez kilka chwil znowu widział kwaterę Borza. Wydało mu się, że dostrzega drugi spadochron, rozedrgany w niespokojnych prądach powietrznych. Potem na ziemi eksplodował pocisk; coś przebiło czaszę spadochronu i skoczek poszybował w dół. Wydawał się zbyt drobny jak na mężczyznę, ale z takiej odległości Bourne'owi trudno było trafnie ocenić proporcje. Później znów zakręcił, tracąc z oczu spadającego skoczka. Przez chwilę mocował się z linami, ale targał nim boczny wiatr, a poza tym i tak był już bardzo nisko.

Na ziemi czekali Kurdowie. Otoczyli Bourne'a kordonem, wyplątali z upręży i zasypali gradem pytań, na które nie znał odpowiedzi.

Trzy razy w tygodniu Abdul Aziz szedł na długi spacer przez kręte uliczki, zatłoczone targowiska i zakurzone podwórza swego ukochanego miasta – Stambułu. Trzy razy w tygodniu z utęsknieniem czekał na moment, kiedy będzie mógł odpocząć od gorączkowej atmosfery swojej firmy importowo-eksportowej i nieustannego jazgotu dwóch synów, którzy cały czas zarzucali go pomysłami na coraz to nowe gadżety i innowacje, zupełnie dla niego niepojęte. Był pewien, że gdyby nie chwile relaksu w ulubionym hammamie, już dawno załamałby się nerwowo.

Abdul oczywiście kochał swoich synów – mieli dużo rozumu, może nawet za dużo. Tydzień po tym, jak przenieśli numery firmowe do telefonii internetowej, okazało się, że przez weekend z jego konta wykonano połączenia o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, chociaż nikt w firmie nic o tym nie wiedział. Jacyś hakerzy z Kazachstanu przekierowali połączenia na wysokopłatne serwery, z czego pobierali procent. „Nic takiego nie miałoby miejsca, gdybyśmy zostali przy zwyczajnym operatorze” – powiedział im wtedy. Co gorsza, internetowa firma telefoniczna odmówiła pokrycia kosztów. Aziz niezwłocznie wrócił do starego operatora i chcąc dać chłopakom nauczkę, potracił stracone pięćdziesiąt tysięcy z ich wynagrodzenia. Bogu dziękować, nie dał się namówić na umieszczenie najbardziej poufnych danych w internecie, skąd mógł je zgarnąć każdy sprytny haker. Powoli dochodzili do wniosku, że w tej branży cybernetycznej gadżety nie były najmądrzejszym rozwiązaniem. W kwestiach bezpieczeństwa tradycyjne, sprawdzone metody często okazywały się najskuteczniejsze.

Przechodząc przez bramę hammamu, Abdul poczuł, że w jego kieszeni wibruje telefon. Ignorując go, zagłębił się w chłodny półmrok przedsionka. Obsługa powitała go, jakby był częścią rodziny prowadzącej hammam od prawie stu lat.

Kiedy wszedł do szatni i zaczął się rozbierać, komórka zatrzęsa się znowu, jakby z gniewem – irracjonalnie czy nie, właśnie takie odniósł wrażenie. Poirytowany chwycił telefon i już chciał go wyłączyć, gdy dotarło do niego, kto dzwoni.

– *Salam alejkum*, przyjacielu – odezwał się.

– *Wa alejkum salam* – odpowiedział Bourne.

Aziz, który pracował już z Bourne’em, zdążył wypracować szósty zmysł.

– W jak poważnych kłopotach się znajdujesz?

– Jestem przy granicy, niedaleko Ajn al-Arab.

– Niech Allah da ci zdrowie! – wykrzyknął Aziz. Wiedział, że lepiej nie pytać, co Bourne robił na granicy z Syrią. W zasadzie wcale nie chciał tego wiedzieć, chyba że Jason uznałby, że ta informacja jest mu potrzebna, a Abdul miał szczerą nadzieję, że tak nie będzie. Zdawał sobie sprawę z lęków, jakie wisały nad Turcją przy syryjskiej granicy. Zagubione przesyłki były najmniejszym z jego problemów. – Jesteś ranny?

– Nic mi nie jest – odparł Bourne.

– Gdybyś zaraz miał się wykrwawić na śmierć, też byś tak mówił. Bądź ze mną szczery.

– Wszystko w porządku, Abdul, przysięgam.

– Na życie tych, których kochasz?

– Tak.

– To dobrze.

Aziz wyraźnie się uspokoił. Z Jasonem człowiek niczego nie mógł być pewien.

– Potrzebna mi twoja pomoc.

– Czegokolwiek sobie zażyczysz, przyjacielu – odrzekł Aziz, myśląc: „To tyle w kwestii spokojnego popołudnia”.

– Samolot poprawiłby moją sytuację na tyle, na ile to w obecnej chwili możliwe.

– Podaj mi swoje współrzędne GPS. – Aziz zapisał je w notatniku, który nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki. – Dobrze się składa, niedaleko od ciebie, pod Suruç, jest nowe lotnisko wojskowe. Na pewno będziesz w stanie zarekwirować na miejscu jakiś pojazd.

– Nie ma potrzeby. Odkąd powiedziałem miejscowym, gdzie stacjonuje oddział ISIS atakujący Ajn al-Arab, wszyscy oferują mi transport.

– Potrzebuję dwudziestu minut na tankowanie i pięćdziesięciu na przelot.

– Dzięki, Abdul. Będę czekał.

– Do zobaczenia – rzucił na pożegnanie Aziz. – Niech Allah ma cię w swojej opiece.

Bourne postanowił spożytkować czas oczekiwania na rozpracowywanie znaczenia trzeciego słowa w rebusie Borysa – „albedo”. Wartość albedo oznacza, jaka część promieniowania padającego na ciało niebieskie jest odbijana, był jednak prawie pewien, że wiadomość Borysa nie miała nic wspólnego z astronomią.

Co jeszcze może oznaczać albo symbolizować to słowo? Przez chwilę się martwił, że może jednak chodzi o promieniowanie, ale założenie, że rosyjski prezydent chce posłużyć się bronią jądrową, było zbyt nieprawdopodobne – nawet jak na szaleńca. Z kraju, który chciał na powrót przygarnąć, nie zostałyby nic. Z samej Federacji zresztą też, bo coś takiego nieuchronnie skończyłoby się krwawym odwetem ze strony Zachodu.

Przywołał cały rebus – cztery zestawy symboli. W pierwszym była zakodowana data, odległa o trzydzieści trzy godziny; drugi krył wskazówkę „śledź pieniądze”, trzeci słowo „albedo”. A może się pomylił? Aż podskoczył, orientując się nagle, że prawdopodobnie źle przetranskrybował ukryty w symbolach ciąg liter. Nie „albedo”, tylko „tewahedo”, słowo z języka gyyz oznaczające spójną naturę. Kojarzyło mu się to wyłącznie z Etiopskim Kościołem Ortodoksyjnym Tewahedo, jedną z wschodnich

odmian chrześcijaństwa.

Bourne wiedział, że jego patriarchat znajduje się w Asmarze, stolicy Erytrei. Tam właśnie zamierzał się udać. Wiozący go samochód zatrzymał się przy wjeździe na lotnisko; jeden z czuwających nad Bourne'em Kurdów wdał się w ożywioną rozmowę z wartownikami. Bourne uznał, że chyba są spokrewnieni, bo rozmawiali o jakimś przyjęciu. Po chwili strażnik podniósł szlaban i pomachał im wesoło.

Nad głową słyszał huk silników prywatnego odrzutowca Abdula, który sunął po niebie niczym srebrna strzała. Kierowca dżipa zwolnił i zatrzymał się przy pasie startowym.

„Jest mój rydwan” – pomyślał Bourne, kiedy ciąg bijący z potężnych silników owiał mu twarz.

Sara oparła czoło o pierś Bourne'a i natychmiast się zorientowała, że coś jest nie tak. Niezawodny instynkt kochanki wychwycił różnicę – nie te mięśnie, nie ten rytm serca, a już na pewno nie ten zapach.

– Co...

Było już jednak za późno. Poczowała ukłucie z lewej strony szyi, a ściany pokoju się rozmyły. Próbowwała odepchnąć oszusta z twarzą Jasona, lecz ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Kiedy ugięły się pod nią kolana, chwycił ją i ostrożnie ułożył na wysmarowanych krwią deskach.

Popatrzyła na pochylającą się nad nią twarz Bourne'a. Wiedziała, że to nie on, lecz stopień podobieństwa przyprawiał ją o mdłości. Była w pełni świadoma, lecz zupełnie sparaliżowana. „Wstrzyknął mi rohypnol – pomyślała. – Podstawowy składnik pigułki gwałtu”.

Siadając jej na udach, zapytał:

– Powiedz, jak się czujesz kompletnie bezradna?

Zdała sobie sprawę z otaczającej ich ciszy. Jego głos wznosił się ponad nią jak wieża z kamienia. Bombardowanie ustało, przynajmniej na moment. Paraliż sprawił jednak, że ta nagła przerwa w działaniach wojennych wydała jej się straszniejsza niż wcześniejszy atak. Spuściła ze smyczy jej strach, który rósł z każdą chwilą, przejmując nad nią kontrolę.

– Pozwoliłem, by Bourne wymknął mi się z rąk. Miałem go tu, ale uciekł. Ale nie martw się, niebawem znowu go wytropię. – Pochylił się tak nisko, że poczuła jego oddech, nieświeży jak u najedzonego drapieznika. – A teraz dostałem nagrodę pocieszenia, najlepszą z możliwych. Jesteś ze mną ty, Rebeko. Nareszcie razem.

Podniósł ręce i powoli, sztuka po sztuce, zaczął zdejmować z siebie wszystkie woskowe elementy; wyjął szkła kontaktowe, startł ze skóry warstwy farby, które zamieniły jego oblicze w twarz Jasona Bourne'a.

– Oto jestem i pokazuję ci prawdziwe oblicze.

Było to oblicze mężczyzny, który wpadł na nią w Moskwie, zabrał jej wisiołek w kształcie gwiazdy i wbił go w krwawiącą ranę, jaką wykroił w gardle Borysa Karpowa.

Iwan Borz. Oczywiście, to nie było jego prawdziwe imię – na pewno nie. Miał więcej fałszywych papierów niż ona. Chciała go o to zapytać, lecz nad ustami też nie miała władzy.

Jakby słysząc jej myśli, pochylił się nad nią i wyszeptał:

– Ani Iwan, ani Borz. Najdroższa Rebeko, tobie jedynej zdradzę swoje prawdziwe nazwisko. Radu Ozer, miejsce urodzenia nieznane, rodzice też. Innymi słowy: sierotka w zawierusze. Moim zdaniem miałem szczęście, że nie poznałem rodziców. Nie życzę sobie patrzeć, jak ludzie się starzeją, słabną i umierają. – Zaczął powoli rozpinać koszulę. – Bezdomny i bezlitosny, taki właśnie byłem. Spaliłem na popiół dom rodziny zastępczej, z nimi w środku. To było w Rumunii, w Karpatach. Znasz opowieści o rumuńskich matkach? Wszystko prawda. Nie mają ani krzty współczucia, najmniejszej potrzeby, by dziecko pogłaskać albo przytulić. Rumuni lubią kąsać... Mój starszy brat lubił, zanim usmażyłem go na skwarek. Stałem na podwórzu i słuchałem, jak wrzeszczą. Matka próbowała uciekać frontowymi drzwiami. Zagoniłem ją z powrotem jej własną miotłą. Wróciła do środka, na swoją zgubę. Nie musiałem się martwić o konsekwencje. Każdy prawnik wart swojej ceny wyliczyłby wszystkie okropności, którym mnie poddawano. Argumentowałby sędziemu, że działałem w obronie własnej i pewnie by go przekonał.

Ludzie uwierzą we wszystko, nie sądzisz? Prawda jest taka, że upajałem się każdą chwilą, kiedy dom zjadały płomienie, a ja wiedziałem, że oni tam są, że skóra złazi im z mięśni i ścięgien, że tłuszcz się rozpuszcza, a cała reszta czernieje na węgiel. A kiedy wpychałem swoją zastępczą matkę z powrotem w gorejące piekło, o mało nie dostałem orgazmu. – Zrzucił koszulę, ukazując nagą pierś. Skórę miał ciemną jak Arab, pokrytą gęstą siatką wypukłych blizn, białych i różowych. – Podoba ci się ta arabeska? Powstawała powoli. To jakby mapa pielgrzymiej podróży, umowy biznesowe i powiązania oplatające cały świat jak pajęczyna... Szał zabijania przeszedł mi nagle, kiedy udało mi się nakraść i przywłaszczyć wystarczająco dużo, żeby założyć własny interes. Wtedy wszystko się zaczęło, metamorfoza zwyrodniałej larwy w bezwzględną ćmę. A to był tylko początek. – W jego dłoni pojawił się nóż. Ostra końcówka oparła się o mostek Sary, dokładnie między piersiami. – Wiem, że skrzywiłabyś się teraz, gdybyś tylko mogła. Ale czemu, najdroższa Rebeko? Bourne jest dokładnie taki sam jak ja, obaj jesteśmy wysokofunkcjonującymi socjopatami. Ten zaszczytny poziom osiąga niewielu, a ciebie pociągamy i on, i ja. – Delikatnie przesunął palcem po linii jej szczęki. – Jak to o tobie świadczy? Masz w sobie tyle samo z morderczyni, co każdy z nas. Zabijasz na rozkaz. Gdybym nie zabrał się za to sam, zadanie likwidacji Borysa Karpowa przypadłoby tobie. Prędzej czy później los skrzyżowałyby wasze drogi, a on nie wyszedłby z tego żywy. Jak widzisz, wszyscy bawimy się w tej samej piaskownicy. Mamy takie same umiejętności, te same zabawki. Wiemy, jak odebrać komuś życie i przejść nad tym do porządku dziennego, dopóki znów nie trzeba będzie rozlać krwi. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Na pewno się ze mną zgadzasz, chociaż chwilowo nie bardzo możesz to potwierdzić. Raz za razem powtarzają nam, że każdy w końcu przyznaje się do swoich grzechów. Do najpodlejszych kłamstw. Ja nie mam żadnych grzechów na sumieniu. Tak jak ty, tak jak Bourne, żyłem pełnią życia! Oto cała esencja i suma. Ja żyłem, inni umierali. Czy nie tak działa Matka Natura? Oczywiście, że tak. Spodziewałem się ciebie nieco wcześniej, bo ostatnio pojawiaasz się wszędzie tam, gdzie Jason. Tyle i tylko tyle chciałem osiągnąć, mordując Karpowa. Bourne miał podążać śladem okruszków, jak to on potrafi, a ty, moja kochana, poszłabyś za nim jak cień, prawda? Ukradłem ci coś cennego, wykorzystałem to, by pokazać wszystkim twoje oblicze morderczyni. Prawdziwe oblicze. – Jego śmiech zabrzmiał ostro, metalicznie. Jak broń. – Zastanów się, które z nas jest terrorystą, ty czy ja? – Odwrócił twarz i splunął. – Mogłem cię zabić na ulicy, kidońska suko, ale to by było za łatwe. Nawet byś nie cierpiała, a cała sprawa między nami opiera się o cierpienie. – Jego nozdrza drgnęły, jakby poczuł jej zapach. – Czekałem na ciebie w Kairze, ale nie przyjechałaś. Już prawie straciłem nadzieję. Kiedy zobaczyłem, jak spadasz mi z nieba w chmurze popiołu i dymu, nie mogłem uwierzyć, jak daleko byłaś gotowa się posunąć, żeby go znaleźć. – Popatrzył na nią tak łagodnie, że aż przerażająco. Niczym u psychopaty udającego współczucie, ten uśmiech był niestosowny, nie pasował do sytuacji. – I tu dochodzimy do głównego wątku. Do ciebie i mnie. Mogę wybaczyć wiele rzeczy, *yakirati*, ale ty dopuściłaś się czynu niewybaczalnego. Przez ciebie straciłem pieniądze. Naprawdę dużo pieniędzy. Zepsułaś mój wizerunek. Przez twoją ingerencję ucierpiały moje interesy. Odzyskanie zaufania klientów zabrało mi sporo czasu.

Sara czuła się tak, jakby została zanurzona w lodowatej wodzie. Była tak zziębnięta, że wszystkie kości zdawały się kruche, gotowe się roztrzaskać pod najlżejszym naciskiem. Nie miała jak odwrócić wzroku od twarzy człowieka, którego o mały włos nie zabiła, którego spotkała później na ulicy w Moskwie, który skradł jej najcenniejszą pamiątkę. Myśl o tym, że miał jej ukochaną gwiazdę, była niczym nóż w trzewiach, którego nie da się wyciągnąć.

Rozdarł jej koszulę i ponownie oparł nóż między piersiami. „Musi być stąd jakieś wyjście, powiedział błazen do łotrzyka”. Zapewne Bob Dylan nigdy nie patrzył na swój metafizyczny tekst w tak dosłowny sposób. A tu proszę, niczym pomyślony błazen prowadziła w myślach rozmowę z pochylającym się nad nią łotrem.

– Nie ma dla ciebie nadziei – powiedział. – Nie wyjdiesz stąd żywa.

Rohypnol działa na ośrodkowy układ nerwowy. Poza niedostępnymi Sarze farmaceutykami, jego wpływ neutralizowała głównie adrenalina. Podczas szkolenia na agentkę Kidonu nauczyła się, jak sztucznie podnosić jej poziom w organizmie przed walką albo ucieczką. Takie działanie było jednak niebezpieczne. Prowadziło na przykład do wzmożonego krwawienia, co o mały włos nie zabiło jej w Meksyku, kiedy Bourne był pewien, że już po niej. Musiała jednak zaryzykować bliskie spotkanie ze śmiercią albo biernie poddać się wszystkim torturom, które szykował dla niej Radu Ozer. Poza tym nie miała pewności, czy znany jej sposób zadziała w organizmie odurzonym narkotykiem.

Kiedy Ozer rozciął jej skórę i zamoczył czubek noża w jej krwi, Sara rozpoczęła rytuał. Wycofała świadomość głęboko do środka, do gruczołów w grzebieniu nerwowym. Adrenalina pełni między innymi funkcję neuroprzekaźnika, który rozpala zakończenia włókien nerwowych, stymulując je i zwiększając tempo reakcji.

Nie była w stanie zamknąć powiek, patrzyła więc, jak ostrze wgryza się w jej ciało.

– Co by tu zrobić, hmm... – zastanawiał się Ozer. – Może naznaczę cię krzyżem pańskim?

Skupiła się na części organizmu, która pozostawała spokojna i nieruchoma – na układzie limbicznym, najbardziej prymitywnym i najlepiej chronionym ośrodku mózgowym. Miejscu, które zawsze miała tylko dla siebie. Dostawszy się do tej fortecy, wprowadziła się w stan głębokiej agresywnej medytacji. Sama idea wydawała jej się sprzeczna, nielogiczna, lecz nauczyciele udowodnili jej skuteczność. Obejmowała świadomością coraz szersze obszary, starannie omijając miejsca, które już skapitulowały pod naporem rohypnolu. Gruczoły dokrewne zaczęły pracować. Rozkręcenie ich do pełnej mocy wymagało wysiłku, bo już zostały zaatakowane i reagowały powoli. W końcu jednak nagięły się do jej woli.

– A może lepiej gwiazdą Dawida, jak przystało na Żydówkę?

Ignorując zaczepki i potęgujący się ból, Sara poczuła, jak opuszki jej palców przesuwają się o milimetr. Zamrugła – czyli odzyskała władzę nad powiekami. Poczuła, jak ciepła fala adrenaliny rozlała się po jej kościach, potem po mięśniach i tkankach. Jak rzuca się do zacieklej walki o kontrolę nad jej układem nerwowym. Kąciki jej ust drgnęły, uniosły się w półuśmiechu. Ozer, zapatrzony w strumyki jej krwi, nie zauważył nic.

– Błogosławieństwo na przyszłość – mamrotał. – Wziąłbym cię teraz siłą, jak brałem wiele innych, ale nie chcę się zbrukać, Żydówko. Jesteś bydłem.

Nie czuła bólu, a jedynie rwący strumień ciepła biegnący po ciele, przyspieszone tętno, szaleńczy rytm serca, które wściekle obijało się o żebra jak o kraty więzienia. Była to jednak zimna wściekłość – jej umysł pozostał klarowny; każda myśl łączyła się z następną, tworząc wzór celowy jak linie światłowodów.

Gdy Ozer pochylił się, by zrobić kolejne nacięcie, gwałtownie poderwała głowę i ugryzła go w twarz, zatapiając zęby w dolnej wardze. Szarpnęła się, wyrывая kawał skóry i mięsa.

Był tak oszołomiony, że zanim wyrwał się z odrętwienia, krew zdążyła wypełnić całą jamę ustną. Sara tymczasem wbiła kciuk w jego prawe oko i pokonała opór, przebijając siatkówkę i gałkę oczną. Jej paznokieć wraził się w delikatną tkankę, w błony oddzielające oko od mózgu.

Usłyszała nieludzki wrzask, jakby zew nocnego stworzenia w agonii, która w pewnym sensie bywa formą ekstazy. Ale nie tu, nie teraz. Nie z nim. Jego cierpienie wzmogło się jeszcze, kiedy wyrwała mu

z ręki nóż, którym instynktownie chciał się posłużyć. Mogła wbić ostrze w jego drugie oko, oślepić go, ale takie działanie miało się z celem.

Fizyczny wstrząs nadszedł z opóźnieniem. Gdy ciało Oзера wygięło się spazmatycznie, Sara przewróciła go na plecy, usiadła na jego udach i uniosła nóż, jeszcze czerwony od jej krwi.

– Idealne narzędzie do nacinania, Radu – powiedziała z ponurym uśmiechem. – Wiem o twoich przejściach z kobietami. Wiem, które z nas zasługuje na epitet „bydło”. Chodź zatem, bydlaku. Teraz to ja przerznę cię.

Odwróciła się, czubkiem noża rozdarła mu spodnie w kroku, a potem spokojnie i bardzo powoli przecięła jego członek na pół.

Ozer zawył, próbował odsunąć się od niej, ale trudno było mu się ruszać, a co dopiero uciekać. Sunął tyłem po podłodze, znacząc ją śladem krwi.

Chwilę patrzyła na niego z zimnym obrzydzeniem, jak na wyjątkowo odpychającego robaka. Potem ruszyła za nim. Złapała go za włosy, teraz już mokre i tłuste od potu, i przytrzymała w miejscu.

– Boli, prawda, Radu? – Dokończywszy dzieła, zamachała mu przed oczami odciętym członkiem. – Zważysz na szkody, jakie spowodowałeś tym narzędziem, chyba lepiej będzie ci je zabrać. – Przyjrzała się jego twarzy. Niektóre mięśnie wykrzywił ból, inne zdrętwiały od fizycznego wstrząsu. – „Monarszym głosem zabrmi po tej ziemi, wszystkie psy wojny puszczając ze smyczy”¹³. – Rzuciła różowy okrwawiony ochłap w kąt. – To właśnie zrobiłeś, Radu. – Zacisnęła palce wplątane we włosy Oзера i gwałtownie potrząsnęła jego głową. – Nie, nie dam ci spać. – Uderzyła go otwartą dłonią w policzek. – Nie spuszczaaj ze mnie zdrowego oka, Radu. Jestem psem wojny, którego spuściłeś ze smyczy. Widzisz mnie, widzisz koniec swego żywota. – Uniosła nóż. – Teraz to twoja krew po nim spływa. A zanim z tobą skończę, będzie jej jeszcze więcej.

Jego usta wykrzywiły się w makabrycznym uśmiechu, który był zarazem grymasem potęgującego się bólu. Endorfiny pewnie już się wyczerpały.

– Ty chcesz przesłuchiwać mnie?

Próbował się roześmiać, ale niemal się zadławił zakrzepłą krwią, którą wypłuł. Skrzep leżał teraz między nimi, namacalny dowód ludzkiej słabości.

Sara podniosła się i z impetem wbiła mu nóż w śródstopie, przyszpilając go do podłogi. Zapinając koszulę, podeszła do jednej z kamer. Pierś piekła bólem i nie przestawała krwawić. Na tkaninie pojawiły się ciemne plamy, jak cienie pożerające światło słońca.

Stała za obiektywem. Przez wizjer obserwowała, jak sponiewierany Ozer bezskutecznie próbuje wyciągnąć nóż ze stopy. Miotał się jak owad przybity do stołu entomologa.

Ustawiła kamerę i zaczęła nagrywać. Następnie zajrzała za foliową płachtę, do centrum sterowania. Po dwudziestu sekundach oględzin wiedziała już wszystko o konsoli. Widywała podobny sprzęt, nawet korzystała z niego jako nastolatka.

Włączyła streaming. Odtąd cały obraz i dźwięk był przesyłany na kanały YouTube’a. Sara podeszła do sceny, przysunęła sobie krzesło i usiadła poza okiem kamery, lecz w zasięgu potężnego mikrofonu, który ustawiła w połowie drogi między sobą a Ozerem.

– Witajcie, drodzy widzowie. Przed wami leży Iwan Borz, prawdziwy Iwan Borz, nie jeden z jego sobowtórów. Wyjawiał swoje faktyczne nazwisko: Radu Ozer. Jego autentyczność jest jednak wątpliwa. Kłamca pała czasem do zmyślonej przez siebie historii taką miłością, że sam bierze ją za prawdę. Ludzie są mistrzami w sztuce oszukiwania samych siebie, mało co wychodzi im lepiej.

Nim zdążyła powiedzieć coś więcej, w drzwiach stanął wysoki, szczupły mężczyzna.

– *Subhanallah* – odezwał się. – Udało mi się wreszcie przekonać ISIS, żeby przestali strzelać, ale...

Przerwał w pół zdania, rejestrując makabryczną scenę, którą miał przed oczami. Przeszedł przez

studio i wyłączył kamerę.

– Co tu się dzieje?

– El-Amir – wycharczał Ozer, ale więcej nie miał siły powiedzieć.

Sara wstała i stanęła przed El-Amirem.

– *Salam alejkum.*

– *Wa alejkum salam.* Co pani zrobiła Iwanowi?

Uśmiechnęła się, nie tracąc kontroli nad sytuacją.

– Jest pan bratem Amiry, prawda?

– A pani kim jest?

– Rebeka.

– Najgorsze ścierwo z Mossadu – wydusił z siebie Ozer. – Z Kidonu.

Brwi El-Amira uniosły się.

– To prawda?

– Przede wszystkim – odezwała się Sara poważnym tonem – jestem kobietą, którą tak zwany Iwan

Borz próbował zabić.

– Nie słuchaj jej – rzucił Ozer. – To wariatka. Myli mnie z kimś.

El-Amir zamarł, bijąc się z myślami.

– Komu zaufasz, El-Amirze? Drapieżnikowi czy ofierze? – Przekrzywiła głowę, pokazując mu ślad po igle na szyi. – Wstrzyknął mi rohypnol.

– To jakim cudem jest pani w stanie ustać na nogach? Albo cokolwiek powiedzieć? Jakim cudem zrobiła mu pani... to?

– To więdźma.

Ozer za późno się zorientował, że tym komentarzem się zdradził. El-Amir odwrócił się na pięcie. Przy boku miał broń, której Sara wcześniej nie dostrzegła. Spięła wszystkie mięśnie, ale on przeszedł przez studio, wyjął pistolet z kabury i z bliskiej odległości strzelił Ozerowi w głowę.

Potem skinął ręką na Sarę.

– Proszę za mną.

Poprowadził ją do pierwszego budynku, który przeszukała. Jak widać, nie dość dokładnie, bo pod wytartym dywanem była kłapa. Zejście do podziemi.

– Jak się miewa Amira? – zapytał El-Amir. – Odkąd zabrakło ojca, musi być jej ciężko.

Sara nie była pewna, czy powinna od razu przyznać, że Amira została ranna.

– Mówiła, że pieniądze, które od ciebie dostaje, bardzo się przydają.

– To dobrze, bardzo dobrze. – Pokiwał głową. – Cieszy mnie to... Krwawi pani spod koszuli.

– To nic.

– Pozwoli pani... – Delikatnie rozpiął koszulę Sary. – Dobry Boże, to wcale nie jest nic. Proszę tu zostać.

Podszedł do szafek i wyjął jakieś pudełko. Za pomocą jego zawartości zdezynfekował rany, nałożył środek antybakteryjny, a potem opatrunek.

– Dziękuję panu – powiedziała Sara, zapinając koszulę.

Zbył jej podziękowania ruchem ręki i podniósł ciężką kłapę. Zsunęli się po drewnianej drabince do leżącego niżej pomieszczenia.

– Siostra bardzo za panem tęskni – odezwała się Sara. – Chciałaby, żeby pan wrócił do Kairu.

– Pewnego dnia wrócę. – El-Amir uśmiechnął się smutno. – Jeśli taka jest wola boża, to niedługo.

– Bardzo ją pan tym uszczęśliwi.

– Moja mała Amira zasługuje na szczęście.

Stali na zakurzonym klepisku. Grunt ugiął się pod stopami Sary, kiedy szła za El-Amirem ku ogrodzonej kratami celi.

W kącie celi kulił się wymizerowany człowiek. Włosy miał splątane, twarz pokrytą brudnym zarostem i poplamiony mundur.

– Brytyjskie siły specjalne – rzuciła Sara.

– Oficer łącznikowy – potwierdził El-Amir, otwierając drzwi celi. – Miał być stracony przed kamerami, jak wielu przed nim. Może pani się uda z nim porozmawiać.

– Pan przodem.

El-Amir wzruszył ramionami i wszedł do środka. Ostrożnie podążyła za nim. Więzień podniósł głowę i popatrzył na nią przytomnymi oczami.

– Nie... – rzucił chrapliwie.

Po karku Sary przebiegł dreszcz; odwróciła się, ale zbyt wolno. El-Amir uderzył ją w skroń, przewracając na ziemię.

Chwilę później był już po drugiej stronie krat, a automatyczne drzwi celi zamknęły się z trzaskiem.

Pierwszy odcinek podróży samolotem z tureckiej bazy wojskowej był naprawdę nieprzyjemny. Prywatny pilot Abdula musiał przez cały czas manewrować, by zapewnić im bezpieczeństwo. Strzelano do nich, namierzano radarem, raz nawet ktoś chciał na nich nakierować rakietę ziemia-powietrze, ale głowica przedwcześnie eksplodowała, zabijając obu operatorów.

Bourne był pod wrażeniem umiejętności i opanowania pilota, nawet pod ostrzałem, i nie wahał się wyrazić swojego podziwu. Po czterdziestu minutach niemiłych wrażeń wylecieli z niebezpiecznej przestrzeni, a dalszy lot przebiegał bez zakłóceń, miał więc czas, by wyjaśnić Abdulowi Azizowi powagę sytuacji: za trzydzieści godzin Samowładca miał wydać rozkaz rozpoczęcia inwazji na Ukrainę, być może wywołując tym samym trzecią wojnę światową. Borys odkrył jego plan, który zakładał potajemne dozbieranie ISIS celem odwrócenia uwagi zachodnich mocarstw od kwestii Ukrainy. Co więcej, Samowładca korzystał w tym celu z nielegalnie zarobionego kapitału Iwana Borza. Oznaczało to, że prezydent Rosji wszedł z Borzem w konszachty. Bo czemu nie? Nie mógł przecież kontaktować się z ISIS za pośrednictwem nikogo z FSB – a już na pewno nie Borysa, który od razu by odmówił. Ilu oficerów zrobiłoby to samo? Znacznie bezpieczniej było poszukać kogoś spoza struktury politycznej Federacji. Idąc dalej tym tropem, można było uznać, że Borz był już w stałym kontakcie z najwyższymi dowódcami ISIS. Był zaufanym człowiekiem. Tylko co skusiło Borza? Pieniądze? Prezydent Rosji nie miał żadnych na zbyciu. Co jeszcze mógł mu zaoferować? Coś bardziej wartościowego od pieniędzy? Oczywiście, mógł obiecać, że da Borzowi wolną rękę we wszystkich innych aspektach jego działalności, nawet jeśli w grę wchodziłaby rosyjska broń. A przez cały ten czas za pośrednictwem Mika po cichu podbierał miliony z jego konta. Na myśl o tym Bourne nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Abdul był wstrząśnięty – i trudno było mu się dziwić. Po dłuższej chwili powiedział:

– Ciekawe, że Samowładca uciekł się do kradzieży, zamiast zapłacić z zysków, jakie Kreml czerpie z ropy. Znaczy to, że zasoby pieniężne Rosji stopniały bardziej, niż ktokolwiek podejrzewa.

– Racja – zgodził się Bourne. – Samowładcy brakuje funduszy. Nie miał wyboru. Jeśli chodzi o finanse, Federacja ma braki. Aneksja Ukrainy, a potem może krajów bałtyckich, to desperacka próba wypchania kiesy, ustawienia Rosji na stabilnym gruncie.

Abdul pokiwał głową.

– To ma sens. Od kilkudziesięciu lat Samowładca bogacił się na handlu ropą, zgarniając miliardy. Teraz to wszystko wymyka mu się z rąk.

– Cena ropy spadła niemal o pięćdziesiąt procent, przyszedł więc czas na drastyczne kroki. Zaczęli wygrzebywać pieniądze z najciemniejszych zakamarków, które Samowładca dotąd ignorował.

– Kradł, i do duże sumy, od jednego ze swoich głównych pośredników. – Abdul postukał palcem w podłokietnik. – To oznacza, że w ten proceder był zamieszany bank Rossija. Słyszałeś o nim?

Bourne pokręcił głową i rozłożył ręce.

– Prawie nikt o nim nie słyszał. Ja wiem tylko odrobinę, widziałem wierzchołek góry lodowej, bo miałem do czynienia z jednym z kolegów Samowładcy. Płacił mi właśnie bank Rossija. Wiem tylko tyle, że to prywatny bank prezydenta. Nikt spoza wewnętrznego kręgu nic więcej nie wie.

– Może niekoniecznie. Masz tu telefon satelitarny?

– Oczywiście.

Abdul sięgnął do kieszeni na oparciu siedzenia i podał Bourne'owi aparat.

– Mam się przesiąść do kokpitu?

Bourne gestem dał mu znać, że nie musi się ruszać, jednocześnie wystukując na klawiaturze ciąg cyfr.

– Tu Bourne – odezwał się, kiedy Wołkin odebrał połączenie.

– Nie teraz, Jasonie. Jestem w drodze na Szeremietiewo po zwłoki Aleksandra.

– Najszczęsże kondolencje, Iwanie, ale potrzebna mi twoja pomoc, a liczy się czas.

Westchnienie dało się słyszeć nawet przez szum w słuchawce.

– No dobra, dawaj.

– Powiedz mi, co wiesz o banku Rossija.

– Mówisz o osobistym banku Samowładcy i jego obrzydliwych znajomków z najwyższego szczebla. –

Wołkin, jak to on, nie zadawał pytań, na które nie spodziewał się otrzymać odpowiedzi. – Został założony na początku kariery Samowładcy w Petersburgu, kiedy należał do KGB. Już wtedy miał przyjaciół i pomagierów na szczycie. Wiem, bo widziałem to wszystko na własne oczy. Widziałem, jak igrali z systemem. Gorzej, zmieniali go wedle swojej woli. Wtedy właśnie postanowiłem zejść do podziemia. – Bourne usłyszał w słuchawce dźwięk, który mógł być splunięciem. – Tak czy inaczej, cała ta koteria założyła bank Rossija i do dziś nim zarządza.

– A gdzie on jest? W Petersburgu?

– Tego nie wiem. Nikt spoza otoczenia Samowładcy nie dysponuje tą wiedzą.

– Daj spokój, Iwanie. Bank, i to działający na międzynarodową skalę, nie może wiecznie pozostawać w ukryciu.

– Temu się udaje. – Wołkin ponownie westchnął. – Rosja to Rosja, Jasonie. Tutaj wszystko jest możliwe, szczególnie jeśli chodzi o ekstrakcję pieniędzy.

– Dziękuję, Iwanie. Jedź odebrać ciało wnuka.

– Jest jeszcze jedna rzecz... To tylko plotka, więc traktuj ją... No, sam wiesz, ile w tym kraju warte są plotki.

– I tak chcę ją usłyszeć.

– Mówi się, że bank cienko przędzie.

– Jak cienko?

Niemal usłyszał, jak Wołkin wzrusza ramionami.

– Kto to wie? Zresztą, może to nawet nie jest prawda.

– I jak? Dowiedziałeś się czegoś? – zainteresował się Abdul, kiedy Bourne oddał mu telefon.

– Nie za wiele – odpowiedział tamten i zreferował przyjacielowi garść informacji, którą przekazał mu Iwan Wołkin. – Nic nam to nie pomoże. Jeśli nie uda nam się znaleźć tego banku... – Zawiesił głos. Reszta zdania i tak była oczywista.

Abdul wstał, popatrzył na Bourne'a bystro i powiedział:

– Pójdę pogadać z pilotem. Jego żona właśnie urodziła chłopca.

Bourne z roztargnieniem kiwnął głową. Rozważał słowa Wołkina. Jeśli plotka nie była wyssana z palca i bank Rossija istotnie cierpiał na niedobór kapitału, to podążali fałszywym tropem. Biorąc pod uwagę tę możliwość, wycofał się w zacisze swojego umysłu, po raz kolejny koncentrując się na zagadce Borysa.

Samowładca przerwał pasmo sukcesów Iwana Borza. Bourne mógł zrobić to samo z nim, pod warunkiem, że rozwiąże rebus na czas. „Śledź pieniądze”. Inwazję można było powstrzymać tylko w jeden sposób: zakręcając kurek z pieniędzmi bezpośrednio u źródła. Trzeba znaleźć bank, dostać się do konta... Bourne był pewien, że zna jego lokalizację. Teraz musiał tylko rozszyfrować czwartą i ostatnią grupę symboli, która zapewne kryła ciąg cyfr będących hasłem dostępu do konta.

Mało prawdopodobne, by Samowładca finansował tę niesprawiedliwą, nierówną wojnę pieniędzmi ze swojego prywatnego banku. Byłoby to zbyt bezpośrednie działanie. Poza tym jeśli plotka przekazana przez Iwana była prawdziwa, na pewno nie chciał, by te konkretne pieniądze wiązano z jego osobą. Im dłużej Bourne rozważał sytuację z perspektywy Samowładcy, tym większej nabierał pewności, że aby utrzymać plan w absolutnej tajemnicy, należało skorzystać z usług bezpiecznego banku z zewnątrz. Musiała to być mało znana instytucja. Jej siedziba też musiała znajdować się w odległym miejscu, w którym nikomu nie przyszłoby do głowy szukać pieniędzy Samowładcy. A trzeci element w rebusie Borysa było: „tewahedo”, od Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego z patriarchatem w Asmarze, bardzo odległym i mało znanym miejscu.

– Kupcy i biznesmeni. – W głosie El-Amira słychać było pogardę. – Gdy przyjdzie co do czego, wszyscy okazują się tacy sami. Bezdušní i chciwi. Wyświadczyła mi pani nie lada przysługę, utaczając mu trochę krwi. Dzięki temu łatwiej było go zabić. W zupełności się z panią zgadzam: Iwan Borz dostał to, na co zasłużył.

– Radu Ozer – sprostowała Sara, chwytając się krat. – Tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko.

– Tak słyszałem. – Wzruszył ramionami. – To, co zwiemy gównem, pod inną nazwą tak samo by pachniało.

Popatrzył na nią uważnie i zmarszczył brew.

– Dobrze się pani czuje? Nienajlepiej pani wygląda. Wszystko w porządku? To dobrze, do rzeczy... Od dawna łamałem sobie głowę nad tym, jak pozbyć się Borza. Wymyśliłem, że może mi w tym pomóc nalot ISIS. Brudną robotę zawsze lepiej załatwiać cudzymi rękami. Tak się robi w telewizji i showbiznesie, nie? Z perspektywy czasu przyznaję, że organizować bombardowanie, aby zabić jednego człowieka, to jak rzucać się ze strzelbą na mysz. Sposób brutalny, ale niezbyt skuteczny. Ale dzięki pani i pani niezaprzeczalnie profesjonalnej pomocy wystarczyła kulka w łeb.

– Myśliwy tropi zwierzynę, a potem ją zabija. Tchórz łapie swoją ofiarę w sidła i czeka, aż ta zacznie z desperacji odgryzać sobie łapę. Wtedy pakuje jej kulkę.

– Tak czy inaczej, ofiara ginie. – El-Amir nie wydawał się urażony. – Zresztą ofierze jest wszystko jedno, kto odbierze jej życie, myśliwy czy tchórz. W obu przypadkach skutek jest ten sam.

– Ale tchórz zna siebie i swoją naturę – odparowała Sara. – Skutek dla żywych...

– ...jest taki, że żyją – dokończył za nią El-Amir. – I o to właśnie chodzi, pani Rebeko. – Na jego twarz wypłynął uśmiech. – Pozwoli pani, że wyjaśnię, co osiągnąłem, zabijając Borza. Otóż mam teraz na swoje rozkazy osiem batalionów żołnierzy w pełni oddanych Allahowi. Z dnia na dzień ich liczba rośnie dzięki mojej szeroko zakrojonej kampanii werbunkowej w mediach społecznościowych. Mam dostęp do dostaw broni z zagranicy, do części amerykańskich zrzutów przeznaczonych dla Kurdów, do strumienia amerykańskich dolarów. Moje powiązania sięgają meksykańskich karteli, albańskiej mafii i najważniejszych handlarzy opium ze Złotego Trójkąta. Mam też ropę. Nie zapominajmy o złożach, które są teraz pod naszą kontrolą. – Rozłożył szeroko ręce. – To wszystko jest teraz moje. Dzięki pani.

– Nie chce pan żyć w ten sposób, El-Amir – odezwała się Sara. – Czemu pozwala się pan mamić tak wypaczoną wersją nauk Allaha?

– Żydówka chce mnie pouczać na temat islamu? Poważnie?

– Izraelici i Arabowie nie różnią się od siebie aż tak bardzo. To dwa ludy semickie.

– O bardzo różnych wizjach przyszłości Bliskiego Wschodu.

– Co powie pańska siostra?

– Amira jest idiotką.

Słyszając to, Sara zrozumiała, jak głęboko sięgnęła indoktrynacja, której został poddany El-Amir. Pojęła, że gdziekolwiek podziela się jego dawna osobowość, nie było dla niej powrotu. Z niechęcią myślała o tym, co się stanie dalej. Amira będzie zrozpaczona, ona sama jednak nie była w stanie nic na to poradzić. Logiczne argumenty przegrywają w walce z wiarą lub pozorami wiary, które zaślepiają człowieka jeszcze bardziej.

– Bourne – odezwała się. – Był tu, prawda?

– Owszem. Miałem transmitować jego śmierć na cały świat.

Serce Sary na moment zgubiło rytm.

– Ale tak się nie stało.

– Niestety. Wystąpiły nieoczekiwane okoliczności.

– Gdzie jest teraz?

– Bourne? Odleciał. Ukradł nasz helikopter.

Przypomniała sobie śmigłowiec strącony rakieta ziemia-powietrze, czując ucisk w żołądku. „Nie, nie, nie – powtórzyła w myślach. – Jeszcze jest szansa...”

– Dokąd poleciał? Widział go pan?

– Na północ. W kierunku granicy z Turcją.

Zacisnęła na kratkach pobielające palce, żeby nie osunąć się na ziemię z rozpacz. Jason nie żyje. To niemożliwe, po prostu niemożliwe. Może widziała jakiś inny śmigłowiec, chociaż w tej okolicy nie mogło ich latać zbyt wiele... Serce podpowiadało jej jednak, że to Jason siedział za sterami rozbitej maszyny.

El-Amir pochylił się do niej, niewłaściwie interpretując jej nagłą reakcję.

– Pani Rebeko... Naprawdę myślała pani, że wrócę z panią do Kairu?

Nadludzkim wysiłkiem zebrała myśli i zepchnęła ból poza granice świadomości. Wciąż miała zadanie do wykonania.

– Jeszcze niedawno, parę minut temu, kiedy wierzyłam, że nadal jest pan bratem Amiry, miałam taką nadzieję.

– Widzi pani jednak, że to marzenie nierealne. – Jego śmiech zabrzmiał jak zgrzyt paznokci o tablicę. – Jestem prawdziwie wierzący, Rebeko, czy jak pani naprawdę na imię. *Tawakkaltu ‘ala Allah*. Tak, pokładam ufność w Bogu. Kiedy wrócę do Kairu, będą ze mną moi towarzysze broni, którzy wyzbyli się wszelkich śladów zachodniej zgnilizny. I będzie tak, jak przed pierwszą inwazją niewiernych. Oddamy Bogu to, co mu należne. Tym razem morze nie rozstąpi się, kiedy zepchniemy do niego naród izraelskich terrorystów. Utoniecie wszyscy, słuchając naszych przekleństw.

W tym momencie oczy Sary podjechały do góry, a całe ciało złożyło się jak u marionetki, której ktoś przeciął sznurki.

Czwarta i ostatnia grupa symboli doprowadzała Bourne'a do szału. Wiedział, że musi chodzić o ciąg znaków alfanumerycznych. Co to mogło być? Kod SWIFT? Używany przez wszystkie banki świata system pozwalał identyfikować instytucje i usprawniać międzynarodowe przelewy.

Wziął prysznic i ogolił się w kompaktowej, ale świetnie wyposażonej łazience samolotu, przez cały czas obracając w myślach zagadkę. Niezmiennie wracał to tego samego problemu – symbole po prostu nie miały sensu jako ciąg cyfr. Nie miały sensu w ogóle, chociaż z uwagą przetłumaczył każdy z nich. Ale czas na rozważania minął. Samolot Abdula zaczął zniżać lot, szykując się do lądowania na jednym z dwóch pasów niedużego międzynarodowego lotniska w Asmarze. Lotnictwo cywilne dzieliło je z równie niedużymi siłami powietrznymi erytrejskiej armii.

Ubrany w drogi garnitur i pantofle z włoskiej skóry, które trzeźwo myślący Abdul dla niego zabrał, Bourne zapiął pasy, zamknął oczy i pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Liczył, że podświadomość podsunie mu jakieś rozwiązanie, zanim zdążą wylądować, przejechać po płycie lotniska i zatrzymać się w wyznaczonym miejscu. Abdul, który wolał poczekać na pokładzie i pracować zdalnie z mobilnego biura, znał tu kilku celników – jak zresztą w każdym kraju, w którym prowadził interesy, więc udało mu się załatwić Bourne'owi szybki przerzut przez terminal przylotów. Ten wymienił trochę pieniędzy na nakfy, miejscową walutę, po czym w jednym z lotniskowych butików kupił piękny i bardzo drogi skórzany neseser. Kiedy wychodził z lotniska, było już późne popołudnie. Słońce oświetlało stare miasto, dodając uroku gmachom w stylu modernistycznym i art déco, które pamiętały czasy, gdy Erytrea była rządzona przez Włochów.

Jadąc rozklekotaną taksówką, Bourne znów przywoływał ciąg symboli. Jednym ze słów było najprawdopodobniej „komunikować” albo „komunikacja”, a to mogło znaczyć dosłownie wszystko. Z drugiej strony nie był jeszcze pewien, czy tłumaczy właściwie. Wątpliwości rozwiały się nagle, kiedy przez okno taksówki mignęła mu imponująca fasada banku Caserma Commerce. Zapłacił kierowcy i wysiadł, wracając do frontowego wejścia. Siedziba banku prezentowała się bardzo imponująco. Budynek przywodził na myśl doskonale bronioną fortecę. Wydawał się pełen agentów i szpiegów.

Bourne wszedł po schodach z białego wapienia, minął szklane drzwi i znalazł się w wyłożonym marmurami wnętrzu, którego projekt zrodził się chyba w głowie jakiegoś szalonego Włocha, tyle tu było łuków i zawijasów.

Zza recepcyjnej lady podniósł się ciemnoskóry mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze.

– Czym możemy panu służyć? – zapytał z brytyjskim akcentem.

Bourne podał mu wizytówkę i przedstawił się jako Fiodor Ilianowicz Popow, wicedyrektor Gazpromu, rosyjskiego koncernu paliwowego.

– Chciałem porozmawiać z dyrektorem banku. Niestety, zapomniałem nazwiska...

Recepcjonista ukradkiem zerknął na neseser, natychmiast oceniając jego wartość, a zatem także wartość potencjalnego klienta.

– Dyrektorem jest pan Gebre Tesfey – powiedział.

Bourne pstryknął palcami.

– Oczywiście! To z nim polecił mi się spotkać minister Sawasin.

Na dźwięk tego nazwiska oczy recepcjonisty zabłyśły jak lampki choinkowe. Nie był w stanie

powstrzymać ciekawości.

– Czy mogę spytać o cel spotkania?

– Oczywiście – zgodził się Bourne. – W imieniu Gazpromu chciałbym złożyć u państwa pokąźną sumę.

Ta odpowiedź wywołała uśmiech na twarzy recepcjonisty, a w jego sercu wzbudziła nadzieję na doskonały koniec nudnego dnia.

– Doskonale! Zaraz powiadomię pana Tesfeya. Cały personel Caserma Commerce dokłada wszelkich starań, by zaspokajać oczekiwania naszych klientów. Dodam, że pomagają nam w tym bezpośrednio umowy międzynarodowe z Citibankiem i Deutsche Bankiem.

Na moment wrócił na swoje stanowisko i wstukał w telefon czterocyfrowy numer wewnętrzny. Po krótkiej rozmowie rozłączył się i gestem dał znać Bourne'owi, by szedł za nim.

– Polecono mi bezzwłocznie zaprowadzić pana do biura pana Tesfeya.

Bezzwłocznie? Bourne był zdziwiony. Jadąc windą do niedostępnej dla klientów części banku, po raz kolejny pomyślał o czwartej części zagadki. Słowem, które tak długo mu umykało, nie było ani „komunikować”, ani „komunikacja”, lecz „komercja”. Commerce.

– Co to ma znaczyć? – rzucił El-Amir.

Brytyjski oficer sił specjalnych podniósł się i chwiejnym krokiem podszedł do Sary.

– Na szyi ma świeże nakłucie.

– Borz wstrzyknął jej rohypnol.

Oficer podniósł na niego zdumione oczy.

– Jak w takim razie była w stanie się ruszać, a co dopiero składnie mówić?

– Borz powiedział, że to czary.

– Cóż – prychnął Brytyjczyk. – Cokolwiek sobie zrobiła, teraz się zemściło.

Ciało Sary zadrżało i wygięło się konwulsyjnie. Półotwarte usta wypełniły się pianą.

– Nie stój pan tak! – krzyknął oficer. – Na miłość boską, pomóż jej!

– Za godzinę i tak będziesz martwy – rzucił El-Amir. – Nie wiem, czemu się przejmujesz.

– Przejmuję się, ponieważ jestem człowiekiem – odciął się tamten. – A czym pan jesteś?

El-Amir przez chwilę mierzył go nienawistnym spojrzeniem.

– Cofnij się – zakomenderował, a Brytyjczyk posłusznie odsunął się w kąt celi.

El-Amir otworzył zakratowane drzwi, zerknął na Sarę, którą nadal wstrząsały konwulsje, i zimno skwitował:

– Umiera. To pewnie kwestia minut.

– Co z pana za kreatura!?

El-Amir starannie podwinął nogawki spodni i przykucnął przy Sarze.

– Dobry Boże, człowieku! – huknął oficer. – Zrób coś, inaczej dziewczyna zadławi się własnym językiem!

– Odpowiednia śmierć dla agentki Kidonu – powiedział El-Amir.

Nagle Sara gwałtownie otworzyła oczy, po czym wbiła El-Amirowi dwa palce pod mostek. Kiedy zgiął się wpół, kopniakiem powaliła go na ziemię, a później przygwoździła go własnym ciałem.

Zamachnęła się prawą ręką, myśląc o Amirze i obietnicy, jaką jej złożyła. Potem jednak przed oczami stanęła jej twarz Jasona, którego być może straciła. Przypomniała sobie obrzydliwe hasła, jakie powtarzał ten człowiek; pomyślała o okropieństwach, jakich dopuszczał się w imię Allaha, a wtedy jej dłoń spadła na jego mostek ciężko jak tłok silnika, łamiąc kości. Następne uderzenie wepchnęło odłamki

prosto w jego płuca.

Popatrzył na nią wielkimi oczami. Otworzył i zamknął usta, wydając z siebie tylko cichy jęk.

– Utopiłeś się we własnej krwi – powiedziała. – Tak w życiu, jak i w chwili śmierci, jak wierny pies poszedłeś w ślady Oзера.

– Witam pana! – odezwał się Gebre Tesfey, podnosząc się zza ogromnego biurka z polerowanego drewna. – Pan Popow, jak rozumiem?

Jego przesadny entuzjazm przypominał zachowanie animatora turystycznego.

– Fiodor Ilianowicz Popow. Miło mi pana poznać.

– Mnie również.

Uścisnęli sobie prawice jak starzy znajomi. Tesfey gestem wskazał stojące w rogu biura meble salonowe.

– Proszę się rozgościć – powiedział, zgarniając z biurka aktówkę z byczej skóry.

Usiedli, Bourne w nowoczesnym fotelu z włoskiej skóry, dyrektor na idealnie dopasowanej kanapie. Podano smoliście czarną kawę i ciasteczka migdałowe.

Tesfey czekał, aż Bourne upije łyk kawy i poczęstuje się słodyczami. Dopiero wtedy się odezwał, wystudiowanym gestem opierając dłonie na aktówce, która – miał nadzieję – symbolizowała początek długiej i lukratywnej współpracy.

– Klientami pańskiego kalibru, Fiodorze Ilianowiczu, z przyjemnością zajmuję się osobiście. – Zaprezentował Bourne'owi nienaganny uśmiech przewodnika wycieczek. – Niech mi pan powie, czym możemy służyć panu, pańskiej firmie i Federacji Rosyjskiej?

Bourne postukał w pusty neseser u swego boku.

– Chcielibyśmy złożyć depozyt wstępny w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów amerykańskich.

Z zadowoleniem obserwował, jak cała krew odpływa Tesfeyowi z twarzy, a po chwili wraca z nową siłą.

– Oczywiście, Fiodorze Ilianowiczu. Z największą przyjemnością założymy dla Gazpromu rachunek firmowy. – Otworzył aktówkę i wyłożył dokumenty na stół, a później odkręcił skuwkę pióra marki Montblanc i zaczął wypełniać formularz w szybkim tempie, jakby się bał, że niewiarygodna okazja może umknąć w każdej chwili. – Zważywszy na fakt, że od dwudziestu tygodni rubel nieprzerwanie traci na wartości, to bardzo rozsądne, że Gazprom chce lokować pieniądze za granicą, w dolarach amerykańskich.

– Nominalnym właścicielem rachunku nie będzie firma Gazprom – rzucił Bourne.

Dłoń Tesfeya znieruchomiała, a on podniósł wzrok znad formularza.

– Najmocniej przepraszam. W imieniu jakiego podmiotu będziemy prowadzić rachunek?

– Ów, jak to pan ujął, podmiot, nie jest instytucją, a osobą fizyczną.

– Słucham? – Tesfey głośno przełknął ślinę. – Proszę wybaczyć, ale nie wiem, czy dobrze rozumiem. Pragnie pan otworzyć rachunek indywidualny i złożyć na nim kwotę pięćdziesięciu milionów dolarów?

– Właśnie tak.

Bourne uśmiechnął się szeroko, jakby był zadowolony z przebiegu rozmowy.

– Rozumiem, że tą osobą fizyczną jest pan, Fiodorze Ilianowiczu.

– W żadnym wypadku. Otworzy pan konto na nazwisko Llewellyn Beers.

Tesfey wstrzymał oddech.

– Kim jest ten dżentelmen? Czy przyjechał razem z panem i czeka na dole?

– Mało prawdopodobne – odparł Bourne. – Pan Llewellyn Beers jest postacią fikcyjną.

Dyrektor zmarszczył brwi. W jego oczach Bourne dojrzał obawę, że niespodziewany uśmiech losu okaże się ułudą.

– Fiodorze Ilianowiczu, chyba nie do końca rozumiem pańską, hm... nietypową prośbę.

– Może i jest nietypowa, ale na pewno nie bezprecedensowa.

– Nie rozumiem... – Czoło Tesfeya zmarszczyło się jeszcze mocniej. – Nie wiem, co pan sugeruje.

– Nie ma co owijać w bawełnę, panie Tesfey. Wiem, że nie jestem pierwszym Rosjaninem, który otworzył u państwa... jakby to ująć... pozaoficjalne konto.

– Myli się pan. Funkcję dyrektora tego banku pełnię od ponad siedmiu lat i mogę z absolutnym spokojem pana zapewnić, Fiodorze Ilianowiczu, że jest pan pierwszym i jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek przedstawił nam taką prośbę.

Bourne, który dawno już zdążył ocenić charakter dyrektora, wiedział, że to prawda. To nie z tego banku korzystał Samowładca. Dlaczego zagadka Borysa zaprowadziła go na manowce? Albo niewłaściwie zrozumiał symbole, co było mało prawdopodobne, bo przecież pozostałe części odczytał poprawnie, albo popełnił błąd w interpretacji.

Zapędził się w ślepią uliczkę, a do najazdu na Ukrainę zostało mniej niż dwadzieścia osiem godzin.

– Jeśli mogę sobie pozwolić na komentarz, nie wygląda pani najlepiej – powiedział porucznik Jock Southern.

– A to dobre.

Sara roześmiała się serdecznie, po czym zemdlała, opadając prosto na martwe ciało El-Amira.

Ignorując przenikający całe ciało ból, Southern przyskoczył do niej i opadł na kolana. Palcami sprawdził puls na tętnicy szyjnej. Nadal żyła. Serce biło powoli, lecz miarowo. Nie miał siły, by ją podnieść. Sturlał ją jedynie z ciała El-Amira i spróbował zaciągnąć na drewnianą pryczę, na której od czterech dni bezskutecznie próbował zasnąć. Przed oczami natychmiast zobaczył mroczki, więc oparł dłonie o kolana, starając się zebrać siły. Małymi krokami do celu i wszystko po kolei, jak mawiała jego matka.

Ominął ciała, wyszedł z celi i wspiął się po drabince prowadzącej na parter. Promienie słońca wpadające przez rozbite okna i ogromną dziurę w ścianie na chwilę go oślepiły. Czuł nadchodzący atak migreny; ból nabierał mocy powoli, jak rozklekotany silnik. Poszperał w kuchni, znajdując wodę i puszkę z herbatą. Nastawił czajnik, a sam zabrał się do opróżniania lodówki. Usiadł przy owalnym stoliku, wsypał do herbaty kilka łyżeczek cukru i popił nią odrobinę kuskusu i zimnej pastilli. Jadł powoli. Od czterech dni – właściwie sam nie był pewien – miał w ustach jedynie odrobinę wody okraszonej garstką utopionych komarów. Żołądek na pewno mu się skurczył.

Czując, że posiłek trochę go pokrzepił, wypił więcej herbaty i włożył do ust garść cukierków. Potem wrócił do piwnicy. Dziewczyna nadal była nieprzytomna, ale oddychała miarowo i spokojnie. Pochylił się, zarzucił ją sobie na plecy i z wysiłkiem wyniósł na powierzchnię, do na wpół zrujnowanego budynku. Ułożył kobietę na jednym z ocalałych mebli, zgarnął z podłogi kilka poduszek, otrzepał je z odłamków szkła i podparł jej plecy. Wtedy dopadły go zawroty głowy, więc przysiadł na brzegu jednej z poduszek. Tętno miał podwyższone. Musiał jakoś uspokoić organizm, więc zaczął analizować twarz dziewczyny, koncentrując się na każdym szczególe i opisując go w myślach starannie dobranymi słowami.

Kilka głębokich oddechów przywróciło mu pozorny spokój. Zawroty głowy z wolna ustępowały. Spróbował podać dziewczynie odrobinę słodzonej herbaty, zakraplając jej napój do ust palcem. Zaczerwienione powieki Sary drgnęły, a Southern ostrożnie przystawił do jej warg kubek z herbatą, pozwalając pociągnąć jeden łyk.

Zakrztusiła się, mimo jego starań. Uniósł ją, przytulił do piersi i otwartą dłonią poklepał po plecach, jakby była dzieckiem. Mijały sekundy; zaczął się denerwować. W końcu poczuł, jak poruszyła głowę.

– O Boże...

Zadrżała tak silnie, że przez moment uznał to za atak konwulsji. Po chwili jednak dygotanie ustało.

– Boże, Boże, Boże...

– Już wszystko w porządku. – Odsunął ją od siebie na długość ramienia, żeby spojrzeć jej w oczy. –

Wszystko w porządku, Rebeko.

– Tak. – Posłała mu blady uśmiech. – Już po wszystkim.

– Rohypnol chyba wreszcie zadziałał. – Przyglądał się jej twarzy jak wtedy, gdy była nieprzytomna. –

Co, u diabła, zrobiłaś, żeby mu nie ulec?

– Widziałeś kiedyś joginów, prawdziwych, chodzących po rozżarzonych węglach albo kładących się na łożu z gwoździ?

– W zasadzie to tak – przyznał Southern. – Jako nastolatek.

– No więc zrobiłam sobie mniej więcej to samo.

– Takie sztuczki bardzo by mi się przydały w ostatnich czterech dniach...

Spojrzenie Sary zaczęło się rozmywać, ale Southern klepnął ją w policzek na tyle mocno, by przywrócić jej przytomność.

– Proszę – powiedział, podając jej kubek.

– Wy, Brytole, każdemu wciskacie herbatę...

– Czym skorupka za młodu nasiąknie... – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Ale pomaga, prawda?

Kiedy pokiwała głową, na otwartej dłoni podsunął jej coś jeszcze.

– Znalazłem skarby – powiedział.

Oczy Sary rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Czekolada! – Ugryzła kawałek i poczuła, jak rozpuszcza się pod językiem. – Mmm... Manna z nieba... Bez obrazy, poruczniku, ale wyglądasz jak kupa gówna.

Roześmiał się.

– Pachnę zapewne podobnie.

– Bez komentarza – rzuciła i wyciągnęła rękę po więcej słodyczy.

– Dobra wiadomość jest taka, że czuję się znacznie lepiej niż wyglądałam.

Uśmiechnęła się do niego.

– Odroczenie wyroku śmierci zazwyczaj tak działa.

– A... Chwilowo wszystko jest cacy, oprócz faktu, że siedzimy jak kaczkki prawie na linii frontu. Tylko się umyję, ogolę i przebiorę, a życie będzie piękne.

– Nie ma czasu na takie dekadencjonalne luksusy – rzuciła Sara, która coraz szybciej wracała do siebie.

Wstała. – Musimy się jakoś stąd wydostać, zanim dotrą do nas oddziały ISIS. Inaczej...

– Nie musisz kończyć. – Southern aż zadygotał. – Jeden pobyt w celi śmierci to i tak za dużo.

Przeczესali dom w poszukiwaniu broni, ale znaleźli tylko kilka noży kuchennych.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponowała Sara. – Wszyscy ludzie Borza nie żyją, a byli dobrze uzbrojeni.

Kiedy wspięli się na warstwę gruzu u stóp zwałonej ściany, ich oczom ukazał się istny arsenał broni maszynowej, rozrzuconej pośród zmasakrowanych ciał.

– Kolejne skarby – stwierdziła Sara.

I właśnie wtedy z obu stron rozpoczęło się natarcie.

Biedny Tesfey. Przygnębienie, jakie odmalowało się na jego twarzy, kiedy jego gość wstał i pożegnał się, nie składając w banku żadnej bajecznej sumy, było aż komiczne. Bourne nie miał jednak czasu przejmować się cudzym rozczarowaniem. Wystarczyło mu własne.

Czasu było coraz mniej. Jeśli nie znajdzie banku, z którego Samowładca finansuje swoją potajemną wojnę, pożoga może ogarnąć cały świat. Oparł głowę o krawędź siedzenia taksówki, która wiozła go z powrotem na lotnisko. W Asmarze były jeszcze dwa międzynarodowe banki – żaden z nich nie miał w nazwie słowa „komercja”, ale Bourne dla pewności sprawdził oba, powtarzając dokładnie to samo przedstawienie. Bez skutku.

To był ślepy zaułek.

Zamknął oczy. „Pokażę ci te symbole i przeczytam wszystkie po kolei po rosyjsku” – powiedział Borys tego pamiętnego dnia w Jerozolimie. „Ty je oczywiście zapamiętasz. A potem każdy z nas napisze drugiemu zaszyfrowaną wiadomość. Powiedzmy, że dla zabawy. To akurat zabawa dla nas. Jak wszystkie nasze gierki, ta też wiąże się z potencjalnym ryzykiem”.

Poderwał głowę, przypominając sobie jeszcze jeden fragment tej rozmowy. „Symbole można podzielić na grupy, jak w alfabecie Morse’a, i dołożyć do wiadomości jedną grupę dla zmyłki, na wypadek, gdyby ktoś jednak poznał klucz”.

Kiedy tylko opuścił gmach banku, Gebre Tesfey przeszedł przez biuro i wpatrzył się w drzwi, których miał nadzieję nigdy nie otwierać. Wiedział jednak, że nie ma wyboru. Przekręcił klucz i wszedł do małego pomieszczenia bez okien. Zamykając drzwi za sobą, usłyszał, jak włącza się elektroniczny system blokujący możliwość podsłuchu. Trzy miesiące temu zainstalowała go w tym pokoju ekipa robotników. Pracowali po czternaście godzin dziennie, a i tak zajęło im to trzy dni. Tesfey wiedział, ponieważ przez cały ten czas musiał siedzieć w biurze. Gdy skończyli, zniknęli tak samo nagle, jak się pojawili. Ani razu nie odezwali się do siebie, przynajmniej nie w chwilach, kiedy mógł ich usłyszeć, nie miał więc najmniejszego pojęcia, z jakiego byli kraju. „Może to i dobrze” – pomyślał teraz, podchodząc do biurka i otwierając wyposażoną w zamek dolną szufladę. Nie znał też narodowości ani nawet nazwiska człowieka, który skontaktował się z nim przez telefon i wszystko ustalił, począwszy od miesięcznej pensji w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. W zamian za te pieniądze Tesfey zobowiązał się do dwóch rzeczy. Po pierwsze miał nie zadawać żadnych pytań i nie dowiadywać się o tożsamość ofiarodawcy. Z drugiej obietnicy miał wywiązać się teraz.

W szufladzie znajdowała się tylko jedna rzecz: telefon szyfrujący, który przysłano międzynarodową przesyłką kurierską dzień po tym, jak robotnicy skończyli i wyjechali. Komórka była cały czas podłączona do gniazdka wbudowanego w tył szuflady, żeby się nie rozładowała.

Z pewnym niepokojem Tesfey zdał sobie sprawę z tego, że ręce ma wilgotne, a górna warga swędzi go od kropelek potu. Odpiął komórkę i wstukał trzycyfrowy numer. Niczym żywe stworzenie telefon obudził się ze snu, wybierając zagraniczny numer.

– Słucham?

Męski głos.

– Przed chwilą tu był – powiedział Tesfey.

– Jest pan pewien?

– Przedstawił się jako Fiodor Iljanowicz Popow z Gazpromu. Czy to jego prawdziwe nazwisko?

Odpowiedziała mu cisza, a on nagle zrozumiał, że popełnił błąd.

– Halo? Jest pan tam?

Tesfey poczuł na plecach dreszcz. Połączenie zostało gwałtownie przerwane. Miał szczerą nadzieję, że to samo nie stanie się wkrótce z jego życiem.

– A zatem ta trzecia grupa, nawiązująca do Erytrei, to była fałszywa wskazówka? – spytał Abdul, kiedy Bourne referował mu przebieg dnia.

– Tak jest, a ja dałem się nabrać.

– Nie zadręczaj się tym, Jasonie. Nie mogłeś wiedzieć, że Borys zastosuje aż tyle zabezpieczeń.

– Sęk w tym, że powinienem był się zorientować, kiedy tylko zobaczyłem te sumeryjskie symbole.

– Rozpamiętywaniem nic nie działaasz. Trzeba iść do przodu – poradził Aziz i wcisnął Bourne'owi do ręki talerzyk. – Masz, zjedz chałwy.

– Abdul...

– No co? To sezam, pożywka dla umysłu. Każdy Arab to wie.

Bourne poczęstował się kawałkiem i żuł go powoli, przepisując rebus z pamięci. Wskazał palcem ciąg symboli.

– Popatrz. Ta pierwsza grupa to data, jutrzejsza. Wtedy ruszą wojska Samowładcy. Można podejrzewać, że ISIS też planuje jakiś zmasowany atak, który zbiegnie się w czasie z rosyjską inwazją na Ukrainę. Niewykluczone, że celem będzie zachodnia Turcja.

– Zachodnie mocarstwa będą sparaliżowane. Nie będą wiedziały, w którą stronę się ruszyć. W ONZ i w Unii Europejskiej zapanuje chaos. Politycy i dyplomaci bez końca będą się spierać o to, co należy zrobić.

– I o to właśnie chodzi – podsumował Bourne i przesunął długopis na drugą grupę symboli.

– A tutaj Borys pisze: „Śledź pieniądze”.

– Trzecia grupa sprowadziła cię na manowce.

– To ta dodatkowa grupa, zmyłka, na wypadek, gdyby kod dostał się w niepowołane ręce i został złamany.

– A zatem zostaje grupa czwarta... – stwierdził Aziz. – Powinien się tam znajdować numer konta i kod dostępu.

– Tak, pod warunkiem, że trzecia grupa kryłaby nazwę banku. Borys uznał, że to by było za proste. – Bourne przez chwilę kontemplował symbole na kartce. – Przy szyfrowaniu często się coś przestawia.

Aziz przygryzł wargę.

– Czyli trzy autentyczne wskazówki nie następują jedna po drugiej?

– No właśnie. Do tego dochodzi fakt, że ta czwarta grupa nijak nie chce się przełożyć na cyfry, więc raczej nie kryje się pod nią numer konta.

– A na co się przekłada?

– To największa zagadka. – Bourne postukał długopisem w kartkę pod ostatnim zestawem kresek i trójkątów. – Może źle na to patrzę.

– Co masz na myśli?

– Przez cały czas zakładałem, że wszystkie potrzebne informacje znajdę w tym rebusie.

Aziz pokiwał głową i spojrzał na Bourne'a z błyskiem w oku.

– To by było logiczne. Wiemy jednak, że kod nie trzyma się logicznego porządku.

– No dobra. Bank, którego szukamy, musi spełniać trzy warunki. Nie może być oficjalnie powiązany z bankiem Rossija, ale musi mieć możliwość skontaktowania się z nim bocznymi kanałami, gdyby zaszła taka potrzeba. Po drugie, powinien znajdować się z dala od słynnych ośrodków bankowych.

– W miejscu takim jak Asmara.

– Dlatego właśnie zmyłka Borysa była genialna. Asmara pasowała do profilu, nawet w takich szczegółach... – przerwał nagle i zapatrzył się w przestrzeń.

– Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś miał dostać jakiegoś napadu.

– Prędzej olśnienia. – Bourne wyrwał się z letargu. – Słuchaj, Abdul. Trzeci i najważniejszy warunek wyboru banku jest taki, że musi to być instytucja, która bardzo potrzebuje takiego zastrzyku gotówki.

– Na takie konto będą spływać różne kwoty i o różnych porach. To samo będzie z transakcjami wychodzącymi. – Aziz pokiwał głową. – Rozumiem...

Oczy Bourne'a zaświeciły się dziwnym blaskiem.

– Gdzie w tej części świata znajdzie się bank, który będzie spełniał wszystkie te trzy warunki? Na Cyprze.

Aziz pstryknął palcami.

– No jasne! Nie dalej jak dwa lata temu cypryjskie banki niemal zupełnie zbankrutowały. Uratował je Międzynarodowy Fundusz Walutowy, przynajmniej częściowo, ale od tego czasu tamtejsza infrastruktura cierpi na niedobór środków.

– Na wyspie obecnie działają banki z Grecji, Libanu, Jordanii, Europy Wschodniej i...

– Rosji!

– Właśnie. Załóżmy zatem, że nasz bank znajduje się na Cyprze i zobaczmy, gdzie nas to zaprowadzi.

Bourne znów pochylił się nad kartką, patrząc na swoje tłumaczenie. Ostatnia grupa symboli nadal stanowiła zagadkę.

– Pierwsze dwa znaki można przetłumaczyć jako: „wilk z północy” – powiedział. – Ten trzeci to „głina”.

– Żaden ze mnie lingwista – zaczął niepewnie Aziz – ale ten czwarty symbol wygląda jakoś inaczej.

– To dlatego, że jest napisany wspak.

– Po co Borys umieścił tu coś takiego?

– W tym rebusie wyraz napisany wspak należy zignorować. Chwileczkę... – Bourne zapisał pod spodem słowo „głina”. Ten czwarty symbol to „lina”. – Przekreślił cztery ostatnie litery, zostawiając tylko „g”.

Aziz pokręcił głową.

– Nic nie rozumiem...

– Popatrz! „Wilk z północy”. – Bourne zapisał obok słowo „ulf”, a następnie dodał do niego literę „g” z trzeciego symbolu.

– Gulf? – wymówił Aziz z wahaniem.

– Tak. „Ulf” to skandynawskie imię, znaczy „wilk”. W sumie mamy więc „gulf”, „zatoka” po angielsku.

– Czekaj chwilę. – Aziz włączył laptop i szybko przejrzał listę zagranicznych banków na Cyprze. – Banków ze słowem „gulf” w nazwie jest trzy: Gulf Friends, Lebanon and Gulf i...

– Omega and Gulf.

Aziz rzucił Bourne’owi zdumione spojrzenie.

– Skąd wiedziałeś?

– Miałem rację. Borys liczył na to, że będę pamiętał nazwę banku.

Opowiedział Abdulowi o oddziale Omega and Gulf w Dosze, gdzie w zeszłym roku przetrzymywano jego przyjaciół.

– Zakładałem, że właścicielem firmy był Borz, ale teraz podejrzewam, że był on tylko jednym z pomniejszych współników. Omega and Gulf należy do Samowładcy.

– Padnij! – wrzasnęła Sara.

Southern ruszał się jak mucha w smole, więc złapała go za pasek i pociągnęła, tak że znalazł się tuż obok niej. Schowali się za dżipem, który dobrze pamiętał lepsze czasy. Sara chwyciła dwa karabiny samopowtarzalne, a kiedy kule zaczęły gwizdać im nad głowami i dzwonić w karoserię, podała Southernowi jeden z nich.

– Jestem oficerem armii Jej Królewskiej Mości do spraw kontaktów z naszymi amerykańskimi kuzynami – stwierdził mężczyzna z godnością – a nie awanturnikiem.

Pchnęła karabin, tak że oparł mu się o pierś.

– No to przez moment udawaj, że jesteś Amerykaninem, i odstrzel jaja każdemu, kto się zbliży – syknęła.

– Dokąd idziesz? – spytał Southern z wyraźnym niepokojem.

– Dowiedzieć się, kto do nas strzela.

– ISIS, a któż inny.

– Poruczniku, ostrzał jest prowadzony z dwóch przeciwnych stron. Kula, która cię przewierci, wcale nie musi należeć do ISIS – wyjaśniła, po czym przyjrzała się bladej twarzy Southerna. – Hej, to już prawie koniec. Jak to wy, Brytole, mówicie? „Zachować spokój i cała naprzód!”?

– Nikt nigdy nie mówił czegoś takiego w czasie wojny, ale dobra, pasuje do sytuacji. Słuchaj, zanim sobie pójdziesz...

– Tylko mi nie każ przekazywać twojej żonie i dzieciom, że ich kochasz. Po pierwsze, już to wiedzą. Po drugie, wcale nie umrzesz.

Parsknął śmiechem.

– Po pierwsze nie jestem żonaty. Po drugie tak, masz rację, mój partner wie, że go kocham. Chodzi o to, że podsłuchałem, jak Borz rozmawiał przez telefon satelitarny. Mówił po rosyjsku, więc nic nie rozumiałem, ale jedno słowo wyraźnie podkreślał: „Wankor”.

– Wankor? – Sara zmarszczyła brwi. – Pierwsze słyszę.

– Ja też. Ale uznałem, że powinnaś wiedzieć – powiedział i się uśmiechnął. – A teraz idź, ratuj nam dupy. Liczę na ciebie pod tym względem.

Sara ruszyła biegiem i niemal natychmiast zniknęła w tej mgłę, którą rodzi wojna: kłębach kurzu pełnego mikroskopijnych kropli krzepnącej krwi, odprysków kości, strzępów bebechów, garści włosów podobnych do miotanego wiatrem siana. Powietrze wypełniał wyraźnie wyczuwalny odór śmierci, a także zapach kordytu i rozgrzanego metalu oraz przypominająca ozon woń powietrza sieczonego gwałtowną strzelaniną.

Cała i zdrowa dotarła do rogu sąsiedniego budynku. Wewnątrz ujrzała drabinę, która opierała się o brzeg kłapy w suficie. Wspięła się na nią i wyjrzała na dach. Znajdował się tam punkt obserwacyjny, skąd całą okolicę było widać jak na dłoni. Na południu Sara zobaczyła ubranych na czarno żołnierzy ISIS; od północy powoli sunął w jej stronę potrójny szereg kurdyjskich partyzantów.

Nagle do Kurdów przyłączył się inny oddział, najwyraźniej jakieś zagraniczne siły. Widziała dwa czołgi, a wokół nich grupę żołnierzy w panterkach. Nie była w stanie rozróżnić, czy są to mundury brytyjskie, czy amerykańskie. Potem usłyszała niedający się z niczym pomylić odgłos działek śmigłowca

szurmowego. Od granicy tureckiej leciała odsiecz. Sara już wiedziała, jaką drogą wydostaną się z tego zadupia.

Obróciła się i zeszła na dół, chcąc się podzielić z porucznikiem dobrą nowiną, i wtedy wpadła prosto na patrol zwiadowczy ISIS. Zobaczyła dwie pary bezlitosnych oczu, poczuła wbijającą się pod podbródek lufę karabinu, a w głowie rozbłysła jej tylko jedna myśl: „Kurwa!”.

Odrzutowiec Abdula Aziza był zatankowany i gotowy do odlotu. Przez plastikową szybkę Bourne obserwował pilota, który wszedł z hali odlotów i maszerował przez płytę lotniska. Przemierzył trzy czwarte drogi do samolotu, po czym... dostał trzy kule, padł twarzą na asfalt i więcej się nie poruszył.

Aziz gwałtownie podniósł głowę znad laptopa, na którym porównywał trasy przelotu na Cypr.

– Co się stało?

– Zabieramy się stąd!

Zerknął za okno. Zobaczył zabitego pilota i biegnących w ich stronę uzbrojonych po zęby żołnierzy. Wyglądało na to, że jeśli ktoś odpali silniki, natychmiast zaczną strzelać.

– Jason! – wrzasnął, kiedy tylko zdołał oderwać wzrok od tego przerażającego widoku. – Co się stało? Gdzie ty się wybierasz?

Wpadł do kokpitu za Bourne’em. Ten już siedział w fotelu pilota, miał zapięte pasy i punkt po punkcie sprawdzał listę, która pilot zostawił przypiętą na tablicy.

– Przecież nas stąd nie wypuszczą – rzucił Aziz. – Mają nas na celowniku, a poza tym nie zgłosiliśmy planu lotu. Wieża kontrolna na Cyprze w życiu nie da nam pozwolenia na lądowanie.

– Mam gdzieś ich pozwolenie! – Bourne już naciskał guziki. Zapalały się lampki, ruszały strzałki wskaźników. – Oni przyjmują ze cztery loty dziennie, i to w obie strony. Zaryzykuję.

– A ci żołnierze?

Prawie natychmiast dostał odpowiedź na swoje pytanie. Bourne włączył silniki i zaczęła się kanonada.

– Kliny! – krzyknął Aziz.

– Już je wykopałem. Siadaj i zapnij pasy, Abdul. Będzie trochę rzucać.

– Jeśli choć jedna kula trafi w zbiornik paliwa...

Głos Aziza Bourne słyszał w słuchawkach. W tle coś krzyczeli kontrolerzy lotów.

– Trochę optymizmu – mruknął, popychając dźwignie. – I proszę Allaha, żeby miał nas w swojej opiece.

Wjechał na pas startowy. Gdy samolot zaczął nabierać prędkości, drogę zajął mu pojazd opancerzony, z całą pewnością wypożyczony z niedalekiej bazy wojskowej. Bourne zacisnął zęby, przyspieszył do maksimum, dał maksymalny ciąg i pchnął dźwignię.

„Koła w górę!” – pomyślał. Gdyby podniósł je o sekundę później, trafiłyby w pojazd.

– No to lecimy, Abdul...

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy zobaczył samolot, który zniżał się, wyraźnie zamierzając ich przechwycić.

Sara podniosła rękę nad głowę. Chcąc zmusić ją, by za nim poszła, terrorysta z ISIS szarpnął karabinem, którego lufa tkwiła pod jej brodą. Wtedy uderzyła go bokiem dłoni w gardło z taką siłą, że cofnął się i spadł z drabiny. Leciał głową do przodu.

Drugi mężczyzna, zakutany w czarne szmaty, nie był tak głupi, żeby machać karabinem tak blisko niej.

Zamiast tego wyciągnął Ka-Bar, nóż bojowy armii amerykańskiej. Pamiętał drugą wojnę światową, lecz ciągle był świetną bronią.

Mężczyzna zadał szybki, potężny cios, który miał wypatroszyć jej brzuch. Wbrew jego oczekiwaniom Sara nie cofnęła się jednak, lecz dopasowała swój ruch do jego ataku, tak że ostrze przeszło obok jej lewego boku; jednocześnie z całą siłą uderzyła go splecionymi pięściami w bok głowy. Mężczyzna mimo woli zrobił krok w jej stronę, a wtedy kopnęła go w nogę. Stał w tak dużym rozkroku, że nie zdołał odzyskać równowagi, i wymachując rękami, zaczął się przewracać. Sara wyrwała mu z dłoni Ka-Bar i wbiła go aż po rękoność w trójkąt miękkiego ciała, gdzie szyja łączy się z barkiem. Mężczyzna runął w dół i już więcej nie wstał. Wkrótce przestał oddychać.

Sara zerknęła przez klapę i zarejestrowała, że pierwszy mężczyzna wciąż leży. Nic dziwnego, szyję miał zgiętą pod nieprawdopodobnym kątem.

Zeszła na dół i wróciła do czekającego na nią Southerna. Należało założyć, że ogień śmigłowca szturmowego zdążył już zatrzymać linię frontu ISIS. Sara nie wiedziała, ile czasu zajmie terrorystom przegrupowanie się, ale była pewna, że wkrótce powrócą. Najwyraźniej operator śmigłowca też się nad tym zastanawiał, bo odpalił pocisk ziemia-powietrze. Chwilę potem nastąpił rozbłysk, ziemia zadrzęła, a grzmot niemal ich ogłuszył.

Sara zbliżyła wargi do ucha Southerna i rzuciła:

– To znak, że powóz zajechał. Ruszamy, poruczniku!

Ramię w ramię wybiegli z ukrycia. Sara prowadziła zygzakiem prosto na północ, chcąc przeciąć linię lotu śmigłowca. Pilot chyba ich zauważył, bo maszyna skrzyła ostro w lewo i ruszyła w ich kierunku.

Sara chciała zamachać, zorientowała się jednak, że oboje wciąż mają w rękach karabiny. Właśnie chciała rzucić swój na ziemię, kiedy tuż za sobą usłyszała krzyk:

– O w mordę!

Obejrzała się. Southern przyklął na jedno kolano i trzymał się za tył uda. Spomiędzy palców ciekła mu krew.

– Dostałem – rzucił.

Kątem oka Sara dostrzegła, że śmigłowiec jest już bardzo blisko – i że jest najeżony lufami karabinów maszynowych. W brzuchu poczuła coś jakby kulę lodu, ale zignorowała ją, cisnęła karabin, podniosła Southerna z klęczek i zarzuciła go sobie na ramiona. Kolana ugięły się pod nią, ale zaczerpnęła siły z hara, ośrodka energii w dole brzucha, i chwiejnie ruszyła w stronę śmigłowca.

Niewiele brakowało, a uznano by ich za atakującego wroga. Jak na ironię, uratowało ich właśnie to, że Southern dostał postrzał. To dzięki temu z daleka wzięto ich za uciekających z rejonu walk miejscowych cywilów.

Z pokładu opuszczono drabinkę z nylonowego sznura; jeden z żołnierzy zbiegł po niej i zdjął porucznika z ramion Sary. Czowała, że jest wyczerpana. Skumulowały się u niej ostatecznie efekty zażycia rohypnolu, z którym jej organizm walczył od wielu godzin, wstrząs, jaki wywołało uwięzienie, okrucieństwo jej własnej reakcji, wstyd, że nie zdołała dotrzymać złożonej obietnicy i uratować brata Amiry, i wreszcie to najstraszniejsze: koszmar śmierci Jasona. Nie było nadziei. Sara oparła się bezsilnie o dolny szczebel drabiny i zaczęła płakać.

Gdzieś z wysoka przez huk silnika przedarł się głos. Ktoś ją wołał po imieniu. Przez chwilę wydawało jej się, że to sen, więc zignorowała wołanie, czując, że nie wytrzyma kolejnego przypiływu fałszywej nadziei. Ale głos się zbliżał, więc uniosła głowę, mrużąc oczy i zasłaniając je dłonią. Southern zniknął już we wnętrzu maszyny i pomyślała, że żołnierz, który mu pomagał, wraca teraz po nią, lecz gdy mężczyzna zszedł na dół, zobaczyła, że to ktoś inny – ktoś, kogo dobrze zna.

Wyciągnął w jej stronę silne ramię, a potem podniósł ją i przycisnął do siebie.

– Czasami nawet ty, Rebeko, potrzebujesz wsparcia – powiedział.

Był to Dov Liron, dowódca jej jednostki Cezarea.

Wspinała się po drabince, szczebel po szczeblu, mocno wsparta na jego ramieniu.

Bourne położył samolot ostro na lewe skrzydło. Drugi natychmiast położył się na prawe, ale Bourne już widział, że przeciwstawne tory ruchu maszyn sprawią, że końce skrzydeł uderzą o siebie i oba samoloty runą na ziemię.

– Jak tam? – odezwał się w jego uchu głos Aziza. – Przynajmniej nie jesteśmy już na pasie startowym...

Bourne nie miał czasu na wyjaśnienia. Tak mocno zwiększył skręt w lewo, że samolot ustawił się pod kątem prostym do ziemi. Ten drugi śmignął tuż pod jego brzuchem. Było blisko, maszyny minęły się o włos.

– Allahu, ratuj! – zawołał Aziz. – Chyba zwymiotuję...

– Spokojnie, Abdul. Jeszcze tylko chwila. Najgorsze za nami.

Bourne skierował samolot ostro w górę. Wszelkie niebezpieczeństwa pozostawały za nimi. Powoli wyrównał lot.

Przez jakiś czas słyszał tylko huk silników i inne zwyczajne odgłosy – rzecz sama w sobie uspokajająca, bo naprawdę martwić się należy wtedy, kiedy nic nie słyhać, nie czuć żadnych turbulencji.

– Abdul, opracowałeś plan lotu? – zawołał. – Mam wstępne zamiary na cel, ale niedługo będę potrzebował dokładnego punktu nawigacyjnego.

Wkrótce w drzwiach kokpitu ukazał się blady jak kreda Abdul. Stąpał niepewnie, nogi miał jak z gumy.

– Przywykłem do większego komfortu podróżowania...

– Cóż robić? – Bourne wskazał mu rozkładane siedzisko. – Siadaj.

– Gdzie jest mój dywanik modlitewny, kiedy go potrzebuję? – spytał smętnie Aziz, sadowiąc się na wąskim siedzisku. – Co to było?

– Któryś z tych trzech prezesów banków zadzwonił do niewłaściwego człowieka. Niewłaściwego dla nas.

– Niby który?

Bourne sięgnął po starannie wypisany przez Aziza plan lotu i dostosował współrzędne.

– Stawiam na Tesfeya, ale to, kto wykonał telefon, jest bez znaczenia. Ciekaw jestem, kto go odebrał.

– Jakież przypuszczenia?

– Aż za dużo.

Dostała imię Likwidusza. Nazwał ją tak sam pierwszy minister, Timur Sawasin. Siedzieli wtedy w samolocie. Zrobił to niczym król nadający przydomek rycerzowi, który szczególnie mu się zasłużył i przeszedł przy tym do legendy.

Kiedy Timur Sawasin informował Likwiduszę o zleceniu, mówił jej, by „zajęła się” tym czy innym niewygodnym osobnikiem, zupełnie jak kierownik agencji wysyłający nianię do arystokratycznej rodziny. Chrzest bojowy przeszła, zajmując się pazernym, ambitnym siłownikiem, który z wolna zaczynał Sawasinowi przeszkadzać. Klasyczna *honey trap*: zabrała go na podmoskiewską daczę, na której Sawasin zwykł zażywać rozrywek, i tam napoiła trucizną. Dolała jej do szampana, którym – skorzystawszy z jej wdzięków – mężczyzna obficie się uraczył. Był to jeden z ponad pięciuset znanych jej specyfików, które podobno sama warzyła. Z niewygodnego zostały tylko kości. Trucizna dosłownie rozpuściła skórę i mięso.

Kiedy Timur Sawasin przybył na daczę, by pogratulować jej sukcesu, rzuciła jedynie: „Świnia!”, po czym wzięła pierwszego ministra na dywanie. Dosiadła go półnaga, tak jak Samowładca dosiadał konia.

Teraz otrzymała zupełnie inne zlecenie i stała się kimś zupełnie innym. Ubrana w perłowoszarą garsonkę od Armaniego i skromne czółenka na niskim obcasie, z jedwabną apaszką zawiązaną luźno na szyi, wyglądała jak urzędniczka wyższego szczebla. Włosy, które w innych okolicznościach były rozwiane, upięła w gładki, niemal surowy kok. W uszach miała diamentowe sztyfty, a na serdecznym placu lewej ręki wąską złotą obrączkę. Subtelny makijaż postarzył ją o dziesięć lat i uczynił prawie nieładną. Jej naturalny wdzięk przygasł.

Pierwszy minister ubrał się w swobodny, lecz niezwykle elegancki garnitur; twarz miał świeżo ogoloną, a włosy uczesane wedle europejskiej mody. Na palec założył identyczną obrączkę. Nikt nie byłby w stanie odgadnąć, kim jest ta para. Może prezesowie renomowanej firmy, może małżeństwo. Nikt zresztą nie próbował zgadnąć, bo nikt się im nie przyglądał.

Obecnie Likwidusza wypełniała to samo zadanie co zawsze, kiedy pierwszy minister udawał się w podróż w niezupełnie oficjalnych interesach. Podczas tych nieczęstych wypraw nie zabierał olbrzymiej obstawy, jakiej wymagały przepisy Federacji. Podróżowała z nim tylko ona – jego towarzyszką, ochroniarką i skrytobójczyni. Sawasin nie wierzył, że ktokolwiek inny, nawet jego następujący po sobie pomagierzy, z których każdy się szczycił, że jest jego prawą ręką, byłby w stanie ustrzec go od śmierci i zabezpieczyć jego tajemnice. Cóż za niedogodność, że w tym coraz bardziej zagmatwanym świecie czasami trzeba komuś zaufać... Wobec tego Sawasin zdecydował się zaufać młodej kobiecie, która w nawet najtrudniejszych sytuacjach umiała wykorzystać swój ogromny talent do zadawania śmierci, a której lojalności nigdy nie miał powodu kwestionować. Wiele lat wcześniej – jeszcze zanim nadał jej przydomek, ale gdy już był pewien, że z czasem jej potencjał się rozwinie – pierwszy minister oddał jej przysługę tak kolosalnych rozmiarów, iż dziś nie miał najmniejszych wątpliwości, że Likwidusza jest mu oddana duszą i ciałem, związana z nim aż do śmierci.

Pilot poprosił pasażerów o złożenie stolików i przywrócenie foteli do pozycji pionowej, gdyż lądowanie w Nikozji jest przewidywane za dwadzieścia minut. Pilot podał też lokalny czas, więc oboje przestawili zegarki.

Na swój pierwszy posiłek w Nikozji udali się do restauracji przy Morderczej Mili, czyli ulicy Lidras, która przecina otoczone murami Stare Miasto na osi północ-południe i od wieków stanowi główną arterię miasta. To tu mieszkańcy Nikozji przychodzą zrobić zakupy i dobrze zjeść. Swoje ponure miano ulica zyskała w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy to nacjonałiści starający się wyzwolić Cypr spod władzy Brytyjczyków strzelali tu do kolonistów jak do kaczek.

Dziś, w złoto-błękitnym świetle wczesnego wieczoru, niegdysiejsza Mordercza Mila była spokojna i idylliczna – oczywiście na tyle, na ile może być spokojna główna ulica w śródziemnomorskim kraju. Miejscowe firmy z wolna ulegają zalewowi McDonaldów, Starbucksów, sklepów z wyposażeniem dla nurków oraz innych tego typu przybytków, którymi Ameryka bezustannie obdarza świat i przeciwko którym tak zaciekle protestują islamscy ekstremiści. Niemniej Ledra wciąż zachowuje odrębny, czysto cypryjski charakter. Wszędzie można dostrzec wpływy tureckie; tak jest na prawie całej wyspie, zwłaszcza w jej północnej części, która pozostaje spornym terytorium.

„Jaki kraj, takie jego wojny” – myślał Timur Sawasin, popijając retsinę. Jej ostry, żywiczny posmak oblepił mu język osobliwą goryczką. Na Cyprze to Turcy budzili nienawiść miłujących swą niezależność miejscowych.

Prosto z lotniska pojechali do hotelu, gdzie się zameldowali pod nazwiskiem Blaine (z Sussex), rozpakowali się, wzięli prysznic, przebrali się w swobodniejsze, bardziej pasujące do cypryjskiego stylu życia stroje, a potem poszli do restauracji, którą ktoś Likwiduszy polecił. Sawasin nie miał pojęcia kto, ale go to nie obchodziło. Wszystkie wybrane przez nią restauracje zawsze okazywały się doskonałe.

Siedząc naprzeciw niego, Likwidusza obserwowała przechodniów, zacienione bramy i okna, z których snajper miałby na nich oko. Sawasin się uparł, by usiąść w ogródku, chociaż radziła mu stolik wewnątrz. To byłoby rozsądniejsze.

– Czasem trzeba być czujnym – powiedział – a czasem trzeba cieszyć się życiem.

– Doradzam to pierwsze – odparowała. Miała dziwną, urywaną intonację. – Łatwiej wtedy zdobyć szansę na to drugie.

Sawasin uśmiechnął się, uniósł szklankę z retsiną i dotknął krawędzi jej kieliszka, w którym był tylko tonik.

– Chociaż raz radujmy się wspólnie spędzonym czasem, jakbyśmy byli częścią prawdziwego świata.

– Ja tu pracuję. Niech mi pan pozwoli właściwie wypełniać moje obowiązki.

– Hmm... – Sawasin popijał żywiczne wino, choć wcale mu nie smakowało. „Jak ludzie mogą pić takie świństwo?” – pomyślał. W końcu wezwał kelnera, odstawił retsinę na jego tacę i zamówił dwa razy potrójną rosyjską wódkę z lodem. Potem zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

– Daj mi godzinę. Czy proszę o zbyt wiele?

Likwidusza wahała się przez chwilę, ale zaraz potem się uśmiechnęła. Uśmiech w magiczny sposób zmienił coś w jej twarzy. Stale obecna zmysłowość nagle się pogłębiła. Dziewczyna zrobiła się nieodparcie pociągająca. Oczywiście nie można powiedzieć, aby była nieświadoma swego uroku, ale też trzeba przyznać, że nigdy nie była od niego zależna. Jej promienny wdzięk był całkowicie niewymuszony i przez to jeszcze bardziej fascynujący.

– Coś jakby wakacje? – spytała.

Skinął głową.

– Coś jakby wakacje.

Przyniesiono wódkę, zmrożoną dokładnie tak jak lubił. Wzniesli toast, tym razem za swoje sześćdziesięciminutowe wakacje, cokolwiek to oznaczało oprócz posiłku i dobrego rosyjskiego napitku.

Nawiasem mówiąc, Likwidusza nie była Rosjanką. Była Estonką. Wywodziła się z narodu, którego dziwaczny i osobliwie niepokojący język był dla Sawasina nieprzeniknioną tajemnicą. Zupełnie jak sama Likwidusza, na czym zresztą, jak uważał, częściowo polegał jej powab. Znał tylko maleńki okruch jej przeszłości – ten, który zdołał przywrócić do porządku. Gdyby zaprzął do roboty swoich ludzi, być może dowiedziałby się więcej na jej temat. Zauważył jednak, że mierzi go myśl, iż ktoś obcy miałby grzebać w przeszłości, której tajemnic zazdrośnie strzegła. Zresztą Likwidusza była częścią jego prywatnego życia, a jego tajemnic on zazdrośnie strzegł. Wszystko, co udało by się odkryć, prowadziłoby nieuchronnie do niego. Dlatego też tych dwoje było jak Słońce i Księżyc – albo raczej jak gwiazda podwójna, krążąca po mrocznym firmamencie Federacji, dwoisty system, którego komponenty były skazane na wieczny antagonizm i brak szczęścia.

Sawasin pozwolił jej zamówić dania dla nich obojga. W końcu to ona przyprowadziła ich do tej restauracji, więc była odpowiedzialna za jakość posiłku. Potem zapytał:

– Co tam u Liis?

– Doskonale pan wie, co tam u Liis.

– Oczywiście. Dzień i noc ktoś ma na nią oko – rzucił z uśmiechem. – Ale niektóre wiadomości lubię usłyszeć od osoby, która ją kocha nade wszystko.

Przez chwilę przyglądała mu się z jedną z tych zagadkowych min. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, która byłaby dla niego niezgłębioną tajemnicą – aż poznał Likwiduszę.

– Niedawno została solistką w zespole.

Miała na myśli New York City Ballet.

– Rozumiem, że należą jej się gratulacje?

Roześmiała się. Śmiech miała dźwięczny jak dzwonki sań w mroźny poranek.

– Jeśli to oznacza te trzy tuziny par baetek i bukiet czerwonych róż, które pan jej posłał, to już się pan o to zatroszczył.

– Jestem z niej dumny.

– Posłał je pan w moim imieniu.

– No i?

– Nie wie pan?

– To był całkowicie bezinteresowny gest.

– O nie – zaprzeczyła. – To był egoistyczny gest. „Od twojej kochającej siostry”... Liis odczytała mi bilecik, który pan dołączył do prezentu.

– Dlaczego?

– Bo to nie brzmiało jak coś, co ja mogłabym napisać.

– Ach, i mogła to stwierdzić na podstawie krótkiego zdania.

– Pan jest jedynakiem, prawda?

Likwidusza odchyliła się na krześle i przyjrzała mu się badawczo. Kelner zaczął ustawiać na stoliku jakąś obłądną liczbę talerzyków. Jedne z przystawek były gorące, inne zimne, a wszystkie pachniały wprost niebiańsko.

Uśmiechnął się krzywo. Był to odruch obronny. Potrafiła nim manipulować. Dlaczego on nie potrafił manipulować nią?

– Wiem z doświadczenia, że nie zawsze się obrazasz, kiedy dostajesz prezent.

Ujęła widelec i nabiła nań kawałek *ceviche* z ośmiornicy.

– Nie jestem obrażona. Może raczej rozczarowana.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Czym?

– Tym, że nie powiedział pan Liis, od kogo jest prezent. Ucieszyłyby się, że...

– Nie potrzebuję jej podziękowań – uciał nieco zbyt chłodno.

– Właśnie je panu przekazałam.

– Nie powinnaś była jej o mnie opowiadać.

– Nie opowiadać jej o człowieku, który wyrwał ją z łap Albańczyków? Który zapewnił jej opiekę psychiatryczną po tym, co jej zrobiły te pojeby?

– Te pojeby, jak to zgrabnie określiłaś, już dawno gryzą ziemię.

– Dla Liis ta świadomość jest bardzo ważna. Ogromnie chciałaby pana poznać.

– Rozmawialiśmy już o tym – powiedział stanowczo Sawasin. – I to zbyt wiele razy. To, co zrobiłem, to część mojego prywatnego życia. Tego drugiego życia, do którego tylko ty masz dostęp.

– W porządku – odpowiedziała. – W każdym razie Liis wie, kto przysłał jej baletki i kwiaty. Jest panu bardzo wdzięczna.

Sawasin zamilkł na chwilę. Z początku ocalenie młodszej siostry Likwiduszy było jedynie elementem planu, który realizował, lecz ostatnimi czasy zdał sobie sprawę, że trwałe szczęście Liis nie ma dla niego znaczy. To go zastanawiało, tak samo jak zastanawiała go rola Likwiduszy w jego życiu. Kwestia jej oficjalnych obowiązków była prosta, ale pozostawał ich poufny aspekt. Zupełnie jakby ta młoda kobieta była tajną operacją w ludzkiej postaci.

Te rozmyślenia sprawiły, że Sawasin stracił apetyt. Zresztą jedzenie w ogóle mu nie smakowało. Szczególnie paskudne było *ceviche* z ośmiornicy, którym ona się zajadała. Jemu marzył się gruby, krwisty stek lub ostatecznie cielęce żeberka.

– Nie lubi pan być w centrum tego rodzaju uwagi, prawda? – spytała Likwidusza.

– W moim środowisku bywa to często niezdrowe.

– Na Boga, panie ministrze, Liis zyskała bezpieczne schronienie w zespole baletowym. Już pan o to zadbał.

– Dyskrecja i przezorność to moja dewiza.

Dziewczyna odłożyła widelec. Jej też chyba przestała smakować ośmiornica.

– Co doprowadza nas do pytania, czemu pan tutaj przyjechał.

Likwidusza nigdy nie włączała się do rozmów na temat ich tajnych podróży. Jakby była niewidzialna albo jakby jej w ogóle nie było.

– Już koniec wakacji?

– Na moje oko było całkiem dość.

Skinął głową. Czasami – naprawdę nie miał pojęcia, jak to rozumieć – uleganie jej woli sprawiało mu przyjemność. Nawet więcej niż przyjemność. Sawasin poczuł, że coś przebudziło się w jego kroczu. Pragnienie to było tak perwersyjne, że zaczął je podsycać, aż wreszcie musiał się poprawić na krześle, bo jego członek tak mocno napał na tkaninę spodni, że zaczął odczuwać ból.

– Coś nie tak, panie ministrze? – Likwidusza rozchyliła błyszczące wargi. – Czy mogę panu w czymś pomóc?

Nie odpowiedział. Nawet wtedy, gdy wsunęła nogę między jego uda.

– To ty powinnaś była zostać baletnicą – wymruczał z przymkniętymi oczami. – Świat doceniłby taki talent.

– Czyżby teraz nikt go nie doceniał?

Cichy jęk to była jedyna odpowiedź, jakiej Timur Sawasin zdołał jej udzielić.

– Chcesz mi powiedzieć, że on żyje?

Dov skinął głową.

– O ile nam wiadomo, to tak. Kilku tutejszych Kurdów odwiozło Bourne’a dżipem do bazy lotnictwa pod Suruç. To jest na północ stąd.

– Ale to na pewno był on?

– Człowiek, który wyskoczył z helikoptera sekundę przed jego trafieniem.

Sara poczuła, że serce jej skacze z radości. Była w kurdyjskiej bazie kilkanaście kilometrów od granicy. Chatka, do której przyprowadził ją Dov, została sklecona z kamieni, desek, brezentowych płacht i Bóg wie czego jeszcze. Siedzieli naprzeciw siebie na odwróconych do góry dnem skrzyniach po amunicji. Przy jej nogach leżał materac, który – sądząc po zapachu – był wypchany słomą, a na nim dziurawe koce i poduszka wypełniona łuskami jakichś roślin. Zdaniem Sary był to kawałek rajju.

Porucznik Southern został przetransportowany drogą powietrzną do szpitala w Stambule. Ich rozstanie miało słodko-gorzki posmak; tak bywa, kiedy rozstają się towarzysze broni. Był to jeden z tych nieczęstych momentów, kiedy żałowała, że nie może komuś wyjawić swojego prawdziwego imienia, ale oczywiście nie miała wyboru. Dla niego była i na zawsze pozostanie Rebeką – aniołem, którego ocalił i który potem ocalił jego. To najsilniejsza więź, jaka może łączyć człowieka z człowiekiem.

– Dokąd Bourne pojechał, gdy opuścił bazę? – spytała.

Rozmawiając z Dovem, nie zamierzała mówić o nim per Jason. Ich związek to nie była sprawa jej szefa.

– Tego żaden z Kurdów nie wiedział. Ale kiedy odjeżdżali, do lądowania podchodził prywatny odrzutowiec. Bardzo prawdopodobne, że Bourne wszedł na jego pokład.

– Miał jakieś oznakowania?

Dov pokręcił głową.

– Saro, ja cię proszę... Teraz powinniśmy się skupić na tobie, nie na Bournie.

O mały włos nie powiedziała: „To jedno i to samo”, ale zdążyła się ugryźć w język. To, z jakim wysiłkiem kontrolowała w tej chwili swoje emocje, trochę ją przerażało. Przekonanie, że Jason nie żyje, było strasznym uczuciem, więc jej radość była teraz tak wielka, że aż budziła trwogę.

– Niewiele mi zdążyłaś opowiedzieć, ale wygląda na to, że przeszłaś przez piekło.

„Trudno zaprzeczyć” – zgodziła się w duchu, wciąż myśląc o Jasonie. Nie była w stanie przestać, tak mocno tkwił w jej głowie.

– Iwan Borz nie żyje – powiedziała głośno. – Skończyła się obłędnie skuteczna kampania rekrutacyjna ISIS.

Po raz kolejny poczuła zawroty głowy, więc zamilkła, pochyliła głowę i ucisnęła palcami skronie.

– Mimo katastrofy w Kairze udało ci się doprowadzić misję do satysfakcjonującego końca. Tylko to się liczy.

– Nie masz racji – wyszeptała.

– Szef jest wściekły – ciągnął Dov.

Albo nie usłyszał, albo uznał, że Sara zaczyna majaczyć.

– Wyobrażam sobie...

– Chce, żebyś niezwłocznie wracała do domu. Pij! – Dov wcisnął jej w rękę manierkę z wodą. – To najlepszy sposób, żeby pozbyć się resztek tego świństwa.

Skinęła głową i piła, aż w manierce pokazało się dno. Dov natychmiast wręczył jej kolejną.

– Wystarczy.

– Nie wystarczy, ale na razie dam ci spokój.

Siedziała z pochyloną głową i gapiła się na klepisko między swoimi butami, próbując jednocześnie myśleć i nie myśleć. Ukryła twarz przed Dovem, ale wiedziała, że dowódca jest w stanie odczytać język jej ciała.

– Rebeko, teraz najbardziej potrzebujesz snu.

– Nie mogę.

– Odzyskaj siły.

– Nie mam czasu.

– Inaczej nikomu nie pomożesz. – Zawahał się i westchnął. – Wliczając w to Bourne'a.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Jego kamienna twarz nie zdradzała, co miał na myśli.

– Coś jeszcze się szykuje. Coś gorszego niż sprawa Borza.

Znieruchomiał.

– A dokładnie?

– Nie mam pojęcia. Ale już wielu ludzi przez to zginęło.

– Rewelacja! Nie każ mi czekać na ciąg dalszy...

– Znam tylko jednego człowieka, który wie, o co chodzi.

Przez kilka bardzo długich minut wydawało się, że Dov polemizuje sam ze sobą.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Sprawdzę, czy da się zidentyfikować właściciela tego odrzutowca.

– Dziękuję – powiedziała Sara z uśmiechem.

– Za co? Przecież nic nie zrobiłem. Absolutnie nic.

Dov wstał i zrobił krok w kierunku drzwi, ale jeszcze się odwrócił i rzucił przez ramię:

– Właśnie w tej chwili siedzę w kawiarni w Trypolisie, piję campari z wodą sodową i zastanawiam się, gdzie ty do licha jesteś... A teraz spać. Zrozumiano?

– Tak jest, szefie!

Sara z jękiem zsunęła się ze skrzynki na materac. Było to najmniejsze, najbardziej zapraszające legowisko, na jakim w życiu leżała.

Nie modliła się od dzieciństwa, ale teraz słowa wdzięczności same do niej przypląnęły, więc pomyślała: „Dobry Boże naszych przodków, dziękuję ci...”.

Sekundę później zasnęła. Nic jej się nie śniło.

– Bank – oznajmił Timur Sawasin.

Likwidusza przestała podziwiać widok z okna apartamentu na najwyższym piętrze hotelu i odwróciła się.

– O nazwie?

– Nigdy o nim nie słyszałaś.

Zasunęła szklane skrzydła drzwi na taras, ale nie do końca. Poniżej Morze Śródziemne łagodnie grzechotało kamykami na brzegu.

– Na pewno?

– Na pewno – rzucił pierwszy minister. Miał na sobie błękitną koszulkę polo i dzinsy, a na stopach

meksykańskie sandały z plecionych pasków. Czuł się idiotycznie, ale na tej wyspie wszystko było idiotyczne. Nikt, z małym wyjątkiem Turków, nie brał Cypru na poważnie. I o to właśnie chodziło. – Nikt o nim nie słyszał.

– A czemuż to?

– Bo ma za zadanie nie rzucać się w oczy.

Zapadała łagodna, aksamitna noc, idealna, żeby wypłynąć na połów. Sawasin nigdy nie byłby w stanie się przyzwyczaić do takich nocy. Nad zachodnim horyzontem niebo plamiły smugi oranżu i krwawej czerwieni. Morze było niczym jedwab, trochę zielone, trochę granatowe. Opoдал brzegu mrugały światła, jakby łodzie próbowały przesłać mu jakąś pilną wiadomość.

– Pan jednak wie, że on istnieje. A kto oprócz pana?

Sawasin wsunął dłonie do kieszeni.

– Czemu dajesz rozkosz, ale sama odmawiasz jej przyjęcia?

Uśmiechnęła się.

– Skąd pan wie?

– Mężczyzna zauważa takie rzeczy.

– Nie. Pan zauważa takie rzeczy. – Likwidusza odwróciła się plecami do okna. Słony powiew wydymał lekkie szyfonowe zasłony. – A to nie to samo.

Sawasin wzruszył ramionami.

– Ciekawi mnie to i tyle.

Stała tak blisko niego, że czuł jej zapach – piżmo, cynamon i coś egzotycznego, czego nie był w stanie z niczym skojarzyć. Sawasin miał ochotę zapalić, ale pod wpływem tego zapachu nie sięgnął po papierosa. Ta kobieta właśnie tak na niego działała.

– Gdyby to była zwykła ciekawość – rzekła miękko – nie zadałby pan tego pytania.

Na moment odwróciła wzrok, jakby patrzyła na wyświetlający się w jej głowie film.

– Zanim pan się zorientował, że istnieję, moje życie było bardzo złe.

– Gorsze niż życie Liis?

– O wiele, wiele gorsze. Przecież widział mnie pan naga.

– Dobry chirurg plastyczny bez trudu poradziłby sobie z bliz...

– Nie! – krzyknęła.

To go zaskoczyło. Likwidusza nigdy nie podnosiła głosu, przynajmniej nie w jego obecności.

– Te blizny to część mnie – dodała tonem tak innym, że słowa te mogłaby wypowiedzieć inna osoba. –

To one uczyniły mnie tym, czym jestem.

– Nie zamierzam w to wierzyć.

W kąciку jej ust zaigrał leciutki uśmiezek.

– Ten ktoś, kto mi je zrobił, to był artysta.

– Artysta bólu.

„Nie zdradzi mi nawet płci człowieka, który ją skrzywdził – pomyślał. – Jak niechętnie ta kobieta wyjawia swoje sekrety...”

Likwidusza nieznacznie skinęła głową.

– To też.

Sawasin nagle zrozumiał, że nie ma ochoty pytać o nic więcej.

– Wracając do twojego pytania, to jest bank Omega and Gulf – powiedział, bo sądził, że o to jej chodziło.

Miał rację, ale nie do końca.

– Chce pan mnie poznać, nic więcej – powiedziała. – Chce pan wiedzieć, jaka jestem, żeby

przyszpilić mnie na ścianie sypialni w swoim prywatnym pociągu. Potrzebne panu kolejne trofeum.

– Wcale tak o tobie nie myślę – zaprotestował, nieco zbity z tropu. – Nigdy tak nie myślałem.

Położyła mu dłoń na policzku.

– Wiem. A pan wie, że ja nie jestem trofeum. Dla żadnego mężczyzny.

Zajrzał jej w oczy.

– Czemu to robisz? Dla pieniędzy, przywilejów, jakie ci przynosi takie życie, dla wolności, którą ci dają między zleceniami? – spytał. Chciał sprowokować ją do jakiejś reakcji. – A może tylko dla dobra Liis?

– Nie. Dla przyjemności. Lubię odmierzać śmierć w dokładnych dawkach.

– Wierysz, że daje ci to władzę nad śmiercią, tak?

– Śmierć co dzień kroczy przy mnie ramię w ramię. Śmierć co noc kładzie głowę na mojej poduszce.

Śmierć jest z nami tutaj, w tym apartamencie.

– Nie bądź głupia.

– Dobrotliwie wyciąga do nas ręce...

– Dobrotliwie? Co ty gadasz?

– Przekraczając bramę śmierci, pozostawiamy za sobą ból, troski i cierpienie. Śmierć jest początkiem spokoju, piękna... i miłości.

– Chyba w to nie wierzysz?

Gwałtownie odwróciła się w stronę półotwartych drzwi, wyszła na taras i przechyliła się przez barierkę, patrząc na rozciągającą się poniżej plażę i rozmigotaną wodę. Po chwili Sawasin do niej dołączył.

– Więc co robimy jutro rano? – spytała rzeczowo.

– Idziemy do banku – odpowiedział, czując ulgę, że wrócili na znane wody. – Żeby go zabezpieczyć.

– Przed czym?

– Przed wypłatą środków bez autoryzacji.

To ją odrobinę zaskoczyło. Zerknęła na niego z ukosa.

– Mówił pan, że nikt o tym banku nie wie.

– Owszem. Wie o nim Samowładca – powiedział, patrząc na nią w skupieniu, jakby zapomniał o całym świecie, który rozciągał się poniżej tarasu. I nie bez racji. – Nie jest jednak wykluczone, że dowiedział się o nim ktoś jeszcze.

– A mianowicie?

– Generał Borys Karpow.

– Karpow nie żyje.

– Istnieją ludzie tak potężni, że potrafią przemawiać zza grobu. Obawiam się, że generał był jednym z nich.

– Byłoby lepiej, gdyby przestał pan mówić zagadkami, panie ministrze.

– Karpow w jakiś sposób dowiedział się o istnieniu banku Omega and Gulf. Gorzej, odkrył jego przeznaczenie. Wygląda na to, że przewidział swoją śmierć, zrobił więc wszystko, aby jego odkrycie nie przepadło.

– A co konkretnie?

– Wysłał zaszyfowaną wiadomość na ten temat do swojego najlepszego przyjaciela, Jasona Bourne'a.

– Więc myśli pan, że Bourne może się tu pojawić.

– Ależ nie – odrzekł Sawasin, kierując się z powrotem do pokoju. – Ja to wiem.

Odległość między Asmarą a Nikozją to w linii prostej dwa tysiące dwieście siedemdziesiąt siedem kilometrów. Przelot według wyznaczonego przez Aziza planu zabrał Bourne'owi trzy i pół godziny. Odrzutowiec wylądował w Nikozji tuż po zachodzie słońca. Nieboskłon przybrał odcień indygo, na zachodzie pocięty smugami oranżu, krwawej czerwieni i ciemniejszej zieleni. Schodząc na płytę lotniska, Bourne usłyszał żalosne okrzyki krążących w górze mew. Aziz już wisiał na telefonie, rozmawiając z kimś gorączkowo. Skończywszy rozmowę, przeciągnął się i rzucił:

– No, fajnie było! Niestety, czeka mnie ciąg dalszy. Jak tylko zatankują samolot i skombinuję nowego pilota, lecę do Stambułu... Allah pobłogosławił mnie dwoma synami. Jeden z nich to kompletny kretyn w sprawach życiowych. Muszę jechać wyciągnąć go z kolejnego gówna, w które wdepnął. – Objął Bourne'a, uścisnął go i energicznie ucałował w oba policzki. – Niech Allah użyczy ci mądrości, przyjacielu. Niech cię broni i zachowa.

– I ciebie też – odpowiedział Bourne. – Dzięki za wszystko.

Kazał taksówkarzowi zaparkować dwie przecznice za siedzibą banku Omega and Gulf, zapłacił i polecił mu czekać. Potem zawrócił w stronę banku. Było ciemno, ulicę oświetlały nieliczne latarnie i światła przejeżdżających samochodów. Bourne obejrzał budynek, wolno stojący i cofnięty w głąb działki, i nawet w tym marnym świetle zdołał stwierdzić, że siedziba banku wygląda zupełnie jak elegancki i dyskretny hotelik. Tabliczka z nazwą była tak schowana, że ledwo ją znalazł.

Obszedł dookoła dwupiętrowy budynek i całą działkę, na której stał, notując w pamięci każdy szczegół, między innymi to, że jeden bok działki graniczył z obsadzonym palmami skwerem. Dwadzieścia minut później był już z powrotem w taksówce, nieco zdziwiony, że wciąż czeka. Kierowca jadł gyros owinięty w woskowany papier i zaproponował mu połowę. Bourne chętnie przyjął poczęstunek; pilotowanie odrzutowców zaostrzało apetyt.

Poprosił kierowcę, aby go zawiózł do jakiegoś przyjemnego hotelu tuż nad morzem. Trafił do nowego, niedużego obiektu obok olbrzymiego kompleksu Golden Tulip. Zamiast pójść prosto do pokoju, Bourne przeciął hall i wszedł do dyskretnie oświetlonego baru. Usiadł przy kontuarze z granitu i drewna gruszy, nieco oddalony od pozostałych klientów. Zamawiając gimlet, przyjrzał się wnętrzu. Było wypełnione najwyżej w połowie; z boku stał fortepian, a pomruk cichych rozmów mieszał się z dźwiękami melodii granymi przez pianistę. Bourne nie znał żadnej z nich.

– Przyjechał pan w interesach czy na urlop? – spytał barman, stawiając przed nim drinka.

– W interesach – odpowiedział. – Muszę coś załatwić w banku Omega and Gulf.

– O – zdziwił się barman, żylasty Cypryjczyk z gęstymi kurzymi łapkami w kącikach oczu. – To będzie pan pierwszy.

– W jakim sensie?

Barman oparł się o blat.

– Siedziba była gotowa prawie rok temu. Do tej pory ani jednego klienta, przynajmniej tak słyszałem. Chyba nawet nie zrobili prac wykończeniowych.

– Żadnego ruchu?

– Jacyś faceci, nietutejsi. Spoza wyspy – rzucił barman i dla podkreślenia swoich słów pacnął ścierką w brzeg blatu. – Od czasu do czasu przyjeżdża taka grupka. Tak słyszałem. Podobno ekipa sprzątająca, ale różnie ludzie mówią.

Do baru podszedł klient, więc barman pospiesznie odszedł. Bourne dopił drinka, wsunął banknot pod pusty kieliszek i spacerowym krokiem przeszedł na taras restauracji, gdzie nie było ani jednego wolnego stolika. Szerokie schody z piaskowca prowadziły na plażę. Musiał odreagować. Są mężczyźni, którzy w tym celu odwiedzają burdel, fundują sobie masaż lub prywatny taniec erotyczny. Są też tacy, co łykają tabletkę nasenną i śpią bez przerwy przez osiemnaście godzin. Bourne potrzebował bliskości morza.

O tej późnej porze po bulwarze spacerowali już tylko zakochani, przytuleni do siebie ramionami i biodrami, z sandałami w dłoniach, ale nawet takich par było niewiele. Bourne zdjął buty i skarpetki, zszedł na brzeg i stanął w wodzie. Czuł, jak morze leniwie obmywa jego stopy. Oddychał głęboko słonawym powietrzem i próbował wyrzucić z pamięci wydarzenia ostatnich ośmiu godzin.

Czasu było coraz mniej. Jutro wieczorem ruszą rosyjskie wojska, zacznie się najazd na Ukrainę. Przywódcy wszystkich krajów świata zostaną obudzeni tą wiadomością, a potem nic już nie będzie takie samo, bo Samowładca zacznie tworzyć nowy światowy ład.

Aż do rana, do otwarcia banku, Bourne nie mógł nic zrobić. Nie miał również pojęcia, co może zrobić po otwarciu placówki. Nie miał hasła do konta Samowładcy, a bez niego nie był w stanie powstrzymać przepływu pieniędzy na konta ISIS ani zakręcić kurka ze środkami, z których Samowładca miał finansować coraz szerszy podbój Europy Wschodniej. Zależało mu, aby ISIS posuwało się do przodu, zajmowało nowe terytoria, szło od zwycięstwa do zwycięstwa. Tak zwane Państwo Islamskie skupiało na sobie uwagę świata. Bez niego zachodnie mocarstwa zwróciłyby swój kolektywny wzrok na Wschód, zjednoczyłyby się przeciwko Federacji, a Samowładcy nie pozostałoby nic, tylko albo wycofać wojska, albo zaryzykować klęskę oraz – co dla niego byłoby o wiele gorsze – osobiste upokorzenie.

Przez jakiś czas Bourne siedział na kamieniach, otaczając ramionami podciągnięte pod brodę kolana, i słuchał chlapania wody o burty zacumowanych nieopodal łódek, rytmicznego brzęku ich olinowania, jęśliwych okrzyków ptactwa, kojącego szmeru wiatru. W końcu jego ciało się rozluźniło, a umysł poszedł w jego ślady. Poczuł, że oczy same mu się zamykają.

W takich chwilach jego myśli zawsze biegły do Sary. Zastanawiał się, gdzie jest, co robi. Skupiał na niej całą siłę woli, aby pomóc jej uniknąć zagrożenia. Nie żeby Sara potrzebowała jego pomocy. Na tę myśl aż się uśmiechnął.

– Czy tutaj ktoś siedzi?

Podniósł głowę i zobaczył stojącą niedaleko prześliczną kobietę.

– Nikt oprócz mnie.

Usiadła obok, blisko, ale nie przesadnie blisko. Miała na sobie luźną, sięgającą kostek granatową suknię, którą podwinęła pod siebie. Była boso, co oznaczało, że mieszka albo w jego hotelu, albo w tym olbrzymim kompleksie obok.

– Mogę cię o coś zapytać?

Zwrócił twarz w jej stronę.

– Czy twoim zdaniem to ubranie jest odpowiednie? – spytała z wyraźną samokrytyką w głosie. – Mam na myśli, odpowiednie na plażę. Zdecydowałam się tu przyjechać w ostatniej chwili. – Wzruszyła kształtnymi ramionami. – Pokłóciłam się z moim chłopakiem. Tylko że teraz chyba wcale nie chcę, żeby był moim chłopakiem. Ani niczym innym – dodała i westchnęła. – No więc, jak mówiłam, w ostatniej chwili... Zapomniałam spakować kostium kąpielowy, a butik w hotelu jest już zamknięty. Czy ta sukienka jest rzeczywiście taka okropna, jak mi się wydaje?

Nie odpowiedział. W tej chwili naprawdę nie życzył sobie towarzystwa, zwłaszcza kogoś tak pięknego i tak samotnego. Gdzieś daleko, w ciemnych zaułkach jego umysłu, bił dzwon na trwogę.

– Jeszcze gorsza, tak? – Kobieta podniosła głowę i zapatrzyła się w morze. – Należało mi się.

Wiedział, że chce, aby zapytał: „Za co?”, ale milczał. Jakakolwiek odpowiedź oznaczałaby podjęcie gry, w którą nie miał ochoty grać.

Posłała mu smętny uśmiech.

– Należało mi się za to, że zakłócam ci kojącą samotność. Straszna ze mnie idiotka. Przepraszam.

Wstała i otrzepała tył sukni, na moment pokazując zarys pośladków.

– Życzę ci dobrej nocy – powiedziała, po czym gniewnie potrząsnęła głową. – Och, ależ to kulawo zabrzmiało...

Oddalała się wzdłuż plaży, stawiając stopy z dziwną ostrożnością, jakby szła po niepewnym gruncie. Nagle upadła i wcale nie zaczęła się podnosić. Leżała bez ruchu.

Kiedy przy niej przykucnęła, powiedziała:

– Nic mi nie jest.

A potem go odepchnęła.

Jej suknia podwinęła się, odkrywając nogi aż do kolan. Paskudna, gruzłowata blizna biegła po zewnętrznej stronie jej prawej łydki i znikwała pod materiałem. Kobieta dostrzegła spojrzenie Bourne'a, ale nie obciągnęła tkaniny.

– Byłam w szkole baletowej – powiedziała. – No i...

– Co się stało? – spytał Bourne.

Zerknęła na niego nieśmiało, jak dziewczynka. Miała dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć lat.

– Chciałbyś zobaczyć ją całą?

Nie czekając na odpowiedź, bez ostrzeżenia podciągnęła suknię, marszcząc ją wokół bioder. Blizna biegła w górę prawego uda i znów znikwała pod suknią, tylko że teraz na biodrze.

– To nie jest pamiątka po wypadku – powiedział Bourne.

– Czyli?

– Powstawała etapami, przez dłuższy czas.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Jej źrenice ściemniały, zrobiły się zupełnie czarne. Bourne był pewien, że to wina słabego światła, które mżyło z hotelowego tarasu. Nagle kobieta zerwała się, a jej cudowne nogi zniknęły pod suknią. On też się podniósł. Stali ramię w ramię, niemal się dotykając, i patrzyli w morze.

– Miałeś kiedyś ochotę żeglować w ciemności?

– Żeglowałem.

– No jasne.

Uniosła kącik ust w półuśmiechu. Przez jej nos i policzki biegł pas jasnych piegów. Wcześniej ich nie zauważył. Z drugiej strony – nie patrzył.

– Powiedz, skąd wiedziałeś. O tej bliźnie.

– Widziałem kiedyś bardzo podobną.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Gdzie?

– Na ciele kobiety.

– Nie, mam na myśli gdzie na świecie.

– W Somalii.

Wciąż się lekko uśmiechała.

– Pewnie piraci.

– Piraci, handlarze niewolników, terroryści, nazwij ich jak chcesz. Tak naprawdę to była dziewczynka. Wyglądała na dwanaście, trzynaście lat, ale u tak skrzywdzonych dzieci trudno określić wiek.

Odwróciła się do niego i nieruchomym wzrokiem spojrzała mu w oczy. Po uśmiechu nie został nawet ślad.

– A więc widziałeś dziewczynkę, która miała taką samą bliźnię jak ja?

– Przy biodrze to wciąż była rana. Ciemna, spuchnięta, jeszcze nie całkiem zamknięta. Na krawędziach zbierały się krople krwi.

Powietrze między nimi wibrowało, drżało jak rój bezgłośnych owadów.

– A potem?

– A potem – powiedział Bourne – sprawiłem, że ta dziewczynka zniknęła.

Kryjąc się w mroku na tarasie, pierwszy minister Timur Sawasin obserwował parę. Mężczyzna i kobieta stali tyłem do niego i patrzyli w morze. Widząc Likwiduszę z Jasonem Bourne’em, Sawasin nie czuł zazdrości. Doznał intensywnego wrażenia, które stanowiło absolutne przeciwieństwo *déjà vu*: poczuł, że jego przeznaczeniem było znajdować się tu i teraz, właśnie w tej chwili, na cypryjskim wybrzeżu, i patrzeć na Bourne’a i tę istotę, którą sam stworzył, stojących dostatecznie blisko, by się pocałować lub zabić. Likwidusza ledwie zerknęła na fotografię Bourne’a, ale to jej wystarczyło. Zawsze umiała ogarnąć coś jednym spojrzeniem i nigdy nie zapominała żadnego szczegółu. Zapamiętanie podobizny ze zdjęcia to była dla niej igraszka. A teraz stali nad morzem we dwoje. Nieważne, jak nawiązała kontakt, ważne, że jej się udało. Swoją drogą Sawasin byłby bezgranicznie zdumiony, gdyby tak się nie stało.

Nagle poczuł dreszcz. Z zaskakującą dokładnością przypominał sobie, jak Likwidusza mówiła, że w tym luksusowym pokoju towarzyszy im śmierć. Wtedy brzmiało to idiotycznie, a teraz nagle wydało mu się, że czuje jej obecność. Śmierć była tu razem z nim i jak patrząca z nieba bogini obserwowała tych dwoje ludzi, których ukochała nade wszystko.

Czas wykonać kilka telefonów. Sawasin sięgnął po komórkę i wybrał pierwszy z miejscowych numerów.

– I gdzie jest teraz ta dziewczynka, która czmychnęła somalijskim piratom? – Bourne wciąż przyglądał się odległym światłom na morzu.

– Byłoby dziwne, gdyby teraz stała obok mnie.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Ja też nie.

Znowu popatrzyła na niego z ukosa.

– Co sugerujesz? – spytała. Nie odpowiedział. – Wyobrażasz sobie, ile czynników musiałoby się złożyć na to, abym to ja była tą dziewczynką?

Zapadło milczenie, które po chwili Bourne wypełnił słowami.

– Rozpoznałaś mnie, Mala. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Pozostaje pytanie: czemu

znalazłaś się tutaj w tym samym czasie co ja?

– Nie jestem już małą dziewczynką.

– Każdy człowiek się zmienia.

– Ty nie.

Sukienka wydeła się wokół jej łydek niczym żagiel.

– A tak w ogóle to byłam o wiele starsza niż wyglądałam.

– Zatrważające. Sporo się od tego czasu nauczyłaś.

– Jestem nie tylko starsza, ale i mądrzejsza.

– Powiedz mi, Mala, kiedy przestaniemy się bawić w te gierki?

– Czemu mamy przestać, skoro to takie przyjemne?

Leciutki uśmiezek zaigrał na jej wargach i natychmiast zniknął.

– Jest tylko jeden powód, dla którego tu teraz jesteś – rzucił Bourne. – Pracujesz dla Rosjan.

– Pracuję dla siebie.

– Dla jednego bardzo szczególnego Rosjanina.

– Któż by to mógł być?

– Jutro jest godzina zero.

– Godzina zero? Pierwsze słyszę.

– Wiesz, co to znaczy.

– Nie mam pojęcia.

Bourne wiedział, że jest wiele sposobów, by kłamać, ale tylko jeden, by wyrazić prawdziwą niewiedzę.

– Jutro, a ściślej za dziewiętnaście godzin, Samowładca wyda swojej armii rozkaz wkroczenia na Ukrainę. Rozpocznie się inwazja.

– Bredzisz.

– Zbroił ISIS, wspomagając tym ich ofensywę, żeby odwrócić uwagę Zachodu.

– Jak? – spytała. – Nawet Samowładca nie dałby rady uknuć takiego planu. Poza tym komisja, która kieruje bankiem Rossija, nie...

– Dał radę – powiedział Bourne. Czyli nie pracowała dla Samowładcy. Zatem dla kogo? Dla pierwszego ministra, Timura Sawasina. – Ominął nawet wewnętrzny krąg w banku Rossija, chociaż to jego ludzie. Kasa leży na tajnym koncie w banku Omega and Gulf, którego Samowładca jest właścicielem.

Nieznacznie obrócił głowę i zaczął się przyglądać jej profilowi. Była śliczna już wtedy, gdy się spotkali w obozie Somalijczyków, ale teraz prawdziwie rozkwitła.

– Bajki. Zachodnie mocarstwa nigdy by się na coś takiego nie zgodziły.

– Unia Europejska importuje osiemdziesiąt procent niezbędnego jej gazu ziemnego z Rosji. Idzie zima. Jak sądzisz, co się stanie, jeśli Samowładca przykręci kurek i miliony ludzi będą siedzieć w ciemnościach i trząść się z zimna?

Skrzyżowała ręce na piersiach.

– W Somalii, kiedy cię uwolniłem, kiedy zastrzeliłem tego potwora, który raz po raz naznaczał cię jako swoją własność, swoją niewolnicę, pamiętasz, co mi wtedy powiedziałaś? O tym, jak zdołałaś przetrwać u niego tyle miesięcy?

Cisza. Całkowita cisza.

– Powiedziałaś, że nauczyłaś się oszukiwać samą siebie. Zdołałaś przekonać samą siebie, że jesteś

gdzie indziej, że jesteś kimś innym. „Inaczej bym zwariowała” – tak to ujęłaś. Wtedy ta twoja żelazna wola była niesamowita, godna podziwu, ale teraz zwróciła się przeciwko tobie. Myliłem się. Niektórzy ludzie się nie zmieniają. Czy teraz jest inaczej niż w Somalii? Zmieniłaś tylko jednego pana i władcę na innego. – Zrobił krok, odwracając się tyłem do morza i migających tajemniczym kodem światełek. Stali teraz twarzą w twarz. – Słuchaj, Mala – powiedział. – Rosja rusza na wojnę. Zamierza wkroczyć na Ukrainę. Sama wiesz, co zadeklarował Samowładca: że Europa Wschodnia to jego terytorium. Zachód mało dba o to, co się stanie z Ukrainą. Pamiętasz, jak zwlekał i w końcu nic nie zrobił, kiedy Rosja zagarnęła Krym? Większość ludzi na Zachodzie nawet nie wie, że Estonia istnieje. Myślisz, że będą ryzykować życie? Jeśli nie udaremnimy tego planu teraz, zanim wszystko się zacznie, i jeśli Rosja zagarnie Ukrainę, to jak sądzisz – ile czasu upłynie, zanim odrodzony Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich wkroczy do Estonii?

Sara wybudziła się z najgłębszego etapu snu, do którego wciskały się już senne wizje, zupełnie jakby podświadomość przygotowywała ją do rozstania z rozkoszną nicością.

– Rebeko!

Otworzyła oczy i popatrzyła w górę. Obok materaca stał Dov.

– Śpisz jeszcze?

– A jak ci się wydaje? – warknęła.

– Prywatny odrzutowiec należy do Abdula Aziza, biznesmena...

– Ze Stambułu – dokończyła. To ją całkowicie obudziło.

– Znasz go?

– To przyjaciel Bourne’a.

– Miejmy nadzieję, że nie skończy jak inny przyjaciel Bourne’a, generał Karpow.

Usiadła.

– Wiedzieliście o tym?

– I wcale nas to nie ucieszyło.

Zawroty głowy już chyba całkowicie minęły.

– Coś jeszcze?

– No jasne. I to ile... A na ciebie czeka ekspresowy transport.

– Ale zaopatrzyliście go w jakieś żarcie?

Roześmiał się i przytaknął.

– Resztę opowiesz mi na pokładzie. Umieram z głodu.

– Kiedy mam go zabić? – spytała Likwidusza, wróciwszy do pokoju.

Sawasin zamówił posiłek do apartamentu. Na stole w kącie jadalnym pyszniły się: różowiotka pieczeń jagnięca, warzywa z rusztu, ser *halloumi* i kielbaski *loukaniko*. Dla niej zamówił sałatkę, z czystej życzliwości, bo sam nienawidził zieleniny.

Usiadła naprzeciw niego i zaczęła sobie nakładać jedzenie.

– Dziś by pasowało – dodała.

– Z pewnością.

– We śnie. W blasku księżyca zalewającym jego pokój. Bardzo romantycznie. Podoba mi się. Każdy romans kończy się śmiercią.

– Więc tak to zrobiłaś? – zapytał, siląc się na obojętność. – Nawiązałaś z nim romans?

– O Jezu, nie! – Likwidusza się roześmiała, ukazując białe zęby. – To była przerośnia.

– Jakież to poetyckie.

Ostra nuta w jego głosie sprawiła, że uniosła głowę. Łyżka pełna karczochów, marchewki i cebuli, które właśnie niosła na swój talerz, zawisła w powietrzu.

– Ależ panie ministrze, chyba nie jest pan zazdrosny?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Nabiła na widelec kawałek jagnięciny i uśmiechnęła się filuternie.

– Jedno trzeba panu przyznać, uwielbia pan mięso – skomentowała. – Tak ludzkie, jak i zwierzęce.

Odsunął krzesło i podszedł do kredensu, na którym stała druga część jego zamówienia: trzy butelki wyśmienitej wódki, każda we własnym oszronionym kubku. Nalał kieliszek, wychylił i napełnił go raz jeszcze. Potem obrócił się i obserwował, jak Likwidusza je – powoli, metodycznie, w skupieniu. Nigdy nie widział jej jedzącej szybko czy żarłocznie.

Uniosła zapraszająco kształtne ramię.

– Proszę usiąść. Mięsko czeka – powiedziała i nabiła na widelec kielbasę. – Nie da się ukryć, że jest pyszne.

Wypił jeszcze łyk wódki, wrócił do stołu i przestawiając swoje krzesło, usiadł obok niej. Wziął widelec i zaczął jeść z jej talerza.

– A to noga od stołu – rzuciła, poklepując mebel. – Może należałoby ją obsikać?

Prychnął.

– Oznaczyłem już terytorium – powiedział i wepchnął do ust kielbasę. – I to nie raz.

Przeżuwał długo, powoli i z namysłem.

– Więc przywiązałaś się do niego.

– Przywiązałam go do mnie.

– Ponieważ zaczęłaś mu się zwierzać.

– To podstawa każdej oszukańczej kombinacji. Więc owszem.

– I on kupił te twoje zwierzenia?

– Tak sędzę.

– To nie jest byle jaki klient. To Jason Bourne.

– Wiem, kim on jest, panie ministrze – powiedziała spokojnie. – Czego nie rozumiem, to ta gwałtowna antypatia, którą pan wobec niego żywi.

– Bourne i Karpow byli serdecznymi przyjaciółmi. To wystarczający powód.

– Ale nie jedyny.

Odłożył widelec i wytarł usta serwetką.

– Dokończymy tę rozmowę w sypialni.

– Nawet nie napoczęłam sałatki – zauważyła. – Czy mam ją zabrać ze sobą?

Zdarł z niej ubranie, warcząc jak dzikie zwierzę. Likwidusza już go takim widziała, raz, z jedną z jego kochanek. Kazał jej wtedy się ukryć w ciemnym kącie jego sypialni i patrzeć, nie zdradzając najmniejszym ruchem swej obecności. Kiedy w końcu ofiara Sawasina – bo za taką zaczęła ją uważać Likwidusza – zwlekła się z łóżka, całe ciało miała pokryte śladami ugryzień. Brunatnoczerwone kręgi już zmieniały kolor na granatowy i siny. Potem półprzytomna dziewczyna wyszła, zataczając się, z sypialni, a pierwszy minister zawołał Likwiduszę i po raz pierwszy wciągnął ją do swojego łóżka. To wtedy zobaczyła krew na prześcieradłach.

Teraz jego ręce i usta maltretowały jej ciało, a Likwidusza czuła się tak, jakby pod jej plecami rozwarł się wir czasoprzestrzenny. Leciała w dół, w dół, aż wreszcie znalazła się z powrotem w obozie somalijskich piratów. Rany na jej ciele krzyżowały się, wirowały, tworzyły łuki, trójkąty i zygzaki. Z czasem zmieniły się w blizny, a ona przez lata ceniła i szanowała te pamiątki po ohydnych rytuałach, które jej właściciel nazywał sztuką, trzymając się ich tak desperacko, jak tonąca kobieta trzyma się trupa, aby nie zapaść się w głębinę.

To właśnie w koczowisku Somalijszczyków, w rękach mężczyzny, który ją schwytał – a był Yibirem, członkiem klanu somalijskich czarowników, organizacji tak starej, że jej historia sięgała czasów sprzed nadejścia islamu – stała się niewrażliwa na seks bez bólu. Była świadoma, że to skutek szkolenia, jakiemu poddał ją ten mężczyzna – ale co z tego? Jej mózg w jakiś sposób się przestawił i teraz jej ciało reagowało wyłącznie na te podniety, których on je nauczył. Dlatego w głębi duszy czuła potworne rozdarcie, żądzę, której nie mogła zaspokoić. Bourne miał rację. Niczego nie zmieniły ani upływ czasu, ani odległość: wciąż była niewolnicą tego Somalijszczyka i nie miała żadnej nadziei, że ucieczka przyniesie jej wolność.

Wyrwała się mu nagle i zeskoczyła z łóżka.

– Gdzie idziesz? – zapytał, ale ona już go nie słyszała.

Bourne leżał na łóżku w hotelowym pokoju. Było ciemno, tylko światło księżyca, pocięte listwami drewnianych żaluzji na szerokie smugi, rozpląywało się jak rtęć po terakotowej posadzce. Od czasu, gdy na plaży spotkał Małą, światło księżyca wydawało mu się równie trujące jak rtęć. Nadchodziła zima. Nawet tu, nad Morzem Śródziemnym, noc była chłodna. Próbował wyłączyć umysł, ale myśli o tym, co miało się wydarzyć nazajutrz, dręczyły go uporczywie. Zostały tylko godziny, a on nadal nie wiedział, jak się dostać na konto Samowładcy w Omega and Gulf. Wiedział, że Borys musiał zawrzeć tę informację w swoim szyfrze. Przez niezliczone godziny analizował go w myślach, ale nie potrafił już nic więcej z niego wycisnąć. Przecież rozszyfrował całą zagadkę – cztery grupy sumeryjskich symboli.

Nagle usiadł. A może była jeszcze piąta grupa, napisana sympatycznym atramentem? Staroświecka sztuczka, ale Borys mógł się nią posłużyć. Jeżeli tak, to Bourne miał przechlapane, bo zniszczył ten świstek, aby nie wpadł w niepożądane ręce. Jeżeli informacja, której potrzebował, nie znajdowała się w zapamiętanych przez niego znakach, to do wieczora jutrzejszego dnia na świecie rozgorzeje wojna.

Chyba że pierwszy minister Sawasin ma kod do konta. Wtedy jest jeszcze szansa, jakkolwiek niewielka. Ale niewielka szansa jest zawsze lepsza niż żadna.

Bourne miał się znowu położyć, kiedy dostrzegł zakłócenie na jednej ze smug księżycowego światła, jakby przeciął ją jakiś cień pełznący po cementowym balkonie.

Zwolnił oddech, aż ruch jego klatki piersiowej stał się niemal niewidoczny. Cień wciąż tam był; poruszał się tak powoli, że ledwo dało się go zauważyć. Ułożywszy poduszki pod kołdrą w taki sposób, by przypominały ludzkie ciało, Bourne zsunął się z łóżka, by znaleźć się jak najdalej od przesuwanych drzwi balkonowych.

Kilka smug księżycowego światła padało ukośnie między żaluzjami. Pocisk z pistoletu z tłumikiem musiałby najpierw przebić plastikową warstwę ochronną między podwójnymi szybami, więc strzał byłby niepewny. Ten ktoś, kto znajdował się w tej chwili na tarasie, powinien zatem podejść do łóżka, a w tym celu będzie musiał wyjść na światło. Jeżeli on, Bourne, mocno przylgnie do ściany, to zdoła podejść do drzwi balkonowych, nie opuszczając strefy ciemności.

Był przy samych drzwiach, kiedy ktoś bardzo powoli otworzył je od zewnątrz. Żaluzje nie pozwalały mu nic dojrzeć, stał więc nieruchomo, wpatrując się w jeden punkt. Drzwi były już rozsunięte na tyle, by szczupła osoba mogła się bokiem wsunąć do środka. W jego polu widzenia pojawiło się ramię, na moment mącąc promienie księżyca. Bourne błyskawicznym ruchem złapał nadgarstek intruza i pociągnął go ku sobie. Poczul na gardle zaciskającą się dłoń, więc wciągnął go do środka i w rewanżu też ścisnął za gardło. I tak oto trzymali się oboje w uchwycie, który mogła rozerwać jedynie śmierć.

Stał twarzą w twarz z Sarą.

Sara roześmiała się dźwięcznie, a ten śmiech wypełnił serce Bourne'a ciepłem, którego nie czuł, odkąd się pożegnali. Zdjęli sobie wzajemnie ręce z gardeł, ale on nie puścił jej nadgarstka, tylko przyciągnął ją do siebie. Kontury jej ciała wpasowujące się w jego ciało przywróciły go do rzeczywistości, która zaczęła mu umykać w chwili, gdy rozpoznał na plaży Małą.

– Jak mnie tu znalazłaś? Jak się tu dostałaś?

Sara opowiedziała mu, co jej się przytrafiło w obozie Borza. O tym, że pojmała go, torturowała i zaczęła przesłuchiwać, ale przerwał jej zbuntowany brat Amiry, El-Amir, który go zabił. O tym, że następnie to ona została pojmana przez El-Amira i wrzucona do celi z porucznikiem Southernem. W końcu o tym, jak udało jej się zabić El-Amira, jak oboje z Southernem uciekli i zostali uratowani przez załogę śmigłowca.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała. – Widziałam, jak w helikopter, którym leciałeś, trafiła rakietą. Dopiero po przekroczeniu tureckiej granicy dowiedziałam się, że uciekłeś. Mój szef sprawdził, dokąd pojechałeś i zorganizował dla mnie transport do Nikozji. A teraz ty mi powiedz, co tu robisz? Jakim śladem idziesz?

– Tym wyznaczonym przez Borysa.

Rozmowa o misji sprowadziła go do rzeczywistości z tego zakamarka wspomnień, który aż do dzisiaj rzadko odwiedzał, i to z wielu powodów. W mrocznych korytarzach jego umysłu rzadko pojawiał się Somalijczyk, który swoją ohydłą magią krzywdził Małą, tak samo jak skrzywdził wiele innych młodych kobiet, dziewczynek i dzieci, ponieważ chciał pozostać wiecznie młody i zachować pełnię męskich sił. Otóż Bourne okłamał Małą. Nie zabił Yibira. Po zniszczeniu obozowiska miał wybór: uratować ją lub ścigać jej dręczyciela. Podjął decyzję bez najmniejszego wahania, choć z tego powodu musiał okłamać swoich przełożonych w Treadstone, którzy kazali mu zlikwidować Somalijczyka. Yibira wchłonęło grząskie bagno jego rozdartego wojną kraju i słuch po nim zaginął. Jednak spotkanie z Małą rozjaśniło mrok, w którym skrywały się wspomnienia o Somalijczyku, a pytanie, co się z nim stało i gdzie teraz jest, zaczęło nękać sumienie Bourne'a.

Sara musiała wyczuć jego nastrój, gdyż położyła dłoń na jego policzku i szepnęła:

– Jasonie, co jest? Co się stało?

Natychmiast zrozumiał, że nie może jej opowiedzieć historii Mali. To by obudziło zbyt wiele podejrzeń, zarówno w kontekście osobistym, jak i zawodowym. Z czasów, gdy pracował w Treadstone jako zabójca, pozostały mu w głowie tylko okruchy, ale jedno było pewne: wprawdzie nie przypominał sobie ani imienia, ani daty, ale wyraźnie pamiętał pobyt w Jerozolimie, gdzie zastrzelił kogoś wskazanego mu przez Treadstone, a ten ktoś to prawie na pewno był agent Mossadu.

Dlatego, nie chcąc jej okłamywać, wybrał inny aspekt prawdy.

– Rosyjski pierwszy minister jest tutaj.

– Timur Sawasin?

Skinął głową.

– Sawasin był wielkim wrogiem Borysa. Zazdrościł mu władzy, dużo stabilniejszej niż jego władza, bo nie opierała się na kłamstwach, oszustwach i korupcji.

– Skoro już mówimy o pierwszym ministrze, wdowa po Borysie zniknęła.

– Dzwoniła do mnie z Amsterdamu. Była pewna, że ktoś ją śledzi. Obawiała się o swoje życie.

– Według Dova dotarła do Kairu. Zniknęła po wyjściu z lotniska.

– Dopadli ją! Sawasin zlecił jej zabójstwo.

– To tylko przypuszczenie.

– Nie tylko – odparł ponuro Bourne. – Znalazła materiały, które Borys zostawił w swojej daczce. Pierwszy minister bardzo by nie chciał, żeby wypłynęły.

– A więc Sawasin zlecił zabójstwo i Borysa, i jego żony.

Bourne potwierdził skinieniem głowy i dodał:

– To znaczy, że Borz pracował dla obu stron: i dla Samowładcy, i dla Sawasina.

– Dla Samowładcy też?

Bourne skinął głową i opowiedział Sarze, jak prezydent Rosji wynajął Borza, by rekrutował żołnierzy dla ISIS, a jednocześnie okradał go przy pomocy Mika, człowieka, który potrafił sprawić, że pieniądze znikają w jednym miejscu, a pojawiają się zupełnie gdzie indziej.

Płomień wściekłości, który dusił w sobie, próbując wykonać zadanie, które wyznaczył mu Borys, rozgorzał z całą intensywnością. Palce Bourne'a się zacisnęły, a Sara nie mogła nie zauważyć tej zmiany.

– Czy pierwszy minister wie, że tu jesteś?

– Owszem. Przyjechał z osobistym ochroniarzem.

– Znasz tego ochroniarza?

– Ją – powiedział Bourne. – Nazywają ją Likwidusza.

Sara zaśmiała się niepewnie.

– Żartujesz, prawda?

– Chciałbym – odpowiedział z krzywym uśmiechem Bourne, a Sara natychmiast spoważniała. – Likwidusza jest wyjątkowo niesympatyczna.

– Więc Sawasin przyjechał tu, żeby cię powstrzymać.

– Przed chwilą wziąłem cię właśnie za Likwiduszę.

Przyglądała mu się w zamyśleniu.

– Dlaczego Borys doprowadził cię aż tutaj?

– Jest tu jeden bank, który należy do Samowładcy. Trzyma tam olbrzymie sumy, z których finansuje inwazję na Ukrainę i sponsoruje ISIS w Syrii.

– Który to?

– Uśmiejesz się – powiedział Bourne. – Omega and Gulf.

– I tak zatoczyliśmy koło – powiedziała Sara. – To jedno szambo.

Opowiedziała mu o słowie „wankor”.

– Masz pojęcie, do czego to się odnosi?

– To nazwa bardzo dochodowego pola naftowego, którego właścicielem jest Wankornieft, spółka córka Rosnieftu, największej firmy petrochemicznej w Federacji – wyjaśnił Bourne z zamyśloną miną. – Ciekawe. Wdowa po Borysie wspomniała coś o tajnej umowie między Samowładcą a chińską firmą energetyczną. Mówiła, że to początek zmiany w polityce energetycznej Federacji i że wcześniej taka zmiana była nie do pomyślenia.

– Chcesz powiedzieć, że rząd chiński w praktyce finansuje nowe wojny Samowładcy?

– Właśnie to mam na myśli. Potrzebna na to kwota jest astronomiczna i znacznie przekracza wszystko, co dało się podkraść z kont Borza. A cała ta fortuna pojawia się i znika w jednym miejscu. W banku Omega nad Gulf.

Tak, w tym momencie powinien był ją objąć. Fakt, że tego nie zrobił, w jakiś niejasny sposób go zaniepokoił.

Poranek zdawał się bezchmurny i nadzwyczaj ciepły – to był ostatni moment, kiedy śródziemnomorskie późne lato jeszcze się broniło przed najazdem zimy. Budynek banku Omega and Gulf, zupełnie nowy, w oczywisty sposób różnił się od sąsiadów. Ale było w nim też coś osobliwego, niewłaściwego, czego nie dało się zauważyć nocą. Dopiero z bliska Bourne dostrzegł, że zbudowano go ze zbrojonego betonu. Nie przypominał żadnego innego w pobliżu, a może nawet i w całej Nikozji.

Przed świtem Bourne spytał:

– Masz broń?

Sara potrząsnęła głową.

– Przyjechałam prosto z lotniska. Nie miałam czasu poszukać handlarza. A ty?

– Tak samo.

– Niektórzy twierdzą, że nie da się przeżyć, polegając jedynie na sprycie.

– Najwidoczniej nigdy nie spotkali nas.

Wymienili uśmiechy. Stali naprzeciw banku Omega and Gulf, w głębokim cieniu bramy po drugiej stronie ulicy.

– Nie ma żadnego ruchu – powiedziała Sara. – Nawet mysz nie przebiegnie.

– Ani samochód nie przejedzie.

– Zauważyłam.

W nocy usunięto wszystkie zaparkowane pojazdy. Teraz ulicą nic nie jechało, chociaż nie widzieli blokad.

– Sawasin już tu jest – powiedziała Sara.

– Można tak zakładać.

– Jesteś pewien, że przyprowadził ze sobą Likwiduszę?

– W tej chwili niczego nie jestem pewien. – Bourne przyglądał się topornej fasadzie banku. – Ale należy przypuszczać, że zatrudnił jakichś lokalnych specjalistów.

– Fakt – zgodziła się Sara. – Na pewno nie możemy wparadować przez frontowe drzwi.

– Ja nie mogę – odparł Bourne. – Ale Sawasin nie wie, że ty tu jesteś. Może nawet nie wiedzieć, kim jesteś.

– Zidentyfikowali mnie, kiedy opuszczałam Szeremietiewo. Rosjanie znają moją twarz.

– Dlatego obciąłem ci włosy, umalowałam usta, masz letnią sukienkę i sandały.

– Bogu dzięki za hotelowy butik, który otwierają tak wcześnie... – Zrobiła kwaśną minę. – Ale ten słomkowy kapelusz jest okropny.

Przyjrzał jej się z krzywym uśmiechem.

– Wiesz, co robić.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Omawialiśmy to ze sto razy, Jasonie.

– Dobrze, w takim razie daj mi dziesięć minut, a potem przejdź na drugą stronę ulicy i...

– Dosyć! – Sara chciała jak najszybciej zakończyć tę misję i powoli traciła cierpliwość. Oprócz tego była zdziwiona, że nie kochali się przez te kilka godzin przed świtem. Zaczęła się nawet nad tym zastanawiać, ale natychmiast ucięła te rozważania. Mieli tyle do zrobienia. Oczyszcza umysł

z negatywnych myśli. – Ruszaj już.

Oddalił się, skręcając w lewo, doszedł do rogu i przeszedł na drugą stronę ulicy. Dotarł do zaśmieconego zaułka, który odkrył podczas nocnego rekonesansu. Tak jak wcześniej zauważył, tylne drzwi banku były ze zbrojonej stali. Strzegł ich alarm – drogi, supernowoczesny system, którego nie dałoby się szybko rozbroić od zewnątrz. Wszystko jedno, i tak nie miał zamiaru tamtędy wchodzić.

Zeszłej nocy na sąsiednim skwerze zauważył kilka dorodnych palm daktylowych. Wspiął się po tej, która rosła najbliżej banku, aż znalazł się na poziomie płaskiego, pokrytego blachą falistą dachu. Nie było na nim nic poza gąszczem anten. Bourne skoczył i w tym samym momencie zauważył dwóch mężczyzn.

Rzucili się w jego kierunku, pochyleni, z wyciągniętymi przed siebie zakrzywionymi nożami. W ich oczach widział własne odbicie; wydawało się, że ich świat kończy się na nim. Bez wątpienia byli fanatykami. Rozdzielili się, by zająć go z obu stron i zaatakować jednocześnie, a Bourne, zamiast się cofnąć, stał w miejscu, aż znaleźli się na obranych przez siebie torach. Wtedy rzucił się, ale nie w ich stronę, a przed siebie, jakby atakowali go z przodu. Zaskoczył ich i zmusił do tak gwałtownej zmiany kierunku, że kiedy ich dopadł – najpierw tego z prawej – nie zdołali utrzymać równowagi.

Uderzył najpierw jednego, a potem drugiego pięścią w splot słoneczny. Zgięli się wpół, a wtedy Bourne jednego kopnął kolanem w czoło, a drugiego zdzielił kantem dłoni w szyję. Jeszcze dwa precyzyjnie wycelowane kopniaki i obaj dżentelmeni odpłynęli w niebyt. Zabrał ich noże i poszedł dalej.

Obchodząc gąszcz anten, znalazł właz, którym najemnicy Timura Sawasina dostali się na dach. Złapał kłamkę, przekręcił ją i pociągnął pokrywę. Natychmiast zauważył metalową drabinkę, która schodziła do pomieszczenia z monitoringiem. Nie wykrył żadnych oznak życia, ale nie czuł się na tyle pewnie, by schodzić po drabinie. Jeżeli ktoś na niego czekał, to właśnie tego się spodziewał.

Zamiast tego stanął nad otwartym włazem, złapał za krawędzie i zsunął się w dół, używając podeszew butów jak prowizorycznego hamulca.

W tym momencie ktoś do niego strzelił.

Ulica była wyjątkowo spokojna, ale ten brak jakiegokolwiek ruchu wydał się Sarze bardzo niepokojący. Coś było nie tak, niemniej nie miała wyboru, musiała zdecydowanym krokiem przejść na drugą stronę ulicy, sprawiając wrażenie, jakby miała tam jakiś interes. Głupi słomkowy kapelusz zasłaniał jej oczy, a właściwie całą połowę twarzy. Masywne drzwi frontowe banku Omega and Gulf wyglądały na zrobione z palisandru. Gdy podeszła bliżej, zauważyła, że drewno było przybite do matowego metalu, w szparach między brzegami płycin nabijanego ćwiekami.

Ku jej zaskoczeniu drzwi otworzyły się bez problemu, gdy tylko nacisnęła kłamkę. Wnętrze nie przypominało żadnego banku, który wcześniej widziała. Nie było biurek, przy których można by było wypisać zlecenie wpłaty albo wypłaty. Nie było bankomatu. Nie było kasjerów, informacji czy miejsca, gdzie klient mógłby usiąść i poczekać, aż przyjmie go jakiś pracownik; zresztą pracowników też nie było. Nie było absolutnie nikogo, a samotny dźwięk jej sandałów na marmurowej posadzce odbijał się od kolumn przygnębiającym echem.

Po lewej znajdowały się otwarte drzwi. Zbadawszy je szybko, stwierdziła, że prowadzą do krótkiego korytarza z kilkoma biurami. Wszystkie były puste. Stały w nich identyczne biurka, a na nich telefony z tarczą numeryczną, solidne interkomy, maszyny do pisania IBM Selectric, pełne papierów pudełka opatrzone etykietkami „przychodzące” i „wychodzące”, noże do papieru, temperówki, kubki z zastrzonymi ołówkami. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono czarne szafy na dokumenty. Biura miały wystrój z lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych. Wykładzina, puszysta i droga, pachniała nowością.

Wszedłszy do pierwszego biura, od razu podeszła do szafy. Trzy szuflady były zamknięte. Przesunęła dłonią po górnej krawędzi szafy i znalazła klucz. Otworzyła górną szufladę: pusta. Tak samo środkowa i dolna.

Podobnie rzecz się miała z szufladami biurka, z których żadna nie była zamknięta. Nie leżała w nich nawet odrobina kurzu. Przeglądała rzeczy znajdujące się na blacie, wywróciła kubek i wysypała ołówki. Zajrzała do środka. Tam również nic nie było.

„Niepojęte” – pomyślała i w tym samym momencie usłyszała za plecami narastający dźwięk.

Dzięki prędkości, z jaką Bourne zsuwał się po poręczy, pocisk z pistoletu przeleciał nad jego głową.

Chwilę później wylądował na podłodze i właśnie kucnął, gdy wystrzelono kolejny raz. Gdy rykoszet niemal trafił go w lewy policzek, rzucił jednym ze zdobycznych noży. Nie były najlepsze do tego celu, wziął jednak poprawkę na kształt ostrza i nóż wbił się tuż nad mostkiem kolejnego najemnika.

Teraz był sam, nie licząc trupa i dwóch nieprzytomnych mężczyzn na dachu. Okazało się, że nie jest to ani pomieszczenie z monitoringiem, ani centrum łączności. Nie było nawet wykończone. Wyglądało na makietę. Żelazne słupy i legary sprawiały, że przestrzeń przypominała puzzle. Poniżej znajdowała się czarna przerwa pomiędzy piętrami, gdzie chciałyby zamieszkać chyba tylko myszy i karaluchy.

Wszedł z pomieszczenia na coś na kształt korytarza: była to okrągła przestrzeń z dykty, która miała na celu jedynie wypełniać przestrzeń, by z zewnątrz budynek wyglądał na dwupiętrowy. Osoba postronna mogłaby pomyśleć, że znajduje się na częściowo tylko wykończonym piętrze, ale nie było tu widać żadnego pyłu, żadnych ciężkich narzędzi, żadnego generatora ani czekających na otwarcie puszek z farbą.

Jeżeli nie był to dwupiętrowy budynek, w którym pracowali ludzie, to w takim razie co? A z drugiej strony – skoro Omega and Gulf powołano dla Samowładcy, to na co mu było drugie piętro? Gdzie przechowano aktywa? Jak nimi rozporządzano?

Szedł po kręconych schodach, które miały wygiętą balustradę z polerowanego drewna wiśni oraz połączone tralki. Przepych typowy dla willi za wiele milionów dolarów. Stopnie były wyłożone wykładziną, w której nie było widać żadnych wgnieceń. Mógł być pierwszą osobą, która po niej przeszła. Czarno-białe fotografie pól naftowych i rafinerii wisały w równych odstępach na łukowatej ścianie. Smugi zasilanych ropą płomieni i poczerniała, przysypana popiołem ziemia, miały apokaliptyczny klimat.

Był w połowie drogi w dół, gdy usłyszał pierwszy okrzyk bólu. Po nim usłyszał następne.

Sara nie miała czasu, żeby pomyśleć. Uratował ją instynkt. Instynkt i wyszkolenie. Gwałtownym ruchem zdarła z głowy kapelusz i rzuciła nim w kierunku napastnika. Odtrącił go, co na chwilę zakłóciło jego rytm. Sara tylko tyle potrzebowała. Złapała jeden z ołówków i zaatakowała. Wślizgnęła się pod jego rękę trzymającą paralizator i wbiła mu ołówek w lewe oko. Rzucił się w tył, rycząc z bólu, a ona docisnęła koniec z gumką nasadą dłoni, przebijając ostrym końcem lepki tył oka, nerw wzrokowy i w końcu mózg. Mężczyzna zawył. Cofnęła się, by uniknąć jego chaotycznych rąk. Próbował jeszcze jakoś się ratować, ale osunął się na wykładzinę jak marionetka, której odcięto sznurki.

Na Sarę spadł miazdzący cios, który rzucił nią na krawędź biurka. Jej zebra przeszył okropny ból, który wypełnił jej klatkę piersiową niczym ogień. Nie mogła złapać tchu. Nowy napastnik dopadł ją i wygiął jej ciało w tył, ziejąc jej przy tym smrodliwym oddechem w twarz. Na knykciach miał coś, co odbijało światło; kiedy grzmotnął ją pięścią w bok, ból był tak przeraźliwy, że prawie straciła przytomność. Nogi miała jak z gumy, myśli zaczęły się rwać. Poczowała się głupia i słaba, ale właśnie to wzbudziło w niej wielką wściekłość. Jej precyzyjnie doszlifowany instynkt przetrwania sprawił, że stała się podła, bezwzględna, nieubłagana. Przypominając sobie układ przedmiotów na blacie tak dokładnie, jakby nadal na nie patrzyła, sięgnęła za siebie. Nawet ten ruch sprawił jej trudność. „Z całą pewnością mam złamane żebro” – pomyślała, przebierając palcami w poszukiwaniu ciężkiego noża do papieru.

W tym momencie napastnik przekręcił ją na brzuch i przycisnął do blatu biurka. Czowała, że podciąga brzeg jej sukienki na wysokość talii, odsłaniając pośladki. Przycisnął się do niej, ocierał się w górę i w dół jak zwierzę podczas rui. W jej mniemaniu tym właśnie był.

Przytrzymał jej biodra, rozpinając rozporek, ale jego członek był tak nabrzmiąły, że trudno mu było go wyjąć. Sara złapała nóż do papieru. Ułożenie nie ułatwiało jej zadania, bo nie mogła się dobrze zamachnąć, jednak sił dodawała jej słuszną wściekłość, która równoważyła zarówno niesprzyjającą pozycję, jak i oślepiający ból w boku. Wyjęła długie ostrze noża do papieru z ciężkiego uchwytu. Wbiła biodro w kant biurka i mimo dodatkowego bólu, wykręciła tułów ku górze. Najpierw uderzyła napastnika płazem noża w okolice krzyża, a gdy się cofnął, zamaszystym ruchem poderżnęła mu gardło. Niemal ucięła mu głowę.

Krew sikała z niego jak z fontanny, z każdym kolejnym uderzeniem serca zalewając zarówno wykładzinę, jak i trupa jego kumpla. Gdy padał na podłogę, kolejna rozmazana postać zmusiła Sarę do wściekłej reakcji. Uniosła zakrwawione ostrze, gotowa do ciosu, lecz potężny chwyt unieruchomił jej nadgarstek. Zaczęła się szarpać; wiedziała, że jej życie wisi na włosku, że jeżeli teraz pozwoli się zatrzymać, to za kilka sekund będzie martwa.

– Saro...

Krew ściekała po ostrzu, po jej pięści, gęsta, nadal ciepła. Dobrze, może straci nóż, ale jest jeszcze czym się bronić.

– Saro!

Całe jej ciało jest bronią. W ten sposób je wytrenowano i jego właśnie użyje, by ocalić życie.

– Saro, to ja! Jason.

Zamrugnęła, by pozbyć się potu, który zalewał jej oczy. Zobaczyła go, zanim jej oszalały umysł zrozumiał, co się dzieje. Gdy po jej ciele rozlewała się kolejna fala bólu, upuściła nóż i z westchnieniem

zarówno ulgi, jak i cierpienia, osunęła się na jego cudownie twardą pierś. Przyłgnęła do niego jak osierocone dziecko. Wzdrygnęła się i zaczęła niekontrolowanie drżeć, jakby miała wysoką gorączkę. Adrenalina nadal szalała w jej ciele.

– Jason – wyszeptwała. – Jason.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Bourne, głaszcząc jej mokre od potu włosy.

– Obawiam się, że się mylisz – powiedział ktoś spokojnie za jego plecami.

Oboje się obrócili i zobaczyli Sawasina celującego do nich z masywnego magnum 357.

„Pan minister niczego nie pozostawia przypadkowi – pomyślał Bourne. – Ten gnat powstrzyma szarżującego lwa”. Nigdzie nie widział Likwiduszy, a to go martwiło bardziej niż groźne magnum.

– Co to za miejsce? – spytał.

– Tak bez przywitania? Bez żadnego wstępu przed oficjalnymi rozmowami pomiędzy narodami? – Sawasin uśmiechał się złośliwie. – Cóż, czego innego można się spodziewać po Amerykaninie i Izraelce?

Ostatnie trzy słowa po prostu wypluł, jednocześnie wyciągając z paczki, którą miał w kieszeni na biodrze, papierosa. Zapalił go. Wszystko to zrobił jedną ręką – najwyraźniej miał doświadczenie. Zaciągnął się głęboko i wypuścił chmurę dymu w stronę sufitu. Miał na sobie koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i lniane spodnie. Wydawał się wyjątkowo dobrze zbudowany. Na jego twarzy widniał zdrowy rumieniec.

– Rzuć broń.

Bourne wykonał polecenie.

– Teraz kopnij ją na bok. Grzeczny chłopczyk... A teraz pozbądź się noża, który chowasz na plecach.

Bourne złapał za rękojeść i zaczął wysuwać ostrze.

– Powoli – powiedział Sawasin. – Bardzo powoli. Teraz rzuć go i kopnij.

Kiedy Bourne wykonał polecenie, pierwszy minister zaciągnął się znowu i powiedział:

– Odpowiadając na twoje pytanie: to miejsce jest dokładnie tym, za co uchodzi, a mianowicie bankiem Omega and Gulf.

– Gówno prawda – warknęła Sara. Już wróciła jej część wigoru. – Nie ma kasjerów, sejfów, pieniędzy. To wcale nie jest bank.

Timur Sawasin patrzył tylko na Bourne'a. Dym wirował wokół jego twarzy.

– To jest bank, bo ja mówię, że to jest bank.

– To niestety nie jest wystarczający dowód, panie ministrze – stwierdził Bourne, ściskając Sarę, aby ją ostrzec, żeby się nie odzywała. – Rebeka ma rację. Nie ma tu nic, co by zaprzeczało twierdzeniu, że to tylko pusta powłoka, niekończona dekoracja teatralna.

– To dlatego, że nie widzieliście skarbcza! – Oczy Sawasina zapłonęły. – Nie wybraliście się na dół, na pierwszy poziom. Ale teraz tam pójdziecie...

Skinął lufą, powoli wychodząc tyłem przez drzwi. Upuścił peta i rozgniół go butem.

– Goście przodem.

Wsiedli do windy tak wielkiej, że mogłaby być towarowa, i zjechali poziom niżej. Kiedy drzwi się rozsunęły, znaleźli się w klaustrofobicznym pomieszczeniu wykutym w skale. Sawasin włączył światło, które ujawniło olbrzymie, okrągłe, stalowe drzwi do skarbcza, które błyszcząły jak garnek złota na końcu

tęczy. Nie kłamał. Mieli przed sobą magazyn nowych zasobów finansowych Samowładcy, które nabył dzięki uprzejmości Chin.

Gdy tak we trójkę stali przed drzwiami skarbcza, Sawasin powiedział:

– Oto istota mojego problemu, Bourne. Muszę się dostać do skarbcza, ale nie mam kodu. – Podszedł nieco bliżej drzwi. – Wydaje mi się, że ty go posiadasz.

– Źle ci się wydaje – odparł Bourne.

– Widzisz, jakoś ci nie wierzę. – Sawasin wycelował w niego magnum. – Żeby ci to udowodnić, dam ci dokładnie jedną minutę na wklepanie kodu na klawiaturze.

– Nie mogę tego zrobić. Nie mam kodu – powiedział Bourne zgodnie z prawdą.

– Zostało ci pięćdziesiąt sekund. Kiedy czas się skończy, zastrzelę twoją kochanicę. Zresztą nie pojmuję, jak możesz jej dotykać bez obrzydzenia. Przecież to Izraelka, bydlę.

Sara chciała się poruszyć, ale Bourne ją powstrzymał.

– Nie – wyszeptał jej do ucha. – Nie ruszaj się i bądź cicho. On cię zastrzeli, jeżeli damy mu najmniejszy pretekst. Jestem tego pewien.

Odpuściła, ale czuł, że gotuje się w środku.

– Jak go powstrzymasz? – wyszeptała.

– Otwierając skarbiec.

– Niby jak?

– Muszę jakoś rozwiązać tę zagadkę. – Puścił jej ramię. – Jesteś w stanie samodzielnie stać?

Jej oczy groźnie zapłonęły.

– Nie bądź głupi...

Rzucił jej cierpki uśmiech, po czym podszedł do panelu w drzwiach skarbcza. Był to ekran dotykowy z cyframi od jeden do zera. Żadnych liter.

– Trzydzieści sekund – liczył Sawasin za jego plecami. – Dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem...

Żadnych liter, tylko cyfry. W wiadomości od Borysa ich nie było. „Śledź pieniądze”, lokalizacja i nazwa banku – żadnych wskazówek odnośnie kodu. Jedyne liczby zawierała data, początek inwazji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę.

– Piętnaście, czternaście, trzynaście...

Bourne gapił się na ekran dotykowy. Żadnych liter, tylko cyfry. I nagle do niego dotarło. Data! Data była kodem!

– Dziesięć, dziewięć, osiem...

Wprowadził datę i spróbował przekręć uchwyt. Nic z tego.

– Sześć, pięć...

Nad jego górną wargą i na czole pojawił się pot.

– Cztery, trzy...

Bourne nagle pojął swój błąd. Wpisał datę w formacie amerykańskim, najpierw miesiąc, a później dzień! Tym razem odwrócił kolejność – najpierw dzień, później miesiąc, tak jak to robią Europejczycy. Na końcu wstukał rok.

– Dwa, jeden...

Złapał za uchwyt. Drgnął i przesunął się w dół. Bourne słyszał zapadki, obracanie się stalowych rygli. Drzwi skarbcza stanęły otworem.

Wszyscy troje weszli do środka i od razu odkryli, że wewnątrz jest kompletnie puste. Żadnych worków dolarów, euro ani jenów. Żadnych sztabek złota, stosów akcji czy obligacji.

– Jezu Chryste! – powiedział Sawasin. W oczywisty sposób był równie zaskoczony jak Sara i Bourne.

– Co, do jasnej cholery...

W tej właśnie chwili za ich plecami zatrzasnęły się drzwi.

Byli zamknięci w środku. Majstersztyk Likwiduszy. Dzieło szatana.

– Likwidusza wyruchała pana bez mydła, panie ministrze – powiedział Bourne.

– Ta dziwka wyruchała nas wszystkich! – ryknął Sawasin.

Teraz mierzył z magnum w Sarę, tak jakby to ona go zdradziła, co zresztą w pewien sposób było prawdą, bo Sara była Żydówką, gorzej, była Izraelką, a więc jego zajadłym wrogiem, sztychem bagnetu, który wbito w bebechy tyłu jego towarzyszy.

Strzelił, ale w tej samej chwili Bourne zaatakował go barkiem. Sara upadła. Nie miał pojęcia, czy to był tylko unik, czy została trafiona. Nie mógł tego sprawdzić, bo Rosjanin zajmował całą jego uwagę.

Jako mistrza sztuk walki, Sawasina cechowała obłądna zaciekłość. On nie chciał przeżyć, on chciał wygrać. Zadowalało go wyłącznie zwycięstwo. Co innego było nie do pomyślenia. A poza tym całkowicie zaskoczył Bourne'a głęboką znajomością i umiejętnością wykorzystania *haragei*, sztuki czerpania energii i równowagi ze źródła znajdującego się w podbrzuszu. To właśnie *haragei* jest podstawą wszystkich japońskich sztuk walki, od sumo przez karate do prawie nigdzie już nie praktykowanego *harakei*.

Jego ulubioną sztuką walki, dokładnie tak samo jak Bourne'a, było aikido. Wystrzeliwszy z magnum, co zrobił wyłącznie dla odwrócenia uwagi, Sawasin zszedł z linii ataku Bourne'a, zgiął się w pasie i wyprowadził płytkie, płaskie kopnięcie. Trafił w kostkę wykroczonej nogi Bourne i podciął go.

Magazynek magnum był już pusty, więc uderzył Bourne'a kolbą w podbródek, a ten grzotnął potylicą w kamienną podłogę. W oczach mu pociemniało. Podniósł ramiona, lecz Sawasin kilka razy uderzył go pięścią w bok, mierząc w mięsień nad nerkami.

Bourne zdołał się pozbierać – na tym właśnie polega piękno aikido: nie tylko uczy wewnętrznej koncentracji i koordynacji, lecz także kładzie nacisk na rozwój mentalny. Adept tej sztuki walki jest w stanie wyeliminować ze świadomości normalne dla człowieka zahamowania i osiągnąć stan niezwykle skupienia, dlatego nawet poważnie kontuzjowany, może kontynuować walkę, a nawet zwyciężyć.

Sawasin także doskonale znał aikido, więc natychmiast poznał, że przeciwnik sięgnął po *haragei*; wiedział, co to oznacza i próbował temu przeciwdziałać za pomocą ataku na ośrodek energii – dół brzucha. Oplótł udami biodra Bourne'a, aby uniemożliwić mu odczołganie się lub odtoczenie w bok, i raz po raz uderzał go w podbrzusze.

Na skraju pola widzenia Bourne'a gęstniał mrok, znak zbliżającej się utraty przytomności, a w centrum niczym fajerwerki błyskały snopy iskier, praktycznie go oślepiając. To jednak nie miało znaczenia. Sawasin znał Bourne'a tylko z raportów oraz pogłosek, a to oznaczało, że znał go słabo. O wiele za słabo. Zaraz miał się o tym przekonać.

Bourne wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni na biodrze Rosjanina, zmiażdżył ją w dłoni i cisnął mu w twarz chmurę okruszków tytoniu. Sawasin nie dostrzegł tego ruchu, ale poczuł uderzenie, które odrzuciło go w bok. Sawasin przetarł oczy i już, już miał odzyskać zdolność do walki, kiedy poczuł

straszliwe uderzenie, jak gdyby w pierś trafił go olbrzymi młot.

Jego płuca pękły i napełniły się krwią. Chwilę potem gorąca fala sięgnęła gardła, a później ust. Tonął we własnych płynach ustrojowych.

Bourne patrzył w przekrwione oczy pierwszego ministra.

– Nie dość ci było zamordować mi przyjaciela – powiedział. – Musiałeś jeszcze zabić Swietlanę.

Sawasin spazmatycznie poruszył wargami, wydając zwierzęce dźwięki. W innych okolicznościach byłyby to zapewne słowa. Odwrócił głowę i wypłuł skrzep czarnej krwi, a razem z nim kawał płuca. Kiedy znów spróbował się odezwać, mówił bełkotliwie, ale wyraźnie. I zwrócił się nie do Bourne'a, lecz do Sary:

– Żebyś zdechła, ty żydowska kurwo...

To były jego ostatnie słowa. Bourne podniósł puste magnum, wbił jego długą lufę w podniebienie Sawasina, przebił zatoki i sięgnął mózgu. Potem tak długo mieszał nią w jego czaszce, aż w oczach pierwszego ministra zgasło wszelkie światło. Życie opuściło go tak pospiesznie, jakby się już nie mogło doczekać.

– Idziesz jak burza – powiedział Bourne, pomagając Sarze usiąść.

Uśmiechnęła się, chociaż czuła ból żeber.

– Wygląda na to, że oboje idziemy jak burza. Coś ty mu zrobił?

Wskazała głową zwłoki Sawasina.

– Nic, na co nie zasłużył – parsknął Bourne i opierając dłoń na plecach Sary, podniósł ją na nogi. – Boli?

– Może najpierw znajdziemy wyjście z tego grobowca.

– Stąd nie ma wyjścia, ale dopóki działa system filtracji powietrza, nic nam...

W tej sekundzie zapadła całkowita cisza. Ktoś, zapewne Likwidusza, odciął dopływ powietrza do skarbcza.

– Nie będzie? – spytała Sara kpiąco. – To chciałeś powiedzieć? A co powiesz na to, żebyśmy poszukali drogi...

Ale Bourne już ściągnął koszulę ze zwłok pierwszego ministra i dał ją na pasy, które ze sobą wiązał. Powstała w ten sposób taśmą owinał ciasno tułów Sary i mocno związał końce.

– Lewo oddycham! Czuję się jak w gorsecie.

– Tak ma być. Teraz popatrzmy, na czym stoimy – rzucił i podszedł do zamkniętych drzwi. – Na tego rodzaju drzwiach zawsze jest mechanizm zabezpieczający, żeby dało się je otworzyć od środka. O, jest...

Przycisnęła dźwignię. Nic.

– Likwidusza wyłączyła mechanizm. Nie sądziłam, że można nienawidzić kogoś, kogo się w życiu nie spotkało – stwierdziła Sara i spojrzała z ukosa na Bourne'a. – A tak swoją drogą, czemu Karpow ściągnął cię do tego miejsca? Tu nie ma obsługi, nie ma pieniędzy. To jakaś zmyłka. Tu nic nie ma. Dziś wieczorem rosyjska inwazja na Ukrainę ruszy według planu.

Bourne potrząsnął głową.

– Jestem pewien, że to właśnie tu trafiały chińskie fundusze Samowładcy. Po prostu czegoś nie dostrzegam! Czegoś ważnego...

– Na przykład czego?

Oczy mu rozbłyły.

– Na przykład tego!

Szybkim krokiem podszedł do ściany, w którą trafiły kule z magnum Sawasina. Miejsca, gdzie ich uderzenia odłupały okruchy skały, wyglądały jakoś inaczej. Bourne przejechał opuszkami palców po ścianie.

– Popatrz...

Sara schyliła się, krzywiąc z bólu, i przyjrzała się zagłębieniu, które jej wskazał.

– To jest gładkie! – zawołała. – To metal!

Bourne wyjął magnum z czaszki Sawasina, wytarł lufę o jego spodnie, wrócił do nadłupanej ściany i zaczął uderzać w skałę. Tylko że to wcale nie była skała, tylko gips, uformowany i pomalowany w taki sposób, żeby wyglądał jak kamień. Po chwili ukazała się konsola ze sprzętem elektronicznym. Spojrzał na monitor i zobaczył, że urządzenia są podłączone do Dark Web, portalu wiodącego do tego zakątka cyberprzestrzeni, w którym da się sprzedać, kupić lub korzystnie wymienić wszelkiego rodzaju nielegalną

broń i amunicję.

– Na dachu zamontowano kilka potężnych anten – powiedział Bourne. – Nie widać ich z ulicy. Zastanawiałem się, po co to komu, skoro na drugim piętrze jest pusto.

– W biurach na parterze też nic nie ma. Wygląda to jak dekoracje – dodała Sara. – A jednak jest czysto. Ktoś tu od czasu do czasu przychodzi sprzątać.

– Założę się, że to nietutejszy.

– No to teraz wiemy, że bank jest jednak do czegoś używany. Ale do czego? Skoro nie ma tu ani banknotów, ani obligacji, ani certyfikatów depozytowych, ani złota...

– Chyba się domyślam. Ale najpierw musimy się stąd wydostać.

– Właśnie to proponowałam. – Sara zmierzyła Bourne'a wzrokiem. – Jakies pomysły?

– Tylko jeden. Likwidusza.

– Że co?

– Ona nie pozwoli nam tu umrzeć.

– I dlatego odcięła nam dopływ powietrza?

„Powietrze! – pomyślał Bourne. – No jasne!”

– Likwidusza zna to miejsce lepiej niż my. Daję głowę, że już tu była, i to nie raz.

– Po co? Żeby zetrzeć kurze i podłogi?

W końcu znalazł to, czego szukał. Kanał wentylacyjny był ukryty prawie tak samo zręcznie jak urządzenia, do których doprowadzał chłodne powietrze. Sprzęt elektroniczny, zwłaszcza w większej ilości, wydziela ogromną ilość ciepła i dlatego potrzebuje potężnych wentylatorów i systemów jego odprowadzania. A chłodzenie oznacza powietrze, dużo powietrza. Co więcej, kanał wentylacyjny musiał być gdzieś niedaleko, aby ciepło nie gromadziło się i nie niszczyło elektroniki.

Bourne oderwał kratownicę, która też wyglądała jak fragment skalnej ściany.

Sara zajrzała do środka.

– Człowiek się zmieści – zawyrokowała. – Ciekawe, gdzie wyjdziemy.

– Przekonajmy się.

Bourne wczołgał się do środka, a Sara poszła za nim. W kanale było przeraźliwie zimno. Przez jakieś dwadzieścia metrów poruszali się poziomo; potem szyb wznosił się pod tak ostrym kątem, że musieli się odpychać od lodowato zimnego metalu kolanami i krawędziami butów. Dla Sary było to szczególnie trudne, ponieważ miała na sobie letnią sukienkę i sandały, które prawie wcale nie chroniły jej przed tym arktycznym zimnem. W gruncie rzeczy bardziej jej przeszkadzały niż pomagały, więc w końcu zrzuciła je ze stóp. Spadły na dół – dwa lekkie pacnięcia, jakby dwa ptaki uderzyły o szybę.

Wkrótce zrobiło się jeszcze gorzej: krzywizna kanału przeszła w pion. Teraz musieli używać także łokci. Sara zaczęła drzeć z zimna. Żebra bolały. Ratował ją tylko bandaż z koszuli pierwszego ministra. Pomyślała, że to odpowiednia spuścizna po jego niegodziwym życiu i że Sawasin byłby wściekły, gdyby wiedział. W pewnym sensie to jego nienawiść utrzymywała ją przy życiu, każąc jej iść dalej. Jak łatwo byłoby rozluźnić uścisk, spaść prosto w otwarte ramiona ciemności i przez chwilę odpocząć w jej objęciach... A potem zasnąć na zawsze.

– Saro, widzę światło! Już prawie koniec.

Głos Bourne'a przedarł się przez mur jej czarnych myśli w ostatniej chwili, zupełnie jakby łączyła ich jakaś telepatyczna więź. Każde jego słowo było szczeblem w drabinie, po której wspinała się ku życiu, pozostawiając za sobą ramiona ciemności. Jeszcze nigdy nie czuła takiego obezwładniającego zmęczenia, takiego bólu, nawet kiedy wykrwawiała się na tylnym siedzeniu taksówki w stolicy Meksyku.

Słyszała, że u góry, gdzieś ponad nią, Bourne mocuje się z kolejną kratownicą. A więc dotarli do celu. Chwyliła gwiazdę Dawida i wyszeptała krótką modlitwę. Chwilę później Bourne wyciągnął ją z kanału.

Miała ochotę się rozplakać, ale zacisnęła zęby i pozwoliła, by przez jej ciało przetoczyła się kolejna fala bólu. Obejmowały ją ramiona ukochanego mężczyzny. Czuła bicie jego serca i – co chyba ważniejsze – kojące ciepło jego bliskości.

Bourne delikatnie położył ją na podłodze.

– Teraz musimy cię odwieźć do szpitala.

– Później – odpowiedziała, a później uśmiechnęła się i wstała. – Albo wcale.

Rozejrzała się. Kanał wyprowadził ich na niedokończone drugie piętro.

– Powiedz mi, co odkryłeś.

– Mam lepszy pomysł. Ja ci to pokażę.

Schodzili na dół szerokimi, łukowatymi schodami.

– Te zdjęcia, Saro. Co przedstawiają?

– Pole naftowe – odpowiedziała, marszcząc brwi. – Rafinerie.

– To nie jest jakieś tam pole naftowe. To Wankor.

– Pole naftowe, którego część Samowładca odprzedał Chińczykom...

– Właśnie. W tym banku nie przechowuje się banknotów, obligacji ani złota. To zbyt kłopotliwe w transporcie, zwłaszcza jeśli po otrzymaniu stosownego polecenia trzeba je sprawnie i bezzwłocznie wysłać. Tymczasem aktywa tego banku tak właśnie są ekspediowane...

Za trzecim zdjęciem znajdowała się metalowa tablica, a na niej spora klawiatura.

– O Boże – szepnęła Sara. – Diamenty!

Bourne skinął głową.

– Popatrz na tę klawiaturę. Jeszcze nigdy takiej nie widziałem.

– Ja też nie. Ma trzydzieści trzy przyciski, wszystkie pozbawione oznakowań... – Sara przeniosła wzrok z klawiatury na Bourne'a. – Jak, do licha, znajdziesz kod?

– Kod mamy na tych zdjęciach.

– Wankor!

– Rosyjski alfabet ma trzydzieści trzy litery – wyjaśnił Bourne i nacisnął po kolei sześć klawiszy, wprowadzając pisane cyrylicą słowo „wankor”. Drzwi odskoczyły. Sięgnął do sejfu i wyciągnął woreczek z czerwonego jedwabiu, ozdobiony wyhaftowanym złotą nicią chińskim smokiem i ściągnięty tasiemką, po czym wysypał Sarze na dłoń kopczyk diamentów, migoczących jak gwiazdy na nocnym niebie.

Popatrzyła na niego niepewnie.

– Ale przecież... To chyba nie wszystko?

– Tu są setki takich woreczków.

– Ale za chwilę już ich tam nie będzie!

Obejrzeni się, zaskoczeni. Kilka stopni wyżej stała Likwidusza. Mierzyła do nich z pistoletu maszynowego. W drugiej ręce trzymała torbę lekarską z wytartej świńskiej skóry.

– Do pełna proszę – powiedziała i cisnęła nią w Bourne'a.

Sara zeszywniała.

– Przecież jej nie pozwolisz...

Ale Bourne już zgarniał jedwabne woreczki do torby.

– Dzięki, że znalazłeś i otworzyłeś sejf. Wiedziałam, że gdybym cię poprosiła, nawet grzecznie, nic by z tego nie było. Dobrze... A teraz odłóż torbę i zejź niżej.

Bourne zrobił, co kazała, ciągnąc za sobą opierającą się Sarę.

Likwidusza zbliżyła się, wsadziła czubek buta w ucha torby i podniosła ją nogą. Potem zajrzała do środka, podniosła pakunek i przejechała ręką wewnątrz sejfu, aby sprawdzić, czy Bourne na pewno całkowicie go opróżnił.

– Czas na mnie.

Kiedy zaczęła się cofać w górę schodów, Sara wyrwała się Bourne'owi i zrobiła krok w jej stronę.

– Nawet nie próbuj – ostrzegła ją Likwidusza, nie przestając się cofać. – Bo cię zastrzelę. Jedną kulą.

Gdy zniknęła w pomieszczeniach niedokończonego piętra, Sara gwałtownie obróciła się w stronę Bourne'a.

– Nie zmierzasz jej ścigać!?

– To doświadczona skrytobójczyni. Zrobi dokładnie to, co powiedziała, a ja chcę żyć.

– Rozwaga to też rodzaj odwagi...

Sara podeszła do niego, patrząc na diamenty, które wciąż trzymała w dłoni.

– Czemu nie zagroziła, że mnie zabije, w skarbcu, żeby cię zmusić do pokazania jej miejsca ukrycia diamentów? Sawasin tak zrobił i zadziałało.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, gdzie są, a ona podejrzewała, że nie wiem.

Spojrzała na niego sceptycznie, jakby się domyślała, że to nie wszystko. Ale była za mądra, żeby naciskać.

– Okej, nieważne... A możesz mi chociaż powiedzieć, czemu zostawiła te tutaj? – zapytała, wskazując głową diamenty w swojej dłoni.

„Zamiast okruszków” – pomyślał Bourne, ale nic nie powiedział.

– Też nie? Więc po tym wszystkim Samowładca i tak dostanie swoją kasę!

Bourne potrząsnął głową.

– Nie dostanie. Muszę natychmiast wracać do Moskwy.

– A inwazja?

– Nie nastąpi. Bez tych diamentów Federacja z trudnością zdoła wyżywić własną ludność, a co dopiero dodatkowe gęby, na przykład stałą armię we wschodniej części Ukrainy.

Przyjrzała mu się zaskoczona.

– Jesteś pewien, że to tak wygląda?

– O tyle, o ile w tym życiu można być czegokolwiek pewnym. Za kilka miesięcy przypada termin spłaty pożyczki w wysokości dwudziestu jeden miliardów dolarów, którą dał im Rosneft. Skąd Kreml weźmie pieniądze? Jeśli Rosneft, największy państwowy koncern energetyczny, upadnie, to będzie dla Rosji katastrofa.

Sara w końcu się poddała.

– Dobrze, to mogę zaakceptować... Zresztą nie mam wyboru. Ale do Moskwy jedziemy razem.

Potrząsnął głową.

– Potrzebujesz najpierw wizyty u lekarza, a potem odrobiny odpoczynku.

Wysypał resztę zawartości woreczka na jej rękę.

– A jeszcze później poproszę cię, żebyś podjęła się pewnej misji specjalnej. Zrobisz to dla mnie?

– Jasne... – Sara przyjrzała mu się badawczo, szukając klucza do zagadki jego zachowania, ale nic nie znalazła. Potrzebowała jakiegoś ustępstwa z jego strony, a może wręcz chciała poddać go próbie, niewielkiej, ale dla niej bardzo ważnej. – Ale tylko jeżeli obiecasz, że potem się ze mną spotkasz...

– To przez cały czas było w planie – rzekł Bourne i szybko pocałował ją w usta.

Igor Małaczew podniósł głowę znad najnowszego numeru „New York Timesa”. Na podziemny dworzec schodziła Likwidusza. Sawasin kazał sobie sprowadzać zagraniczne gazety. Nie ufał elektronicznym wydaniom, twierdząc, że na serwery w każdej chwili może się włamać haker siejący propagandę albo dezinformację.

„Mocarstwa zachodnie gotowe odpowiedzieć na kolejny ruch Rosji” – głosił nagłówek artykułu na pierwszej stronie, który właśnie skończył czytać. Pozostałe brzmiały: „Armia iracka odbiła z rąk ISIS ważne złoża ropy”, „Emisja waluty ISIS to mrzonka” oraz „Ukraina wyraźnie skłania się ku NATO”. Same złe wiadomości, jedna gorsza od drugiej. „Lepiej żeby pierwszy minister miał w zanadrzu jakiś sposób na odwrócenie złej passy, inaczej ja też szybko stąd wylecę” – myślał Małaczew. Kompromitacja była w tym kraju jak choroba zakaźna; szybko przenosiła się z szefa na współpracowników.

Złożył gazetę i wsunął ją pod ramię, szukając wzrokiem swojego pracodawcy. Od terminu, o którym wspominał mu Timur Sawasin, minęły już dwa dni. Rosyjska piechota i oddziały pancerne nadal znajdowały się na terytorium wschodniej Ukrainy, chociaż na forum międzynarodowym minister spraw zagranicznych, a także sam Samowładca, stanowczo temu zaprzeczali. Ofensywa została jednak wstrzymana. Mówiło się nawet o powolnym wycofywaniu wojsk na Krym. Małaczew nie miał pojęcia, co takiego wydarzyło się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, że nastąpił tak dramatyczny zwrot. Z niecierpliwością i niepokojem czekał na wyjaśnienia pierwszego ministra, ale Sawasin pozostawał poza zasięgiem, od kiedy wyjechał z kraju razem z Likwiduszą. Małaczew nie pytał, dokąd się wybierali, a minister nie podzielił się tą informacją. A teraz Likwidusza szła przez dworzec, machając nonszalancko staroświecką torbą lekarską. Jej kroki odbijały się echem po wyłożonym glazurą peronie prywatnej stacji metra ministra Sawasina. Uśmiechnęła się, ale był to dziwny uśmiech, jakby przeznaczony tylko dla niej. Małaczew miał wrażenie, że śmieje się w duchu z jakiegoś dowcipu. Tego ranka zdecydowanie nie miał siły na żarty.

Panująca na Kremlu od dwóch dni nerwowa atmosfera udzieliła się i jemu. Postąpił krok naprzód, pewien, że na schodach zaraz pojawi się Timur Sawasin. Potrzebował wyjaśnień, których nie był w stanie zdobyć ani w biurach, ani nawet w kularach Kremla.

– Gdzie on jest? – zapytał, kiedy Likwidusza zatrzymała się o krok od niego. – Gdzie jest pierwszy minister?

– Pan Timur ma nieuniknione opóźnienie – odparła.

Uśmiech zniknął, jakby go nigdy nie było.

– Rozumiem, że zatrzymali go na Kremlu. Mają tam teraz niezły młyn... Kiedy możemy się go spodziewać?

– Powiedział, że mam czekać w wagonie.

Małaczew błyskawicznie zagroził jej drogę do luksusowego pociągu Sawasina. Drzwi stały otworem, ale on otrzymał wyraźne rozkazy – nie wpuszczać do środka nikogo, jeśli pierwszy minister nie wydał pisemnego lub ustnego pozwolenia.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Jak długo pierwszy minister będzie nieobecny?

Znowu ten krzywy uśmieszek. Małaczew nie cierpiał i tego uśmiechu, i jej samej.

– Jego nieobecność – odezwała się – jest trwała.

Zamachnęła się torbą, uderzając go prosto w twarz. Gdy zatoczył się do tyłu, strzeliła mu trzy razy w pierś; dziury po kulach układały się w idealny trójkąt równoramienny. Mózg Małaczewa zdążył jeszcze zarejestrować wstrząs i wściekłość, po czym przestał działać. Ciało opadło na peron. Strony gazety zawirowały i osiadły na nim jak ogromne ptaki.

– Już czas – rzuciła w przestrzeń Likwidusza. – Droga wolna.

Z najgłębszego cienia za jej plecami wyłoniła się drobna postać w długim płaszczu.

– Małaczewa szkoda – powiedziała, obrzucając trupa krytycznym spojrzeniem.

– Był idiotą.

Przestępując nad zakrwawionym ciałem, Iwan Wołkin uniósł rąbek płaszcza, żeby go nie pobrudzić.

Likwidusza podążyła za nim do wagonu i zamknęła drzwi. Wołkin, szara eminencja rosyjskiej grupperowki, rozsiadł się w fotelu zazwyczaj zarezerwowanym dla Timura Sawasina. Pociąg powoli ruszył, zaczynając wędrówkę przez podziemny tunel biegnący przez trzewia Moskwy, głębiej niż wszystkie inne.

Wołkin rozejrzał się po wagonie.

– Tyle lat marzyłem o tej chwili... – Na jego twarz wypłynął drapieźny uśmiech. – I wreszcie się przekonałem, jak bardzo wygodny jest ten fotel.

Likwidusza stanęła na szeroko rozstawionych nogach, bez trudu zachowując równowagę. Celnym rzutem posłała torbę lekarską na kolana Wołkina.

Podniósł na nią oczy.

– Miałaś jakieś problemy?

– Dałam radę.

– To dobrze. – Pokiwał głową z aprobatą, po czym otworzył zatrask torby i zajrzał do środka. Wyciągnął jeden woreczek z czerwonego jedwabiu; haftowany smok błysnął w świetle lampy. Wysypując diamenty na otwartą dłoń, zapytał:

– Ile jest worków?

– Sto siedemdziesiąt.

– Wartość towaru?

– Ponad siedemdziesiąt siedem miliardów dolarów. Dokładna kwota będzie zależeć od poszczególnych kamieni.

– Zerknęłaś na nie?

– Pobrałam losową próbkę.

– I jak?

– Są wysokiej jakości. Bardzo wysokiej.

– A zatem mam już wszystko... Cały majątek Samowładcy.

– Nie cały – odezwał się Bourne, stając nagle w otwartych drzwiach wagonu. W uniesionej dłoni trzymał jedwabny woreczek, który zostawiła mu Likwidusza, ostatnią wskazówkę w rozległym labiryncie luster zbudowanym przez Iwana Wołkina. W woreczku nie było diamentów – był wypełniony kamyczkami z plaży w Nikozji, ale Bourne nie zamierzał dzielić się tą informacją.

Usta Wołkina powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

– Trzeba ci przyznać, Jasonie, że jesteś uparty. Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięłeś. – Machnął dłonią. – Siadaj. Fatalnie wyglądasz.

Bourne nie ruszył się z miejsca.

– Jak sobie chcesz...

Stał na rozstawionych nogach, twarzą do Likwiduszy. Pomiedzy nimi znajdowało się biurko Sawasina. Siedzący przy nim Wołkin schylił się i z przyśrubowanego do podłogi wiaderka z lodem wyjął zieloną

butelkę.

– Szampana? – Wyszczrzył zęby. – W tym towarzystwie chyba i ja się wstrzymam...

Odłożył butelkę; zgrzytnął kruszony lód.

– No to mów, Jasonie, co mogę dla ciebie zrobić? Zgarnąłem diamenty. Uratowałem świat od psychopaty, który rządzi tym krajem, przynajmniej chwilowo. Szczerze mówiąc, myślę, że należy mi się medal.

– Należy ci się znacznie więcej – powiedział Bourne. – Trochę mi to zajęło, pewnie dłużej, niż powinno, ale na to właśnie liczyłeś. Wiedziałeś, jak niewiele mam przyjaciół. Wiedziałeś, że poruszy mnie tylko śmierć jednego z nich. Wybrałeś Borysa z wielu powodów, które dopiero teraz są dla mnie jasne.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

Pociąg zwolnił i przechylił się na zakręcie. I Bourne, i Likwidusza mocniej oparli ciężar na lewej nodze. Wołkin zasznurował woreczek i położył go obok krzesła.

– Zacząłem się zastanawiać, skąd Borys miał informacje, którymi się ze mną podzielił. Od kogoś ze swoich podwładnych z FSB? Bardzo wątpliwe. Skoro plany Samowładcy nie wyciekły nigdzie indziej, na pewno nie odkrył ich nikt poza Borysem. Sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej, kiedy się zorientowałem, że zakodowana wiadomość zawiera przepis na powstrzymanie pochodów rosyjskich wojsk. A to już na pewno są informacje, których nie da się podsłuchać u plotkarzy.

Wołkin wbił w Bourne'a nieruchome spojrzenie. Ręce nadal trzymał na udach.

– Skąd w takim razie Karpow miał te informacje? Bardzo jestem ciekaw twojej teorii.

– Dostał je od ciebie, Iwanie. I to nie jest teoria.

Jedna brew Wołkina podjechała do góry.

– Nie?

– To fakt.

– Gadasz jak obłąkany.

Bourne uśmiechnął się.

– Przyznaję, że dawałem się zwodzić zaskakująco długo. Byłem pewien, że za śmierć Borysa odpowiada Sawasin.

– Myślisz, że to nieprawda?

– Kazał zabić Swietlanę w Kairze. Tyle wiem na pewno. Ale Borys... – Bourne pokręcił głową. – Widzisz, przez cały czas zakładałem, że Borz działał z polecenia Sawasina. Zupełnie logiczny wniosek. Pierwszy minister nienawidził Borysa i zrobiłby wszystko, żeby zepsuć mu reputację. Ale wydać rozkaz jego likwidacji? Nie, to nie było w jego stylu.

– Znałem Sawasina dłużej i lepiej. Popełniasz błąd, bagatelizując zagrożenie z jego strony. Nie wiesz, jak bardzo chciał usunąć Borysa z drogi.

– Widzisz, Iwanie, tak naprawdę zbagatelizowałem zagrożenie z twojej strony. To ty chciałeś się pozbyć Borysa.

Wołkin wydał wargi w lekceważącym uśmiešku.

– Sam nie wiesz, jak bardzo się mylisz... Ja Borysa lubiłem. Uratował moje wnuczeta od pewnej śmierci.

– Istotnie. I być może nadal darzyłbyś go sympatią, gdyby nie fakt, że dla ciebie świat to za mało. Postanowiłeś wyjść z cienia, złapać za sznurki wszystkie trzy siły rządzące Rosją. Dla wszystkich stałeś się doradcą i przyjacielem, potajemnie zaś podburzałeś gangsterów przeciwko oligarchom, a oligarchów przeciwko gangsterom. Wszystko po to, by twoja władza mogła zataczać coraz szersze kręgi. Borys pod wieloma względami był od ciebie mądrzejszy. Przejrzał cię na wylot, zrozumiał, do czego dążysz, i uznał

to za niedopuszczalny scenariusz. Co najgorsze, okazał się nieprzekupny. Wszelkimi znanymi ci sposobami próbowałeś mu zasugerować, żeby nie mieszał się w twoje sprawy, ale on nie chciał słuchać. Cały Borys.

– Czy ty to słyszysz? – zwrócił się Wołkin do Likwiduszy. – Wymyśliłabyś coś podobnego? Majaczy.

– Obijając się po twoim labiryncie luster, zapomniałem o czymś, co przecież powinno być jasne od początku. Cała karuzela zaczęła się od tego, że twój wnuk przyszedł do mnie we Frankfurcie, podając się za łącznika wysłanego przez Borysa, i przyniósł mi fałszywy dupondius. Wcześniej musiał przechwycić prawdziwego kuriera. Skąd mógł wiedzieć, że Borys w ogóle kogoś wysłał, a co dopiero do kogo i gdzie?

– Sawasin mógł...

– Nie, Iwanie. Borys wiedział o wszystkich ludziach Sawasina, nawet o tych w FSB. To musiał być ktoś inny. Powinienem był się zorientować, kiedy tylko poznałem prawdziwe nazwisko oszusta. Nie ołśniło mnie. Mój umysł zaprzętały wtedy inne sprawy, między innymi śmierć najbliższego przyjaciela, więc to ci się akurat udało. Chciałeś, żeby zaszyfrowana wiadomość od Borysa trafiła w moje ręce, ale na twoich warunkach. Wiedziałaś o planach Samowładcy i o banku Omega and Gulf, ale podobnie jak Sawasin nie wiedziałaś, jak wypłacić fundusze. Dlatego potrzebowałeś mnie.

Wołkin gapił się na Bourne'a wytrzeszczonymi oczami.

– Źle cię oceniłem, Jasonie. Ciebie trzeba zamknąć u czubków...

– I tu dochodzimy do kwestii dziwnego zachowania Iriny – ciągnął Bourne, nie zwracając uwagi na ten komentarz. – Czemu zaprowadziła mnie do człowieka, który prał dla Borza brudne pieniądze? Najpierw myślałem, że chciała mi się przysłużyć, ułatwić mi znalezienie Borza. Dopiero później zrozumiałem, że zabrała mnie tam, żeby cię zdemaskować. Chciała mi pokazać, że Mik prał pieniądze dla ciebie.

Stary krysza nie odezwał się, więc Bourne kontynuował.

– Irina miała dość życia pod twoim nadzorem. Sama mi to powiedziała. Ale znów byłem zbyt rozkojarzony, żeby uznać to za kluczowy element układanki. Zaczęła pracować na własny rachunek, ale bała ci się o tym powiedzieć. Postanowiła więc uciec się do demonstracji, pokazać ci, że wyrwała się spod twojej kontroli, pozwalając mi cię zdemaskować na podstawie ksiąg rachunkowych Mika.

Wołkin słuchał z przymkniętymi oczami, jakby zaraz miał zapaść w sen.

– Nigdy do tego nie doszło.

– Oczywiście, że nie. Bo ty się o to postarałeś. Dlaczego Mik wysadził się w powietrze? Raz po raz zadawałem sobie to pytanie, ale nie umiałem znaleźć odpowiedzi.

– Ale jakiś powód być musiał – zauważył Wołkin. – Nic nie dzieje się bez powodu.

– Jak na człowieka, który pogrzebał dwa pokolenia potomków – rzucił cierpko Bourne – wydajesz się bardzo z siebie zadowolony.

Wołkin skrzywił się, jakby słowa Bourne'a rzeczywiście go ugodziły.

– Mik nie popełnił samobójstwa, nie był typem męczennika. To ja musiałem się zabezpieczyć, na wypadek gdyby popełnił błąd. Zainstalowałem ładunki wybuchowe w jego magazynie. – Rozłożył ręce. – Sam rozumiesz, Jasonie, nie mogłem ryzykować, że wyciągi z prowadzonych przeze mnie operacji finansowych wpadną w niepowołane ręce. Na przykład twoje.

– Albo Iriny.

Iwan odwrócił wzrok.

– Pechowo się złożyło. Dopiero tydzień temu się dowiedziałem, że razem z Aleksandrem zaczęli pracować na własny rachunek. – Pokręcił głową. – Pozbawione odpowiedniego wychowania dzieci robią takie głupstwa...

– Skąd wiedziałaś, kiedy zdetonować ładunek?

– Cały teren był monitorowany. O wszystkim wiedziałem z wyprzedzeniem. – Jego uśmiech był cienki jak ostrze brzytwy. – Jedną z zalet sędziwego wieku jest doświadczenie.

Bourne przesunął się o krok w lewo.

– W takim razie powiedz mi, Iwanie, jak się czuje człowiek, który zabił własne wnuki?

Wołkin błyskawicznie rzucił się na Bourne'a ze sztyletem, który trzymał ukryty w rękawie płaszcza. Ostrze przeszło między boki a ręką Bourne'a. Chwycił Wołkina za szyję i przydusił.

– Nie stój jak cielę. Rób coś... – wycharczał Wołkin przez zaciśnięte gardło. – Czemu nic nie robisz?

Likwidusza stała w absolutnym bezruchu, nie licząc lekkiego kołysania pociągu, który sunął pod podbrzuszem Moskwy.

Bourne obrócił ku niej głowę i zawołał:

– Czemu sama go nie zabijesz?

– Ty to zrobisz z pobudek emocjonalnych – rzuciła. – Moje powody są czysto materialne.

Bourne potrząsnął głową.

– Pora przejrzeć na oczy, Mala. Wołkin wykorzystywał cię tak samo, jak ten Somalijczyk. Używali innych metod, ale obaj chcieli od ciebie dokładnie tego samego.

– Nie zabijesz go? Jesteś tchórzem?

– Wiesz dobrze, że nie jestem – rzucił Bourne – ale nie mam już ochoty być wodzony za nos, nawet przez ciebie.

Rzucił Wołkinem przez wagon jak workiem. Ten zahaczył o krawędź stołu, przewracając go. Likwidusza wreszcie ruszyła się z miejsca, zgarniając torbę z diamentami. Potem sięgnęła do dźwigni hamulca awaryjnego.

– Nie mogę cię puścić – odezwał się Bourne. – Jesteś współwinna.

– Nie zrobisz mi krzywdy. Oboje to wiemy...

Kiedy tak mierzyli się wzrokiem, Wołkin sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął pistolet kaliber dwadzieścia dwa. Wycelował w głowę Likwiduszy; z takiej odległości nie mógł chybić. I nie chybiłby, gdyby Bourne nie dostrzegł jego ruchu kątem oka i nie odepchnął jej z linii strzału. Kula targnęła nim, odzyskał jednak równowagę i ruszył na Wołkina, który znów nacisnął spust, dokładnie w chwili, gdy Likwidusza zaciągnęła hamulec awaryjny.

Pociąg szarpnęło; wytracił prędkość tak szybko, że kula, która miała trafić Bourne'a prosto w serce, przeszła jedynie ramię. Kopnął Wołkina, czubkiem buta zahaczając o kant brody. Siła uderzenia odrzuciła głowę Iwana pod takim kątem, że kiedy uderzył o rant przewróconego stołu, kręgi szyjne natychmiast pękły. Wołkin był martwy.

Pociąg zadygotał i zahamował tak gwałtownie, że Bourne, ranny i zakrwawiony, poślizgnął się i upadł. Szarpiąc się i chybocząc, maszyna stanęła w miejscu pośrodku tunelu, dysząc jak po karkołomnej ucieczce. Za chwilę na pewno pojawi się maszynista, bez wątplenia z bronią.

Likwidusza energicznie uderzyła w przycisk ręcznego otwierania drzwi, które posłusznie się rozsunęły. Bourne podniósł się i chwiejnie ruszył w jej stronę, lecz po kilku krokach stracił przytomność.

Nim osunął się na ziemię, podtrzymała go wolną ręką. Przez chwilę stała, jakby nie wiedziała, co dalej robić. Z odrętwienia wyrwał ją dopiero odgłos szybkich kroków. Maszynista... Na moment odstawiła torbę, zarzuciła sobie bezwładne ciało Bourne'a na ramię, po czym zeskoczyła na torowisko.

Ruszyła w kierunku, z którego przyjechali, czując, jak krew Bourne'a spływa jej po szyi i linii kręgosłupa. Kapała nawet po rękach, plamiąc skórę torby lekarskiej, którą kurczowo ścisnęła w dłoni.

Za nią rozległo się nerwowe wołanie:

– Hej! Hej! Czeka! Wracaj tu!

Słyszając ostrzegawczy strzał, przyskoczyła do ściany tunelu. W cieniu pomiędzy dwoma

zabezpieczonymi drucianą siatką żarówkami znalazła wąskie drzwi serwisowe. Były zamknięte. Położywszy na ziemi torbę z cennym ładunkiem, sięgnęła po pęk wytrychów, który zawsze nosiła przy sobie. Po chwili zamek ustąpił. Zgarnęła torbę, przeszła przez drzwi i zamknęła je za sobą.

Rozejrzała się dookoła, świecąc sobie wbudowaną w telefon latarką. Znalazła włącznik światła. Chowając telefon do kieszeni, ruszyła dalej, nie zwracając uwagi na ciężar na ramionach. Zdarzało jej się nosić ładunki ważące więcej niż Bourne. Była wytrzymała jak maratończyk.

W końcu znalazła się na krawędzi pionowego szybu, który ciągnął się w górę ku cywilnej stacji metra, a w dół diabli wiedzą gdzie. W trzewiach tunelu było ciemno jak w grobie; nie była w stanie nic zobaczyć. Do ścianki szybu na całej długości była przyspawana metalowa drabinka. Ponownie usłyszała głos maszynisty. Wiedziała, że prędzej czy później znajdzie przejście, którym mu uciekła.

Zaczęła się wspinać, szczebelek po szczebelku. Dodatkowy ciężar na plecach sprawiał, że musiała iść odchylona, w niewygodnej pozycji. Do tego mogła trzymać się drabinki tylko jedną ręką, tą samą, którą trzymała torbę. Nie szkodzi. Radziła sobie w gorszych sytuacjach.

Zdążyła wspiać się jakieś sto metrów, kiedy Bourne nagle odzyskał przytomność. Szarpnął się gwałtownie, uderzając ją w bok tak mocno, że musiała machnąć ręką, by przytrzymać się kolejnego szczebelka. Torba wyslizgnęła się z jej dłoni i runęła w dół. Przez chwilę jeszcze była widoczna, lecz wkrótce mrok szybu pochłonął ją zupełnie. Likwidusza wyteżyła słuch, starając się wychwycić moment, kiedy torba uderzy o ziemię, by wiedzieć, jak nisko będzie musiała zejść, aby ją odzyskać. Liczyła sekundy, aż usłyszała łoskot. Niemal w tej samej chwili po koszuli pociekła jej kolejna strużka krwi Bourne'a. Jeśli zejdzie po torbę, on bez wątpienia wykrwawi się po drodze. Jeśli zabierze go na górę, ratując mu życie, nie zdąży wrócić po diamenty. Maszynista już na pewno podniósł alarm, a kiedy ciała Wołkina i Małaczewa zostaną odkryte, w tunelu zaroi się od agentów FSB. A potem zapieczętują go na wieki.

Nie mogła mieć wszystkiego. Albo diamenty, albo Bourne. Decyzja zajęła jej mniej niż minutę.

Czterdzieści dni później

Była Wigilia. Na chodniki Manhattanu opadł świeży śnieg, przykrywając chrupką warstwę soli. Rynsztokami płynęła brudna woda, a świąteczny ruch zamienił ulice w rzeki pośniegowego błota. Samochody z sykiem przemykały obok Lincoln Centre; w teatrze imienia Davida Kocha właśnie rozpoczynało się wieczorne przedstawienie – *Dziadek do orzechów* w choreografii Balanchine’a. Organizowany przez New York City Ballet spektakl jak zawsze zachwycał rozmachem i perfekcją. Widownia, na której siedzieli i dorośli, i dzieci, chłonęła taniec i muzykę. Dla wielu osób udział w przedstawieniu był nieodzowną częścią świąt.

W scenie arabskiego tańca emocje sięgnęły zenitu. Balet miał nową solistkę. Rozparci w łoży krytycy i tancerze za kulisami wyciągali szyje, by zobaczyć, jak debutantka, Liis Ilves, poradzi sobie ze zmysłowym tańcem. Z programu można było się dowiedzieć, że Liis jest Estonką i że jej nazwisko znaczy „ryś”. Dziewczyna wirowała po scenie zwinnie i z gracją. Aplauz był najlepszą miarą jej sukcesu; stopy kwiatów, jakie zaniesiono do jej garderoby po występie, tylko go potwierdziły.

Sara przyglądała się solistce zza baterii kolorowych bukietów, ze zdumieniem czując, że w jej sercu wzbiera duma i fala ciepła. Przez ostatnie pięć dni zdążyła się przywiązać do Liis. W tej dziewczynie naiwność w osobliwy sposób mieszała się z żelazną wolą. Nadal wydawała się przyłoczona ogromem Nowego Jorku i wdzięczna za to, że jest częścią hermetycznego środowiska baletnic. Z rygorystycznych ćwiczeń czerpała siłę, radowała się dyscypliną, jaką narzucano jej umysłowi i ciału. Sara dopiero niedawno zrozumiała, że w pewnym sensie Liis szukała w balecie ucieczki od świata, który wydawał jej się straszny i rządzony przez chaos. Kurczowo uczepiła się swojego domku dla lalek.

Bourne pojawił się niespodziewanie, kiedy Liis zamknęła się w ciasnej garderobie.

– Zdążyłeś na czas? – zapytała Sara, kiedy wreszcie wyrwała się z jego uścisku. – Widziałeś jej występ?

– Widziałem.

– Była znakomita! Dziękuję, że nas sobie przedstawiłeś.

– Masz na sobie gorset ortopedyczny – zauważył.

– Ty to umiesz zepsuć nastrój...

– Bądź poważna. Jak twoje żebra? I nie mów, że w porządku.

Posłała mu krzywy uśmiech.

– Bolał tylko jak oddycham, doktorze. – Zaśmiała się, widząc jego minę. – Lekarze z Izraela kazali zacisnąć zęby i się nie uzalać.

– A jak twój ojciec?

– Zły jak osa.

– Ale wybaczył ci?

– Nie do końca. Dostałam, jak to się mówi... wyrok w zawieszeniu.

Bourne pokiwał głową.

– To w jego stylu.

Dopiero wtedy, kiedy trochę się odsunął, miała szansę uważniej przyjrzeć się jego twarzy.

– Jasonie, co ci się stało?

Opowiedział jej o swoich przejściach w tunelu pod Moskwą.

– A więc to Wołkin? – zdziwiła się. – Ten sam Wołkin, który ci pomagał... Twój przyjaciel.

– Pomagał mi, bo sam coś z tego miał. A w kwestii przyjaźni... – Wzruszył ramionami. – Dawno temu był przyjacielem Borysa, dopóki mu to pasowało.

– A diamenty?

– Przepadły – rzucił Bourne, schodząc z drogi dwóm baletnicom. – Poza tymi, które dałem tobie.

– Wyceniłam je w Amsterdamie i sprzedałam, a potem wróciłam do Kairu i zgodnie z twoim życzeniem jedną trzecią pieniędzy oddałam Amirze. Może sobie teraz kupić nową łódź. Albo całą flotę.

– Myślę, że raczej wyjedzie z Egiptu na zawsze.

Sara kiwnęła głową.

– Mnie też się tak wydaje. – Zamilkła na chwilę, czekając, aż minie ich jeden z solistów. – Potem poleciałam do Paryża, do Sorai i jej córki. – Soraya była dawną znajomą Bourne'a, z którą współpracował przez długie lata, zanim wyszła za mąż i urodziła dziecko. Jej mąż dwa lata wcześniej padł ofiarą brutalnego morderstwa. – One też dostały jedną trzecią pieniędzy.

– A potem przyleciałaś tutaj...

– Pozostałą sumę wpłaciłam do banku jako polisę dla Liis, tak jak chciałaś. Do dwudziestych piątych urodzin będzie mogła korzystać z odsetek, potem dostanie całą sumę.

– Myślałem, że uda mi się przyjechać wcześniej, ale chciałem jeszcze zajrzeć w jedno miejsce.

– Na grób Borysa.

Skinął głową. Przez jego twarz przebiegł cień.

– Jego dachę zrównali z ziemią. Jakby nigdy nie istniała.

– Słynny rosyjski rewizjonizm. Przykro mi...

Ciężko mu było znieść, że taki kawał życia i pracy Borysa siłą zepchnięto w niepamięć. Przez cały pobyt w Rosji miał ogon, nikt jednak nie odważył się do niego podejść. Bourne był wtedy żądny krwi. Kryjąc się w cieniu, opłakiwał przyjaciela i towarzysza tylu złych przygód. Wiedział, że dusi w sobie łyzy, ale jakoś nie potrafił ich wydobyć. Niósł je ze sobą, wędrując po nocnych ulicach Moskwy i szukając kłopotów. Samotny mężczyzna śledzony z cienia.

Popatrzył na Sarę z ponurą determinacją.

– Moich wspomnień nie zniszczą.

Przyjrzała mu się uważnie, wsuwając dłoń pod połę jego płaszcza.

– Wołkin trafił cię dwa razy, zanim go załatwiłeś.

– W ramię i w biceps. – Nie powiedział jej, że pierwszą kulę zarobił, gdy bronił Likwiduszy. Sam nie wiedział dlaczego, ale wolał ten fakt ukryć. – Strzał w biceps to nic poważnego, kula przeszła na wylot, ale ta pierwsza, w ramię, przebiła tętnicę. Straciłem dużo krwi. Niewiele pamiętam. Obudziłem się w szpitalu. Nikt nie był w stanie mi powiedzieć, kto przyniósł mnie na izbę przyjęć.

– Ale i tak wiedziałeś. Likwidusza uratowała ci życie. – Patrzyła na niego wielkimi oczami. – Dlaczego to zrobiła? I czemu... Rozumiem, że chcesz pomóc Amirze i Sorai, ale dlaczego Liis?

W tym momencie drzwi garderoby otworzyły się. Liis, widząc Bourne'a, z piskiem rzuciła mu się na szyję.

– Jesteś! We własnej osobie! Mój osobisty prezent świąteczny! Dziękuję ci! Dziękuję za wszystko!

Znów przyłgnęła do niego całym ciałem, lecz niemal natychmiast odskoczyła.

– Gdzie Mala? Wiem, że chciałaby tu być... Tak liczyłam, że ją dzisiaj zobaczę!

– Przyjdzie – odpowiedział Bourne z szerokim uśmiechem. Sam nie wiedział, czy ją oszukuje, czy mówi prawdę. – Któregoś dnia przyjdzie.

Likwidusza siedziała w ostatnim rzędzie na balkonie. Trzymała się w cieniu. Z bocianiego gniazda przyglądała się tańczącej siostrze; oczy miała wilgotne, a serce tłukło się w jej piersi jak spłoszony ptak. Nie umiała nazwać tego, co czuje. Wezbrała w niej fala emocji. Cokolwiek chciałaby powiedzieć Liis, nie byłaby w stanie ująć tego w słowa. Rozsądek nakazywał jej trzymać się jak najdalej od siostry, choć myśl o tym napawała ją bólem.

Z drugiej strony ból był całym jej życiem. Znosiła go od dnia, kiedy została porwana. Gdy uratował ją Jason Bourne, nie przyszło jej na myśl, że ból z czasem zelżeje i minie. Uwolnił ją od źródła fizycznego cierpienia, lecz cała reszta, zakorzeniona głęboko w jej jaźni, uparcie nie chciała poddać się egzorcyzmom psychologów, psychiatrów, neurologów i terapeutów, którym Likwiduszę pokazywano jak motyla nabitego na szpilkę. Nikt nie był w stanie nic poradzić. Ból wżarł się w jej jestestwo tak mocno, że bywały dni, kiedy czuła go nawet w kościach. Było to jednak uczucie znajome, które z pasożyta przekształciło się w symbionta, aż w końcu przekonała samą siebie, że było tam od zawsze, że tylko czekało na odpowiedni splot okoliczności, by się ujawnić. Bourne działał z dobroci serca, za co była mu szczerze wdzięczna, lecz tak naprawdę nigdy jej nie rozumiał. Jak miał rozumieć?

Jakiś czas po tym, jak wybrzmiały ostatnie brawa, wysunęła się z pustoszejącego budynku, by poczekać na solistów razem z miłośnikami baletu, tłoczącymi się na ulicy mimo zimna i nieprzyjemnej aury, która nieco przypominała jej moskiewską pogodę. Patrzyła, jak jej siostra wychodzi tylnymi drzwiami, promieniejąc radością i podnieceniem. Czekający na nią tłum ruszył do przodu, błagając wschodzącą gwiazdę New York City Ballet o autograf na afiszu lub w notatniku. Likwidusza oparła się tej fali, przycisnęła do tyłu, aż znalazła się na obrzeżach, niemal w rynsztoku.

Liis, zaróżowiona z zimna i z zadowolenia, trzymała w dłoniach bukiet róż – tych przysłanych jej przez Likwiduszę. Podała kwiaty stojącej obok kobiecie – Rebecce, tej samej, która była z Bourne’em w Nikozji, w banku Omega and Gulf. Więc to dla niej go ocaliła? Dla tej Rebeki? Bourne stał obok Liis. Ubrany w garnitur i piękny tweedowy płaszcz, wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Podciął włosy, zgolił zarost. Bez problemu mógłby uchodzić za istotę ze świata jasno oświetlonych ulic i przyziemnych zajęć. No, prawie. Uśmiechnęła się do siebie, bo dostrzegła, jak taksuje wzrokiem twarze w tłumie, oceniając ryzyko. Zauważyła, jak się ustawił, niby nieruchomo, ale tak, by w każdej chwili móc ruszyć do akcji. Pod tym względem byli tacy sami, rządzeni przez drapieżne instynkty, których nie zdołała stępić cywilizacja.

Patrzyła, jak cała trójka odrywa się od rozentuzjanzmowanego tłumu, skręca za róg i wchodzi do restauracji. Przyglądała im się z zewnątrz, kiedy zdejmowali płaszcze i szli za kelnerem do stolika. Wyglądali jak rodzina – z mowy ciała można było wyczytać, że się lubią i czują się ze sobą swobodnie. Na myśl o siostrze Likwidusza ponownie poczuła falę dumy, od której oczy wypełniły jej się łzami i zaślniły jaśniej niż wiszące nad jej głową sodowe lampy. Bezwiednie zaczęła kreślić palcami wzory na oszronionej szybie.

W końcu gwałtownie obróciła się na pięcie i odeszła, mieszając z hałaśliwym tłumem przechodniów. Gdzieś w dole ulicy wolontariusz Armii Zbawienia pobrzękiwał dzwonkiem. Na Broadwayu pieszych było tylu, że nie mogła dostrzec przeciwległej strony szosy. Po chodniku śmigąca grupka rozbawionych chłopców; rzucali się śnieżkami i uciekli, chichocząc, kiedy jeden z pocisków trafił przypadkowego przechodnia w plecy.

Życie, zwyczajne życie. Ona pochodziła z zupełnie innego świata. Wyciągnęła telefon, rozgrzała palce i wcisnęła klawisz szybkiego wybierania. Przystawiwszy aparat do ucha, wsłuchiwała się w sygnał tak intensywnie, że otaczający ją gwar przestał mieć znaczenie. Równie dobrze mogła znajdować się w próżni.

Chwilę później rozmawiała już z pewnym Yibirem z Somalii. Na imię miał Keyre. Każda blizna na jej

ciele wibrowała w rytm jego głosu, wygrywając tęskną nutę nawołującą ją ku przeszłości.
Wkrótce była już tylko punkcikiem w tłumie. A potem zniknęła.

Podziękowania

Po raz kolejny dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi zebrać informacje potrzebne do napisania tej książki. Większość z was woli zachować anonimowość, ale sami wiecie, że to was mam na myśli. Gdyby nie wasza pomoc, *Zagadka Bourne'a* nie ujrzalaby światła dziennego w obecnej formie, co powiedziawszy, przyznaję, że za wszelkie ewentualne zmiany (wprowadzone ze względów fabularnych) oraz (nieuchronne) błędy odpowiadam ja sam.

Największe podziękowania należą się mojej żonie, Victorii Schochet Lustbader, która jest moim pierwszym i najlepszym redaktorem. Dzięki Tobie pisanie jest o wiele łatwiejsze.

-
- [1](#) Nic takiego, dreszcz mnie przeszedł (ros.).
 - [2](#) Proszę wybaczyć, ale to nie wyglądało na nic takiego (ros.).
 - [3](#) Trzymajcie ręce tak, żebym je widział (ros.).
 - [4](#) Wasz rosyjski jest tak dobry, jak mi mówiono (ros.).
 - [5](#) Miałem znakomitych nauczycieli (ros.).
 - [6](#) Żyje się tylko dwa razy (ang.).
 - [7](#) Oba cytaty: W.B. Yeats, *Drugie przyjscie*, tłum. Stanisław Barańczak, [w:] *Poezje wybrane*, Warszawa 1987.
 - [8](#) Chwała i dziękczynienie Bogu (arab.).
 - [9](#) Miłosiernemu (arab.).
 - [10](#) Najświętszemu (arab.).
 - [11](#) L. Carroll, *Alicja w krainie czarów*, tłum. Antoni Marianowicz, Warszawa 1955.
 - [12](#) L. Carroll, *Po drugiej stronie lustra*, tłum. Robert Stiller, Warszawa 1986.
 - [13](#) W. Szekspir, *Juliusz Cezar*, tłum. Leon Ulrich, Warszawa 1895.

Niech idą



w PiSdu!